

PROWINCJA
KWARTALNIK
SPOŁECZNO - KULTURALNY
DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW

Nr 1 (3)

2011

Redakcja:

Leszek Sarnowski - redaktor naczelny
Wacław Bielecki - sekretarz redakcji
Marek Stokowski
Janusz Ryszkowski
Justyna Liguz
Andrzej Kasperek

Okladka:

Mariusz Stawarski

Grafika:

Agnieszka Albrecht

Skład i łamanie:

www.z8.com.pl

Druk:

Drukarnia W&P
ul. Akacyjowa 29, 82-200 Malbork

Wydawca:

Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie
82-400 Sztum, ul. Królowej Jadwigi 10
tel. 693527614 e-mail: provincia@onet.pl

Redakcja składa serdeczne podziękowania za wsparcie naszej inicjatywy wydawniczej:

Andrzejowi Krzysztofiakowi Burmistrzowi Kwidzyna
Jerzemu Godzikowi Staroście kwidzyńskiemu
Leszkowi Taborowi Burmistrzowi Sztumu
Wojciechowi Cymerysowi Staroście sztumskiemu
Dziękujemy również za współpracę przy promocji kwartalnika:
Kwidzyńskiemu Centrum Kultury
Sztumskiemu Centrum Kultury
Miejskiemu Domowi Kultury w Malborku
Żuławskiemu Ośrodkowi Kultury w Nowym Dworze Gdańskim
www.marienburg.pl

Miejsca w których można kupić kwartalnik „Prowincja”:

Kwidzyńskie Centrum Kultury
Sztumskie Centrum Kultury
Miejski Dom Kultury w Malborku
Księgarnia „Bestseller” w Sztumie ul. Reja 13
Agencja Reklamowa „Aliem” Sławomira Michalika, Sztum, ul. Galla Anonima 8
Sklep papirniczo - biurowy „Kopiał” w Malborku, ul. Żeromskiego 5
Księgarnia Idea Jz. w Nowym Dworze Gdańskim, Pl. Wolności 11
Redakcja prowadzi również sprzedaż wysyłkową.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i niewykorzystanych, zastrzega sobie również prawo do ich ewentualnego skracania oraz zmiany proponowanych tytułów.

Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo nasz kwartalnik podajemy numer konta wydawcy – Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” Sztum:
Bank Spółdzielczy w Sztumie: 42 8309 0000 0002 6741 2000 0010

Publikacja została dofinansowana z budżetu samorządu
województwa pomorskiego
w ramach zadania publicznego
„Rozwój kultury w województwie pomorskim w roku 2011”



ISBN 978-83-86590-23-0
ISSN 2082-0291

PROWINCJA

Nr 1 (3) 2011

Spis treści

Trzecia „Prowincja” - od Redakcji	5
---	---

Rewitalizacja prowincji

Justyna Liguz - Rewitalizacja Kwidzyna	6
Aleksandra Kapejewska – Budowanie tożsamości lokalnej. Rewitalizacja Malborka	17
Leszek Tabor – Operacja na słabnącym sercu miasta. Rewitalizacja Sztumu	21
Rewitalizacja prowincji – dyskusja redakcyjna	26

Proza

Małgorzata Anna Jędrzejewska - A jednak – fragment powieści	39
Tomasz Wandzel – Dom w chmurach – fragment powieści	47
Ryszard Filbrandt – W objęciach świadomości	56

Poezja

Marek Stokowski – Lasy Pomezanii i inne wiersze	62
Anna Bołt - Curriculum vitae i inne wiersze	65
Marta Falkowska – Kalendarzowe incognito	68
Piotr Marcin Kuczkowski - Wiersze	70
Sebastian Kubiak - Wiersze	72

Esej

Andrzej Kasperek - Wiosna 1905 według Stanisława Maślowskiego i Jacka Kaczmareckiego	74
---	----

Wędrowki po prowincji

Anna Weronika Brzezińska, Małgorzata Wosińska – Sztutowo czy Stutthof? Program badawczy	86
Aleksandra Paprot - Mennonici w Stogach Malborskich	101

Prowincje Europy

Grażyna Nawrońska – O średniowiecznych pielgrzymkach i znakach pielgrzymich	113
Bogumiła Bruniecka – W drodze do Composteli	120

Na tropach historii

Roman Niemczyk – Święty Wojciech w Prusach	129
Ryszard Rząd - Życie kulturalne w Malborku w okresie międzywojennym	139

Wspomnienia, zapiski, dzienniki

Leszek Sarnowski - Katyń-Smołęńsk - Sztum 1940-2011	150
„Nie czuję się Siłaczką” - wywiad Stanisława Bortnowskiego z Krystyną Muszyńską	155
Adam Langowski – Przydzielony na Powiśle	164
Edward Cyrklaff – Ojciec był człowiekiem skrupulatnym	173

Wystawy, koncerty, relacje

Wacław Bielecki - Muzyczny karnawał. Zapiski melomana	181
---	-----

Recenzje

Marek H. Kotlarz – Człowiek z zamku i strojenie natury	186
Marek H. Kotlarz – Pokolenie przełomu, czyli zupełnie stronnicza recenzja	188
Leszek Sarnowski – Mennonici w Dolnie Kwidzyńskiej	192
Tomasz Gliniecki - Truso	193
Leszek Sarnowski – Bank z korzeniami	196

Z przymrużeniem oka

Marek Stokowski- Prowincjonalia	198
Maciej z Waplewa – Opowiadki z Waplewa	204

Noty o autorach	206
------------------------------	-----

Trzecia „PROWINCJA”

Z ogromną przyjemnością oddajemy w Państwa ręce trzeci numer naszej wspólnej „Prowincji”. Mamy nadzieję, że spora objętość drugiego numeru nie zniechęciła Państwa, a wręcz zachęciła do dalszej lektury i wspólnej z nami przygody.

Dużo uwagi w tym numerze postanowiliśmy poświęcić rewitalizacji miast Dolnego Powiśla i Żuław. W wielu z nich widać już poważne zmiany, które mają doprowadzić do stworzenia nowego oblicza dawnych centrów lub stworzenia zupełnie nowych centrów. Najbardziej zaawansowane prace w tym zakresie są w Malborku i Kwidzynie, a w tej chwili rozpoczynają się działania związane z odnowieniem najstarszej części miasta w Sztumie. Dzięki europejskim środkom już niebawem mamy szansę zobaczyć dawne starówki, zniszczone przez „wyzwoliciele”, w nowej szacie. Czy jest to możliwe, jakie są szanse i zagrożenia, co z tego będą mieli mieszkańcy i turyści, a także kto za to płaci? Na ten temat dyskutują burmistrzowie miast, konserwator zabytków i architekt.

Nowy numer kwartalnika to tradycyjnie duża dawka prozy i poezji. Oprócz stałych autorów mamy też debiutantów na naszych łamach, choć często są to autorzy znani już w regionie. To poeci i prozaicy tacy jak Anna Bołt, Marta Falkowska, Ryszard Filbrandt, Piotr Kuczkowski. Współpracę z nami podjął również Tomasz Wandzel z Prabut, który mimo tego, że od ponad 12 lat jest niewidomy, stara się opisywać otaczający świat. Publikujemy fragment debiutanckiej książki Tomasza Wandzela, która niemal równocześnie z kwartalnikiem trafia właśnie na księgarski rynek. Publikujemy też fragment debiutanckiej książki Małgorzaty Jędrzejewskiej z Nowego Stawu. Zachęcamy do lektury I części eseju Andrzeja Kasperka o wiośnie 1905 roku widzianej oczami Stanisława Maśłowskiego i Jacka Kaczmareckiego.

W naszych stałych wędrowkach po prowincji trafiliśmy do Sztutowa i Stogów Malborkich, a nawet na europejskie antypody, bo dzięki tekstom Bogumiły Brunieckiej i Grażyny Nawrońskiej będziemy mogli prześledzić szlak pielgrzymi do Świętego Jakuba w hiszpańskiej Composteli. W tym kontekście nie mogło zabraknąć tekstów o naszym historycznym pielgrzymie - misjonarzu - Świętym Wojciechu, który właśnie na ziemi żuławskiej i powiślańskiej próbował budować podwaliny cywilizacji chrześcijańskiej.

Ważnym dla nas, wspomnieniowym tekstem jest wywiad z nieżyjącą już Krystyną Muszyńska, naszą koleżanką, która przed laty tworzyła podwaliny powiślańsko-żuławskiej prasy lokalnej. Mimo historyczności tekstu z 1985 roku wart on jest, naszym zdaniem, uwagi i refleksji.

Zapraszamy do lektury
Redakcja

Rewitalizacja Kwidzyna



Kamienice podcieniowe na Starym Mieście w Kwidzynie w 1920 r.
(Pocztówka ze zbiorów autorki)

Odbudowa czy rewitalizacja każdego zespołu miejskiego ma własną specyfikę. Czasem powstaje nowa dzielnica, która w żaden sposób nie pokrywa się z siecią przedwojennych ulic ani zabudowy, czasem budowa prowadzona jest w oparciu o rygorystyczne wytyczne konserwatorskie. Inwestor wznosi wtedy budynki w oparciu o stare fundamenty i ściany piwnic, wymogiem jest zachowanie dawnej bryły zabudowy, z dominacją zabudowy szczytowej, czyli usytuowaniem węższą ścianą w kierunku ulic i pionowymi podziałami fasad.

Kwidzyn jest miastem, w którym odbudowa starego miasta realizowana była w bardzo długim okresie czasu, w dodatku z wykorzystaniem wszystkich wymienionych wcześniej sposobów.

1945 rok nie był łaskawym rokiem dla Kwidzyna. Miasto, niezniszczalne, bez walki, zostało zajęte przez wojska Armii Czerwonej. Powstało miasto - szpital wojenny. Czerwonoarmiści, przyzwyczajeni na wojnie do bezkarności, doprowadzili miasto do stanu ruiny. Zapewne początek dewastacji Kwidzyna rozpoczęły jeszcze niektóre oddziały frontowe

w pierwszych tygodniach po wejściu do prawie pustego miasta. Największą tragedią było spalenie centralnej części niemieckiego Marienwerder wraz z pięknym ratuszem.

Pierwsze prace zabezpieczeniowe miały miejsce dopiero w 1946 roku. W pierwszej kolejności władze przystąpiły do wywozu śmieci, likwidacji poszpitalnych składowisk oraz odgruzowywania. W wielu miejscach ulice wymagały ponownego położenia nawierzchni (bruk zerwali Rosjanie), w spalonych domach, dla zachowania bezpieczeństwa i przeciwko „nieproszonym gościom”, dokonywano замуrowań otworów okiennych. Z raportu Zarządu Miejskiego z czerwca 1946 roku wynika, że dokonano замуrowań na powierzchni ok. 650 m². Ciekawie na tle losów starego miasta jawi się sprawa ratusza. W lutym 1946 roku pracownik Zarządu Miejskiego w Kwidzynie, Kierownik Działu Ogólnego Henryk Nogajski, w imieniu burmistrza Kwidzyna zwrócił się, pismem do Urzędu Pełnomocnika Obwodowego R.P. w Kwidzynie, z prośbą o wsparcie finansowe na remont tego budynku. W piśmie wskazał, iż gmach „aczkolwiek wypalony, nadaje się do remontu i mógłby w przyszłości stanowić stałą siedzibę Zarządu Miejskiego”. W odpowiedzi można przeczytać, iż „budynek spalonego ratusza wg danych Referatu Odbudowy nie jest dostatecznie cennym zabytkiem architektury, który należałoby zabezpieczyć w pierwszym stopniu pilności robót”. Pod pismem widnieje podpis Architekta Powiatowego Zdzisława Kraca, z upoważnienia pełnomocnika Obwodowego R.P. Nogajski przesłał kolejne pismo w tej sprawie, tym razem do Referatu Kultury i Sztuki. Odpowiedź, tym razem C. Gosienieckiej była następująca: „kwestię odbudowy ratusza poruszyłam już w Wydziale Kultury i Sztuki oraz w czasie lustracji powiatu kwidzyńskiego przez Referentów Oddziału Muzeów i Ochrony Zabytków p.p. Jana Kilarskiego i Władysława Brzóske. Pokazywałam ratusz i prosiłam o kredyty na odbudowę, dostałam jednak kategoryczną odmowną odpowiedź z powodu braku wystarczających funduszy i potrzeby zabezpieczenia cenniejszych i starszych zabytków”. Próby przekonania Referatu Odbudowy do potrzeby zabezpieczenia i remontu ratusza ciągnęły się jeszcze do lata, a kolejne odmowy nadchodziły jeszcze do czerwca 1946 roku.

Problemem, z którym miasto musiało się w końcu uporać była rozbiórka ruin starego miasta. Całe centrum wypełnione było kikutami przedwojennych kamienic, na które jak dotychczas nie było żadnych pieniędzy w budżecie, aby je wyremontować. Z liczby budynków mieszkalnych, istniejących ówczesnie w mieście, większość wymagała natychmiastowego remontu, aby nie ulec dalszej dewastacji. Z braku funduszy rozbierano tylko nieliczne gmachy, których stan zagrażał życiu lub zdrowiu ludzkiemu. Zatrudniano w tym celu dorywczo bezrobotnych, dzięki którym miasto pozyskiwało cegłę wysyłaną głównie do Warszawy. Na zachowanych fotografiach z 1949 roku widać jeszcze spaloną, ale nietkniętą większymi rozbiórkami zabudo-



Uczniowie Liceum Pedagogicznego w czynnym społecznym sprzątają stare miasto w 1953 roku.
(Fot. ze zbiorów pracowni regionalnej przy KCK w Kwidzynie)

wę w obrębie starego miasta. Czas jednak robił swoje. Niezabezpieczone gmachy coraz częściej nadawały się jedynie do rozbiórki. Początkowo rozbierano tylko wyższe kondygnacje, wiążąc na szczytach liny i przewracając mury. Na bardziej planowe działania brakowało pieniędzy i środków. W 1952 roku w ramach czynu społecznego uczniowie kwidzyńskich szkół średnich zajmowali się oczyszczaniem i układaniem cegieł z rozbiórki na pryzmy. Okoliczności tych działań nie zostały jeszcze do końca wyjaśnione. Odzyskaną cegłę przejmowało, a następnie sprzedawało Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Rozbiórkowo Porządkowe.

Handlem tzw. cegłą połówką oraz materiałami wydobytymi z fundamentów bezpośrednio zajmowało się Prezydium Miejskiej Rady Narodowej.

Temat uporządkowania miasta z gruzów był niejednokrotnie poruszany podczas sesji MRN. Władze przyznawały, że poważne braki w tej dziedzinie spowodowane były niewłaściwą gospodarką w pierwszych latach powojennych, wskutek czego poważna ilość budynków została zniszczona i szkód tych niestety nie dało się w terminie późniejszym naprawić. Członkowie Rady winy za taki stan rzeczy upatrywali także pośród samych mieszkańców, którzy dopuszczali się często dewastacji tzw. „substancji mieszkaniowej”.

Inicjatywa odgruzowania miasta pojawiła się w 1954 roku, natomiast formalnie Zarząd Kwidzyna zajął się tym dopiero w 1955 roku. W informacji, dotyczącej przygotowania akcji odgruzowania miasta, na posiedzeniu Miejskiej Rady Narodowej stwierdzono, że „.... dotychczas nikt nie próbował usunąć tego problemu pomimo, że były pewne możliwości większe czy mniejsze. Pozwolono nawet na jeszcze większe zawalenie gruzami chodników placów i ulic z budynków rozbieranych, a należy przypomnieć, że gruzy pozostałe z rozbiórki winny być usunięte przez przedsiębiorstwa rozbiórkowe, czego jednak nie dokonano, skutkiem czego miasto przybiera coraz gorszy wygląd”.

Akcja tzw. odgruzowania miasta rozpoczęła się w 1955 roku. W połowie roku oceniano, że ilość wywiezionego gruzu wynosi 2000 m³. W całą akcję zaangażował się osobiście Przewodniczący Prezydium Miejskiej Rady Narodowej Tadeusz Łoś. Do działań zaangażowano mieszkańców miasta, któ-

rych wspomóc miała jedna koparka, jedna sprężarka, jeden spychacz i dwie wywrotki. W budżecie na rok 1955 miasto zagwarantowało na ten cel 40.000 zł oraz 65.000 zł przeznaczono z podatku miejskiego.

W ramach całej akcji, poza odzyskaniem jak największej ilości cegieł i uporządkowania placu, starano się „odzyskany” teren zagospodarować. Dla przykładu, przy ul. Braterstwa Narodów, urządzono zieleniec im. Jan-ka Krasickiego. Prezydium MRN opłaciło koszty ułożenia skarpy, nawiezie-
nia ziemi, poszerzenia jezdni i wykonania alejek. Innym przykładem było rozebranie budynku starego kina przy ul. Braterstwa Narodów, gdzie duży problem stworzyło rozbicie betonowych fundamentów budynku. „Oczyszczony” plac przekazano jako plac zabaw dla przedszkola Towarzystwa Przy-
jaciół Dzieci nr 1 (obecnie przedszkole Jedyneczka). W tym samym czasie spychacz zrównał plac przy ul. Braterstwa Narodów i plac obok byłego ratu-
sza, gdzie stworzono miejsce dla postoju furmanek.

Ponownie na tle sprzątania starówki powrócił temat miejskiego ratusza. Nie udało się odbudować gmachu w 1945 roku, a z powodu braku zabezpie-
czenia budynek całkowicie popadł w ruinę. Decyzja o rozbiórce objęła więc także ten dziewiętnastowieczny relikw. Konserwator Wojewódzki chciał ro-
zebrać ratusz już w 1952 roku, jednak Prezydium MRN nie wyraziło na to zgody. W 1955 roku doszło jednak do demontażu części murów, prace zle-
cono Wojewódzkiemu Przedsiębiorstwu Porządkowo Rozbiórkowemu, bez uzgodnienia z władzami miasta. Na zarządzenie Wojewódzkiego Konser-
watora Zabytków roboty jednak przerwano. Konserwator orzekł, że dolna część ratusza jest zabytkowa. Decyzja ta wprowadziła zamieszanie i stała się tematem wiodącym na kilku kolejnych posiedzeniach Prezydium. Przedsta-
wiciiele Prezydium kilkakrotnie jeździli z interwencją do Prezydium Woje-
wódzkiej Rady Narodowej oraz Konserwatora Wojewódzkiego, lecz bezsku-
tecznie. Konserwator zalecił pozostawienie 12 metrów wieży od dołu. Taka decyzja spowodowała kolejne komplikacje, utrudniała bowiem prowadzenie prac metodą zwykłego wyburzania murów. Przedstawiciel firmy prowadzą-
cej prace odmówił wykonania zlecenia tłumacząc, że nie posiada funduszy na postawienie rusztowania i prowadzenie prac metodą rozbiórki małymi partiami pojedynczych cegieł. Konserwator wyjaśniał zaś, że decyzję swą uzgadniał wcześniej ustnie. Ostatecznie po pisemnych „polemikach” górna część wieży została rozebrana.

Pod koniec lat pięćdziesiątych teren starego miasta Kwidzyna, poza nie-
licznymi zachowanymi domami przy ulicy Targowej, zionął pustką. Stare, wypalone mury domów zostały rozebrane, cegły po części wywiezione, po części wykorzystane w innych celach budowlanych. Miejscami zalegał jesz-
cze nie wywieziony gruz, powoli porastający chwastami. W tym samym cza-
sie dał o sobie znać dotkliwy brak mieszkań dla przesiedleńców, repatrian-
tów i nowych osadników. W tych warunkach zrodził się projekt opracowania

i zrealizowania planu nowej zabudowy Starego Miasta i stworzenia w tym miejscu nowoczesnego osiedla mieszkaniowego. Dziś projekt ten budzi kontrowersje. Poza wprowadzeniem w ten obszar nowoczesnej jak na tamte czasy architektury, niestety nie zachowano ani biegu przedwojennych ulic, ani linii historycznej zabudowy. Co więcej, rozwiązanie autorstwa mgr arch. Doroty Weirowskiej uzyskało w 1961 roku III nagrodę ówczesnego Komitetu Budownictwa i Architektury. Obszar zabudowy objął praktycznie cały teren Starego Miasta w granicach jego średniowiecznych obwarowań i został, jeżeli chodzi o zabudowę mieszkalną, prawie w całości zrealizowany. Według ówczesnych opiniodawców w projekcie tym sumiennie zbadano istniejące zainwestowanie terenu, wyrażające się pełnym wykorzystaniem uzbrojenia podziemnego oraz daleko idącą adaptacją istniejących budynków i urządzeń. Szczególnym walorem projektu było... „kulturalne połączenie nowej architektury ze starym układem miasta i starą architekturą”.

Realizację projektu Doroty Weirowskiej rozpoczęto w 1968 roku. Pierwszy budynek oddano do użytku 25 listopada 1968 roku. Było w nim 41 mieszkań o 122 izbach. Budowę wszystkich bloków na osiedlu „Stare Miasto” zakończono w 1972 roku. Na szczęście jednak nie zrealizowano wszystkich założeń projektu. Dzięki temu, przy południowej ścianie Katedry pozostał wolny obszar, który pokrywał się z dwoma przedwojennymi kwartałami ulic. Niezabudowana została także pozostałość ratusza.

Przemiany polityczne i gospodarcze zachodzące po 1989 roku spowodowały, że wiele samorządów zaczęło interesować się problematyką rewitalizacji. Podobnie było także w Kwidzynie. Temat odbudowy starego miasta pojawił się na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku, kiedy to miasto zawierało umowę partnerską z niemieckim miastem Celle. Celle jest miastem, w którym osiedliło się wielu byłych mieszkańców przedwojennego Marienwerder. Liczne rozmowy, bogate zbiory ikonograficzne w Archiwum Miejskim w Celle spowodowały, że samorząd rozpoczął rozważać możliwości podjęcia tego tematu w Kwidzynie.

Terenem, który wzięto pod rozwagę były wspomniane wcześniej, niezabudowane blokowiskiem kwartały północny i zachodni. Bez względu na warunki ewentualnej odbudowy władze miasta w pierwszej kolejności postanowiły sfinansować badania archeologiczne na tym terenie. Taki był wymóg prawny. Obszar starego miasta wpisany został do rejestru zabytków, co oznacza, że przed planowaną zabudową teren musi być przebadany archeologicznie.

Prace archeologiczne na terenie Starego Miasta w Kwidzynie rozpoczęto wczesną jesienią 1994 roku od wykonania wykopów sondażowych w obrębie kwartałów zachodniego i północnego oraz dawnej ulicy Kaffestrasse. Na tej podstawie przygotowano ogólny program badań archeologiczno architektonicznych, którym objęto niezabudowany teren dawnego rynku i dwóch,

wcześniej wymienionych kwartałów przyrynkowych. Program ten realizowany był w kilku etapach. Całość badań oraz opracowanie ich wyników prowadził dr Antoni J. Pawłowski. Prace związane z archeologią zakończone zostały ostatecznie w 2001 roku.

W styczniu 1996 roku Urząd Miejski w Kwidzynie przygotował konkurs urbanistyczno – architektoniczny, dotyczący odbudowy i zagospodarowania kwidzyńskiej Starówki. Organizatorem konkursu stało się Stowarzyszenie Architektów Polskich. Wcześniej, przez wojewódzkiego konserwatora zabytków – Marię Lubocką-Hoffman, zostały przygotowane wytyczne konserwatorskie. W swoim opracowaniu M. Lubocka-Hoffman mocno skrytykowała zabudowę mieszkalno-usługową terenu staromiejskiego, rozpoczętą w 1968 roku. Autorka zarzuciła, że zabudowa ta zupełnie nie pokrywała się z uwarunkowaniami historycznymi i konserwatorskimi miasta oraz, że przeprowadzono ją bez rozpoznania archeologicznego, nie zwracając uwagi na przebieg dotychczasowych ulic. Powstały w ten sposób „koszmarne bloki i bunkier teatru”. Zdaniem wojewódzkiego konserwatora zabytków funkcję reprezentacyjno administracyjną powinien pełnić odbudowany ratusz. Zdziwienie zainteresowanych wzbudził fakt, że M. Lubocka-Hoffman uznała, że ratusz powinien zostać zaprojektowany we współczesnych formach architektonicznych z utrzymaniem jedynie pierwotnych gabarytów oraz wysokości wieży.

16 lutego 1996 roku doszło do pierwszego spotkania sądu konkursowego, na którym ustalono termin składania prac konkursowych na dzień 31 maja 1996 roku, a ogłoszenie wyników na 16 czerwca 1996 roku. W lipcu zorganizowano publiczną debatę, połączoną z prezentacją poszczególnych prac. Komisja konkursowa uznała, iż najlepszy projekt został przygotowany przez zespół w składzie: dr arch. Bazyli Domsta, dr arch. Andrzej Rozeński oraz architekci Renata Łowicz i Beata Kasińska. Przyznano także jedno wyróżnienie dla zespołu, którym kierował Jacek Synakiewicz.

Projekty konkursowe zakładały jedynie odbudowę dwóch kwartałów kamienic. Wytyczne konserwatorskie natomiast, przygotowane były także do koncepcji odbudowy ratusza. Zorganizowany został więc jeszcze jeden konkurs – tym razem chodziło o samą wizję wyglądu neogotyckiej budowli w „nowoczesnym wykonaniu”. Do konkursu zaproszono studentów Katedry Architektury Użyteczności Publicznej Politechniki Gdańskiej. Zadaniem było zaproponowanie wyglądu nowej reprezentacyjnej budowli pełniącej funkcje publiczne w mieście. Projektując przyszły ratusz należało nawiązać do sąsiedztwa gotyckiej katedry. W lipcu 1997 roku otwarto wystawę prac w Urzędzie Miejskim. Tablice oraz makiety zaprezentowali młodzi architekci: Bartosz Borkowski, Elżbieta Chabros, Edyta Damszel, Anna Gać, Michał Jagła, Paweł Krajka, Łukasz Król, Dariusz Lemka, Bartosz Lech, Krzysztof Mróz, Joanna Szafran, Monika Błasik, Robert Wiwatowski.

1997 rok przyniósł także uporządkowanie kwestii zasad, jakie miały obowiązywać przy odbudowie. Decyzji wymagała forma sprzedaży działek na starówce w momencie podjęcia realizacji projektu. Problem stwarzało także znalezienie inwestora, wiadomo było, iż nie będzie finansowania z kasy państwowej. Do prac nad realizacją programu rekompozycji powołano komisję, działającą przy Radzie Miejskiej. W jej skład weszli: burmistrz Jerzy Godzik, radny Tomasz Jóźwiak, radna Barbara Wilk-Malinowska oraz architekt miejski Mirosław Góralski. W pierwszym etapie zakładano próbę pozyskania firmy deweloperskiej, jako łatwiejszej i szybszej formy realizacji. Wskazano także potrzebę stworzenia planu zagospodarowania przestrzennego, który pozwoliłby na większą kontrolę zabudowy starego miasta. Komisja uznała poza tym, że zostanie rozpisany konkurs na kompozycję ratusza, a także zobowiązała burmistrza do rozmów ze Spółdzielnią Mieszkaniową „Pomezania” w celu przystosowania okolicznych budynków osiedlowych do stylu architektonicznego, który będzie obowiązywał na starym mieście. W tym samym czasie ukazało się drukiem wydawnictwo promujące ideę odbudowy dwóch kwartałów przyrynkowych Kwidzyna.

W czerwcu 1997 roku kwidzyńscy radni jednogłośnie przyjęli dokument o nazwie „Rekompozycja przestrzenna Starego Miasta”. Głównym celem tego programu stało się usystematyzowanie działań, służących prowadzeniu racjonalnej polityki inwestycyjnej na obszarze starówki. Ówczesny burmistrz Kwidzyna Jerzy Godzik poinformował, że miasto zakłada sprzedaż działek na terenie starego miasta na własność, w drodze przetargu, ale z koniecznością ustalenia kar umownych za przekroczenie terminów rozpoczęcia i zakończenia budowy na poziomie gwarantującym terminową realizację inwestycji. Planowano, że rozpoczęcie robót mogłoby nastąpić już w 1999 roku. W ramach programu zakładano także przygotowanie dokumentacji projektowej ratusza, jako reprezentacyjnej siedziby władz samorządowych. W lipcu 1998 roku władze miasta zaproponowały nowe rozwiązanie. Odbudowę miało zająć się Towarzystwo Budownictwa Społecznego – Zakład Gospodarki Mieszkaniowej. Rada Miejska wyraziła zgodę na podniesienie kapitału zakładowego TBS-ZGM o wartość gruntu o powierzchni 4046m², położonego przy ul. Braterstwa Narodów. Koncepcja zakładała ogłoszenie przetargu ofertowego, który miał wyłonić listę osób zainteresowanych inwestycją na starówce. Miesiąc wcześniej radni przegłosowali także uchwałę w sprawie miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego obszaru Kwidzyn-Stare Miasto, który praktycznie otwierał już drogę do realizacji inwestycji. Jedyną przeszkodą była jeszcze potrzeba formalnego rozdzielenia spółek TBS i ZGM. Wiosną 1999 roku samodzielna już spółka TBS przygotowała regulamin sprzedaży działek pod budowę kamienic. Głównym punktem tego regulaminu było założenie, że zakupiony przez indywidualnych inwestorów grunt miałby formalnie przejść na własność dopiero po zakończeniu

budowy. Kamienice mogły powstawać według różnych projektów, uwzględniających jednakże koncepcję rekompozycji, przyjętej przez Radę w 1997 roku. Do końca roku TBS miał przygotować i rozstrzygnąć różne procedury przetargowe, m.in. dokumentację infrastruktury technicznej.

W tym samym czasie „pojawił się” jeden zainteresowany inwestor. Była to parafia rzymsko katolicka pod wezwaniem św. Jana

Ewangelisty w Kwidzynie. Proboszcz parafii, zarazem prepozyt konkatedry kwidzyńskiej ksiądz prałat Wojciech Kruk wystąpił z prośbą o nieodpłatne przekazanie działki pod kamienicę nr 1, w zamian za zrzeczenie się roszczeń do nieruchomości, położonych po drugiej stronie katedry, a na których znajdował się ośrodek kultury i teatr. Tereny te bezpośrednio po II wojnie światowej były własnością parafii, w 1962 roku skonfiskowane zostały przez Skarb Państwa. Rada Miejska i zarząd miasta jednogłośnie opowiedzieli się za przyjęciem tego wniosku.

Na przełomie roku 1999/2000 lokalne media doniosły o rozpoczęciu procedury przetargowej na sprzedaż pozostałych gruntów przeznaczonych pod zabudowę. Ogłoszono przystąpienie do realizacji budowy w kwartale B. Spodziewano się dużego zainteresowania tą inwestycją. Regulamin ogłoszony przez TBS zawierał jednak wiele elementów odstrasżających zainteresowanych, jak np. wpłata połowy wartości kamienicy przed rozpoczęciem budowy, czy narzucenie wykonawcy przez TBS. Na efekt nie trzeba było długo czekać. Nikt nie był zainteresowany taką formą zakupu, mimo, iż spółka ogłaszała przetarg dwukrotnie.

W 2001 roku rozpoczęła się pierwsza budowa. Była to kamienica, pod którą grunt otrzymała parafia katedralna. Władze miasta liczyły, że rozpoczęcie pierwszej inwestycji przyciągnie kolejnych chętnych. Na działce nr 1 miało powstać Centrum Ekumeniczno- Kulturalne. Prałat Wojciech Kruk – inicjator przedsięwzięcia – planował wzniesić ośrodek, w którym poza centrum konferencyjnym miały znaleźć się biblioteka, archiwum katedralne oraz muzeum. 24 czerwca 2001 roku, w dniu odpustu błogosławionej Doroty z Mątów, wmurowany został akt erekcyjny i kamień węgielny pod budowę pierwszej kamieniczki. Do końca roku budynek miał być postawiony w stanie surowym, natomiast zakończenie inwestycji planowano już na 2002 rok. Kwidzyniaczy oczekiwali, że ksiądz prałat Wojciech Kruk wykaże się olbrzymią operatywnością i budynek powstanie w zaplanowanym czasie. Niestety,



Kamienice przy Katedrze, 2010 rok.
(Fot. Aleksander Łubiński)

tak się nie stało. Budowa z braku funduszy stanęła. Dodatkowo załamał się rynek budownictwa mieszkaniowego, co upewniało wszystkich coraz bardziej, iż kolejne budowy nie rozpoczną się prędko.

Sytuacja stała się patowa. Przy południowej ścianie katedry straszyl rozkopany plac i kikut niedokończonej kamienicy. Sytuacja zrobiła się nerwowa, ale władze nic nie mogły zrobić. Ta wątpliwa wizytówka miasta stała się tematem drwin, interpelacji radnych na posiedzeniach Rady Miejskiej, mieszkańcy zaś oczekiwali od władz jakiegoś rozwiązania. Uwarunkowania rekonstrukcji starego miasta stawały się coraz bardziej zawile. Do tego po długiej i ciężkiej chorobie w styczniu 2005 roku zmarł prałat Wojciech Kruk. Parafii pod wezwaniem św. Jana Ewangelisty nie stać było na kontynuację inwestycji.

Zarząd miasta wciąż rozważał różne możliwości. W styczniu 2005 roku Rada Miejska uchwaliła dokument o nazwie „Program rewitalizacji miasta Kwidzyna”, którego zadaniem było kompleksowe przywrócenie określonym budynkom lub dzielnicom miasta właściwych mu cech i walorów kompozycyjnych, które w okresie nienależytego użytkowania zostały zdegradowane. W zakresie starego miasta, w dokumencie można przeczytać, iż „obecnie działania wchodzą w fazę techniczną, mającą na celu odtworzenie historycznego centrum miasta - nadanie właściwej rangi funkcjonalnej oraz tzw. klimatu staromiejskiego temu rejonowi miasta. Miejsce to może stać się atrakcją nie tylko turystyczną, ale także rejonem aktywnym gospodarczo oraz miłym zakątkiem dla mieszkańców”. Program był zdeterminowany na takie cele jak przywrócenie historycznego wyglądu okolic Katedry, przywrócenie charakteru centrum miasta, ożywienie gospodarcze i społeczne terenu.

Plany rewitalizacji starego miasta objęły nie tylko obszar w bezpośrednim sąsiedztwie Katedry, ale także osiedle, wybudowane na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku. Istniał problem „dopasowania” nowych planowanych budynków nie tylko do gotyckiego zabytku, ale także do już istniejącej zabudowy osiedlowej. W tym celu, w ramach współpracy Kwidzyna z Wydziałem Architektury Politechniki Gdańskiej oraz przy udziale firmy VELUX-POLSKA, zorganizowany został konkurs otwarty dla studentów architektury w roku akademickim 2006/2007. Celem konkursu było opracowanie projektu rewitalizacji wybranego przez studentów zespołu mieszkaniowego, będącego w zasobach Spółdzielni Mieszkaniowej POMEZANIA. W konkursie udział wzięło 20 zespołów projektowych. Jury konkursowe postanowiło nagrodzić trzy zespoły oraz przyznać pięć wyróżnień. I miejsce zajęła praca Jarosława Banasia i Jacka Pobłockiego. Pokłosie konkursu można było obejrzeć w Urzędzie Miejskim, w formie wystawy, w lipcu 2007 roku. Projekty te jednak pozostały jak na razie w fazie nowoczesnej myśli architektonicznej.

Po sześciu latach zmieniła się wreszcie sytuacja przy katedrze. W 2007 roku samorządowcom udało się znaleźć inwestora. Była to firma Pro-invest Sp. z o.o., która podjęła budowę jako deweloper. Aby uniknąć doświadczeń z przeszłości władze miasta zdecydowały, że nie będzie budowania kamienic na poszczególnych działkach. Starówka miała być odtwarzana całymi kwartałami. Przygotowano także nowy projekt wykonawczy. Jak dotychczas, zakładano, że parter kamienic będzie wykorzystywany do działalności usługowej. Swoją siedzibę znaleźć miały między innymi banki i sklepy. Poszczególne fasady miały różnić się kolorystyką. Nowym pomysłem było wykorzystanie piwnic, w których zaplanowano budowę podziemnego garażu. Bardzo ważną kwestią stało się odkupienie przez inwestora niedokończonej kamienicy na działce nr 1 od poprzedniego właściciela. Kamienica należała do parafii św. Jana Ewangelisty, a miało się w niej mieścić Centrum Ekumeniczno-Kulturalne. Parafia zdecydowała się na zbycie tej nieruchomości, która niewykończona, w stanie surowym, niszczała na placu budowy.

Zgodnie z podpisaną umową, firma miała zakończyć budowę w ciągu dwóch lat. Dopiero wtedy deweloper miał stać się właścicielem gruntów. Po wielu staraniach i nieudanych próbach w 2008 roku rozpoczęła się odbudowa kwidzyńskiej starówki. Aby zaoszczędzić koszty, wznoszony kwartał zaczęto budować jako jedną bryłę, bez odwzorowania przedwojennego sposobu dzielenia na oddzielne budynki. I tym razem nie obeszło się bez przeszkód. Najpoważniejszym problemem okazała się niestabilność gruntu w tym rejonie miasta. Spowodowało to zwiększenie kosztów inwestycji, ale gdańska firma, która zajęła się odbudową, nie zrezygnowała. Mimo trudności budowlancy rozpoczęli wylewanie fundamentów i budowę piwnic. Po kilku miesiącach gdański deweloper nie udźwignął jednak ciężaru finansowego inwestycji. Firma, która po latach bezowocnych starań dała miastu nadzieję, że starówka w końcu zostanie odbudowana, zrezygnowała w lipcu 2009 roku.

Władze Kwidzyna zdecydowały się przekazać inwestycję Towarzystwu Budownictwa Społecznego. Jednak tym razem miały to być mieszkania nie na zasadach budownictwa społecznego lecz komercyjnych. TBS miał zaciągnąć kredyt na dokończenie budowy. Kilka kolejnych miesięcy zajęła wycena prac wykonanych przez poprzedniego inwestora i uregulowanie spraw własnościowych dotyczących sąsiedniej nieruchomości. Wykonawcę wyłoniono na przełomie roku 2009/2010. Było to Przedsiębiorstwo Wielobranżowe „Przembud” z Grudziądza.

Budowa nareszcie ruszyła. Po wielu perturbacjach, zmianach inwestora, przerwach w budowie. Kamienice miały być gotowe pod koniec 2010 roku. Od powstania pierwszego projektu rekompozycji przestrzennej Starego Miasta, do zakończenia budowy pierwszego kwartału kamienic minęło 13 lat. Ostatecznie powstał obiekt o funkcji usługowo-mieszkaniowej



Wizualizacja rekompozycji przestrzennej
starego miasta w Kwidzynie.

o 4 kondygnacjach nadziemnych. Parter został zajęty wyłącznie na cele usługowo handlowe. Łącznie w kwartale powstało 12 lokali użytkowych o powierzchni od 20 do 175 m² oraz 48 lokali mieszkalnych, o powierzchni od 25 do 80 m². W początkach 2011 roku TBS przystąpiła do sprzedaży oraz przekazania lokali nowym właścicielom.

Bez przemian w Polsce w 1989 roku próba rekompozycji, podjęta przez władze miejskie pewnie nie byłaby możliwa. Można dyskutować wiele nad potrzebą jej realizacji, nad stylem architektonicznym. Architektura polska mimo tych przemian, nosi piętno prowincjonalizmu. Czy kwidzyńska starówka będzie przykładem tzw. dobrej architektury, pokaże upływający czas.

Źródła

Archiwum Państwowe w Elblągu z siedzibą w Malborku, Zarząd Miejski w Kwidzynie 1945 - 1950, numer zespołu 90.

Archiwum Państwowe w Elblągu z siedzibą w Malborku, Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Kwidzynie 1950 - 1973, numer zespołu 494.

Archiwum Państwowe w Gdańsku, Oddział w Gdyni, KP PZPR w Kwidzynie 1948 - 75.

Program rewitalizacji miasta Kwidzyna, załącznik do Uchwały Rady Miejskiej w Kwidzynie Nr XXVIII/232/05 z dnia 25.01.05 r.

Opracowania

Kwidzyn. Dzieje miasta, T.2, pod red. J. Liguz i K. Mikulskiego, Kwidzyn 2004.

Kwidzyn. Z dziejów miasta i okolic, pod red. A. Wakara, Olsztyn 1982.

Pawłowski A. J., Stare Miasto w Kwidzynie w świetle badań archeologiczno - architektonicznych w latach 1994-2001, Kwidzyn 2002.

Prasa: Schody Kawowe, Kurier Kwidzyński.

Aleksandra Kapejewska

Budowanie tożsamości lokalnej. Rewitalizacja Malborka



Stare Miasto w Malborku przed wojną. (Fot. ze zbiorów B. Jesionowskiego)

Cele, jakie stawiają przed sobą polskie samorządy, podejmując wysiłek rewitalizacyjny dotyczą zazwyczaj podobnych zagadnień. To przede wszystkim kwestie urbanistyczno - architektoniczne, związane z remontem, modernizacją i rewitalizacją zespołów architektonicznych, techniczne, polegające na poprawie infrastruktury technicznej i drogowej, społeczne, mające na celu przeciwdziałanie patologiom, poprawę stanu bezpieczeństwa i integrację mieszkańców, ekonomiczne, skupiające się na ożywieniu gospodarczym, i w końcu środowiskowe, gdzie istotą jest polepszenie stanu środowiska naturalnego. Oczywiście wszystkie te cele są ze sobą ściśle powiązane, a ich spójna realizacja stanowi istotę zrównoważonego rozwoju, jednakże specyfika danego samorządu, przyjęty strategiczny kierunek rozwoju gminy, powoduje, że ciężar działań rewitalizacyjnych skupia się zazwyczaj na określonym z góry obszarze, w sposób szczególnie istotnym dla jej funkcjonowania.



Przebudowane centrum miasta z fontanną.
(Fot. M. Marszałkowska)

niezwykle ważną dla rozwoju miasta. To, co wydaje się być jednak sprawą prostą, w rzeczywistości wcale nią nie jest. Paradoksalnie, Malbork z zamkiem odwiedzanym przez pół miliona turystów rocznie, przez dziesięciolecia cierpiał na...brak turystów w mieście. Powodem takiego stanu rzeczy był brak zaplecza turystycznego w samym mieście, brak alternatywy spędzania wolnego czasu, poza zwiedzaniem Muzeum Zamkowego. Piękne zabudowania malborskiej Starówki, stanowiącej przed wojną centrum życia miasta i jego mieszkańców, zniszczone w czasie drugiej wojny światowej nigdy nie zostały odbudowane. Powstałe w tym miejscu standardowe bloki mieszkalne w żaden sposób nie mogły zrekompensować tej straty, nie mówiąc już o znikomej wartości architektoniczno – estetycznej PRL – owakiej zabudowy. W efekcie, miasto utraciło swoje „serce”, miejsce przyciągające architekturą, atrakcjami i klimatem, zachęcające do tego, by spędzić tu choć kilka godzin więcej, niż potrzeba na zwiedzenie malborskiej warowni. Fakt ten nie zachęcał jednocześnie prywatnych przedsiębiorców do lokowania na terenie miasta inwestycji o charakterze turystycznym, rekreacyjnym i ponadlokalnym. Coś, co powinno stanowić podstawę utrzymania dużej części mieszkańców miasta takiego jak Malbork, czyli przychody związane z ruchem turystycznym, stanowiło de facto niewielki procent działalności gospodarczej malborchyków.

W ostatnich latach Malbork przeszedł jednak niezwyklej przemianę. Skupienie władz Malborka na rozwoju miasta znajduje swój wyraz w szeregu przedsięwzięć rewitalizacyjnych i inwestycyjnych, podejmowanych w celu poprawy infrastruktury drogowej i turystycznej, a tym samym spowodowania, by Malbork stał się miejscem bardziej atrakcyjnym zarówno dla odwiedzających, jak i dla mieszkańców. W mieście trwają intensywne prace związane z remontem dróg i ulepszeniem możliwości komunikacyjnych w jego granicach, a przede wszystkim poprawą zaplecza turystycznego poprzez gruntowną przebudowę kluczowych turystycznie miejsc i tworzenie możliwości aktywnego spędzania wolnego czasu. Przemiany, jakie trwają obecnie w Malborku, stanowią przełom w powojennej historii miasta. Efekty tych działań są widoczne zarówno

Malbork to miasto o niezwykle bogatej historii, posiadające wyjątkowy na skalę światową walor, jakim jest monumentalny średniowieczny zespół zamkowy, przyciągający co roku setki tysięcy turystów. Lokalizacja tak cennego zabytku w naszym mieście w sposób naturalny determinuje obszar stanowiący jedną z podstaw jego rozwoju. Zagospodarowanie potencjału, jaki stanowią rzesze turystów odwiedzających Malbork jest kwestią

dla mieszkańców, jak i osób odwiedzających miasto, szczególnie tych, którzy mieli okazję widzieć Malbork wcześniej. Gruntownie przebudowane centrum miasta z deptakiem i centralnie położonym placem, rozbudowująca się infrastruktura sportowa i rekreacyjna oraz szereg inwestycji drogowych w całym mieście - wszystko to powoduje, że Malbork staje się miejsce, przyciągającym coraz częściej również mieszkańców okolicznych miast i gmin.

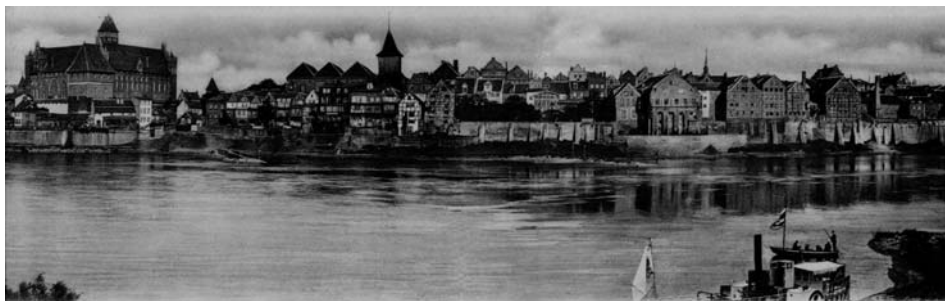


Wizualizacja projektowanej odbudowy Szkoły Łacińskiej w pasie średniowiecznych murów obronnych.
(Fot. Urząd Miasta Malbork)

Co szczególnie cieszy, zapoczątkowane przez samorząd zmiany mają coraz większy wpływ na miejscowych prywatnych inwestorów, którzy zgłaszają się z nowymi inicjatywami i pomysłami na tworzenie w mieście kolejnych atrakcji. W ten sposób w przebudowanym centrum miasta powstał szereg punktów gastronomicznych, które w sezonie turystycznym zachęcają odwiedzających miasto kolorowymi letnimi ogródkami. Prywatną inicjatywą było też stworzenie cieszącego się dziś ogromną popularnością parku linowego, z jedną z najdłuższych tras w Polsce, kolejki turystycznej oferującej wycieczki na terenie miasta, czy budowanego właśnie parku dinozaurów. Zachęcane przez malborski samorząd wspólnoty mieszkaniowe przeprowadziły remonty elewacji zarządzanych przez siebie budynków, nie tylko w centrum miasta, ale praktycznie we wszystkich jego częściach.

Plany na przyszłość są nie mniej ambitne. Sukcesy w pozyskiwaniu środków pozabudżetowych i wiążąca się z tym realizacja projektów infrastrukturalnych powodują, że bez wahania można powiedzieć, że Malbork stanie się w kolejnych latach prawdziwą perłą Pomorza. Jeszcze w tym roku rozpoczynają się dwie inwestycje związane z realizacją projektów dofinansowanych ze środków pozabudżetowych. To odbudowa malborskiej Szkoły Łacińskiej, gdzie powstanie wyjątkowe na skalę regionu nowoczesne centrum edukacji i kultury. To także budowa nowej przystani jachtowej w pobliżu miejscowego Ośrodka Sportu i Rekreacji, w ramach ogólnopolskiego projektu rewitalizacji szlaków wodnych pod nazwą „Pętla Żuław”.

Trwa również kontynuacja partnerskiego projektu, w ramach którego, miasto stworzyło w sąsiedztwie zamku profesjonalne zaplecze do organizacji imprez, w tym widowień plenerową, która ubiegłorocznego sukcesem „zadebiutowała” podczas ubiegłorocznego „Oblężenia Malborka”. W kolejnym etapie realizacji projektu, Muzeum Zamkowe w Malborku prowadzić będzie odbudowę niektórych zabytkowych obiektów po wschodniej stronie kompleksu zamkowego.



Panorama Malborka znad Nogatu przed wojną. (Fot. ze zbiorów B. Jesionowskiego)



Wizualizacja Starego Miasta z odtworzoną zabudową kamienic, panorama od strony Nogatu. (Fot. Urząd Miasta Malbork)

W ostatnich latach miasto zrealizowało także projekt związany z gruntowną przebudową otoczenia malborskiego dworca PKP. W ten sposób samorząd stworzył naturalny ciąg komunikacyjny, od dworca kolejowego, poprzez przebudowane centrum miasta, do zamku i dalej w stronę bulwaru nad Nogatem. Modernizacja tego ostatniego jest obecnie jednym z głównych zamierzeń malborskiego samorządu, który planuje pozyskać na ten cel środki pozabudżetowe. Planowane częściowe odtworzenie dawnej zabudowy Starego Miasta, poprzez budowę stylizowanych kamienic w pasie murów obronnych, dopełni nowy wizerunek tej części miasta. Miasto zbyło już w przetargach połowę z 16 działek wyznaczonych pod budowę stylizowanych kamienic, pierwsi inwestorzy „przymierzają się” do prac inwestycyjnych.

Centrum miasta to nie jedyny obszar, w którym prowadzone są działania rewitalizacyjne, gdyż inwestycje w poprawę infrastruktury komunikacyjnej i architektury miejskiej, zarówno samorządowe, jak i te realizowane choćby przez osoby prywatne, wspólnoty mieszkaniowe, przeprowadzone są praktycznie we wszystkich częściach miasta. Z punktu widzenia samorządu, rewitalizacja jest tylko narzędziem do osiągnięcia najważniejszego celu jakim jest budowanie tożsamości lokalnej. Już dziś widać, że mieszkańcy Malborka coraz bardziej identyfikują się ze swoim miastem, chcą właśnie tutaj działać, realizować swoje pasje, ważne inicjatywy społeczne, kulturalne czy podejmować działalność gospodarczą.

Leszek Tabor

Operacja na słabnącym sercu miasta



Pocztówka z widokiem Starego Miasta w Sztumie przed wojną.

Rewitalizacja Sztumu

Problem rewitalizacji Sztumu, szczególnie zaś jego centrum, powstał już w ostatnich miesiącach II wojny światowej. 25 - 27 stycznia 1945 roku Ziemię Sztumską zajęły oddziały Armii Czerwonej. Do Sztumu wkroczyły bez walki. Miasto nie było bowiem wcale bronione, a większość ludności uciekła, podporządkowując się zarządzeniu lokalnej administracji o przymusowej ewakuacji. Wkrótce Sztum podzielił los wielu niemieckich miasteczek w Prusach Wschodnich. Centrum zostało w dużej części spalone przez Armię Czerwoną. Skutki tego wojennego barbarzyństwa są widoczne do dziś.

Na starych, przedwojennych fotografiach widać, że - mimo oddalenia od ważniejszych ośrodków administracyjnych i gospodarczych - architektura, ład urbanistyczny miasta nie miały w sobie znamion prowincjonalizmu. Na przełomie XIX i XX wieku jego rozwój przybrał na sile. Wiele zniszczonych w 1945 roku budynków (straty te oszacowano na 30 proc., czyli prawie co trzeci dom nie nadawał się do zamieszkania) było stosunkowo nowych, a w każdym razie niedawno przebudowanych.



Ruiny Starego Miasta w Sztumie w 1945 roku.

Czasy Polski Ludowej

Po zakończeniu wojny przystąpiono do usuwania zniszczeń. Celem tych prac nie była odbudowa dawnej substancji miejskiej. To, co stało się ruiną, zostało rozebrane. Taki sposób działania był typowy nie tylko dla Sztumu, ale większości poniemieckich miast i miasteczek. Zaważyło o tym kilka względów. Cegły pochodzące m.in. ze sztumskich rozbiórek trafiły na place budowy Gdańska i Warszawy, bo szybkie przywrócenie do normalnego życia tych właśnie miast miało prestiżowe znaczenie dla władzy ludowej. Rozmawiając niedawno z prezydentem Gdańska Pawłem Adamowiczem, żartowałem, że w ramach powojennych odszkodowań jedna z kamienic na Długim Targu powinna stać się własnością gminy Sztum, jako wyraz zadośćuczynienia za tamte straty.

Względy ideologiczne zadecydowały, że na tzw. Ziemiach Odzyskanych należało wyraźnie zaakcentować nową przynależność państwową. Dlatego też i w Sztumie w miejscu zniszczonej przez Armię Czerwoną substancji starego miasta wyrosła nowa, pod względem architektonicznym nie mająca nic wspólnego z przedwojenną. Zniszczone pierzeje starówki zabudowano w latach 60. ub. wieku bezbarwnym architektonicznie, szarym blokowskim. Nieliczne ocalałe kamieniczki dawnego Rynku do dzisiaj są swoistym wyrzutem sumienia po gwałcie, jaki został w tym miejscu dokonany.

Z dzisiejszej perspektywy łatwo zanegować tamte dokonania. Warto jednak dokonując ocen, uświadomić sobie kilka faktów. Po II wojnie na ziemi sztumskiej została nieliczna, miejscowa ludność, przybyło zaś wielu osadników z wielu stron, o różnym poziomie wykształcenia, kwalifikacji i umiejętności. Kwiat inteligencji polskiej zginął podczas wojny. Od nowych mieszkańców trudno było oczekiwać, aby starali się odbudować to, co uchodziło za niemieckie. Trauma powojenna była jeszcze świeża i głęboka. Jednak oni to właśnie na miarę swoich możliwości podjęli trud odbudowy zniszczonego miasta. Trzeba podkreślić, że po wojnie nie było tak rozbudzonych wymagań i oczekiwań co dziś. Wówczas chodziło o to, by zapewnić ludziom podstawy egzystencji, w tym skromny dach nad głową. Nowa - w pełni tego słowa - była nie tylko zabudowa, ale też nawierzchnie ulic, placów i chodników. Wyrazem postępu i nowoczesności było użycie betonowych krawężników, płyt chodnikowych, a potem wylanie asfaltu na brukowych ulicach.

Tak „zrewitalizowane” stare miasto pełniło przez długi czas, mimo wielu ułomności, rolę prawdziwego serca Sztumu. Tu mieściło się centrum handlowo-usługowe i wiele różnych instytucji. Z racji wybudowania bloków na placu Wolności przybyło też tam mieszkańców. Kiedy sztumianie mówili, że „idą do miasta”, to przez długi czas mieli właściwie na myśli historyczne centrum Sztumu – ten właśnie plac i przyległe ulice.

Systematycznie rozwijał się organizm miejski poza wąski przesmyk między dwoma jeziorami, na którym założono w średniowieczu miasto. To spowodowało, że rozpoczęła się powolna degradacja historycznego centrum. Życie coraz bardziej przenosiło się do północnej części Sztumu, w której powstały nowe osiedla mieszkaniowe i sklepy, znalazły się też siedziby większości instytucji publicznych.

Ostatnim etapem upadku znaczenia historycznego centrum była postępująca degradacja znajdujące się tam substancji mieszkaniowej, ulic i placów. Po 1990 roku poprawiło się znacznie zaopatrzenie w sklepach i rozwój usług. Prawie wszystko, co najpotrzebniejsze było niemal pod ręką, w sklepikach na każdym osiedlu, albo ulicy. Niepotrzebne stały się, jak dawniej, wyprawy na plac Wolności... W ten sposób jego funkcja jako miejsca spotkań (także tych oficjalnych, które odeszły do lamusa), wymiany informacji, zacieśniania więzi, została zepchnięta na margines. Jeśli dyskutowano o centrum to tylko w kontekście stojącego tam pomnika wdzięczności Armii Czerwonej. Spór o to, czy powinien pozostać, czy też nie, rozpalał cyklicznie duże emocje.

Dostrzeżony problem

Życie sztumian przeniosło się w ostatnich latach - powtórzymy - poza jego historyczne centrum. Miasto jest żywym organizmem i tak się złożyło, że zaczął on normalnie funkcjonować bez swojego dawnego serca. Przyszedł jednak moment uświadomienia sobie tej sytuacji przez środowiska opinio-

twórcze i samorządowe. Przyczyniło się do tego wzrastające zainteresowanie mieszkańców historią miasta, małej Ojczyzny, dyskusje i publikacje historyków skupionych wokół Towarzystwa Miłośników Ziemi Sztumskiej, książki wydawane przez lokalnych pasjonatów.

Po rozwiązaniu podstawowych problemów, przed jakimi stanął sztumski samorząd po demokratycznych zmianach w 1990 roku, można było zająć się rewitalizacją Placu Wolności i sąsiadujących ulic, aby przywrócić im wartości historyczne, kulturowe, ekonomiczne i społeczne. Pomogły nam w tym doświadczenia ze współpracy z zaprzyjaźnionymi gminami europejskimi, a szczególnie niemiecką gminą Ritterhude. Wstąpienie Polski do Unii Europejskiej otworzyło przez samorządem nowe możliwości. Dzięki naszym zagranicznym partnerom pracownicy samorządowi brali udział w licznych spotkaniach i seminariach finansowanych przez Unię Europejską. W ten sposób korzystaliśmy z różnych doświadczeń dotyczących planowania rozwoju miast.

Ze względu na rozmiar rozpoczętych przygotowań i bardzo wysokie koszty inwestycji, jak na możliwości naszej niewielkiej i niebogatej gminy, za cel strategiczny obraliśmy sobie zdobycie na ten cel środków unijnych. Już same przygotowania dokumentacyjne zostały sfinansowane przez Unię Europejską w ramach programu „Interreg III B”. Dzięki zaprzyjaźnionej z nami gminie Ritterhude uczestniczyliśmy w projekcie „Rozwój handlu – sieć kompetencji w Regionie Morza Bałtyckiego - RENET”. Otrzymaliśmy środki na opracowanie programu rewitalizacji miasta Sztum, wykonanie planów miejscowych dla centrum oraz niezbędnej dokumentacji techniczno-budowlanej.

Wszystkie te prace, choć prowadzone na szeroką skalę, przy dużej mobilizacji i tempie, zajęły nam kilka lat. W gminie przeprowadziliśmy szerokie konsultacje społeczne, ponieważ jako samorząd nie chcieliśmy, aby projekt był prowadzony z pozycji „oświeconego absolutyzmu”, ale wyrastał z autentycznych potrzeb i oczekiwań mieszkańców.

Pomysł rewitalizacji centrum miasta i związany z nim projekt modernizacji 1,5- kilometrowego głównego ciągu spacerowego – bulwaru nad Jeziolem Sztumskim spotkał się z powszechnym i żywym poparciem mieszkańców. Aby zdobyć pieniądze na tak duże projekty inwestycyjne z Unii Europejskiej rewitalizację centrum połączyliśmy z podniesieniem atrakcyjności turystycznej Szlaku Zamków Gotyckich, który w strategii województwa pomorskiego jest wymieniany jako produkt turystyczny o europejskim znaczeniu.

W ten sposób powróciliśmy do naszych korzeni. Zamek sztumski stał się niegdyś letnią rezydencją wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego. Wtedy Sztum – zachowując wszelkie proporcje - zaczął pełnić rolę rekreacyjno-wypoczynkową i turystyczną, ponieważ przebywało tu wielu europejskich dostojników - gości wielkiego mistrza.



Wizualizacja Placu Wolności w Sztumie po rewitalizacji.
(Fot. archiwum Urzędu Miejskiego w Sztumie)

Program na dziś

Realizacja programu rewitalizacji, rozpisanego na konkretne przedsięwzięcia, wymaga czasu i dużych środków finansowych - zaangażowania kapitału publicznego (gminy, regionu, UE), jak i prywatnego. Obecnie prowadzone są inwestycje związane z modernizacją przestrzeni publicznych w centrum miasta i nad Jeziorem Sztumskim. Prace na bulwarze nad jeziorem, któremu Rada Miejska, w wyniku konkursu ogłoszonego wśród mieszkańców, nadała nazwę Bulwar Zamkowy, zakończą się wiosną 2011 roku. Natomiast odnowienie ulic, placów, chodników w centrum miasta w czerwcu 2012 roku. W ramach tego zadania zostanie zamknięty dla ruchu samochodowego plac Wolności, na którym stanie fontanna z maskotką Sztumu - żabą, powstaną także nowe parkingi.

Dzięki bardzo dobrej współpracy z parafią św. Anny zrewitalizowany będzie XIX-wieczny kościół poewangelicki, stojący w samym centrum miasta. Warto podkreślić, że postawiono go w miejscu dawnego ratusza staromiejskiego. W ten sposób nawiązuje się do pełnej historii tego miejsca, do wielokulturowej, wieloreligijnej i wielonarodowościowej przeszłości. Po wielu konsultacjach i dyskusjach zdemontowano kontrowersyjny Pomnik Wdzięczności, który swoją wielkością i niefunkcjonalnością przytłaczał historyczne centrum.

Rewitalizacja prowincji. Dyskusja redakcyjna

- Leszek Sarnowski – Redakcja „Prowincji” - O rewitalizacji jeszcze do niedawna mówiono i pisano przede wszystkim w kontekście wielkich miast i metropolii. Dziś to temat ważny także w mniejszych ośrodkach, choć do końca nie wiadomo czym jest rewitalizacja. Na pewno wiadomo, że to temat bardzo kosztowny i czasochłonny. Proszę powiedzieć czym Panowie się kierowaliście, jaka przyświecała Wam idea, podejmując temat rewitalizacji w waszych miastach?

- Andrzej Rychłowski – burmistrz Malborka - Współczesne rozumienie pojęcia rewitalizacji wymaga kompleksowego ujęcia wielu różnorodnych dziedzin, składających się na funkcjonowanie organizmu miejskiego. Są to zagadnienia związane z ekonomią, sprawami społecznymi, prawem, finansami, oraz planowaniem przestrzennym. Inicjatywy rewitalizacyjne znajdują przełożenie na poprawę warunków życia w miastach i jakości przestrzeni publicznej, a w szerszej perspektywie, na podniesienie konkurencyjności miast. Wprowadzaniu zmian, związanych z sanacją tkanki miejskiej, architektury i układu urbanistycznego, towarzyszyć musi zawsze zmiana społeczna w szerokim rozumieniu. Poza tym, wstąpienie Polski do Unii Europejskiej otworzyło przed samorządami nowe możliwości. Stworzenie strategicznego dokumentu, jakim jest Lokalny Program Rewitalizacyjny, było niezbędne dla podjęcia starań o pozyskanie dofinansowanie projektów miejskich z funduszy strukturalnych i mogę z satysfakcją stwierdzić, że mamy sukcesy w pozyskiwaniu takich środków. Program rewitalizacji w sposób kompleksowy definiuje obszary, które wymagają zabiegów przywracających im dawne znaczenie, zarówno w wymiarze architektonicznym, funkcjonalnym, jak i społecznym. W mieście od kilku lat realizowane są na tych obszarach przedsięwzięcia, które przywracają do życia zdegradowane lub zaniedbane tereny. Nowe przebudowane centrum miasta, porządkowanie kluczowych z punktu rozwoju turystyki miejsc, kompleksowa modernizacja infrastruktury sportowej i prace związane z ratowaniem lub odbudowywaniem zabytków to niektóre z tych działań. W efekcie przedsięwzięcia te mają doprowadzić nie tylko do zwiększenia atrakcyjności miasta, ale i do stworzenia lokalnych warunków do rozwoju przedsiębiorczości czy działalności edukacyjnej i kulturalnej.

- Andrzej Krzysztofiak - burmistrz Kwidzyna - Rewitalizacja oznacza działania prowadzące do ożywienia procesów społeczno-gospodarczych na obszarze, w którym procesy te zamarły na skutek przemian gospodarczych, społecznych i innych. Program Rewitalizacji zawiera charakterystykę obszarów zdegradowanych przeznaczonych do odnowy oraz zestawienie plano-

wanych projektów z podaniem tytułu, okresu realizacji oraz źródeł finansowania. Uchwalając program rewitalizacji dla miasta Kwidzyna kierowaliśmy się przede wszystkim poprawą jakości życia mieszkańców. Stworzenie takiego programu było bardzo istotne dla rozwoju naszego miasta i niezbędne do aplikowania o środki unijne przyznawane w ramach Funduszy Strukturalnych. Rewitalizacja tworzy szansę zwiększenia bezpieczeństwa społecznego, przełamania impasu gospodarczego. Daje warunki ekonomiczne dla potencjalnych inwestorów, przyciąga ludzi operatywnych i otwartych na nowe wyzwania. Pozwoli to na uatrakcyjnienie zaniedbanych terenów powojkowych w centralnej części miasta. Program jednocześnie poprawi strefy wypoczynku i rekreacji na terenach mieszkaniowych Kwidzyna, przyspieszy odbudowę Starego Miasta. Dużym problemem dla miasta jest brak przeprawy na rzece Wiśle, czy drogi obwodowej odciążającej śródmieście od ruchu północ-południe jednak i w tym kierunku zachodzą diametralne zmiany, które przyczynią się do poprawy jakości życia mieszkańców. Jak wiadomo, została rozpoczęta budowa mostu przez rzekę Wisłę.

- **Leszek Tabor** – burmistrz Sztumu - Przygotowania do rewitalizacji centrum miasta trwały kilka lat. Jedną z naszych inspiracji, a myślę, że warto o tym tu wspomnieć, było wzrastające zainteresowanie sztumian historią miasta, szczególnie tą przedwojenną. Publikacje, m.in. Towarzystwa Miłośników Ziemi Sztumskiej, wystawy zbiorów poświęconych przeszłości miasta, pokazywały, że coś zostało utracone. Oczywiście to „coś” każdy odczuwał i definiował po swojemu. Spoglądając na przedwojenne widokówki centrum Sztumu – Rynku, trudno odnaleźć coś dziś znajomego. Po prostu odkrywamy zaginiony ład... W tym kontekście samorząd i mieszkańcy uświadomili sobie, że życie naszego miasta przeniosło się poza historyczne centrum. Z różnych przyczyn, m.in. degradacji przestrzeni publicznych i zabudowy lekceważącej dawne funkcje. Skutkiem tego był spadek atrakcyjności tego miejsca – także dla różnych przejawów działalności gospodarczej. Istotną zachętą do refleksji i rewitalizacji (odnowy) gospodarczej i społecznej historycznego centrum była także europejska perspektywa na otrzymanie środków na tak kosztowny projekt. Dzięki rewitalizacji finansowanej na razie ze środków publicznych, chcemy stworzyć zachętę dla prywatnego kapitału, aby tam gdzie to możliwe odbudować przedwojenne kamieniczki. Centralny plac wraz z przyległymi uliczkami będzie zamknięty dla ruchu samochodowego, z odnowionym bulwarem nad Jeziorem Sztumskim będzie miejscem spacerów, wypoczynku naszych mieszkańców i gości. Rewitalizując centrum miasta, chcemy także podnieść atrakcyjność inwestycyjną naszego zamku, którą samorząd przeznaczył do sprzedaży i zagospodarowania na cele hotelowo-konferencyjne.

- **Jerzy Domino** – konserwator zabytków - Czym tak naprawdę ma być rewitalizacja, to jak na razie nikt precyzyjnie nie wyjaśnił, (aczkolwiek istnieje pokaźna literatura z rewitalizacją w tytule). Inaczej rozumiana jest rewitalizacja w przypadku silnie zniszczonych po 1945 roku miastach Polski Północnej i Zachodniej, a inaczej miast np. na Mazowszu. Panowie burmistrzowie przedstawiają istotnie bardzo ważne założenia i uwarunkowania „rewitalizacyjne” (mówię to w cudzysłowie w związku z uwagą, powyżej), ale zastanowić się trzeba, czym jest obecne miasto. Miasta (a większość założona została w średniowieczu) powstawały na bardzo solidnych podstawach, w zależności od szlaków handlowych, zabezpieczenia tychże, a także miejsca handlu, własnej produkcji rzemieślniczej, opłacalność wymiany, najefektywniejszego wykorzystanie miejsca, dostępu do wody, bezpieczeństwa od warunków przyrodniczych i najazdu wrogów. Istotnym czynnikiem była lokalna tradycja lub też importowane wzorce. Różnorodność tych relacji kształtowała miasta i determinowała ich rozwój. Cezura 1945 roku to nie tylko przejście dziesiątek zniszczonych i następnie dalej dewastowanych miast, ale wprowadzenie zmiany ustrojowej, która niszczyła wielowiekową podstawę funkcjonowania miasta – własność gruntów, tradycja własności, odpowiedzialność za własność z oczywistością ponoszenia wszystkich związanych z tym konsekwencji i ryzyka, rentowności lokalizacji itp. Zmienił się sposób życia, podporządkowany innemu już trybowi pracy (industrializacja wywarła tu wpływ jeszcze w okresie do 1945 r.). Nie wnikając z braku miejsca, w okres PRL – owski, w dniu dzisiejszym jesteśmy w sytuacji nieuregulowanych własności, kontrowersyjnej, a w wielu przypadkach zgoła przestępczej prywatyzacji, całkowitego nieprzygotowania współczesnego społeczeństwa (poza nielicznymi przypadkami) zarówno mentalnie jak i finansowo do nawiązania do podjęcia dawnej tradycji własności. Na to wszystko nakładają się różnorodne, często wzajemnie opozycyjne tendencje cywilizacyjne: – miasto, jako tylko miejsce pracy czy jako miejsce zamieszkania, (czyli pracy, życia „po pracy”, wypoczynku, spotkań, rozszerzonej przestrzeni domowej), relacje ludności pracującej do niepracującej, lokalizacja głównych miejsc zatrudnienia, praca najemna a własne przedsiębiorstwo, handel detaliczny a handel w marketach, ekonomia wykorzystania powierzchni, obostrzenia różnorodnymi przepisami, itd.

- **Leszek Sarnowski** - **Z tego co Pan mówi rewitalizacja właściwie ogranicza się do jednego, nowego stosunkowo aspektu – atrakcji turystycznej wybranego fragmentu miasta, najczęściej dawnego centrum.**

- **Jerzy Domino** – To prawda. Nie są mi bowiem znane spektakularne „rewitalizacje” blokowisk, zapewne i z tego powodu, iż nigdy one, poza trwającymi nadal lokalnymi subkulturami, (o charakterze często przestępczym), nie były niczym więcej, niż sypialniami. Wiele działań władz, a także

różnych stowarzyszeń czy też indywidualnych osób prowadzi (w najlepszej wierze) próby stworzenia retrowersyjnego, (co by to nie oznaczało) lub historycznego atelier w centrum, gdzie widać by było estetyczne kamienice, może jakiś autentyczny zabytek, jakiś realistyczny monument i gdzie rzesze turystów chciałyby w lokalach gastronomicznych, sklepach z pamiątkami, ekspozycjach zostawić pieniądze bilansujące nakłady poniesione na taką inwestycję najlepiej w krótszym niż dłuższym przedziale czasowym. Ten pośpiech widoczny jest zarówno w technologii – bloczki betonowe, często cementowy lub styropianowy detal, plastikowe okna, jak też topornych elementach dekoracyjnych.

- **Leszek Witkowski** – architekt - To pytanie oczywiście nie do mieszkanego w niedużym miasteczku architekta. Architekt właściwie materializuje nakreślone przed nim zadania i wyzwania. Ale pojawia się pytanie, czy każdy nakreślony przez zleceniodawcę cel ma szansę materializacji, a jeśli nawet tak to czy spełni pokładane w nim nadzieje? A także, czy może należy się odciąć od hasła „rewitalizacji” (choć zgadza się, że ciężko by było wówczas pozyskiwać fundusze unijne) i zdefiniować zadania inaczej. Na przykład, że podejmujemy się zadania poprawy wizerunku uwarunkowanych historycznie centrów miast. I to już będzie wielka sprawa. Ale można podjąć się też próby zainicjowania „nowych” centrów miast, w miejscu „starych”. Ale to już poważne zadanie dla całej grupy ludzi związanych z samorządami, kulturą, gospodarką itp.

- **Jerzy Domino** – Niezależnie od nazwy, inne korzyści dla „rewitalizacji” można by próbować dostrzegać w sferze ideologicznej. Architektoniczna „rewitalizacja” pozwala na wprowadzenie elementów stylistycznie bliższych aktualnie promowanych np. miast drewnianej, żydowskiej zabudowy miasteczek mazowieckich wprowadza się powidoki form klasycyzujących dworów, włosko – niemieckich osiedli socjalnych, czy „amerykańskich”, wzorów czerpanych z telewizji, w miastach naszego regionu ograniczania ewidentnie niemieckich form na rzecz elementów opartych na polskim neorenesansie, neobaroku czy neoklasycyzmie, oczywiście w dosyć zbarbaryzowanym wykonawstwie. Miałoby to zatrzeć pamięć o dawnych właścicielach. W innym z kolei wymiarze „rewitalizacja” pozwala na ukazanie aktualnej kondycji ekonomicznej miasta, reklamy poszczególnych inwestorów, kompetencji i skuteczności władz, wskazując przy tym ich wyższy poziom intelektualny, od miast, gdzie rewitalizacja jest mniej dynamiczna, bo chyba nie ma miasta, które by w swoich założeniach nie szermowało „rewitalizacją”.

- **Leszek Sarnowski** - Jeśli ideą rewitalizacji (w zamyśle architektów i urbanistów) jest odtworzenie rytmu i nastroju historycznych centrów, przy zaspokojeniu współczesnych potrzeb, to wydaje mi się, że są to działania dość karkołomne. Zmiany w miastach szczególnie

ziem odzyskanych (zniszczonych) poszły chyba za daleko, by myśleć o odtworzeniu dawnych funkcji Ssarówek? Czy jest to możliwe w naszych miastach, czy cel jest zgoła inny?

- **Andrzej Krzysztofiak** - Zniszczenia wojenne Starego Miasta w Kwidzynie oraz kontrowersyjna zabudowa z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych skłoniły samorządowe władze do podjęcia trudu rekompozycji przestrzennej zespołu staromiejskiego. Celem rekompozycji przestrzennej Starego Miasta w Kwidzynie było przede wszystkim odtworzenie roli historycznego centrum miasta oraz przywrócenie klimatu staromiejskiego. Realizacja zabudowy śródmiejskiej z przeznaczeniem na funkcje: użyteczności publicznej, handlowo-usługową, mieszkaniową, wzmocni powiązanie reszty miasta z dawnym centrum, a jednocześnie uatrakcyjni turystycznie nasze miasto. Trzeba tu podkreślić ważną rzecz, a mianowicie przez odbudowanie starego Centrum, zaczęliśmy także porządkowywanie sylwety miasta widzianej z doliny Wisły, a to bardzo ważne z historycznego i estetycznego punktu widzenia. Odtworzenie historycznego układu ulic i linii zabudowy przyczyniło się do znacznej poprawy wizerunku tej części miasta pod względem walorów architektonicznych i krajobrazowych.

- **Andrzej Rychłowski** - Rzeczywiście, wiele polskich miast boryka się z problemem przywrócenia oryginalnych funkcji terenom, gdzie jeszcze przed wojną znajdowały się tzw. starówki, naturalne centra, w których skupiało się codzienne życie mieszkańców. Jak pokazuje jednak przykład Elbląga czy choćby Głogowa, nie są to działania z góry skazane na niepowodzenie. Oczywiście do dyskusji urbanistów i architektów pozostawiam to, na ile w takich przypadkach nowe-stare miasta odzwierciedlają dawną zabudowę, faktem jednak pozostaje, że miejsca te mogą dziś przyciągać dużą liczbę osób chętnych, by spędzić tam swój wolny czas. Myślę, że w realizacji tego typu działań konieczne jest znalezienie równowagi między tym, co stare, a tym co nowe i umiejętne łączenie detali architektonicznych, by uzyskać dobry efekt. Sprawą otwartej dyskusji, którą trudno prowadzić na płaszczyźnie ogólnej, gdyż każde miejsce posiada innych charakter, jest także to, czy takie działania mają sens. Zawsze trzeba to rozpatrywać w odniesieniu do konkretnego miasta. W każdym z miejsc mogą występować różne przesłanki do realizacji takich działań – uzdrowienie układu komunikacyjnego, rozwój w obszarze turystyki itd. W innych nie będzie to w ogóle uzasadnione. Jeśli organizm miejski wykształcił nowe centrum spełniające dziś swoją funkcję, to należy się zastanowić, czy odtwarzanie historycznych centrów jest uzasadnione. W Malborku nie chodzi przecież o to, by po wysiłku samorządu, włożonym w stworzenie nowego centrum, prowadzić działania w celu stworzenia „drugiego centrum”. Działania na obszarze, gdzie niegdyś funkcjonowała malborska starówka należy rozumieć inaczej – jest to uzupełnienie krajobrazu miejskiego, odtworzenie sylwety na skarpie nad Noga-

tem, a nie przedsięwzięcie rewitalizacyjne. Malbork lokowany był na prawie chełmińskim, rynek Starego Miasta posiadał charakterystyczny „ulicowy” układ, który do dziś można odczytać na obszarze obecnej zabudowy. Jednak latach 60-tych w Malborku zdecydowano o budowie bloków mieszkalnych w miejscu dawnych zabudowań Starego Miasta, zniszczonych w czasie II wojny światowej i plan ten skrzętnie zrealizowano. Panoramę miasta stanowi więc dzisiaj widok monumentalnego zamku i średniowiecznych murów obronnych, któremu towarzyszy obraz blokowiska położonego w sąsiedztwie zamku. Podjęliśmy jednak działania w celu zmiany tego stanu rzeczy.

- **Leszek Tabor** - Rewitalizacja znaczenia historycznego centrum, uzgodniona z Pomorskim Konserwatorem Zabytków, w przypadku Sztumu nie ma charakteru dosłownego. Zniszczenia wojenne i sposób powojennej odbudowy, sprawy własnościowe, to uniemożliwiają. To, co może zrobić gmina, czyli np. renowacje placów, ulic, chodników, zerwanie asfaltu, betonowych chodników, etc. wykonamy dzięki unijnemu wsparciu. W planie miejscowym wskazano także miejsca, w których można postawić stylowe kamieniczki. Ale to już wymaga prywatnych inwestycji. Rewitalizacji zabudowy mieszkaniowej nie robi się od ręki, ponieważ barierą są ograniczone możliwości finansowe wspólnot mieszkaniowych, prywatnych właścicieli domów i spółdzielni mieszkaniowej. Pojawiają się też przeszkody innej natury. Z powodu sporu z jednym z właścicieli nie możemy uzyskać pozwolenia na budowę, aby odnowić część murów obronnych miasta, które są w opłakanym stanie. Najważniejsze jednak, że mamy określony cel i prowadzimy już konkretne inwestycje.

- **Leszek Witkowski** - Jeśli umówimy się, że posługujemy się pojęciem rewitalizacji, to tylko w celu, budowy nowej jakości, a nie tylko poprawy wizerunku, odtworzenia i ożywienia dawnych centrów, bo to nie zawsze będzie możliwe. Można by zadać sobie pytanie czy odrestaurowany pojazd zmieni oblicze ulicy? Pytanie, jakiej ulicy, znanego bulwaru czy małej wioski? Pociągające jest to, że takie działania prawie zawsze zaciekawiają, zaintrygują i może spowodują, że przejeżdżający tędy turysta zatrzyma się na chwilę, a mieszkańcy chętnie będą się tu spotykać. Zatem, warto poprawiać, odbudowywać wartości, ale moim zdaniem to za mało, żeby centrum „ożyło” lub poprawniej „powstało”. Ważne jest to, o czym mówił Pan Jerzy Domino, miasta powstawały na szlaku lub w jego pobliżu, tu nie było przypadków. Trudno dziś odtworzyć średniowieczną mapę komunikacji, to oczywiste, ale może udało by się wykreować nowe szlaki przechodzące przez docelowe centrum. Bo niezależnie od tego, czy nazwiemy to retrowersją, rewitalizacją czy rekonstrukcją będzie to nowa jakość, którą trzeba będzie ożywić. Być może właśnie to jest najpoważniejsze wyzwanie dla samorządów.

- Leszek Sarnowski - Skoro do tej pory, szczególnie po wojnie, bez jednoznacznego centrum miasta ludzie jakoś sobie radzili, to może odtworzenie takiego centrum w nowym wydaniu, bo rewitalizacja także to zakłada, nie jest potrzebne? Ludzie swoje centra w miastach już wychodzili i to nie tylko, choć niestety często, są to centra handlowe. Moim zdaniem, powraca pytanie, czym tak naprawdę jest rewitalizacja: czy to jest próba powrotu do dawnej świetności miasta w nowych dekoracjach, czy jak chcą niektórzy, górnolotnie i poetycko, szukanie duszy, serca miasta?

- Andrzej Rychłowski - Myślę, że żadnemu samorządowi, szczególnie nastawionemu na rozwój w sferze turystyki, nie zależy na tym, żeby „jakoś sobie radzić” z istniejącą infrastrukturą, ale o to, by tworzyć nową jakość przestrzeni publicznej, przyjaznej i otwartej dla mieszkańców, atrakcyjnej dla turystów. Malbork przez dziesięciolecia cierpiał na brak silnie zaznaczonego centrum, wokół którego koncentrowałaby się sfera usług związanych z turystyką, w którym zarówno mieszkańcy miasta, jak i osoby odwiedzające Malbork mogły spędzić wolny czas, pełnego życia, wydarzeń kulturalnych i ludzi. Przebudowa centrum Malborka była niezwykle ważnym krokiem na drodze prowadzącej do tworzenia tożsamości lokalnej, do budowania owej „duszy miasta”. Choć oczywiście miasto zawsze w jakiś sposób orientuje się na kompleks zamkowy, brakowało tu miejsca, które zachęcałoby turystów, po tym, jak zwiedzili już zamek, do pozostania w Malborku i takiego, w którym swój wolny czas mogli spędzać malborecznicy. Dzisiaj malborskie centrum tętni życiem, przyciąga estetycznym wyglądem, stylizowanymi elementami architektury, ofertą handlową, a w sezonie turystycznym również efektowną fontanną, letniami ogródkami i odbywającymi się tu wydarzeniami kulturalnymi. Jak już mówiłem, rewitalizacja jest bardzo szerokim pojęciem, zawsze jednak powinna być rozumiana jako działania obejmujące swoim zakresem sferę społeczną. Przywracanie do życia terenów zdegradowanych ma swoje odbicie w poprawie estetyki przestrzeni miejskiej, ale przede wszystkim musi generować zmiany społeczne, wzmacniać więzi społeczne i poczucie integracji mieszkańców ze swoim miastem. Działania, które realizujemy w Malborku w tym zakresie, również te związane z przebudową centrum, wychodzą na przeciw tym założeniom.

- Andrzej Krzysztofiak - Każde miejsce opowiada swoją historię. Wraz ze zniknięciem zabudowań Starego Miasta, zerwana została - w tym miejscu - magiczna nić łącząca historię z teraźniejszością. Nie ulega wątpliwości, że to dusza miasta, którą trzeba ponownie zagnieździć w te same miejsce. Nasze podjęte działania skierowane na odbudowę Starego Miasta, przyczynią się do reanimacji życia tej części Kwidzyna, niejako oddamy ją ponownie naszym mieszkańcom. Po odbudowaniu pierzei te małe uliczki na nowo zaczną żyć swoim życiem. Czyli już przez te działania połączyliśmy razem

dwie funkcje Starego Miasta: magiczną z funkcjonalną, które są niezbędne, dla prawidłowego zrównoważonego rozwoju Kwidzyna. Czy wyobraża sobie Pan - obecny Elbląg bez odbudowanego Starego Miasta? Bo ja nie. Te miejsca historyczne muszą przyciągać, przecież pusta przestrzeń nie jest dla nikogo ciekawa.

- **Leszek Sarnowski** - Myślę, że w Malborku stworzenie nowego centrum, bo nie jest nim dawna starówka ze względu na powojenną zabudowę, stało się niejako naturalne. Bo nowa „twarz” ulicy Kościuszki, która przejąc ma takie właśnie funkcje jest jakby przedłużeniem tego centrum, które po wojnie stworzyło się, też naturalnie, wokół zamku. Teraz powstaje tylko kwestia, by tą falę turystów odwiedzających krzyżacką twierdzę skierować w nowe miejsce i zatrzymać na dłużej. Trochę to trwało, mimo wieloletnich deklaracji władz miasta, że zależy im na tym by turystów zatrzymać po odwiedzeniu zamku, ale już widać ogromny postęp. Jeśli jeszcze pojawią się ciekawe kawiarenki, kluby z letnimi ogródkami, które oby, jak w Gdańsku, nie spotkały się z protestami mieszkańców, to będzie kolorowo i atrakcyjnie. W Kwidzynie z kolei miejsce między katedrą, muzeum, a kinoteatrem, z jednej strony, a zabudowywaną właśnie strukturą dawnej starówki po drugiej stronie, też ma przed sobą ciekawą perspektywę. Nieco trudniej jest chyba w Sztumie, bo powojenna zabudowa dawnego centrum i okolic poszła tam dużo dalej, a problemy z zagospodarowaniem zamku nie ułatwiają sprawy.

- **Leszek Tabor** - To prawda. Stąd nasze działania i determinacja. Rewitalizacja Sztumu to jest właśnie rozpoczęta operacja na jego sercu - historycznym sercu, aby przywrócić mu żywsze, mocne bicie. Pozostając przy tej konwencji - powstały swoiste by-pasy naszego życia społecznego, gospodarczego, które powodują, że dawne centrum straciło na znaczeniu, także przez swoją brzydotę, a stało się to w ostatnich 20 latach. I dlatego nie jest jeszcze za późno, aby właśnie dla budowania lokalnej tożsamości przywrócić centrum miasta znaczenie w budowaniu więzi społecznych, jako miejsca spotkań wymiany informacji, odpoczynku, ale też handlu i rozrywki. Rewitalizację Sztumu chcemy zacząć pisać pewną opowieść o mieście, tworzyć pewne mity, legendy, wykreować magiczne miejsca. Przekazywane z pokolenia na pokolenie będą budowały przywiązanie i miłość do naszej małej ojczyzny. Ta opowieść została przerwana po II wojnie światowej i my obecni mieszkańcy musimy różne wątki odnaleźć i snuć od nowa...

- **Jerzy Domino** - Dusza miasta - to jego tradycja, legendy, opowieści, anegdoty mieszkańców. Wszystkie miasta naszego regionu mają już swoją powojenną duszę, opartą na wydarzeniach poza cezurą 1945 roku. (wcześniejsze, to już literatura porównywalna raczej do anegdot ze świata starożytnego, czy może z powieści Singera z życia żydowskich miasteczek). Przy

tym jest to „dusza” schizofreniczna, bowiem okres PRL-u nie jest tym, do którego można nawiązywać w kreowaniu nowej historii lokalnego społeczeństwa. Większość legend z dawnego okresu krążyła wokół ówczesnej elity – szlachty, kupców, duchownych, artystów, których życie codzienne i niecodzienne przygody budowało wzór dla społeczeństwa, i oczywiście życie bohaterów plebejskich, którzy albo awansowali, albo kontestowali wynaturzenia sfer wyższych. Obecnie nie wszystko, co się niedawno wydarzyło jest jawne. Jakież też mogą być budujące tożsamość miasta legendy i anegdoty o lokalnych sekretarzach partii, SB, dyrektorach zakładów pracy, pijaczkach, kombinacjach, okradaniu zakładów pracy, wyłudzaniu zwolnień lekarskich i materiałów budowlanych, złych inwestycjach? Oczywiście krążą opowieści dotyczące np. niszczenia miast i mordów przez Armię Radziecką, żołnierzy WIN-u, działaczy „Solidarności”, ale to też w sferze literackiej lub ograniczone do wąskich grup kombatanów czy historyków. Jak wspomniałem budowa dekoracji może mieć pozytywny wymiar w sferze ekonomicznej, ewentualnie, ale kto będzie w tych dekoracjach funkcjonował – banki, ekskluzywne sklepy, puby, turyści? Może za 30 lat będzie można powiedzieć coś więcej.

- **Leszek Witkowski** – To cenna uwaga. Dekoracje, nawet najpiękniejsze nie mogą być wartością samą w sobie, bo jak będą martwe i puste, to tynk z nich będzie odpadał tak samo szybko, jak na peryferiach. Moim zdaniem należy spróbować wyciągać mieszkańców z centrów handlowych, oferując im coś w zamian. To nie będzie łatwe. I nie może to się dziać pod hasłem, że tamto jest „złe”, a my kreujemy „dobre”. Jeśli będzie dobre, przyjazne, praktyczne i potrzebne ludzie się pojawią. Na prawdziwym rynku jest miejsce dla wszystkich. Należy wierzyć w to, że spotkania towarzyskie i biznesowe różnych osób z różnych środowisk zawsze wnoszą nową jakość.

- **Leszek Sarnowski** - **Czy wobec tego o czym Panowie mówicie, rewitalizacja może być zatem próbą budowania lokalnej tożsamości?**

- **Jerzy Domino** - „Rewitalizacja” oczywiście może być budowaniem lokalnej tożsamości – inwestorów lub deweloperów. Na ogół nie jest to liczne grono, często zresztą się zmieniające. Obecny styl życia – inwestorzy raczej poświęcają czas na pracę, wypoczywają zaś albo w zaciszu domowym, często poza miastem, albo w podróży. Tożsamość, zamieszkani przez nich, tych zamożnych bądź, co bądź dzielnic tworzyć będzie ich oddzielenie od blokowisk, ochrona, monitoring dążenie do czystości, itp. Ze znanych mi przykładów „rewitalizacja” nigdzie nie została doprowadzona do takiego etapu, żeby można było powiedzieć coś więcej, ponad to, że zagospodarowane zostały w określonej formie architektonicznej jakieś obszary miejskie. O gustach oczywiście się nie dyskutuje.

- **Leszek Witkowski** - Trudno moim zdaniem udowodnić, że rewitalizacja sama w sobie może budować lokalną tożsamość. Zgadzam się, że tego możemy się jedynie domyślać lub po prostu sobie życzyć. Przystosowanie

przestrzeni miejskiej do nowej sytuacji, warunków, może być czynnikiem integrującym i tym samym kreującym tożsamość. Najważniejsza jest jednak diagnoza i odpowiedź na pytanie dlaczego obecne centrum, nie funkcjonuje, dlaczego nie powstają nowe sklepy, biura, kawiarnie czy dlatego że jest nieestetyczne? A może po prostu przestało być „rynkiem” na którym „królował” przepływ pieniędzy, dlatego obecne centra handlowe przeżywają taki rozkwit. Podejmowanie działań w ramach tzw. estetyzacji, może być moim zdaniem zbyt małym argumentem dla wspólnot mieszkaniowych, spółdzielni, inwestorów, deweloperów, posiadających swoje nieruchomości w centrach miast, żeby na tym etapie, realizowali rewolucyjne i kosztowne zmiany. Wizje są ważne i piękne, ale bez zaplecza i akceptacji tych dla których mają być realizowane, mogą okazać się nierealne i nie warte wysiłku.

- Leszek Sarnowski - Jakie warunki powinny być zatem spełnione, żeby rewitalizacja odniosła spodziewane efekty i jak to się ma do wymogów konserwatorskich, urbanistycznych?

- Jerzy Domino - Co do pytania, to powracam do pierwszych zdań – nie wiadomo, co to jest „rewitalizacja”. Historia ciągle „się dzieje” i nawet okres dewastacji i wszystkie złe zjawiska są elementem historii. Rewitalizacja jest pewnym sposobem zagospodarowania niewykorzystanych dotychczas rejonów w centrum w duchu neohistoryzmu. Neohistoryzmy – zjawiska cykliczne, są mimo takiej nazwy, jak wszystko, co się dzieje, procesem autentycznym. Jaka byłaby alternatywa dla takiego neohistoryzmu?

– wierna rekonstrukcja architektoniczno - urbanistyczna (Stare Miasto w Warszawie), ale o zupełnej zmianie ludności i sposobie zamieszkania dzielnicy, nie mniej atrakcyjna estetycznie i turystycznie;

- nowa zabudowa – (Malbork, częściowo wiele innych miast) – z uwagi na okres tych inwestycji opartych z jednej strony na idei zatarcia dawnego wyglądu historycznego miasta, z drugiej na ówczesnej ekonomii, stworzyła koszmarnie, ahumanitarne blokowiska jednakowe dla wszystkich realizacji tego typu, bez realnej możliwości jakiegokolwiek poprawy wyglądu. Nadbudowa stromych dachów byłaby jeszcze większym koszmarem;

- pozostawienie pustych placów, jako swoistych „forum” świadków tragedii wojennych z zamianą funkcji na zieleńce czy parki - idea funkcjonowania okresowego w ten sposób w oczekiwaniu na poprawę koniunktury miasta, (np. Elbląg w latach 60-70 z poustawianymi formami przestrzennymi, chociaż opracowywano jednocześnie zagospodarowanie tego „parku”), Zieleńce w centrum takich miasta jak np Bisztynek, Młynary, czy też całkowicie pusty plac po starym mieście w Kisielicach jest wynikiem wieloletniej indolencji władz i słabej kondycji miast, ale wszystkie one przewidziane zostały do zagospodarowania.

- opracowanie projektu współczesnego miasta, bez żadnej relacji z historyczną tradycją, układem dawnych ulic, parcel, stosunków wysokościowych itp. Takimi były zabudowane dzielnice np. w Nowych Miastach w Braniewie czy Elblągu. Po tych eksperymentach widać klęskę takiego założenia, nie stworzono tu żadnego wartościowego zespołu urbanistyczno – architektonicznego, nie wybudowano żadnego wybitnego budynku, nie wykształciła się inna, poza typową dla blokowisk, lokalna specyfika społeczna, nie mówiąc już o poczuciu jakiejś więzi, lokalnego patriotyzmu itp. Nie jest oczywiste, że realizacja nowej zabudowy dzisiaj, w postmodernistycznej formie na miejscu dawnych obszarów miejskich będzie lepsza od realizacji PRL-owskich.

- **Leszek Sarnowski** - Można zatem powiedzieć, że w dalszym ciągu są to eksperymenty na „żywym” organizmie miasta, bo przecież nigdzie jeszcze rewitalizacja nie przybrała ostatecznego kształtu.

- **Jerzy Domino** – Tak, oczywiście. To cały czas są eksperymenty. Powstawanie miasta oparte było na wspólnym interesie wszystkich jego mieszkańców – posiadaniu dogodnie położonego centrum administracyjno-handlowo-kulturalnego w stosunku do własnych domów i zatrudnienia. Obecnie powstawanie takich osiedli zaobserwować można na terenach gmin w pobliżu wielkich miast, chociażby na terenie Żuław Gdańskich, czy Mierzei, gdzie prężnie zabudowywane są coraz to nowe obszary dawnych rozłogów, pól, a w ślad za domami powstaje infrastruktura. Są to jednakże osiedla satelickie, nie zaś „rewitalizacja” owych miejscowości w sensie zachowania krajobrazu kulturowego. Patrząc jednak na to zjawisko w oparciu o niedawne ucieczki ze wsi, a obecnie napływu tu inwestorów, osiedlenia się zamożniejszych artystów, lekarzy i prawników, to pod tym względem ożywienie miejscowości jest zauważalne.

Tu można podać przykład „rewitalizacji” autentycznej, powstanie i funkcjonowanie bazaru przy stadionie Dziesięciolecia w Warszawie. Jest to modelowa historia miasta w pigułce: - powstawanie, funkcjonowanie w jakimś okresie czasu, zagrożenia, najazd potężnego wroga, obrona i ostateczny upadek. Narosła w tym czasie legenda bazaru i istnieje mnóstwo opowieści i anegdot. Stał się tematem lub miejscem licznych dzieł literackich i elementem wielu filmów. Można by tu widzieć analogie nawet i z Troją, Eneaszami emigrującymi w inne rejony miasta, kraju czy gospodarki. Okolice niewykorzystywanego przez dziesięciolecia stadionu obok dworca kolejowego, autobusowego, przystanków tramwajowych i autobusowych, skrzyżowania ważnych dróg zajęli, co oczywiste, handlarze z różnych stron stwarzając największy w tej części Europy bazar, z własnym układem uliczek, bud, kramów, magazynów, infrastrukturą sanitarną (jaka by nie była), gastronomią, ochroną, własną hierarchią społeczną i prawami. Ten i tereny podobnie zagospodarowywane spontanicznie, długo zaniedbane przez wła-

dze winny być analizowane, niekoniecznie do oficjalnego wprowadzania, ale do zaobserwowania, w jaki sposób taka „rewitalizacja” się tworzy. Można obserwować pewien aspekt oficjalnej inicjatywy slow city, – czyli utrzymanie charakteru spokojnego małego miasteczka, bez wielkich inwestycji i bez nastawienia się na intensywną turystykę, ale wyprzedaż parcel, kamienic lub lokali ludziom pracującym w wielkich miastach lub zgoda cudzoziemcom, którzy szukaliby w takich cichych miastach spokoju, ciszy, anonimowości korzystając z lokalnych usług, zaopatrzenia, usługi mieszkańców.

- Leszek Sarnowski – **Mimo tych wszystkich uwag i zastrzeżeń re-witalizacja, z cudzysłowem czy bez, jednak się dzieje. Jakie są koszty i ramy czasowe całego projektu, skąd pieniądze i kiedy mieszkańcy - turyści mogą spodziewać się ostatecznego efektu?**

- Andrzej Krzysztofiak - Sięgamy po środki zewnętrzne, w najgorszym przypadku uruchomiamy pieniądze własne. Trudno określić ramy czasowe projektu, chciałoby się wykonać zadania jak najszybciej, ale nie zawsze to jest możliwe. W naszym mieście w procesie ciągłym dokonują się przemiany, chociażby zakończona modernizacja Placu Jana Pawła II, trwa odbudowa Starego Miasta, czy budowa kompleksu sportowego przy ulicy Wiejskiej, na który uzyskaliśmy dofinansowanie ze środków EFRR w ramach RPO WP 2007-2013.

- Leszek Tabor - W Sztumie realizowane są dwa projekty związane z re-witalizacją głównych przestrzeni publicznych w ramach działań, których celem jest podniesienie atrakcyjności turystycznej szlaku zamków gotyckich. Realizujemy to z innymi gminami: Dzierzgoniem, Starym Targiem, Mikołajkami, Starym Dzierzgoniem, Prabutami i gminą wiejską Malbork. Zamek sztumski był kiedyś letnią rezydencją wielkiego mistrza krzyżackiego i chcemy nawiązać do tych historycznych funkcji wypoczynkowo-rekreacyjnych. Modernizujemy bulwar nad Jeziorem Sztumskim, który w konkursie dla mieszkańców nazwano Bulwarem Zamkowym. Będą tam place zabaw, boiska sportowe, odnowiona plaża i mnóstwo miejsc do odpoczynku, także aktywnego. Na bulwarze postawionych będzie też 16 tablic informacyjnych o historii zamków, leżących na tym turystycznym szlaku. To zadanie wraz ze ścieżkami rowerowymi o długości 150 km, łączących wymienione gminy, zakończy się w tym roku. Natomiast odnowa samego centrum Sztumu: Placu Wolności i przyległych ulic, chodników, parkingów wraz z fontanną i stylową małą architekturą to czerwiec roku 2012. Te inwestycje mają wartość 20 mln złotych.

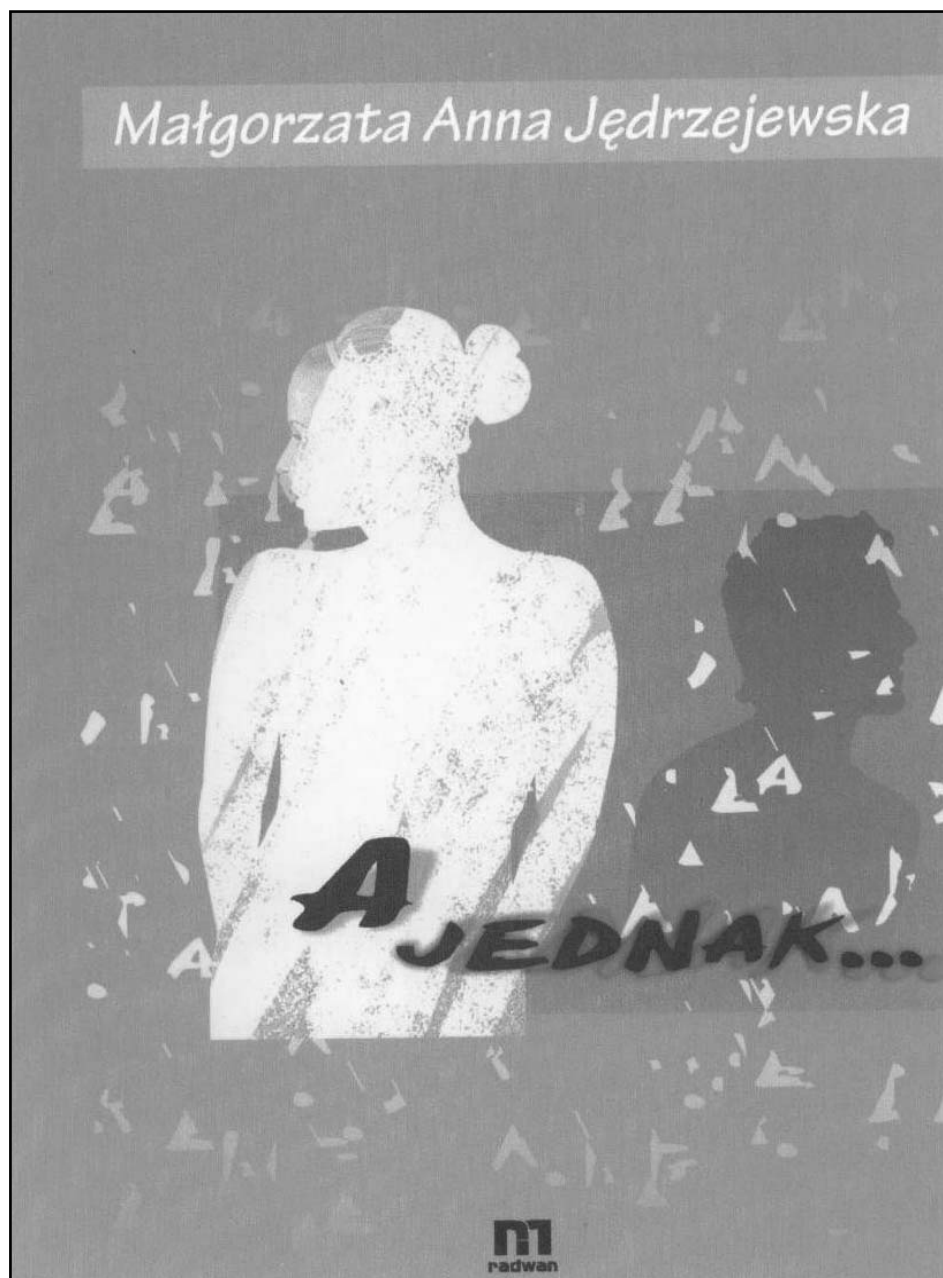
- Andrzej Rychłowski - Trudno tu mówić o jednym projekcie, mamy tu do czynienia z całym zestawem przedsięwzięć o różnym zasięgu czasowym. Wystarczy powiedzieć, że w toku konstruowania malborskiego LPR, mieszkańcy Malborka, w ramach konsultacji społecznych, zgłosili do niego kilkadziesiąt projektów. W przypadku realizowanych przez miasto zadań

inwestycyjnych, na które już pozyskaliśmy dofinansowanie ze środków Unii Europejskiej lub innych źródeł zewnętrznych (Ministerstwo Kultury), ramy czasowe są łatwe do określenia i wynikają z harmonogramów przedsięwzięć. Część z projektów już zakończyliśmy, realizacja pozostałych, to kwestia najbliższych lat. Przeprowadziliśmy już przebudowę i modernizację otoczenia malborskiego dworca PKP, zrealizowaliśmy część projektu partnerskiego, w ramach którego w sąsiedztwie zamku powstała nowoczesna infrastruktura do organizacji imprez, w tym widownia plenerowa, wykonaliśmy częściową rewitalizację średniowiecznych murów obronnych, trwa również modernizacja obiektów sportowych i infrastruktury rekreacyjnej w mieście. W najbliższym czasie zrealizujemy przedsięwzięcie polegające na odbudowie tzw Szkoły Łacińskiej (w budynku tym powstanie nowoczesne centrum edukacyjno-kulturalne), rozpoczęła się już także budowa przystani jachtowej na rzece Nogat w ramach projektu „Pętli Żuławskiej”. Ze środków miejskich zrealizowaliśmy bardzo duże przedsięwzięcie, jakim była gruntowna przebudowa centrum Malborka. Wartość tych zadań waha się od kilku do kilkunastu milionów złotych, więc mowa tu o dużych projektach. Poza tym, jedną z naszych ofert inwestycyjnych stanowią dziś działki, wydzielone w pasie nad murami obronnymi, u frontu zabudowań powstałych po wojnie, gdzie planujemy odtworzenie zabudowy, nawiązującej do dawnej malborskiej starówki. Charakter projektowanej tam zabudowy nawiązuje do panoramy miasta od strony rzeki Nogat przedstawionej na zachowanych rycinach z początku XIX wieku i z okresu międzywojennego. Miasto zbyło już połowę z oferowanych działek, wciąż zachęcamy chętnych inwestorów do zgłaszania się do urzędu. Realizacja tego projektu będzie – mamy nadzieję – pierwszym krokiem zachęcającym przyszłe władze miasta do kolejnych działań zmierzających do zmian w tym obszarze miasta. To tylko niektóre z przykładów. W przypadku planów związanych ze zmianami na obszarze dawnego Starego Miasta, musimy założyć, iż jest to kwestia dłuższej perspektywy czasowej.

Małgorzata A. Jędrzejewska

A jednak

Fragment powieści



Krążyła po mieście, zastanawiając się, co ze sobą zrobić, w końcu pojechała na molo. Od dziecka uwielbiała to miejsce i gdy zaczęła samodzielnie poruszać się po świecie, przychodziła tu zawsze, gdy miała jakiś problem. Teraz też uznała, że to jedyne miejsce, gdzie będzie mogła pomyśleć. Rozejrzała się. Pogoda nie była sprzyjająca, więc i spacerowiczów jak na lekarstwo, co jej bardzo odpowiadało. Usiadła na ławce. Morze szumiało niespokojnie, woda tłukła o potężne dębowe pale, a ona siedziała i wciąż od nowa zadawała sobie pytanie: „Dlaczego? Dlaczego to ja? Dlaczego to mnie spotyka?” Po raz kolejny czuła się oszukana przez los, zdradzona i... nieszczęśliwa.

Przypominała sobie ojca, który był tak kochany, a jednocześnie zdradzał je – żonę i córkę – z różnymi kobietami. Pamiętała jego późne powroty i ściągniętą bólem twarz Stefanii, która zawsze na niego czekała. Pamiętała wspólne wyjazdy na wczasy, gdy ojciec chyłkiem wymykał się z pensjonatu, a one same szły na plażę, na obiad czy lody.

W jej domu nigdy nie było awantur, matka nie wyklócała się o nic, ale ta cisza... była chyba bardziej przerażająca niż byłyby krzyki. Julia czasem myślała, że matka powinna rzucić czymś o ziemię, wykrzyczeć się, nawet rzucić się z pazurami na ojca, niż trwać w tym kamiennym milczeniu. Ale on zawsze wracał, a matka w jednej chwili rozjaśniała się i przeżywała kolejny renesans swojego małżeńskiego szczęścia.

Przez wewnętrzny projektor Julii zaczęły przemykać obrazy z dzieciństwa, gdy szukała przyjaźni, a dostawała zazdrość i niechęć, najpierw w przedszkolu, później w podstawówce. W liceum było niewiele lepiej, ale wtedy była ostrożniejsza w nawiązywaniu znajomości, bojąc się kolejnych zawodów. Dopiero na studiach poznała osoby, z którymi tak naprawdę się zaprzyjaźniła.

Zetknęli się w teatrze studenckim. Anka, Alinka i Jarek studiowali filologię polską, Julia i Witek filologię angielską. Praca nad „Snem nocy letniej” w wersji oryginalnej bardzo ich do siebie zbliżyła i choć szybko poznali swoje nie tylko zalety, stali się nierozłączni. Dość szybko dołączyła do nich Halina, w której zakochał się Jarek, a wraz z nią Misiek. Gdy Julia miała małżeńską przerwę w życiorysie, wszyscy jej pomogli, choć to w zasadzie Anka trzymała ją przy życiu. Okazała się twardą zawodniczką, która nie poddawała się nikomu i niczemu. Jak Robert wyrzucał ją drzwiami, to ona wracała oknem. I tylko dzięki niej Julia się nie poddała.

Ale przez to cholerne małżeństwo została poraniona na całe życie. Wiedziała, że jej rany zabiłżniły się, ale nie zniknęły do końca. Dlatego była tak nieufna wobec większości ludzi. A teraz ten powrót Roberta, cięża Eli, poznanie Ewy. Za dużo jak na tak krótki okres czasu. I co ona ma teraz z tym wszystkim zrobić?

Ewa... OK. Poznały się i dobrze. Jedna tajemnica rozwiązana. Koniec udawania, ukrywania. Zresztą siostra to pewnie fajny wynalazek, dobrze z niego w końcu skorzystać.

Robert... Problem jest, ale pewnie do rozwiązania. Z pomocą Ewy i Damiana na pewno sobie z nim poradzi.

Ale Ela...! Osiemnaście lat, rok przed maturą. Cholera, całe życie postawione na głowie! Pewnie, są one, matka i babcia, ale Stefania nie ma już tyle sił, co kiedyś, a ona. Nie czuła się na siłach, żeby zajmować się małym dzieckiem. Ma przecież swoje życie, pracę. Z Damianem jakoś tak coraz bardziej czuła się. Nawet w cichości ducha myślała, że może coś. Tymczasem wszystko miało się zmienić. A nauka? Studia? Czy Elżbieta będzie chciała uczyć się dalej? A jeśli będzie chciała, to czy da radę? A Wojtek? Przecież to jeszcze smarkacz. Sympatyczny, owszem, ale smarkacz. Do tego artysta. Czy będzie odpowiedzialnym ojcem? Mężczyzną życia jej córki?

„Damy radę, córeczko! Najważniejsze, żebyś ty była zdrowa. I twoje dziecko. Nawet jeśli twój narzeczony się wycofa, my damy radę. Nigdy w to nie wątp. Masz przecież mnie.” Z mgły wspomnień napłynęły słowa, wypowiedziane przez Stefanię, gdy dowiedziała się, że zostanie babcią. I nigdy jej nie zawiodła.

Julia ukryła twarz w dłoniach. Chciało jej się płakać. Z żalu nad sobą i nad Elą, którą właśnie dziś, teraz, w takim momencie, zawiodła. Zamiast przytulić i powiedzieć, że na pewno dadzą radę, zostawiła ją samą z czarnymi myślami! Zerwała się na równe nogi.

„W łeb cię tylko tłuc, rozpieszczona idiotko – pomyślała – bo na nic innego nie zasługujesz! Tam córka na ciebie czeka, a ty się użalas nad sobą!” Ruszyła w stronę samochodu. Wchodząc na parking, potknęła się o jakieś zawiniątko. Zaklęła cicho, bo o mało się nie przewróciła, lecz w tym momencie zawiniątko poruszyło się i wydało cichutki pisk. Julia stanęła jak wryta, po czym pochyliła się nad zawiniątkiem. W świetle latarni wyraźnie widać było sznurek, którym był omotany worek. Ostrożnie rozsupłała węzeł i z worka wysunął się czarny nosek, a zaraz za nim reszta jego właściciela. Po chwili przy nogach Julii popiskiwał malutki, ale długi, białoczarńobrązowy szczeniaczek z wielkimi uszami.

Niewiele się zastanawiając, wzięła go na ręce i spojrzała w oczy. Szczeniak różowym języczkiem liznął ją w nos, a następnie zapiszczał donośnym głosem jakby z żalu. Julia poczuła ukłucie w sercu. Przytuliła małego do siebie i wsiadła do samochodu.

Droga do domu bardzo jej się dłużyła. Gdy podjechała, wszędzie było ciemno, tylko z salonu sączył się lekki blask. Weszła po cichu, zbierając po drodze myśli, w czym wydatnie przeszkadzał jej wiercący się maluch. Roz-

grzał się, ale chyba był coraz bardziej głodny, bo zabierał się do jej palców. Nagle zatopił ostre kielki w kciuku, co zabolalo. Postawiła go czym prędzej na podłodze, a on podreptał przed siebie, popiskując żałośnie.

- O jejku, jaki śliczny! – usłyszała głos Elżbiety i po chwili ona sama pokazała się w drzwiach salonu, trzymając psiaka na rękach.

- Mamuś, skąd go masz? Ojej, jak ty wyglądasz! – Chyba przestraszyła się wyglądem matki. – Cała zmarznięta jesteś! Gdzie ty byłaś? Zrobię ci herbaty z prądem, musisz się rozgrzać. A małemu mleka dam, bo chyba głodny. – I zniknęła w kuchni.

Julia niezdarnymi ruchami ściągała płaszcz, obuwie. Ubrała ciepłe kapcie i dopiero wtedy poczuła, jak jej zimno. Ściągnęła z wieszaka ciepły sweter Stefanii, otuliła się nim. Głęboko wciągnęła zapach matki, którym przesycone było okrycie i ruszyła do kuchni.

Szczeniak topił w miseczce z mlekiem swoje długie uszy, a Elżbieta przygotowywała herbatę.

- Imbirową ci robię – powiedziała, odwracając się w stronę matki.

- Dobrze, ta będzie najlepsza. Faktycznie zmarzłam. – Julia siadła przy stole.

- Mamuś - Elżbieta nerwowo przesuwiała kubek po blacie. – Przepraszam. Przepraszam. Ja wiem, że cię zawiodłam, ale...

- Ty mnie zawiodłaś? – przerwała jej matka. – Ty mnie? Co ty opowiadasz?

- No tak. Miałas wobec mnie inne plany. Chciałaś, żebym skończyła studia. Żebym tak po kolei, bez problemów z maturą, tak normalnie... A ja co?

- Ale...

- Mamuś, ja wiem. Ty taka mądra jesteś, zawsze wiesz, co i jak zrobić. A ja taka nieudana jestem.

- Córeczko! Co ty za bzdury opowiadasz? Dziecko. Po pierwsze, to ja nie jestem taka mądra, jak ci się wydaje i rzadko kiedy wiem, co i jak zrobić. Najczęściej udaję, że wiem i widać robię to dobrze, skoro nawet ty dałaś się nabrać.

- Ale...

- Daj mi skończyć, proszę. Po drugie, wcale nie jesteś nieudana. Wręcz przeciwnie, jesteś najwspanialszą córką, o jakiej matka może marzyć. Co wcale nie znaczy, że jesteś idealna. Co to, to nie. Ale, jesteś moją najukochańszą córeczką i tego nic nigdy nie zmieni. Cokolwiek zrobisz, cokolwiek się stanie, dla mnie zawsze będziesz najukochańszą i najwspanialszą córeczką.

- Mamuś - Elżbieta siadła przy matce, przytuliła się do niej.

- I po trzecie, najważniejsze. To ja ciebie przepraszam. Bo to ja ciebie zawiodłam.

- Ale – mamuś - co ty mówisz?

- Córcia, jeśli nie mogłaś się zdobyć na to, by mi powiedzieć o tak ważnej sprawie, to znaczy, że nie miałaś do mnie zaufania, albo bałaś się mnie. Czyli coś spaprałam w naszym życiu, zawiodłam jako matka - rozumiesz?

- Mamuś, nieprawda! To nie tak. Nie zawiodłam. Ja tylko... No tak, bałam się, ale to nie dlatego, że nie mam zaufania, albo że się ciebie tak boję. Ja po prostu, jak ci to powiedzieć... - Szczeniak ruszył na rekonesans po kuchni, znacząc za sobą mleczny szlak uszami, ale kobiety nie zwróciły na to uwagi.

Julia głaskała córkę po głowie.

- Mamo. Ty zawsze byłaś taka cierpliwa wobec mnie. Znosiłaś mnie i moje wybryki. Ja chciałam być inna, lepsza, żebyś nie musiała się mnie wstydzić w szkole i w ogóle. Ale mi nie wychodziło. I poczułam się paskudnie, gdy okazało się, że znowu zrobiłam ci pod górkę. Córcia z nieślubnym dzieckiem. Taki wstyd.

Julia osłupiała.

- Ale co ty mówisz, dziecko! Jaki wstyd! Ty dlatego? Myślałaś, że ja, że będę się wstydzić nieślubnego wnuka? - Zaczęła śmiać się histerycznie. - Elżbieta! Jak ty mnie nie znasz! - nieoczekiwanie przeszła do płaczu. - Wiesz! Dobrze mówię, że zawiodłam jako matka! - Zaszlochała rozpaczliwie. - Dziecko! Takie bzdury mnie nie obchodzą! Ty jesteś ważna, twoja przyszłość, twoje całe życie. Jak mogłaś myśleć, że interesuje mnie, co powiedzą ludzie! Boże, jak ty mnie nie znasz.

- Mamuś, ale nie płacz, proszę cię. Przepraszam, wiem, nie powinnam była, ale sama nie wiedziałam, co myśleć. - Teraz już i ona szlochała, przytulała matkę do siebie mocno, głaskała po głowie. - Mamuś, przepraszam, nie płacz. Błagam, nie płacz.

Nagle szczeniak, zainteresowany zaistniałą sytuacją, postanowił przyłączyć się do chóru, usiadł, podniósł łepkę i zaczął głośno zawodzić.

W tym samym momencie do kuchni weszła Stefania.

- O Matko Boska! - krzyknęła. - A co tu się dzieje?

W kuchni zrobiła się cisza. Szczeniak, przestraszony nagłym wtargnięciem nowej osoby, przysiadł, po czym się zsiusiał.

Stefania klasnęła.

- No patrzcie! Zupełnie jakby jeszcze za mało wody poszło. - Podeszła do niego, wzięła go na ręce. - A skąd ty się tu wzięłeś, mały? I to taki śliczny.

Wpatrywała się w niego z ciepłym uśmiechem. Mały nagle liznął ją w nos.

- No patrzcie. Nic szacunku dla podeszłego wieku. - Spojrzała na córkę i wnuczkę, które siedziały przytulone do siebie, ale na szczęście już nie płakały, co stwierdziła z zadowoleniem. - No, co tak siedzicie jak kwoki na grzędzie? Ela, bierz mopa i sprzątnij kałużę. A ty, Julia, pokrój mu na drobno kawałek kiełbasy, jest w lodówce. Na samym mleku to chłopak nie wyżyje.

Po chwili sytuacja była opanowana. Kałuża starta, szczeniak najedzony położył się przy nogach Stefanii i posapywał z zadowoleniem liżąc łapki, a Julia opowiadała, skąd się wziął.

- Myślę, że ktoś chciał się go pozbyć, a nie umiał zdobyć się na to, żeby utopić, jak to zwykle robi się ze szczeniakami, więc zostawił w takim miejscu, żeby ktoś go znalazł. A w takim razie, wydaje mi się, możemy sobie odpuścić ogłoszenia o znalezionym psie.

- Raczej tak. Ale tak myślę jeszcze – Stefania wpatrywała się w córkę. – Nie sądzisz, że to może być kolejny prezent dla ciebie?

- Od kogo?

- No wiesz. Twój mąż miewa różne pomysły.

- Myślisz, że to Robert go podrzucił? – Julia była zde gustowana.

- Nno raczej nie. Ale wykluczyć całkowicie nie można. Zawsze to jakiś sposób na zdobycie twojego serca. Tym bardziej, że psiak wygląda na rasowego. Moim zdaniem to basset, w dodatku tricolor. A bassety są drogie, z półtora tysiąca za takiego trzeba by zapłacić albo i więcej.

- Mamo, nie wymyślaj. Jemu nie chodzi o moje serce, to po pierwsze, a po drugie... Szybciej mogłabym się spodziewać zdechłego kota niż ślicznego szczeniaczka. A czy rasowy? Dowiemy się u weterynarza.

Elżbieta przypatrywała się obu kobietom.

„Cholera, fajne są te moje babeczki – pomyślała. – Chciałabym być kiedyś podobna do nich.”

Stefania wyczuła jej wzrok.

- A ty co się tak wpatrujesz jak sroka w gnat? – spytała gderliwie. – Doga dały się, czy jeszcze nie? Ale płakać już wam nie pozwolę. Jasne?

Matka i córka spojrzały na siebie.

- Jasne – powiedziały jednocześnie.

- Oho, zaraz przyjdzie ktoś głupi albo zakochany. – powiedziała tajemniczo Stefania i nagle zabrzmiał gong przy drzwiach.

- No nie – jęknęła Elżbieta. – Babciu, do tego wszystkiego jesteś czarownicą...

- No, a kim mam być? Czarodziejką byłam czterdzieści lat temu – śmiała się Stefania, idąc do drzwi.

Po chwili do salonu wszedł Jarek.

- Ale ja cię proszę, Julia, ty tylko z nią porozmawiaj. Ona tak dziwnie się zachowuje. Ja wiem, że moje odejście to był dla niej szok, ale bez przesady.

Julia wpatrywała się w kolegę i nie wiedziała, czego on chce. Najpierw przez dziesięć minut piał o tym, jaki to on teraz szczęśliwy, jakie siły twórcze ma w sobie.

- Faktycznie, masz. Który to już miesiąc?

Ale Jarek nie załapał ironii i dalej opowiadał o swojej nowej muzie. Że już zaczął nową powieść i znalazł wydawcę, który jest nią zainteresowany.

- Nową? – zainteresowała się Julia . – To znaczy, że już coś kiedyś napisałeś?

- Nnno, jeszcze nie do końca. Ja ci coś powiem. – Pochylił się do niej. – Ja już nie raz zaczynałem pisać. Tematy miałem takie, że... Ale co z tego. Ta proza życia. Halina ciągle czegoś ode mnie chciała. Nie miałem szansy na pracę twórczą. A to trzeba było coś w domu zrobić, albo dziećmi się zająć, bo ona ciągle dyżury. Albo te wyjazdy wakacyjne. Zawsze myślałem, że w czasie urlopu trochę spokoju będę miał. Ale też nie! Skądże! Wyjazdy musiały być całą rodziną, żeby dzieci wiedziały, że mają ojca! No to jak ja miałem pracować w takich warunkach? A teraz... Matylda też jest duszą twórczą i ona rozumie, że ja muszę mieć spokój, żeby stworzyć Dzieło, bo wiesz, nie będę się rozmieniał na drobne. Ja chcę stworzyć dzieło. Rozumiesz. Mam w sobie taki potencjał. I ja wiem, że będę umiał, tylko ta Halina.

- A czego ty jeszcze od niej chcesz? – Julia była zniesmaczona. – Rozwaliłeś jej całe życie, zabrałeś wszystko, co się dało, i nie mam tu na myśli tylko szmału. Jeszcze ci mało?

- No bo wiesz, Halina jest znana dzięki mnie, jako moja żona.

- Cooo??

- No tak. Wiesz, zabierałem ją na różne spotkania, żeby poznawała różnych ludzi i nabierała obycia, bo ona zawsze taka dzika była. Wolała w domu siedzieć, niż bywać wśród ludzi.

- Cooo???

- No tak. – Jarek w ogóle nie rozumiał jej oburzenia. – No tak. Przypomnij sobie, ile razy musiałem ją namawiać, żeby ze mną gdzieś wyszła. A potem, jak już poszliśmy, to siadała gdzieś w kącie z nieszczęśliwą miną i tyle było jej udziału. A teraz zachowuje się skandalicznie! Matka moich dzieci! W dodatku jeszcze moja żona! Włóczy się po knajpach, ubiera się jak nastolatka, moment i z gołym tyłkiem będzie latać! I chłopców buntuje przeciw mnie. Wszystkie moje rzeczy wyniosła do garażu, a tam przecież się zniszcza. I mój pokój! Wyobrażasz sobie? Chce go wynająć! Mój pokój! Przez tyle lat. Ja dla niej tak się poświęciłem. Własną karierę dla niej. A ona teraz tak mnie... Proszę cię, ty jej powiedz, bo ona ze mną nie chce rozmawiać. Jak mówię coś do niej, to ona albo śpiewa, albo śmieje mi się w nos. Julia, ja cię proszę, ty z nią porozmawiaj. Tak dalej być nie może, przecież jesteśmy dorosłymi, kulturalnymi ludźmi. Możemy się rozstać jak przyjaciele, a nie tak od razu, jak nożem... I to ona, która zawsze mówiła, że mnie tak kocha! W ten sposób! Postąpić ze mną. Ja cię proszę, Julia, ty z nią porozmawiaj. Ona jak wariatka się zachowuje. Naprawdę, myślę, że coś z nią nie tak.

- Wiesz co? – Julia wstała. – A ja myślę, że z nią w końcu jest coś tak. Tyle lat poświęciła tobie, czas najwyższy, żeby zrobiła coś dla siebie. I wiesz co? Idź już stąd, bo nie mogę na ciebie patrzeć.

Jarek zerwał się z fotela.

- To taka z ciebie przyjaciółka? Tak? Myślałem, że można na ciebie liczyć. Tyle lat przyjaźni. Ale nie, tu też się zawiodłem. - Zaśmiał się gorzko. - Żegnam panią! Mam nadzieję, że... że się już nie spotkamy. I wiesz, co jeszcze ci powiem? Syty głodnego nigdy nie zrozumie - zakończył wyniośle i pomaszerował do drzwi.

„Pompatyczny osioł - pomyślała Julia. - Ale nie sadzę, żebym miała to szczęście i go więcej nie spotkała. Tylko co on z tym sytym i głodnym?”

Wróciła do części wspólnej. Życie rodzinne przeniosło się do salonu, a jego centrum stanowił, oczywiście, szczeniak.

- I co? - spytała Stefania, odrywając się na chwilę od malucha. - Czego chciał mąż wszechczasów?

- Mam porozmawiać z Haliną, żeby nie kompromitowała siebie i jego. - Julia wzruszyła ramionami. - Dupek i tyle.

- O, babciu, patrz, jak on ślicznie się drapie - przerwała jej Elżbieta.

- No pewnie, że ślicznie - z przekąsem stwierdziła Stefania. - A jak ślicznie po nim pchły chodzą.

- No co też ty mówisz, babciu! Przecież on nie ma żadnej pchełki! - zaprzeczyła oburzona Elżbieta.

- Jesteś pewna? - Stefania zaczęła przeczesywać sierść malucha. - A to co takiego? - Pokazała kępkę, w której zagnieździły się malutkie czarne kuleczki. - Z tego właśnie powstają pchełki, które on tak ślicznie z siebie zdrapuje.

- O jejkę! I co teraz będzie? - przeraziła się Elżbieta. - Oddamy go?

- No coś ty! - zaprzeczyła Julia. - Babcia się z tobą droczy. Jutro pojedziemy z nim do weterynarza, niech go obejrzy. Pewnie trzeba będzie odrobaczyć, witaminki jakieś dać. Co prawda, nie wygląda na zabiedzonego, ale strzeżonego...

Mały, jakby wiedząc, że jest w centrum zainteresowania, przewrócił się na grzbiet, wywalił różowy języczek na zewnątrz i wyginał się pod wpływem pieszczotliwego drapania po brzuszku.

- No, same zobaczcie, jaki on śliczny! - rozculiła się Elżbieta.

- Jest śliczny, jest. Tylko ciekawe, kto będzie z nim wychodził na dwór.

- Ja będę wychodziła! - zapewniła Elżbieta. - Ale po szkole. W ciągu dnia to chyba spadnie na ciebie, babciu.

- Tak myślałam - Stefania wzięła go w ręce, trzymała przed sobą i patrzyła na niego z czułością. - Ale to nic. Będzie czas na wychowanie ciebie i nikt nam nie będzie w tym przeszkadzał...

- Ależ, babciu - zaprotestowała Elżbieta.

- No, czego się boisz, mała, przecież nie zrobię mu krzywdy. Ale wiesz co? W ramach akcji wychowawczej proponuję, żebyś zabrała go na dwór już teraz. Chyba czas najwyższy. - I w tym samym momencie szczeniak nasiusiał na jej pierś. Po czym szczechnął radośnie i liznął ją w nos.

Tomasz Wandzel

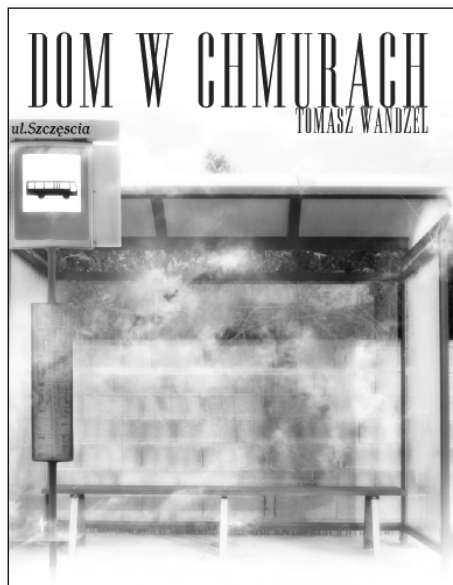
Dom w chmurach

Fragment powieści

I

Pociąg wyludniał się coraz bardziej. Po dwóch godzinach jazdy przedział zostały tylko trzy osoby. Starsza pani robiąca coś na drutach, z pulchną rumianą twarzą, w okularach w stalowych oprawkach, z siwymi włosami spiętymi w kok. Tak właśnie powinna wyglądać każda babcia – pomyślałem, obserwując ją dyskretnie. Ubrana w zieloną, długą spódnicę i zielony golf w popielate wzory, który zapewne sama zrobiła, siedziała z kłębkim włóczki na kolanach. Za każdym poruszeniem drutów kłębek obracał się lekko, a na drutach wykwitał kolejny rząd oczek. Dziewczyna przy oknie, której nie dałbym więcej niż szesnaście lat, czytała książkę. Uwagę zwracały jej długie czarne rzęsy, osłaniające ciemnobursztynowe oczy. Zdjęcie na okładce książki przedstawiało biegnącego wilka. Znowu wilk, pomyślałem, przypatrując się fotografii. Od jakiegoś czasu ścieżki wilków krzyżowały się z drogami mojego życia. Najpierw był film dokumentalny, który obejrzałem raczej z nudów niż zainteresowania. Później reportaż radiowy o polskich wilkach. Teraz ta fotografia na okładce. Czy to przypadek? Myślałem, szukając wyjaśnienia. A może właśnie to jest temat, którego od tak dawna szukałem.

Ciepło, ciche stukotanie kół i delikatne kołysanie sprawiały, że powoli zapadałem w sen. Obudził mnie konduktor sprawdzający bilety. Spojrzałem na zegarek, spałem dwie godziny. Przede mną jeszcze cztery godziny jazdy, pomyślałem, rozglądając się po przedziale. Babcia nadal robiła na drutach, a dziewczyna o sarnich oczach ubierała się do wyjścia. Pociąg wjechał na małą stację. Dziewczyna pożegnała się i wysiadła. Przez okno widziałem jej szczupłą wysoką sylwetkę idącą wzdłuż pociągu. Chciałem, aby podróż już się skończyła. Nie pozostało mi nic innego niż drzemka. Drzemka połączona z rozmyślaniami o wilkach. Czułem, że chcę zrobić coś dla wilków. Nie miałem jeszcze pomysłu co, ale było dla mnie oczywiste, że będą to zdjęcia.



To robiłem najlepiej. Wysiadłem z pociągu jako ostatni pasażer. Zobaczyłem Krzyśka nerwowo spacerującego po peronie. Gdy mnie spostrzegł, przez moment na jego twarzy pojawił się uśmiech radości. A może ulgi. Był tak krótki, jak światło lampy błyskowej.

– Stary, ja tu ze skóry wychodzę, wydzwaniam gdzie mogę. Nie odbierasz telefonu. Już myślałem, że nie przyjechałeś tym pociągiem. A ty pewnie sobie smacznie spałeś. Ile razy ci mówiłem, żebyś nie spał w pociągu, bo albo prześpisz stację, albo cię okradną?! W ogóle co to za pomysł, żeby jeździć pociągami?! Kup sobie wreszcie samochód, jak cywilizowany człowiek.

– Może najpierw się przywitamy – mówiąc to, uściśkałem go serdecznie.

– A dopiero potem będziesz mnie rугał. Dla wyjaśnienia, nie spałem, tylko rozmyślałem, telefon miałem ściszony, a samochód już mam.

– To coś, co stoi w twoim garażu, nazywasz samochodem? Ile ten twój garbaty niemiec ma lat?

– W przyszłym roku będzie obchodził trzydziestkę – szliśmy na parking, gdzie stał samochód Krzyśka.

– To może czas na zmianę? Wiesz, mam na oku coś nowego i chcę się rozstać z tym francuzikiem. Tobie, przyjacielowi, bardzo tanio sprzedam.

– Niestety, nie jestem zainteresowany – powiedziałem, zapinając pas.

Wnętrze samochodu wypełniał delikatny zapach damskich perfum.

– Od kiedy używasz kobiecych perfum? – zażartowałem.

– Właściwie nie używam, tym razem to specjalnie dla ciebie – odpowiedział z uśmiechem.

Jechaliśmy prawie pustymi ulicami Świnoujścia. Było widać, że sezon już się skończył. Ciemne witryny zamkniętych pubów i restauracji, nieliczne osoby idące chodnikami. Miasto przygotowywało się do odpoczynku.

– Jaki plan działania? – zapytałem, gdy wjechaliśmy na hotelowy parking.

– Wszystko omówimy w pokoju – odpowiedział.

Hotel także nie przeżywał obłężenia. Kilkanaście osób mówiących po niemiecku siedziało w hotelowej restauracji. Pewnie jakaś wycieczka emerytów – pomyślałem, idąc za Krzyśkiem do recepcji. Niska blondynka, jak na mój gust nadmiernie wychudzona, obdarzyła Krzyśka szerokim uśmiechem.

– To jest pani Beatka, najbardziej uroczą recepcjonistką nad całym Bałtykiem. Załatwi z tobą wszystkie formalności. Ja tymczasem muszę zadzwonić.

Odkąd pamiętam Krzyśka, zawsze podrywał dziewczyny. Nie zapomnę pierwszego dnia naszej znajomości. Stałem w kolejce do zakwaterowania w akademiku. Kilka metrów przede mną stał chłopak. Rozmawiał z nowo poznaną studentką. Jak wynikało z rozmowy, studiowała na drugim roku historii sztuki. Zanim przyszła jej kolej do zakwaterowania, byli umówieni na wieczór. Po otrzymaniu przydziału powlokłem się z ciężkim plecakiem na trzecie piętro do pokoju trzysta trzynaście, gdzie zastałem już współlo-

katora. Był nim chłopak z kolejki. Jeszcze tego samego wieczoru wybraliśmy się do knajpki na „rozeznanie łąki”, jak to określił Krzysiek. Gdy spytałem co to znaczy, wyjaśnił, że trzeba zobaczyć, jakie dziewczyny są do wyrwania. W klubie było kilkudziesięciu studentów. Krzysiek rozejrzał się po sali, zatrzymując spojrzenie na dziewczynach, by po chwili zawyrokować:

– Ten kwiatuszek będzie dla ciebie idealny – wskazał dziewczynę siedzącą przy barze. Była bardzo wysoka, miała krótko obcięte czarne włosy. Ubrana w bordowe obcisłe sztruksy i granatowy golf wyglądała ponętnie. Siedziała nad kubkiem kawy, notując coś w zeszycie. Krzysiek podszedł, pociągając mnie za sobą:

– Cześć – powiedział, jakby znał się z dziewczyną od dawna.

– Cześć – odpowiedziała, podnosząc lekko głowę.

– Czy możesz przez chwilę zaopiekować się moim przyjacielem? – głos miał swobodny i pewny. – Muszę załatwić bardzo ważną sprawę, a on raczej mi w tym nie pomoże. Dziewczyna podniosła głowę znad zeszytu, mierząc nas intensywnie zielonym spojrzeniem:

– Czy ja wyglądam na nianię? – zapytała zaczepnie.

– Nie, ale ze wszystkich osób na tej sali ty jedna wzbudzasz zaufanie i sądzę, że najlepiej zaopiekujesz się Januszkiem.

Dziewczynie na moment odebrało mowę. To wystarczyło, by Krzysiek wtopił się w coraz większy tłum.

– Ten idiota już mnie przedstawił, dodam tylko, że nazywam się Ferenc – podałem nieznamomej dłoń, którą ostrożnie uściśnęła

– Idiota? A przecież mówił, że jesteś jego przyjacielem?

– Poznałem go dzisiaj w akademiku, jest moim współlokatorem – dziewczyna nadal trzymała moją rękę.

– Mam na imię Ewelina – przedstawiła się i dopiero wtedy puściła moją dłoń.

Po skończonej imprezie odprowadziłem Ewelinę do ciotki, u której mieszkała. Pięć lat później została moją żoną. Krzysiek oddalił się w głąb holu, gdzie ustawiono fotele i sofy dla gości. Pani Beatka miała miły głos. Dałbym sobie uciąć palec, że używała perfum, które wyczułem w aucie. Szybki Bill z tego faceta – pomyślałem, idąc do windy, przy której czekał Krzysiek. Zawsze był szybki. Nie zapomnę nocy spędzonych u kolegów na karimacie, bo na drzwiach naszego pokoju wisiła tabliczka: „Pokój w remoncie”. Wśród braci studenckiej krążył żart, że gdyby Krzyskowi za każdą poderwaną dziewczynę wrywać jeden włos, to byłby łysy. Opowiadano sobie, że w jego sidła wpadła nawet wykładowczyni historii fotografii. Ale czy było tak naprawdę, tego nie wiedział nikt.

– Zamówiłem dla nas dwa sąsiadujące ze sobą pokoje. Tak będzie wygodniej i praktyczniej – powiedział, wchodząc do windy. Całe szczęście – pomyślałem, bo gdzie bym się podział, gdyby „pokój był w remoncie”. Głośno zaś powiedziałem:

– To bardzo dobrze, bo z tej Beatki to całkiem fajny kwiatuszek. Jak myślisz, da się namówić na kolację? – zapytałem, spoglądając na nasze odbicia w lustrze windy. Krzysiek – wysoki brunet o dużych piwnych oczach – wzbudzał zachwyt wśród kobiet. Ja – sięgający mu zaledwie do ramienia szatyn z przeciętnymi niebieskimi oczami. On urodzona dusza towarzystwa, ja z natury filozof. To, że mimo tylu różnic zostaliśmy przyjaciółmi, było dla mnie wielką zagadką. Może potwierdzało to tylko tezę, że najbardziej przyciągają się przeciwieństwa. Mimo tylu sprzeczności potrafiliśmy zbudować silną przyjaźń w męskim wydaniu. Tworzyliśmy też doskonały duet zawodowy. Ja wymyślałem pomysły i znajdowałem zlecenia, on negocjował warunki i organizował całą resztę.

– Z tego co wiem, to nie umawia się z żonatymi – odpowiedział, gdy wysiadaliśmy na czwartym piętrze.

– To wielka szkoda – powiedziałem, idąc korytarzem.

Pokój przypominał dziesiątki innych, w których zatrzymywałem się podczas swoich podróży. Podobne meble, podobne wykładziny, podobne kafelki. Ani krzty oryginalności – pomyślałem, stawiając plecak obok stolika. Krzysiek usadowił się wygodnie w dużym fotelu podobnym do tych stojących w holu.

– Jaki jest plan działania? – zapytałem, wypakowując rzeczy z plecaka.

– Na jutro, jeżeli będzie pogoda, mamy zamówiony śmigłowiec. Trzeba będzie to urocze bydlę obfotografować z powietrza. To twoja działka, bo nie znoszę latania – dodał, krzyżując nogi w kostkach. – Ja spróbuję zrobić fotki z lądu i morza, ale nie wiem, co z tego wyjdzie. Ta bestia jest naprawdę wielka i piękna. Jeżeli w ogóle można tak powiedzieć o promie mającym dwieście metrów długości i zabierającym dwa i pół tysiąca ludzi. Pojutrze wejdziemy na pokład, zdjęcia wnętrza zajmą nam jakieś dwa dni.

– Ale mówiłeś, że roboty jest na pięć dni!

– Januszk, płacą nam za całość, przewidziałem na robotę pięć dni. Jeżeli uwiniemy się szybciej, to resztę czasu spędzimy na przebywaniu w miłym towarzystwie.

Praca zajęła nam cztery dni. Hestia, bo tak nazywał się prom, był naprawdę imponujący. O tym, że jest luksusowy i bezpieczny, dowiedziałem się, robiąc zdjęcia w środku. W pierwszy rejs miał wypłynąć za kilka tygodni.

Wieczorem po kolacji, gdy przeglądaliśmy zdjęcia, zapytałem Krzyska co sądzi o zrobieniu albumu o wilkach żyjących w Polsce?

– O wilkach? – jego spojrzenie i głos wyrażały zaskoczenie. – To pomysł wart rozważenia. Zobaczę, czy są szanse na znalezienie wydawcy, a ty poszukaj wilków.

Wróciłem do domu, który znowu był pusty. Ewelina wyjechała do Pra-
gi robić reportaż. Usiadłem w kuchni ze szklanką piwa i rozejrzałem się.
Dwa lata ciężkiej pracy kosztowało nas odremontowanie tego starego domu.
Odziedziczyłem go po wuju, którego prawie nie znałem. Był starszym bra-
tem mojego ojca. Nie miał własnych dzieci i najpewniej dlatego objąłem po
nim schedę. Gdy pierwszy raz zobaczyłem ten dom, miałem ochotę zrównać
go z ziemią i na tym miejscu zbudować nowy. Budynek mógł mieć jakieś sto
dwadzieścia lat. Mur pruski był w opłakanym stanie. Pozbawione elewacji
ściany zwietrzały. W niektórych miejscach przez dziury można było zajrzeć
do środka. Na dachu pozostała tylko połowa dachówek. Większość okien nie
miała szyb. Środek domu wyglądał jeszcze gorzej. Gnijące podłogi, grzyb na
ścianach, gryzonie, ptaki i owady jako lokatorzy. To Ewelina namówiła mnie
na remont. Dlaczego mamy niszczyć coś, co jest piękne? Prawda, że wymaga
gruntownego remontu, ale ma swój urok i zapewne swoją historię, przeko-
nywała. Nie oszczędzaliśmy sił, pracując po kilkanaście godzin dziennie. Do
tego, czego nie potrafiliśmy zrobić sami, wynajmowaliśmy fachowców. To
właśnie jedna z ekip, która wymieniała podłogi, znalazła pod jednym z pro-
gów skrytkę, w której było małe blaszane pudełko. Znaleźliśmy kilkanaście
fotografii. Przedstawiały one mieszkańców tego budynku. Były to głównie
zdjęcia robione podczas wyjątkowych wydarzeń. Na jednym widniał dom,
przed którym stała grupa czterech osób.

Mężczyzna około czterdziestki trzymał na ręku małą, może czterolet-
nią, dziewczynkę. Obok stał niewysoki chłopiec, a za nim młoda kobieta.
Mężczyzna i chłopiec mieli na głowach jarmułki. Przyjrzelśmy się domowi.
Nie zmienił się znacząco od tamtej pory. Jedynie nad drzwiami wejściowymi
biegła pozioma belka, której teraz nie było.

– Tu jest coś napisane – powiedziała Ewelina z ekscytacją w głosie, wska-
zując palcem belkę. – Daj lupę – popędziła mnie. Przez chwilę wpatrywała się
w zdjęcie. Czekałem spokojnie, bo domyślałem się, co Ewelina tam zobaczy.

– Który rok? – zapytałem obojętnym głosem. Ewelina patrzyła na mnie
ze zdumieniem w zielonych oczach.

– 1895 – odpowiedziała, obejmując mnie za szyję. – Skąd wiedziałeś? –
zapytała cicho.

– Raczej się domyślałem. Sporą część domów budowanych w tamtym
okresie sygnowano datą budowy. Umieszczano ją na elewacji albo w przy-
padku domów z muru pruskiego na drewnianych belkach nad wejściem.

– Skoro jesteś taki mądry, to powiedz mi, jak nazywał się mężczyzna na
zdjęciu i czym się zajmował.

– Nazywał się Goldschteyer i był kupcem.

- Niestety nie, kochanie. Nazywał się Daniel Leyer i był lekarzem – odpowiedziała triumfalnie. Tym razem to ja byłem zdumiony.
- A skąd to wiesz?
- Ze zdjęcia – powiedziała, pokazując mi niewielką tabliczkę obok drzwi.

Data na odwrocie zdjęcia wskazywała, że zrobiono je 20 lipca 1928 roku. Ewelina postanowiła dowiedzieć się czegoś o rodzinie Leyerów. Zajęło jej to prawie dwa miesiące. Nie wiem, jak to zrobiła i gdzie szukała informacji, ale owoce jej pracy były zaskakujące. Daniel Leyer był synem Izzydora Leyera, gdańskiego kupca. W 1916 roku ukończył medycynę w Warszawie. Wrócił do rodzinnego domu w Pszczółkach i rozpoczął praktykę lekarską. Rok później ożenił się z Martą Synowic. Mieli dwoje dzieci, Szymona i Reginę. Po śmierci ojca w 1937 roku Daniel sprzedał sklepy i składy, które odziedziczył. Przeczując wojnę, sprzedał także dom i wyjechał z rodziną do Nowego Yorku. Niestety, Ewelinie nie udało się ustalić dalszych losów Leyerów.

Po dwóch latach z dumą podziwialiśmy efekty naszej pracy. Groszkowa elewacja kontrastowała z ciemnobrązowymi belkami konstrukcji. W powiększonych otworach okiennych dumnie prezentowały się weneckie okna. Asymetryczny wielospadowy dach przykryty był dachówką koloru ciemnej czekolady. Nad wejściem ponownie biegła pozioma belka z wyrytą datą 1895.

Wróciłem do terażniejszości. Obrzuciłem spojrzeniem teren wokół domu. Trawniki potrzebowały kosiarki i to szybko. Ewelina wracała dopiero za pięć dni. Miałem sporo czasu na porządki. Mniej więcej od roku mijaliśmy się jak dwa pociągi jadące w różne strony. Gdy Ewelina była w domu, to ja właśnie fotografowałem kościoły na drugim końcu Polski. Gdy ja wracałem, to akurat Ewelina musiała wyjeżdżać do Pragi, Paryża czy Berlina na wywiad lub reportaż. Wiedzieliśmy doskonale, że taka sytuacja nie może trwać wiecznie, że kiedyś będziemy musieli znaleźć jakieś rozwiązanie. Jednak teraz nie miałem ochoty szukać recepty na nasz związek.

Cztery dni ciężkiej pracy wycisnęły ze mnie prawie wszystkie życiodajne soki. Napuściłem do wanny dużo gorącej wody. Dosypałem garść soli. Zanim wszedłem do kąpieli, zadzwoniłem do Eweliny. Włączyła się poczta głosowa. Zostawiłem wiadomość. Zrzuciłem z siebie ubranie i z przyjemnością zanurzyłem ciało w aromatycznej pianie, myśli zaś zanurzyły się w niedostępnych lasach. Zdawałem sobie sprawę, że nie mogę sam wybrać się w leśne ostępy i czekać na wilki. Mógłbym tam siedzieć całe lata i nie spotkać żadnego. Musiałem znaleźć kogoś, kto je zna, kto wie o nich wszystko. Tylko czy w Polsce jest ktoś taki? Tego właśnie musiałem się dowiedzieć. Wyszedłem z wanny, wycierając ciało szorstkim ręcznikiem. Małżeńskie łóżko wydało mi się za duże dla mnie jednego. Znalazłem wygodną pozycję, przykryłem się kołdrą po samą brodę. Znaleźć wilczarza – zapisałem w pamięci, a chwilę później już spałem.

Bładym świtem pełen zapachu rozpocząłem poszukiwania specjalisty od wilków. Po godzinie spędzonej w Internecie przekonałem się, że to niełatwe. Informacji o samych wilkach było wprawdzie na pęczki, jednak nie udało mi się odszukać nikogo, kto spełniałby moje oczekiwania. Napisałem maile do kilku stowarzyszeń, które zajmowały się ochroną wilków. To była moja ostatnia nadzieja. Chyba za bardzo wierzę w moc Internetu – pomyślałem, zamykając laptopa. Rozprostowałem nogi i wyszedłem na podwórko.

- To już chyba ostatnie koszenie w tym roku – zagaił pan Staszek, emerytowany górnik, który dwa lata temu kupił dom obok nas. Stał przy płocie i czyścił kosiarkę. Szczęściarz, ma to już za sobą, pomyślałem.

- Chyba tak – powiedziałem, ogarniając wzrokiem las sąsiadujący z działką.

Drzewa zaczęły już tracić liście. Październikowe słońce grzało jeszcze, ale promienie były jakby mniej ciepłe i wyblakłe. Zanim skosiłem trawę, zgrabiłem liście i wpakowałem je do kompostownika, zegarek wskazywał pierwszą po południu. Czekają mnie jeszcze opracowanie zdjęć ze Świnoujścia, ale odłożyłem to na później. Wsiadłem do swojego starego pocziwego garbusa i pojechałem przed siebie, byle dalej od pustego domu. Jazda po kaszubskich drogach nie zdołała zagłuszyć tęsknoty za Ewelina. Wiedziałem, że ona mnie kocha, że jest w stanie poświęcić dla mnie bardzo wiele oprócz swojej pracy. To samo było ze mną. Nigdy nie poświęciłbym dla niej fotografii. Łączyło nas coś więcej niż tylko głębokie uczucie. Była to wytrwale i starannie budowana przyjaźń, która z czasem zmieniała się w miłość. Teraz jednak zaczynałem mieć wątpliwości, czy nasze małżeństwo ma szansę być długie i szczęśliwe. Zastanawiałem się jak długo jeszcze będziemy akceptować ciągle rozłąki.

Przez kolejne dni i tygodnie sprawa wilków stała w miejscu. Wysyłałem maile, przeglądałem fora internetowe. Nikt nie znał osoby, której szukałem. W połowie lutego zadzwonił Krzysiek z informacją, że znalazł wydawnictwo zainteresowane albumem o wilkach. Zaprosiłem go do siebie, aby razem zastanowić się nad realizacją tego projektu. Obiecał wpaść na weekend z zastrzeżeniem, że nie będzie sam.

- Widzę, że francuza zamieniłeś na azjatycką piękność – zażartowałem, gdy zaparkował swój nowy samochód obok domu.

- Zawsze podobały mi się Azjatki – odpowiedział, puszczając do mnie oko.

- A gdzie twoja zdobycz, z którą miałeś przyjechać? Chyba nie masz jej w bagażniku? – dodałem, obchodząc samochód.

- Niestety, Jolanta nie mogła się wyrwać z pracy. Wypadło jej nagranie i musiała zostać w stolicy.

- Nagranie? Pracuje w telewizji?

- Tak, ale to nic specjalnego.

- No powiedz, w jakim programie – nalegałem.
 - Kulinarnym – odpowiedział z ociąganiem i szybko zmienił temat, pytając o Ewelinę.
 - Jest w Krakowie. Wraca jutro rano. Wyjedziemy po nią na dworzec.
- Po kolacji, siedząc w salonie, Krzysiek opowiedział mi, jak znalazł wydawnictwo.
- Ale jest jeszcze jedna rzecz, o której nie wiesz – dodał, pociągając łyk piwa.
 - Mów.
 - UNESCO organizuje konkurs na album fotograficzny. Konkurs nosi tytuł „Ocalić od zapomnienia”. Zamierzam zgłosić nasz album.
 - A zdążymy go wydać?
 - Spokojnie, w tym roku przyjmowane są tylko zgłoszenia. Prace trzeba złożyć do połowy przyszłego roku. Tak więc mamy mnóstwo czasu na zrobienie i wydanie albumu.
 - Ale nie mamy wilczarza.
 - Kogo? – spytał Krzysiek.
- Wyjaśniłem mu kogo potrzebujemy, aby w ogóle zacząć.
- Nie można dać ogłoszenia? – zapytał, pociągając kolejny łyk.
 - To nie murarz, cukiernik czy fotograf, że dasz ogłoszenie i będziesz mógł wybierać w kandydatach. Ale znajdę. Zobaczysz. Mam plan. Z informacji wyszukanych w Internecie wynikało, że wilki zamieszkują głównie północno-wschodnią i południowo-wschodnią część kraju. Ze wszystkich nadleśnictw znajdujących się na terenach zajmowanych przez wilki wytypowałem osiem, które postanowiłem odwiedzić. Najbliżej miałem do położonych w Puszczy Augustowskiej i Wigierskim Parku Narodowym.
- Pierwszą wizytę złożyłem w największym nadleśnictwie Płaska w Puszczy Augustowskiej. Potężnie zbudowany leśniczy, którego prędzej wziąłbym za drwala, przywitał mnie serdecznie. Zaprosił na werandę leśniczówki i cierpliwie wysłuchał.
- Z wilkami, młody człowieku, to jest tak – zaczął. – W tutejszych stornach nie są lubiane. Kiedyś, gdy było ich kilkanaście, nikt nawet nie wiedział, że są. Jednak odkąd zakazano odstrzału i objęto je ochroną, rozmnożyły się do prawie setki. Tak to już jest, że urzędnicy za biurkami chcą chronić wilki, ale nie pomyślą, żeby zwiększyć rekompensaty dla rolników, którym wilki pożerają zwierzęta. Tylko w ubiegłym roku na moim terenie zagryzły trzy cielaki, krowę, dwie kozy i konia. O tym, że liczebność zwierzyny leśnej zmniejszyła się prawie o połowę, nie wspomnę. Niestety, nie będę mógł ci pomóc, ale dam ci dobrą radę. Zamiast wilków fotografuj ptaki. Znam wysmienitego ornitologa. Ptaki wszyscy lubią, a wilków i tych, którzy stają w ich obronie, niekoniecznie.
 - Wstał od stołu, podał mi ogromną twardą od pracy dłoń, tym samym dając do zrozumienia, że wizyta skończona.

Wracalem do pensjonatu z metlikiem w glowie. Inaczej wyobrazałem sobie wizyte w nadleśnictwie. Nie robilem sobie nadziei, że od razu znajde osobę, której szukałem, ale nie spodziewałem się takiej niechęci. Następane trzy dni przekonały mnie, że może być jeszcze gorzej. W pozostałych nadleśnictwach spotkałem się z otwartą wrogością. Do odwiedzenia pozostało mi jeszcze tylko jedno. Miałem nawet ochotę zmienić plany i wracać do domu, ale postanowiłem dokończyć to, co zacząłem. Nadleśnictwo Liski było jednym z mniejszych na tym terenie. Do leśniczówki prowadziła brukowa droga. Drewniany budynek osadzony na kamiennym fundamencie pokryty był czerwoną dachówką. Z jednego boku przylegał do niego ogródek. Z drugiego dobudowany drewniany garaż. Z przodu na krytej werandzie stał stół z dwiema ławami. Gdy zaparkowałem, z budynku wyszła staruszka.

– Czy zastałem leśniczego? – zapytałem.

– Nie, męża nie ma, ale powinien wrócić za pół godziny. Może pan poczeka? – zaproponowała, zapraszając na werandę.

Była chuda. Długie mleczne włosy zaplotła w gruby warkocz. Miała sympatyczny głos, ruchy pewne i energiczne. Tylko pajęczyna zmarszczek wokół szarych oczu świadczyła o jej wieku. Przedstawiłem się i powiedziałem, co mnie sprowadza.

– Chce pan fotografować wilki? – w jej pytaniu wyczułem zainteresowanie.

– Mam taki zamiar – odpowiedziałem ostrożnie, nie wiedząc, czego się spodziewać.

– To wspaniałe zwierzęta – powiedziała, nakładając na talerzyk duży kawałek drożdżowego ciasta.

– Pan je, dzisiaj upiekłam.

Zanim dopiłem herbatę i zjadłem ciasto, zjawił się leśniczy, Joachim Kluska. W jego przypadku nazwisko mówiło samo za siebie. Niski, zaledwie kilka centymetrów wyższy od żony, okrągły jak dobrze utoczonakluska, wciąż podkreślał sumiaste wąsy. Przedstawiłem się i powtórzyłem sprawę z jaką przyjechałem.

– Młodzieńcze, ja już jestem na emeryturze, a mieszkam tu tylko dlatego, że nie mam zamiaru umierać gdzie indziej. Młody leśniczy ma dom we wsi, ale on nie przepada za wilkami. Gdybym miał dwadzieścia lat mniej, to bardzo chętnie bym ci pomógł, ale w moim wieku człowiek potrzebuje ciepłych kapci i gorącej herbaty. Znam jednak kogoś, kto może zechce ci pomóc. To moja wnuczka, Karolina. Na wilkach zna się jak mało kto. Teraz też gdzieś za nimi lata.

Opuszczałem parę staruszków z nadzieją, że być może znalazłem osobę, której szukałem. Nie miałem wcale pewności, czy wnuczka Klusków mi pomoże, ale liczyłem na powodzenie sprawy.

W OBJĘCIACH ŚWIADOMOŚCI

*

Tegoroczna zima zdążyła już nam pokazać na co ją stać; a to przecież nie koniec. Zapewne jeszcze nie raz popisie się swoimi możliwościami. Dawno, oj dawno nie gościliśmy takiej aury u siebie. Dla mojego pokolenia, to nic szczególnego. Tęgie mrozi i obfite ilości śniegu dawnymi laty nikogo nie dziwiły. Nikt z tego powodu nie biadolił. Zima, to ... zima.

W pokoju nastała popołudniowa cisza. Łucja śpi na wersalce. Za oknami chybota się, pod wpływem mroźnego wiatru, gałęzie pobliskich drzew. Surowe, miejscami wręcz posępne bloki mieszkalne z rzędami milczących okien, uparcie skrywają w sobie mniejsze i większe tajemnice. W tych betonowych pudłach żyją, kochają się, marzą, ale i też klną na ten świat tacy jak ja. Wielu z nich zapewne i w tej chwili patrzą w moje okno, i być może myślą nawet o podobnych sprawach. Hej, pozdrawiam was! Zapraszam na kawę. Cha, cha, cha ...! Śmieję się, bo wiem dobrze, że nie skorzystają z zaproszenia. Dlaczego? Nie chce im się, bo nie wypada, bo ... wolą gapić się bezmyślnie w telewizor. Stara śpiewka. Prawda jest jednak taka, że nie chcą się z byle kim zadawać. Proste.

Ach, bym zapomniał! Dzisiaj są moje urodziny. Skończyłem właśnie 60 lat. Sto lat, sto

lat ...! Och, dziękuję, dziękuję! Jacy jesteście wspaniali, moi drodzy przyjaciele! Że też pamiętaliście o mnie! To naprawdę wzruszające. Proszę, proszę ... nawet szanowna rodzinka dołączyła się do chóru. Chyba zaraz się rozpłaczę. Pozdrawiam was serdecznie.

Odwróciłem głowę. Żona śpi nadal. W mieszkaniu wciąż ta sama cisza wygodnie rozpostarła swe zmęczone ciało na ścianach, meblach, dywanie. Milczy telefon. Dzwonek u drzwi także.

*

I znów dopadły mnie wątpliwości dotyczące sensu tworzenia. Po raz kolejny - i to w krótkim czasie - zadaję sobie te same, nadzwyczaj proste pytanie: po co w ogóle piszę i dla kogo? Wiem, że to już stało się banałem, ale nic na to nie poradzę. Trudno.

Codziennie - z małymi wyjątkami - kreślę na białej, czystej kartce (bez kratek, czy też linijek) kilka zdań. Raz wychodzi mi to lepiej, raz gorzej. Dlaczego to robię? Trudno mi tak od razu odpowiedzieć na tak skomplikowane

pytanie, jednak ... spróbuję. Uprawiam tego rodzaju sztukę może dlatego, że są właśnie czyste, pełne tajemniczego powabu kartki, że od wieków są różnego rodzaju przyrządy do pisania, a nade wszystko dlatego, że jest ... literatura. Proste, prawda? Od wczesnych lat młodzieńczych ciągnęło już mnie do tego rzemiosła artystycznego. Oczywiście, doskonale zdaję sobie sprawę z tego – jak już zapewne wspomniałem na tych kartach i jeszcze nie raz to uczynię - iż ta amatorska twórczość stała się moją obsesją, a nawet pewnego rodzaju narkotykiem. Dlatego, mimo usilnych starań, nie mogę się jej przeciwstawić; jej czar po prostu mnie obezwładnia. Sam akt zmagania się z tworzywem literackim sprawia mi niebywałą radość. Niezależnie od tego, czuję się chociaż częściowo spełnionym człowiekiem, pozbawionym skrupułów, że do cna zmarnowałem swój czas, który został mi przecież подарowany. Poza tym, przez cały okres trwania owej pracy twórczej, czuję się wolnym, niezależnym od nikogo i niczego człowiekiem. Jak długo będzie jeszcze trwała ta sielanka, tego nie wiem. Na pewno któregoś dnia się skończy. Lecz póki co, piszę dalej.

*

Twarze. Setki twarzy, tysiące. Twarze mężczyzn, kobiet i dzieci. Twarze mądre, głupie i nijakie. Twarze pokojowo usposobione i te wrogie. Różne. W nierównych częstotliwościach mijają się ze sobą, rozmawiają, czasem nawet uśmiechają się do siebie. Miejscami można mieć pewne trudności z rozpoznaniem, czy to twarz żywa, czy też maska. Twarz? Maska? O, przepraszam!

*

W zasadzie, można by było zarzucić na siebie plecak i wyruszyć z tego miejsca w świat. Po prostu pójść przed siebie - albo pojechać autobusem, czy chociażby rowerem - i nie oglądać się w ogóle za siebie. Porzucić swoje dotychczasowe życie, zostawić w nim rodzinę, bliższych i dalszych znajomych, wrzucić do śmietnika nurtujące mnie obecnie problemy i ... podążyć, niczym błędny rycerz, ku nieznanemu.

Od dawna, przyznaję, zastanawiałem się na zmianą swojej egzystencji, nad opuszczeniem środowiska, w którym trwam od urodzenia. Tyle tylko, że nie jest to dla mnie takie łatwe przedsięwzięcie, jakby się wydawało. Pozostawić w tak bez troski sposób wszystko to, na co składała się moja tożsamość, opuścić bliskie mi osoby, odciąć się na zawsze od swoich korzeni i przenieść się na zupełnie obcy grunt, na dodatek w tak już mocno zaawansowanym wieku?! Czy aby nie jest to głupota, a nawet tchórzostwo? A jakby się tak głębiej zastanowić nad tym pochoptym rozwiązaniem problemu, czy ów czyn nie kwalifikowałby się on na pewnego rodzaju samobójstwo egzystencjalne? Zamiast oczekiwać zdecydowanej odpowiedzi na to kontrowersyjne pytanie, proponuje poruszyć w tym miejscu inne, za to zasadnicze zagadnienie. Otóż

... dlaczego w ogóle zdecydowałem się poruszyć ten problem? Odpowiadam. Od dawna, śmiem nawet twierdzić, że od urodzenia - według kategorii myślenia społeczeństwa drobnomieszczańskiego, a szczególności tak zwanych nowobogackich - byłem, a teraz tym bardziej jestem, na straconej pozycji. Według nich, mnie po prostu NIE MA. Skoro tak, to co mam do stracenia? Nic. Szczególnie teraz, kiedy osiągnąłem już „swój” wiek. Za kilka lat stanę się jeszcze bardziej zniedołężniałym i sfrustrowanym człowiekiem. Po co więc mają mnie takiego oglądać? Rodziny praktycznie już nie mam. Nikt mi zatem w niczym nie pomoże, nie poda ręki, a tym bardziej szklanki wody. Czy nie lepiej, w takim przypadku, umrzeć W DRODZE?

*

Czy sam proces myślenia o czymś wyjątkowym, nadzwyczajnym można nazwać aktem twórczym? Śmiem twierdzić, że tak. Zatem, idąc tym śladem rozumowania, niekoniecznie trzeba zapisywać na kartce papieru - albo komputerze - górnolotne zdania, niekoniecznie trzeba nanosić pędzlem na płótno farbę olejną, czy też, dajmy na to, kreślić na pięciolinii nuty, żeby udowodnić światu, iż jest się naprawdę twórcą, czy artystą w danej dziedzinie sztuki.

W mentalności współczesnego człowieka - naszej cywilizacji, rzecz jasna - przyjęło się, iż akt twórczy powinien być w jakiejś formie zmaterializowany. Samej myśli nie można przecież zobaczyć, dotknąć, usłyszeć, posmakować, a już na pewno odpowiednio sprzedać - komercja przede wszystkim. Znając jednak niepokonywany pęd człowieka do nowinek technicznych, daję głowę, że to tylko kwestia czasu, że ów pomysł zostanie rozwiązany. Z pewnością część naukowców już pracuje nad tym zagadnieniem. To by dopiero była rewolucja! Nagroda Nobla murowana.

Mam pomysł! Proponuję kwestię uznania, czy też nie uznania myślenia jako aktu twórczego poddać pod głosowanie w Parlamencie. A dopiero później pomysłodawcę tego pomysłu, czyli mnie, postawić przed oblicze Specjalnej Komisji Śledczej.

*

Coś we mnie pękło. Niechybnie utworzyła się większa niż dotychczas, a przez to bardziej wyrazista rysa na świadomości, kształtowanej od początku istnienia w realnym świecie. Ciekawe, co tym razem się stało? Jaka przyczyna tej awarii? Można by było za taki stan rzeczy obarczyć winą deformację rzeczywistości, której niewątpliwym wodzirejem jest mentalność współczesnego człowieka. Czyżby tak do końca była to prawda? Czy to nie jest aby wyrafinowane wygodnictwo? Jest, przyznaję. I to spore. Przepraszam. Zatem, jaka jest prawda? Już spieszę z odpowiedzią. Głównym winowajcą tej awarii świadomości jestem ja sam, a ściślej moja dotychczasowa

droga życiowa, którą (jak większość ludzi na świecie) wybrałem zupełnie przypadkowo, przez co wpadłem w gęstą sieć, sprzecznych często ze sobą, związków przyczynowo-skutkowych.

W tym miejscu można by było jeszcze długo wymądrzać się nad zadaniem przez samego siebie tematem, tylko, po dłuższym namyśle, doszedłem do wniosku, że nie ma sensu. Tak naprawdę nie jest to nikomu potrzebne do szczęścia. Dlatego wolę pozostać przy tej krótkiej, lakonicznej odpowiedzi.

*

W tym roku Natura szczerze obdarzyła nas śniegiem i tęgim mrozem. Bardzo dawno nie gościliśmy u siebie tak srogiej zimy. Dopiero teraz można sobie uzmysłowić, jak do tej pory byliśmy prze Nią rozpieszczani. Cóż, wszystko kiedyś się kończy.

Sobotnie przedpołudnie 13 lutego 2010 roku. Zaparzyłem kawę. Jej aromat pobudził mnie do działania. Szybkim, zdecydowanym ruchem ręki sięgnąłem po długopis, żeby napisać chociażby tylko kilka tych prostych, żeby nie powiedzieć trywialnych zdań. Cieszę się z tego niebywale, bo już myślałem, że nie zdołam wykrzesać z siebie odrobinę inwencji twórczej. Jest to fakt godny uwagi, albowiem potwierdza moją nieodpartą chęć działania w tym kierunku. A ta z kolei jest ewidentnym dowodem tego, że chce mi się jeszcze żyć. Ba, marzy mi się nawet, aby ów stan trwał jak najdłużej, do ostatnich dni moich. Amen.

*

Chociaż od tamtego czasu minęło już prawie 45 lat, to jednak tych kilka godzin wyrwanych z dwóch dni pamiętam w miarę dobrze. Utkwiły mi w pamięci dlatego, iż to one właśnie w znacznym stopniu przyczyniły się do tego, że tak zwana twórczość literacka stała się w późniejszym okresie życia moją pasją. O zawodzie prawdziwego pisarza nigdy nie myślałem. Chciałem tylko pisać w wolnych od innych zajęć chwilach. A gdyby kiedykolwiek zaistniałaby możliwość opublikowania mojego utworu w lokalnej gazecie, to ... byłby naprawdę wielki sukces; i wcale nie miałbym nic przeciwko temu.

Profesorem języka polskiego w pierwszej klasie szkoły zawodowej, do której uczęszczałem, był nie pierwszej już młodości nauczyciel w okularach. Ten szczupły, cichy, zdający się być ciągle zamyślony, a jednocześnie zrównoważony i pogodny belfer, wszedł owego dnia do klasy, i niemal bezszelestnie zbliżył się do katedry. W podobny sposób zajął miejsce na krześle, otworzył dziennik i dźwięcznym głosem sprawdził obecność. Wyczytany uczeń wstawał i odpowiadał głośno: „obecny”, albo „jestem”. Kiedy profesor P. uporał się z tym zadaniem, powiódł po nas badawczym wzrokiem, po czym rzekł:

- Tak, zatem mamy to już za sobą. A teraz, moi drodzy, wyjmijcie kartki i zapiszcie na nich swoje imię, nazwisko i klasę. Za chwilę podam temat wypracowania.

W ławkach zapanowało poruszenie. Każdy na każdego spojrzał zdziwionymi oczami. Klasówka? Jakim prawem? Przecież nie była zapowiedziana! Nikt jednak nie odezwał się ani słowem, bo i tak nie miało by to sensu. Posłusznie więc wyrwaliśmy ze środka zeszytu kartkę i nanieśliśmy swoje dane.

- Gotowi? - spytał krótko profesor.

- Tak - burknęliśmy zgodnym chórem.

- Oho, młodzież nie zadowolona. Może i słusznie. Faktycznie, nie zapowiadałem na dzisiaj klasówki. Przepraszam was bardzo. Tylko słuchajcie. To nie jest sprawdzian o jakim myślicie. Nie musicie się niczego obawiać. Nic strasznego was nie czeka. No, to tyle tytułem wstępu. A teraz zapiszcie temat wypracowania: „Jesień w moim mieście.” Proste, prawda? Są pytania? Nie ma. Macie czas do końca lekcji. Proszę bardzo, zaczynajcie.

Uniosłem rękę z piórem, a ona zawisła nieruchomo nad kartką. Nic. Pustka. Nawet skrawka pomysłu. W jego poszukiwaniu zacząłem uparcie wpatrywać się w nakreślone na białym polu linie. Bez rezultatu. Bezwiednie więc przeniosłem wzrok na jedno z kilku wysokich okien gabinetu języka polskiego. Pomogło. Wraz z intensywną pracą mózgu, z lochów świadomości, a nawet i podświadomości, zaczynałem wyciągać uśpione części wyobraźni, i od razu zaprząłem je do ciężkiej pracy nad zadaniem przez starego profesora tematem. Na pozór owe zadanie klasowe było proste, nie wymagało od ucznia wiedzy z czystej teorii literatury, lecz w zamian za to autor wypracowania musiał popisać się samodzielnym myśleniem, szczególnym rodzajem obserwacji, a już na pewno odrobiną talentu twórczego w tej akurat dziedzinie sztuki.

Schyliłem głowę, ścisnąłem mocniej pióro i przystąpiłem do materializowania swoich myśli, które coraz ciasniej koncentrowały się wokół jesieni, tej szczególnej porze roku, której najbardziej charakterystycznym elementem były rozłożone na ulicach miast dywany z kolorowych liści. Swobodnie, bez jakichkolwiek zahamowań poruszałem się po wyznaczonych polach kartki z zeszytu. Czułem się wyjątkowo wolnym, pełnym twórczej inwencji człowiekiem. Skoncentrowany byłem tylko nad tym, co aktualnie robiłem, czyli, w moim odczuciu, pracy literackiej. Wreszcie mogłem dać upust swojej wyobraźni artystycznej, wreszcie mogłem wydobyć z siebie to, co tkwiło we mnie od dawna, co drzemało przez długie lata, czego nie mogłem wykorzystać wcześniej. Pisałem do samego dzwonka.

Kilka dni później, na lekcji języka polskiego, profesor P. rozdał wszystkim poprawione już wypracowania. Kiedy dotarła do mnie kartka z moim nazwiskiem, z niedowierzaniem, ale i zarazem dumą wpatrywałem się w

jaśniejącą czerwonym blaskiem ocenę. Otrzymałem „bardzo dobry” i na dodatek z wykrzyknikiem. Aż tak wysokiego wyniku (najwyższego w tamtych czasach) nie spodziewałem się.

Po sprawdzeniu listy obecności, stary nauczyciel, jak zwykle powiódł po nas wzrokiem pełnym tajemnic, po czym rzekł:

- Klasówka wypadła w miarę dobrze. Był to, jak sami zapewne zauważyliście, sprawdzian waszych umiejętności posługiwania słowem pisany, albo bardziej po literacku, piórem. Największym talentem błysnął Filip Rejn. Zatem, Filipie, przeczytaj na głos swoją próbkę utworu literackiego.

Na taki rozwój wydarzeń nie byłem przygotowany. Nigdy dotąd nie pisałem się przed klasą czytaniem na głos swojego wypracowania. Nie miałem jednak wyboru. Nachyliłem się nad zapisaną własną ręką kartką i drżącym głosem zacząłem czytać tekst. Po kilku zdaniach trema zaczęła ustępować. Wypracowanie szkolne doczekało się wreszcie odpowiedniej interpretacji.

W następnej klasie języka polskiego uczyła nas młoda, dosyć wysoka i nad wyraz dobrze zbudowana szatynka. Z uwagi na jej szeroką biodra przewaliliśmy ją „Wiolonczelą”. Od samego początku nie przypadła mi do gustu. Uczyła dobrze, to fakt, ale sporo jej brakowało do stylu starego profesora P.

Marek Stokowski

Lasy Pomezanii

Przychodzę tu,
ponieważ wszystko
jest tutaj doskonałe.
Przychodzę,
puszczam łódki, milczę,
liczę jastrzębie, nasłuchuję, czekam
na cud, na objawienie,
z jakiego jestem świata
i ku jakiemu idę.

Wieczór nad Starym Targiem

Bezwietrzny i pochmurny wieczór
nad Starym Targiem, w październiku.
Słysząc przesypywane zboże,
oddech psa.
Z krowich łańcuchów spływa spokój.
Za ciemnym wzgórzem jedzie wolno
daleki, niewidzialny pociąg.
Dymy zastygły nieruchomo, stoją.
Pod żółtym klonem milczy kamień.
W pęknięciu chmur
ukryte czuwa Boga oko.
Zaśnij bez trwogi,
nie jesteśmy
sami.

Pierwsza pieśń miłości z tras dojazdowych

Najcudowniejsze dziewczyny świata
jeżdżą pomiędzy
Dzierzgoniem a Malborkiem.
Lidka ze snem na twarzy,
zamyślona,
w pończochach jasnych,
kolorowych,
Ewka tak cicha, nieobecna,
rozkwitająca nagle latem,

Regina z kolczykami i Marita,
w biednych sukienkach skrywająca
nogi o kształcie i dotyku ognia.

O, niepojęte tajemnice
między Dzierzgoniem a Malborkiem!
Kiedy jedziemy bez nadziei,
kiedy nas wiozą na wydanie,
jesteście z nami, takie jasne.
Jesteście dla nas takie dobre,
gdy odsłaniacie skrawek piersi
i pozwalacie gładzić włosy,
i gdy tańczymy zapatrzeni
w przemijające krajobrazy.
Wtuleni w ciepło waszych ramion,
lecimy krzycząc nad polami
i upadamy w końcu w ciszę,
i umieramy na kolanach waszych,
najtkliwsze i bolesne
madonny rannych godzin.

Druga pieśń miłości z tras dojazdowych

Najpiękniejsze
dziewczyny świata
wracają po południu linią Malbork-Dzierzgoń.
Anka zasypiająca, Marta
zasypiająca, Maria –
Zmęczone piękno waszych włosów,
zasypiające ręce, oczy.
Umarły świat was mrokiem spoił.
Biegłyście prędko,
strwożone i zmęczone, śpiące.

-Nie bójcie się!
Oto jesteśmy przy was, wierni.
Wracamy razem. Późna jesień
nie porwie nas do miast nicości.
Za chwilę wysiądziemy
i jak co dzień
pójdziemy w liście i w ostatnie trawy,
objęci szukać zmartwychwstania.

Dzień nad ciemną rzeką

Nareszcie ciepło.
I znowu można usiąść nad Nogatem.
Niebo po burzy pachnie trawą.
Krowa kołysze cielę w brzuchu;
wolność łańcuchem odmierzoną
przeżuwa wolno, oddychając latem.

Chłopaki grają w karty, krzyczą.
Skaczą do wody, by wyłowić kamień.
Tęsknią do ciała nieznajomych kobiet
i odurzeni beznadziejnie światem
tańczą z pierwszymi demonami.

Dziewczyny siedzą nad urwiskiem,
żądne miłości gniotą trawę.
Rzeka ich śmiech i myśli słyszy,
i niesie obraz śniadych nóg
w zielony, żyzny kraj – Żuławy.

Już nie najmłodszy kochankowie
leżą z butelką słodkiej wódki.
I niczym dzieci myślą, że nie widać,
jak on przytula jej ramiona
i szepcze w kark
zaklęcia biednych ludzi.

Most dudni drewnem pod nogami
– a tylko latem ma ten ciepły ton.
Rzucamy w wodę tęsknot grosz,
a potem z krową, z czerwcem, z dziewczynami
wracamy wolno w nocy dom.
Nas stać na taką miłość i na takie życie,
nad rzeką ciemną, porośniętą zieleń.

Bóg nas wydobył tu z niebytu
i tu postawił, nad tym brzegiem.

Anna Bolt**Curriculum vitae**

Opowiadałam swoją
historię
wolnym wierszem
urodziłam się w
pruskim mieście
pod polskim niebem

mieszkałam całe
życie w kamienicy
z pruskiej cegły

przyjęłam chrzest
z wody
w katedrze z
dobudowaną celą
gdzie zamurowana
święta – rekuza

byłam niezdolnym
chorowitym – dzieckiem
czytałam „Serce” Amicisa
wzruszałam się szybko
szlochałam przed obrazem
Matki Boskiej
Ostrobramskiej w Wilnie

Nic mi się w życiu
Nie udało
Niczego nie osiągnęłam
Nie wyszłam za mąż
Nie urodziłam dziecka

często myślałam
po co to wszystko
byłam cyniczna

szukałam odpowiedzi
w książkach

w kościele
na długich spacerach
za miastem
w rozmowach z
wtajemniczonymi

dzieci uciekały
przede mną
jak przed dziwnym
ptakiem
dorośli uśmiechali się
z politowaniem

zrezygnowałam
zamurowałam się w celi
swojego pokoju

po latach
spotkałam na ulicy
opowiadaczy historii
tańczyli przed dziećmi
zaklinali słowa

włożyłam kapelusz
z broszą
umalowałam usta
wyszłam do dzieci
z historią prawdziwą
choć zmyśloną
a serce Amicisa
stuknęło jak konie
ze stadniny
kopytami o bruk

pytałam po co
Pan Bóg – stworzył
komary i muchy
kamienie i chwasty
osy i szerszenie
hieny i szakale
a dzieci klaskały i
śmiały się do rozpuku

aż pękła ziemia
a raczej zamurowana
ściana
a Pan Bóg
uśmiechał się i
mówił – po to

Werona

Średniowieczny cedr w Weronie
trwa
obok toczy się życie
kawiarnia, toaleta
ruchliwa ulica
szczęście w miłości
zapewnia prawa pierś
posągu Julii –
dobry dotyk
graffiti miłości na ścianach
kubek kupiony
na straganie
czekam na więzienne
pokoje miłości

Gdzie

Gdzie ja jestem
Na wieży
Z wylupanymi
Oknami
W parku, w którym
Ścięte drzewa
Leżą pokotem jak dzieci
Bawiące się w chowanego
Nie
Jestem na czwartym piętrze
I schodzę w dół - soptem
Rynny – na ostrą
Łąkę
Jestem gdzie jestem
Nigdzie

Marta Falkowska**Wiosenne incognito**

Sikorka nad mą głową
płaczące cicho wierzby
wokół rozlane błoto.
Nic wreszcie nie udaję
wiosennie się rozbieram
incognito

...

zapaściłam korzenie
wierzb rosochatych
ich kruche
rozpuściłam włosy
a one rozpanoszyły się
na dobre

i szumią wciąż pod mym oknem

kruche wierzby
modre

Letnie incognito

Bocian nad mą głową
ziemia pod stopami
wokół szeleści żyto.
Nic wreszcie nie udaję
tak sobie z latem stoję
incognito.

Krawiec

W moim ogrodzie rozjaśniało,
powariowały biedronki i dzwonki,
przecież jest lato a wokół tak białło.



Krawiec - czerwiec poszył na akord
z białych pąków falbanki.

W mojej duszy pojaśniało.
gorące lato

znudzoną krowę
ze znudzonym wzrokiem
wklejono w pastwiska
żuławskich pejzaży

mleczna dama
z wdzięczności
bąki zbija
ogonem

żuławska depresja

siedzę nad rzeką Nogat
wdycham lilii zapach
z bożą krówką
toczę debaty o rodzinie
biedronkowatych

ach! gdyby nie te bąki
przebąkujące
o żuławskiej depresji
byłabym szczęściem
w pełni

...

chleb słońcem pachnie
stołem bułki płyną
od setek lat
jęczmiennie
żytnio
pszennie

niezmiennie

Piotr Kuczkowski

Powiedziała
Nie chcę
Nie chcę
Wychodzić z tego dnia
Chcę
Mieć go przed oczyma
Żeby
Żadna kropla deszczu
Nie porysowała jego struktury
Żeby
Żadna błyskawica
Nie objaśniała mu
Co ma poprawić
W swoim przedstawieniu
Żeby
Nikt inny
Nie wdeptywał się w jego ścieżkę
Żeby
Można go było odrysować
Z pamięci
I powiesić na ścianie

Gdyby
Stracili wzrok
Nie skakaliby sobie
Do oczu
Gdyby
Stracili mowę
Przeszliby do czynów
Gdyby
Stracili słuch
Zyskałyby na tym
Ich gesty
Ważniejsze

Niż wszystko
Wokół kręcącego się czasu
Pamiętam wolność
Która była tak oczywista
Jak nasza obecność
Która nie mieściła się
W granicy słowa
A my
Byliśmy tylko jej atomami
Wchodzącymi w skład
Jej reakcji życia ze śmiercią

Na wygnaniu
Jeże
Przyniosły jabłka
Nie musiały
Psy
Garstkę gnatów i mięsa
Koty
Trochę pociechy
Z ciepłego futra
Ptaki
Podkład muzyczny
Wiatr
Powiew chłodny
Drzewa
Jezioro cienia
Kwiaty
Szczypkę zapachu
Razem
Dzieliliśmy się dniem
Jak ciepłym chlebem

Sebastian Kubiak

* * *

otworzyły się wrota
po cóż było bronić twierdzy
gdy nie było wroga?...

* * *

mijam
serce moje
jakże obce

„rozstanie”

jednością
byliśmy przez chwilę
blizna na życie całe

po latach
wieczorem
przymknę powieki

i znów jednością
będziemy na chwilę

Asi

„wiewiórka”

ruda puszystość
przebiega tuż
- pierzcha samotność



* * *

wieczór
ulica
minąłem skarb

już nie pamiętam jej zapachu

„wspomnienie”

sosny zapach

oparta o pień
oddajesz się
jedności
ze mną

„nad Nogatem”

rzeczywistość poznać miałem
wtem wrota piekielne rozwarto

to pociąg przejechał nade mną

* * *

wiatr zimno deszcz
złota jesień kolorowa
lubię gdy przemija
za oknem

* * *

kobieto naga
zdajesz się być piękniejszą
nie do końca ubrana

Andrzej Kasperek

Wiosna 1905 według Stanisława Maśłowskiego i Jacka Kaczmarskiego¹ cz.I



Jacek Kaczmarski. (Fot.wikipedia.pl)

¹
Rosyjski mąż stanu Siergiej S. Uwarow w czasach panowania Mikołaja I był ministrem oświaty. W uznaniu zasług car nadał mu tytuł hrabiego a w herbie znalazła się dewiza: „Prawosławie – Autokracja – Narodowość.” Ta triada nie trafiła tam przypadkowo – to właśnie Uwarow uznawany jest za autora trójjedynnej formuły „prawosławie, samowładztwo, ludowość”. Znamy ją z memoriału skierowanego do cara, gdzie te trzy słowa zostały nazwane

perłami z korony cesarza. Rosja to jeden naród, jedna wiara i jeden język. A to, że rzeczywistość jest inna? Tym gorzej dla rzeczywistości, jak mawiał pewien filozof. Ideał tego państwa zawierał się w zdaniu: „Wszystko musi być tylko po rosyjsku, wszyscy mają być prawosławni, wszyscy Rosjanami.” Oczywiście pod rządami samowładnego cara.

„Język rosyjski został szybko wyniesiony do roli kamienia probierczego narodowości. Pisarze rosyjscy od Turgieniewa do Gogola nie tylko wynosili pod niebiosa obiektywne walory swego języka, ale także dawali do zrozumienia, że wszystkie inne są od niego znacznie gorsze. Rosyjski gramatyk Giecz pisał, że »można z całą pewnością stwierdzić, iż nasz język stoi wyżej niż wszystkie inne nowożytnie języki Europy«.”² Fiodor Tiutczew był subtelnym

¹ Jest to I część skróconej wersji rozdziału książki pt. Galeria Jacka Kaczmarskiego. Skrzydło wschodnie, poświęconej analizie kilku piosenek barda: Encore, jeszcze raz, Pikieta powstańcza, Zesłanie studentów, Wigilia na Syberii, Zatruta studnia oraz Powrót z Syberii. Zajmuję się w niej utworami opowiadającymi o trudnych stosunkach polsko-rosyjskich. Esej Encore jeszcze raz według Pawła Fiedotowa i Jacka Kaczmarskiego był drukowany w kwartalniku „Bliza” (nr 1/2009), a jego rosyjski przekład opublikowało pismo „Nowaja Polska” (nr 1/2011; jest dostępny pod adresem: <http://www.novpol.ru/index.php?id=1434>).

² Norman Davies Boże igrzysko. Historia Polski, przeł. Elżbieta Tabakowska, Wydawnictwo Znak, Kraków 2009, s. 586.

poetą, co nie przeszkadzało mu być również słowianofilem i wielkorusem. W 1831 roku napisał wiersz pod wymownym tytułem Na wzięcie Warszawy, marzył o Wielkiej Rosji. Autor Hance do sztambucha pisał tak:

„Oto nad Warszawą świta,
Kijów rozwarł oczy modre
I Wyszogród Moskwę wita
Złotogłową słowem dobrem.
I ojczystej mowy naszej
Pojęliśmy dźwięczność miłą.
Wnuk na jawie to zobaczy,
Co się ojcu ongi śniło!” (przeł. Włodzimierz Słobodnik)

Co się śniło ojcu? Pewnie Rosja bez granic i wieczna, co prorokował w wierszu Geografia rosyjska.³ Pewnie wszędzie tam pobrzmiwała miła dźwięczność mowy rosyjskiej.

Te koncepcje stały u fundamentów państwa carów. Co ciekawe, nie były to tylko przekonania przedstawicieli władz. Taka mentalność dominowała też wśród prostych ludzi. Antoni Czechow w swym Sachalinie zanotował anegdotę zasłyszana na wyspie. Spotkał człowieka, który przyплыł tam statkiem. W czasie postoju w Singapurze chciał kupić żonie jedwabny szal. W tym celu musiałby jednak wymienić ruble na dolary. Stanowczo odmówił, bo jak to, miałby wymieniać porządne prawosławne pieniądze na jakieś tam etiopskie? Żona szala nie dostała...

Język rosyjski wprowadzono do szkół średnich Królestwa Polskiego dopiero po klęsce powstania listopadowego. Sytuacja zmieniła się diametralnie po roku 1864. Od tej pory Polak, który chciał robić karierę w armii lub administracji musiał biegle mówić po rosyjsku a nawet przejść na prawosławie. W kraju pod zaborami uznawano to za zaprzaństwo. Ale przecież car Aleksander II ostrzegał polską szlachtę w 1856 roku w Warszawie: „Życzę sobie, aby porządki, wprowadzone przez mego ojca, nie były w niczym naruszane. Point de rêveries, messieurs! (Żadnych mrzonek, panowie!)”

Szkoła była doskonałym narzędziem do prowadzenia polityki wynarodowiania oraz wychowywania obywatela całkowicie podporządkowanego swemu władcy. Niezbyt lotnego, ale lojalnego. W Królestwie Kongresowym wziął się za to Aleksandr L. Apuchtin - rosyjski kurator warszawskiego okręgu szkolnego w latach 1879-1897. Czas jego wszechwładnych rządów, które miały wybić z polskich głów jakiegokolwiek marzenia o polskości nazwano nocą apuchtinowską. Miał on szerokie uprawnienia – mógł oddawać cywilów pod sąd wojenny, a nawet skazywać na zsyłkę. Liczba szkół spadła, wzrósł za to analfabetyzm. W końcu XIX wieku 80% rekrutów było „niegra-

³ „Siedem wewnętrznych mórz i siedem wielkich rzek, / Od Nilu do Newy, od Łaby do Chin, / Od Wołgi do Eufrat, / Od Gangesu do Dunaju.../ Carstwo rosyjskie, nigdy nie przeminie, / Jak przepowiedział Duch Święty i prorok Daniel.”, przekład filologiczny. Co za rozmach! Pogratulować fantazji...

motnych”. Poziom nauczania był fatalny, ale o to przecież chodziło. Kurator chwalił się ponoć, że dzięki jego staraniom matka Polka będzie nad kołyską dziecka nucić rosyjską piosenkę. Cynizm tego stwierdzenia zadziwia. Oznacza to przecież zupełne „odpolszczenie”, przyjęcie przez autochtonów języka rosyjskiego za swój własny.

Gdy się śledzi dzieje kariery tego „ober-bydlaka” (tak obrazowo nazwał car Aleksander III kanclerza Bismarcka) przypomina się stwierdzenie Mickiewicza z *Dziadów III*: „mija wiek,/ Jak z Moskwy w Polskę nasyłają/ Samych łajdaków stek.” Pewnie wielu, jak młody Żeromski, marzyło o tym, żeby Apuchtina powiesić na pomniku Paskiewicza, ale to rosyjski student Jewgienij Żukowicz wszedł do gabinetu kuratora i spoliczkował go. Działo się to w roku 1883.

Ówczesna szkoła przypominała sen żandarma – szpiegowanie, donosy, rewizje w tornistrach w poszukiwaniu „nieprawomyślnej” literatury, naloty na stancje, zakaz rozmów po polsku w szkole i w bursach, relegowanie nawet za pozór niebłagonadziejności (wyrzucono uczniów jednego z warszawskich gimnazjów za posłanie kwiatów Helenie Modrzejewskiej, bo uznano to za manifestację patriotyczną), kary cielesne i koza dla nieposłusznych uczniów a dla najbardziej niepokornych wilczy bilet, który uniemożliwiał zdanie matury i podjęcie studiów. Taki przemysłany system obowiązywał w zaborze rosyjskim od roku 1874 do 1905. Od 1885 po polsku można było uczyć już tylko religii. Zreformowano programy nauczania, wprowadzono nowe podręczniki, przygotowano kadry, gotowe na wszystkie „pomysły edukacyjne”. Zwalniano ze szkół Polaków, pozbywano się tzw. opolaczonych Rosjan. Bohdan Cywiński, który w *Rodowodach niepokornych* szczegółowo zbadał sprawę przekształcania Polaków w „prawdziwych Rosjan”, zauważył: „Chodziło o wychowanie i wykształcenie człowieka o takim typie kwalifikacji umysłowych, który, posiadając wiedzę konieczną do pełnienia swych funkcji zawodowych, nie stwarzałby poprzez nieodpowiedzialny nawyk swobodnego myślenia kłopotów politycznych. Człowiek ten winien mieć gruntownie wszczepiony szacunek i lęk wobec władzy, i - to zaś było środowisku polskim celem szczególnie ważnym - czuć się w pełni zintegrowany politycznie, kulturalnie, obyczajowo z narodem rosyjskim i państwem carów.”⁴

Dziwna to była szkoła, w której nie o wiedzę chodziło a o tresurę. Bardzo trudno się było do niej dostać a jeszcze trudniej ją ukończyć. Programy były przeładowane. Wystarczy spojrzeć na świadectwo maturalne Bolesława Prusa z 18/30 VI 1866 roku. Czego tam nie ma? Religia, język polski i rosyjski, greka i łacina, niemiecki i francuski, logika, arytmetyka i algebra, geometria elementarna i geometria analityczna, geografia powszechna i geografia matematyczna, historia powszechna, historia Rosji i Polski, historia naturalna, fizyka, chemia, kaligrafia i rysunki. Poza tym solidometria (nauka o bryłach) i trygonometria. Ufff! Dwadzieścia trzy przedmioty.

⁴ Bohdan Cywiński *Rodowody niepokornych*, Wydawnictwo Krąg, Warszawa 1984, s. 11.

Tysiące zupełnie niepotrzebnych wiadomości z gramatyki greckiej, setki faktów z historii Rosji, szczegółików dotyczących jakichś ruskich książąt, ich imion i dat panowania, wyjątków ortografii rosyjskiej, skomplikowanych zagadnień z geometrii (B. Prus wspominał po latach jak to „dowodził z solidometrii twierdzeń o rozkładzie kloca ostrosłupowego na trzy ostrosłupy i graniastoslupa ściętego płaszczyzną jakąkolwiek”). Opanowanie tej pseudo-wiedzy wymagało nieskończonych ilości czasu. Kiedy się wczytać w Syzyfowe prace to pojawia się pytanie, czy i kiedy bohaterowie mają jeszcze czas na sen? Henryk Sienkiewicz w noweli z 1880 roku pt. *Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela* pisze: „nieraz o drugiej lub trzeciej po północy widziałem Michasia pracującego jeszcze. [...] Odrabiałem z nim przecie zadania od czwartej do ósmej, a potem od dziewiętej do dwunastej, i sam nie szedłem do łóżka, nimem się nie przekonał, że umie wszystko; ale doprawdy tego wszystkiego było za dużo. Skończywszy ostatnią lekcję, chłopiec zapominał pierwszej, a koniugacje greckie, łacińskie, niemieckie i nazwy rozmaitych powiatów wprowadzały biedną jego głowę w taki zamęt, że spać nie mógł.” Trzeba tu dodać, że „poznański” w popularnej wówczas mowie ezopowej zastępuje „warszawski”. Należało zmylić cenzurę.

Bo nie o wiedzę tu chodziło. Szkoła była częścią systemu opartego na ślepym posłuszeństwie, gdzie nauczyciele i uczniowie, żołnierze i urzędnicy musieli być całkowicie podporządkowani zwierzchności. Pożądane były: konformizm, pustota umysłowa, bierność i wierność... Odbywała się tu jakaś piekewka dusz. Należało złamać charaktery młodych ludzi, przekuć ich dusze, przeobrazić ich. Odbywało się to na rozmaitych poziomach. Raz były to prostackie zakazy i nakazy – zabraniano na przykład czytania książek niebędących podręcznikami – a innym razem subtelne kuszenie przez władze, co opisuje Stefan Żeromski w swej powieści. Do tego zagadnienia jeszcze wrócę.

Władze szkolne jak mogły utrudniały uczniom zakończenie edukacji i zdanie matury. Repetowano po wiele razy, za byle przewinienie można było powtarzać rok lub wręcz wylecieć z budy. Przeciętny wiek absolwenta wynosił dwadzieścia lat. Wystarczy porównać życiorysy dwóch wielkich pisarzy: Adam Mickiewicz kończy swe studia na Uniwersytecie Wileńskim w wieku 21 lat z tytułem magistra a Stefan Żeromski opuszcza mury kieleckiego gimnazjum bez matury w wieku 22 lat. A przecież nie był nieukiem i leniem. Carska Rosja ograniczała jak mogła liczbę inteligentów...

Szczególnie dotkliwie było zabranianie rozmawiania po polsku. Na lekcjach języków obcych tłumaczono z jednego języka obcego na drugi nieznanym. Zajęcia języka narodowego odbywały się specjalnie w porach najmniej dla uczniów odpowiednich: „Po odczytaniu i przełożeniu na rosyjskie dane-go «kawałka» następował rozbiór, dokonywany po rosyjsku i na modłę rosyjską. W ciągu całej lekcji nauczyciel nie mówił ani słowa po polsku i z niechęcią prostował faktyczne błędy. Uczniowie odrabiali ten «przedmiot»,

jak wstrętną katorgę. «Polskie» była to godzina stokroć nudniejsza od kaligrafii i «Zakonu Bożego», gdyż nadto małe próżniaki czuły w powietrzu woń wzgardy, unoszącą się nad tą nieszczęsną lekcją. Stopnie z polskiego nikogo nie obchodziły, nauczyciel Sztetter nie był wcale w umysłach malców ceniony na równi z wykładającym arytmetykę albo łacinę. Traktowano go pobłażliwie, jak piąte koło u wozu, jako rzecz w istocie niepotrzebną i bez wartości.”

Żeromski w Dziennikach opisuje, jak dyrektor jego gimnazjum przy uczniach w sposób brutalny i ordynarny beształ nauczycieli Polaków. Uczono mowy polskiej jako języka obcego albo po rosyjsku opowiadano treść utworów z literatury narodowej. W tej sytuacji te zajęcia stawały się jeszcze jednym środkiem znieważania godności narodowej Polaków. Najsurowiej karano za mówienie po polsku na pauzach. We wspomnieniach z epoki można znaleźć i takie: „Jeden z uczniów rozmawiał głośno na korytarzu po polsku. Obok rozmawiającej grupki przechodził inspektor szkolny; uczeń nie przerwał rozmowy ani nawet nie zniżył głosu. Inspektor zatrzymał się i czerwony z gniewu wykrzyknął po rosyjsku: - W jakim to pieskim języku rozmawiasz? Uczeń odwrócił się i niewiele myśląc palnął inspektora w twarz, dorzucając również po rosyjsku: - To nauczyciela pana rozumieć pieski język! Chłopak otrzymał wilczy bilet...”⁵

W Syzyfowych pracach znajdziemy też mnóstwo przykładów opresji, jakich zaznają rodzice uczniów – rosyjscy urzędnicy, inspektorzy i nauczyciele ciągle ich strofują i pouczają, bo ich marzeniem jest, aby rosyjski był używany także w domach, żeby w tym języku śpiewać dzieciom kołysanki. Żeromski opisuje groteskową wręcz scenę - matka Marcinka przychodzi do zruszczonego nauczyciela Majewskiego prosić o udzielenie korepetycji synowi. Mają one pomóc mu w dostaniu się do gimnazjum: „Nauczyciel [...] zapytał po rosyjsku: - Czym mogę służyć? Matka Marcinka nie mówiła tym językiem, a bała się obrazić profesora, jeżeli zacznie mówić po polsku, to jęła też wyklądać mu swą prośbę po francusku, z mozołem wymawiając zdania i zwroty dawno zapomniane. Pan Majewski [...] nie zdawał się rozumieć, o co rzecz idzie. Wkrótce też spytał po polsku, z przeciąganiem i akcentowaniem z ruską wyrazów, aczkolwiek dopiero przed dwoma laty został Rosjaninem, nigdy w Rosji nie był, i z granic guberni klerykowskiej, zamieszkanej przez samych Polaków, ze znaczną domieszką żydowską, ani razu nie wyjechał [...]”

Ważną rolę w procesie rusyfikacji spełniała też nauka historii Polski i Rosji. Obowiązywał podręcznik Dymitra Iłowajskiego, szczególnie przez polską młodzież znienawidzony, bo pisany z pozycji wielkoruskiego szowinizmu a ponadto obrażający uczucia narodowe. Wedle jego teorii Polska musiała upaść z powodu samowoli szlachty i knoń jezuitów. Katarzyna

⁵ Z. Zaremba, *Wspomnienia. Pokolenie przełomu*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1983, s. 48.

II jawiła się jako wybawicielka, która w swej łaskawości przygarnęła zbłąkanych Polaczków. Wszystko, co polskie – język, literatura, historia, obyczaje – musiało być zohydzone, wydrwione, poniżone.⁶

Wiktor Gomulicki (1848-1919) swą edukację rozpoczął w Pułtusku. Lata spędzone w „pięcioklasówce” stały się kanwą książki *Wspomnienia niebieskiego mundurka* - niegdyś bardzo popularnej wśród uczniów a dziś prawie kompletnie zapomnianej. Oparta na faktach biograficznych należy do klasyki polskiej literatury dla młodzieży. Ale kto z młodych czytelników dziś po nią sięgnie? Książkę zaludniają postaci chłopców w wieku od dziesięciu do szesnastu lat, wywodzących się z różnych środowisk – drobnej szlachty, kupców, rzemieślników. Barwne opisy życia szkolnego, sztubackie figle, kucie łacińskich słówek i rosyjskich wierszy, żarty i tragedie, choroby i śmierć kolegów, fascynacje literackie i wspaniale opisywana przyjaźń młodych ludzi. Portrety uczniów i ich profesorów... Co ciekawe, w książce napisanej na początku XX wieku nie ma wcale mowy o rusyfikacji. Bo nikt tu nikogo na siłę nie zruszcza.

W rozdziale *Kuracja mleczna profesora Jastrebow*a sportretowano nauczyciela języka rosyjskiego. To alkoholik, jego mleczna kuracja to eufemistyczne określenie ciągów pijaństwa. Pokazany jest jako niedźwiedziowaty prostak, byle jak ubrany i obuty, niedomyty i wiecznie na rauszu. Sam ma świadomość tego, jak jest postrzegany przez uczniów i nauczycieli: „- Byłby ja Jastrebski albo Jastrebowski, wy by mnie lubili i pocztienje dla mnie mieli, ale że moja familia ruska, tak ja dla was cóż? - proklatyj moskał, kacap...” Rzeczywiście tak to wyglądało. Ale narrator nie opisuje wstrętnego Ruska, pochyla się nad tragedią człowieka niszczonego przez nałóg, wyalienowanego i zdegradowanego, fizycznie oraz społecznie. Poza tym Rosji we wspomnieniach nie ma. Pijany Jastrebow nikogo nie potrafi zrusyfikować. Bo też w szkole sprzed powstania styczniowego rusyfikacja nie występowała. Albo raczej - była obecna w sposób delikatny. Aleksander Głowacki, czyli późniejszy pisarz Bolesław Prus, jeszcze w 1866 roku zdawał maturę po polsku. Świat Syzyfowych prac Stefana Żeromskiego (1864-1925) jest już zupełnie inny. Szesnaście lat, jakie dzieli daty urodzin Żeromskiego i Gomulickiego to niewiele, ale dla szkolnictwa w Królestwie Polskim to zmiana kolosalna. To już całkowicie inna szkoła.

Powiedzieć, że *Syzyfowe prace* to książka o rusyfikacji to zdecydowanie za mało. To wspaniały Bildungsroman, powieść o dojrzewaniu i formowaniu się jednostki, jakich niewiele w polskiej literaturze. A poza tym jeden z najlepszych utworów Żeromskiego, prawie bez naleciałości jego stylu, owej żeromszczyny, która sprawia, że dla wielu to dziś pisarz nie nadający się do czytania.

⁶ B. Cywiński, op. cit., s. 9.

„Taką miałbym ochotę przedstawić tę duchową katorgę, jaką przeszedłem w murach gimnazjalnych!...” Te słowa mógłby wypowiedzieć Żeromski, ale są one autorstwa Romana Dmowskiego, z którym wówczas młody pisarz się przyjaźnił. Nie ma sensu czytać pierwszej powieści Żeromskiego jako autobiografii. Nikt jednak nie przeczy, że pisarz wykorzystał w utworze swe przeżycia z czasów edukacji w wiejskiej szkole w Psarach, Męskim Gimnazjum Rządowym w Kielcach, pochodzenie ze zubożałej szlachty, realia życia wiejskiego, śmierć matki, sportretował postacie nauczycieli i kolegów ze szkoły. To wszystko posłużyło jednak stworzeniu dzieła o wojnie, jaka toczyła się o duszę młodego pokolenia, a więc o zachowanie tożsamości narodu. Autor ukazuje walkę o polskość, która odbywa się szkołach, kościele, domu ojcystym a także tajnych kołach samokształceniowych.

Bohater powieści, Marcin Borowicz, to chłopiec jakich wielu, jeden z setek, które przywdziały mundur czarny „z niebieskimi mankietami i kołnierzem ozdobionym srebrnymi galonami, który z przodu zapinał się na dziewięć srebrnych guzów, tak jak wszystkie surduty rosyjskie.” Jeden z wielu, ani szczególnie zdolny, ani pracowity. To on właśnie, gimnazjalny Jederman, stanie się obiektem szczególnych zabiegów ze strony szkolnej zwierzchności, która chce go zruszczyć. Odbywa się swoista psychomachia, gdzie z jednej strony występuje imperialna machina obrusiteli a z drugiej samotne polskie dziecko. Uderzająca jest ta dysproporcja. Najtragiczniejsza jest świadomość, że polska młodzież jest pozbawiona opieki i wsparcia swych rodziców i dziadków, którzy poddali się terrorowi po upadku powstania styczniowego albo popadli w rodzaj idiotycznego lojalizmu na granicy serwilizmu, który reprezentują radcowie Somonowicz i Grzebicki.

Stosowano metodę kija i marchewki. Żeromski ukazuje, jak chłopiec jest kuszony. Inspektor szkolny Zabielskij daje mu zaproszenie na spektakl rosyjskiego teatru: „W myśl zasady odpolszczenia dyrektor i gospodarze klas nie udzielali prawie nigdy pozwolenia na bytność ucznia w teatrze, gdy dawano sztukę polską. Natomiast w jesieni, głównie z inicjatywy działaczy gimnazjalnych, poczęto forsownie urządzić teatry amatorskie rosyjskie.”

Jest to traktowane jako wyróżnienie. Polscy uczniowie czują się wyróżnieni a w antraktach piękne rosyjskie damy częstują ich czekoladkami. Pan inspektor zaprasza go do swego domu. „Jego rozmiłowanie w Marcinku dosięgało takich granic, że częstował młodzieńca papierosem. [...] Pod koniec wizyty Borowicz był już niemal zakochany w inspektorze tym płomiennym i entuzjastycznym uczuciem, jakie pali się dla pierwszego mistrza w duszy młodzieńczej. [...] Dobroć zwierzchnika roznieciła w nim rzewną wdzięczność. [...] Wychodząc z wizyty, już za następną tęsknił. Z pychą spoglądał na przechodniów, jakby im chciał jednym spojrzeniem oznajmić, że jest za pan brat z osobą tak wszechpotężną na gruncie gimnazjalnym.”

Chcąc podziękować za te dowody przyjaźni aktywnie uczestniczy w pracach koła miłośników literatury rosyjskiej. Te zebrania „maleńkich uczonych” tylko pozornie miały cel niewinny, w rzeczywistości także służyły sprawie obruszenia: „Samorodni badacze [...] masakrowali w swych wypracowaniach nieszczęsną »Polszę« [...] opisywali ją [...] jako dom niewoli, gniazdo rozbestwionej szlachty, mordującej lud ruski.”

Niewiele brakuje, aby Marcinek sprzedał swą duszę i „zmoskwiciał”. Dopiero przybycie do klerykowskiego gimnazjum Bernarda Zygiera, wyrzuconego ze szkół warszawskich za nieprawomyślność i jego płomienna recytacja Reduty Ordona obudzi w nim uczucia patriotyczne, każe przypomnieć sobie o powstaniu styczniowym i dać odpór rasyfikatorom. Reszty dokona przyjaźń z Radkiem i działalność samokształceniowa.

Stefan Żeromski zauważył jeszcze inne aspekty rasyfikacji. Opisuje matematyka Nogackiego: „Ani mu się śniło rasyfikować kogokolwiek, oburzyłby się prawdopodobnie, gdyby go kto nazwał złym Polakiem, a jednak... [...] na pytanie, zadane znienacka, ile jest pięć razy osiem, — tenże uczeń nie odpowie we własnej myśli: — czterdzieści, lecz sorok. Było coś w wykładzie p. Nogackiego, co zmuszało chłopców do myślenia po rosyjsku.” Tu należy coś uściślić. Otóż Żeromski matematyki nie cierpiał i uważał, że „ma antytalent” do tego przedmiotu, stąd może owa kąśliwa uwaga. Tak jak w ukazanej bardzo krytycznie postaci nauczyciela języka polskiego Sztettera nie należy doszukiwać się portretu ukochanego profesora Bema, tak samo Nogacki to nie profesor Stanisław Szperl. Kiepsko było z dostępem do nowych książek przyrodniczych, historycznych, socjologicznych i ekonomicznych. Były obecne tylko w tłumaczeniach rosyjskich. Czytano je więc w takich wersjach jednocześnie wyrabiając w sobie przekonanie o wyższości nauki rosyjskiej nad polską.

Kończąc rozważania nad rasyfikacją opisaną w powieści Żeromskiego należy zauważyć, że pokolenie autora zdało swój egzamin celująco. Dorastało wszak w „społeczeństwie doprowadzonym do atonii politycznej, lękającym się cienia myśli samodzielnej” (wedle określenia Wilhelma Feldmana), zostało opuszczone przez dorosłych i wydane na łup rosyjskiej szkoły, która przypominała raczej maszynkę do mielenia mięsa. Ale jak wymownie podkreśla tytuł powieści - wszystkie te usiłowania okazały się syzyfową pracą. Polityka caratu poniosła całkowite fiasko a „Pokolenie, któremu ze wszystkich dotychczasowych najbardziej groziła demoralizacja i wynarodowienie, w ciągu kilkunastu lat dało społeczeństwu pierwszą naprawdę liczną kadrę inteligencji, wskrzesiło zamarte niemal zupełnie życie społeczne i polityczne. Po półwiecznej przerwie ono właśnie postawiło na płaszczyźnie międzynarodowej problem polski, a wewnątrz społeczeństwa – po raz pierwszy w sposób naprawdę kategoriyczny – sprawę nierówności społecznych.

Wreszcie – po odzyskaniu przez Polskę niepodległości – ta sama, sędziwa już generacja zdążyła stworzyć z trzech prowincji jedno dwudziestowieczne państwo i w pierwszych, najtrudniejszych latach startu stać u jego steru.”

W powieści bardzo ważną rolę odgrywa Jędrzej Radek, chłopski syn, który niezwykłym wysiłkiem i uporem kontynuuje swą edukację, rozpoczętą za sprawą korepetytora Kawki. Z czworaków dworskich w Pajęczynie Dolnym do gimnazjum w Klerykowie – to przykład awansu cywilizacyjnego chłopstwa polskiego. Potomek Obalów i Gibalów, który własnym wysiłkiem i rozumem dobija się wiedzy. Płaci wielką cenę: głodu, niedosypiania, pracy nad siły i upokorzeń, jakie dotyczą go ze strony szkolnych kolegów, drwiących z jego pochodzenia, ubioru i wymowy. Za pobicie chłopaka, który mu szczególnie dokuczał, miał być relegowany ze szkoły. Wtedy z pomocą pośpieszył mu Marcin (przydały się mu wówczas znajomości w dyrekcji szkoły). Powieść kończy symboliczna scena – Radek podaje rękę Borowiczowi zrozpaczonemu po wyjeździe ukochanej. On zrewanżuje się za gest doznanej wcześniej solidarności. Syn chłopski i szlachecki razem będą walczyć z zaborcami i tworzyć podwaliny wolnej Polski. Prototypem tej postaci był Jan Wacław Machajski, z którym Żeromski przez wiele lat się przyjaźnił i z którym przez cały okres pobytu w gimnazjum dzielił szkolną ławkę. Po skończeniu nauki związał się z ruchem socjalistycznym, został aresztowany i zesłany na Syberię. W czasie rewolucji październikowej przedostał się do Rosji. Zmarł w Moskwie w 1926 roku. Przyjaźń z Żeromskim nie przetrwała próby czasu, ale „na teczce, w której autor Róży chował starannie listy dawnego przyjaciela, zapisał suchą wskazówkę katalogu: »J. W. Machajski. Wygnaniec na Sybir, więzień, bohater.«”

Drugim serdecznym przyjacielem Żeromskiego, Jan Strożecki, był pierwowzorem innego ważnego bohatera – „Figi” Waleckiego, który miał odwagę publicznie zaprotestować, gdy „suchy i zajadły Rosjanin Kostrulew [...] rusyfikator w najbardziej zajadłym znaczeniu tego wyrazu” na lekcji historii specjalnie obrażał uczucia narodowe i religijne polskich uczniów. Jemu Borowicz nie pomógł, a wręcz zaszkodził. Zmienił swe zdanie o koledze dopiero wtedy, gdy dotkliwie wychłostany „Figa” wrócił do klasy. On również został w czasie studiów socjalistą, był wraz z Józefem Piłsudskim redaktorem „Robotnika”. Odsiedział półtora roku w Cytadeli warszawskiej a potem skazano go na osiem lat Sybiru (przebywał w Jakucji, jednym z najgorszych miejsc zesłań). W Puszczy jodłowej Żeromski poświęcił mu wzruszający fragment, w którym opisuje, jak „i później czynił, co się tylko dało, co było w jego mocy: w najsroższy Sybir na wytrwaną z moskiewskim caratem chodził bez trwogi, a potem, po latach walki, we Francji, godnie, jak przystało na towarzysza naszej ławy w kieleckiej szkole, zginął ratując tonącego człowieka.”

Wojna rosyjsko – japońska prowadzona w latach 1904-1905 pokazała, że potęga Rosji jest iluzoryczna, a kolos na glinianych nogach nie jest niezwyciężony. Bitwa pod Cuszimą była straszną klęską marynarki rosyjskiej, dosłownie rozniesionej w pył przez japońską flotę. Wśród Rosjan wywołała ona szok a Polacy cieszyli się, że zaczynają się sprawdzać słowa wieszczki, który prosił „o wojnę powszechną za wolność ludów”. Witany z radością przez Polaków wieściom o porażkach wojsk rosyjskich towarzyszyły dźwięki popularnego walca Na sopkach Mandżurii. W styczniu 1905 roku pokojowa manifestacja robotników w Petersburgu zostaje zmasakrowana przez policję (jest to tzw. Krwawa niedziela). Wybuch rewolucja. W całym Królestwie Polskim organizowane są strajki. Mnożą się starcia z policją, żandarmerią i wojskiem. Stworzona przez Józefa Piłsudskiego Organizacja Bojowa PPS używa w starciach z Rosjanami broni. To też prawdziwa rewolucja w uzbrojeniu. 15 sierpnia 1906 roku w czasie tzw. Krwawej środy bojownicy zabili siedemdziesięciu dwóch rosyjskich policjantów i żandarmów. Do siedziby generał-gubernatora na Zamku w Warszawie: „Codziennie, po kilka razy na dzień, telefonowano [...]: pułkownik żandarmski X. zabity na miejscu, oficer policyjny J. ciężko ranny. Rewirowy N. cyrkułu – na miejscu, sześciu policjantów, dwu agentów ochrony. A dalej telegramy z prowincji: gubernator radomski, policmajster lubelski, zabranie kasy w guberni X, napad na pocztę, napad na biuro policji...” (Dzieje jednego pocisku)

Rozpoczęły się strajki szkolne polskiej młodzieży. Walczono o polską szkołę. Tysiące nauczycieli i uczniów bojkotowało zajęcia oficjalne. Dla wielu była to tylko okazja do okazywania nieposłuszeństwa dorosłym, do draki, wybijania szyb, bójek z łamistrajkami i awantur. „Wszystko to musiało przerażać rodziców perspektywą wykoślenia całego pokolenia. Powstały koła rodzicielskie, których pierwszą troską było zaprząć dzieci do szkolnej pracy.” Walka była długa, trwała prawie trzy lata. W tym czasie naukę kontynuowano na kompletach, w czasie których zajęcia prowadzili polscy nauczyciele i studenci. Strajki zakończyły się sukcesem - władze złagodziły politykę rusyfikacyjną, zezwoliły na powstawanie szkół prywatnych z polskim jako językiem wykładowym (ale uczniowie tam uczęszczający nie mieli prawa do państwowej matury), pozwolono na powstanie Macierzy Szkolnej.⁷

⁷ Pozwolę sobie w tym miejscu na pewną dygresję. Pamiętam, jak w czasie strajku studenckiego w 1981 roku na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Gdańskiego przyjechał do strajkujących studentów prof. Edward Lipiński. Był on jednym z założycieli KOR-u oraz współtwórcą Towarzystwa Kursów Naukowych, które chlubnie kontynuowało tradycje Uniwersytetu Łatającego sprzed wieku. Dostojny starzec (miał wówczas przeszło osiemdziesiąt lat) stanął na mównicy, rozejrzał się po audytorium szczelnie wypełnionym setkami młodych głów i powiedział z uśmiechem: „Proszę państwa! Miło mi Was przywitać! Ostatnio miałem okazję przemawiać do takiej ilości młodych ludzi w 1905 roku, na wiecu w czasie strajku szkolnego.” Dopiero wówczas dotarło do nas, jaką drogę przebył ten wybitny uczony. Historia Polski w XX wieku to była jego osobista historia.

Nastroje strajków szkolnych świetnie oddaje zapomniana dziś sztuka Jana Adolfa Hertza pt. *Młody las*. W 1934 r. powstał według niej film Józefa Lejtesa, jeden z najlepszych obrazów kina przedwojennego. Odniósł on sukces artystyczny i kasowy. Sztuka wzoruje się w sposób oczywisty na Syzyfowych pracach. Podobne są postaci uczniów, jest konflikt lojalności, lekcja historii, na której obraża się uczucia narodowe, szpiclowanie i rewizje w tornistrach. Poza tym pierwsza miłość, niewybredne sztubackie żarty i pokątne palenie papierosów. Ale jest jedna zasadnicza różnica – młodzież z *Młodego lasu* bezpośredni walczy z zaborcami. To już nie jest obrzucanie błotem znienawidzonego nauczyciela. W rękach uczniów pojawiają się rewolwery, oni są bojowcami. Na gwałt odpowiadają gwałtem, wiedzą bowiem, że nie wystarczą ulotki z napisem „SZKOŁA WIĘZIENIEM”. Ich bunt ma motywacje narodowe, ale pojawiają się też wątki społeczne. Mamy tu Polaków zdrajców - nauczyciel Kiernicki, którego syn, niczym Marcin z powieści Żeromskiego, przeżyje swoją drogę do Damaszku i pozytywnie ukazanych Rosjan, zarówno niektórych nauczycieli, jak i uczniów - jeden z nich w czasie wiecu podchodzi do Polaków i mówi, że „współczują ich sprawie”. Co ciekawe *Młody las* spodobał się na festiwalu filmowym w Moskwie.

W 1909 roku do Warszawy na osiemnaście dni przyjechał Aleksander Błok. Chciał spotkać się umierającym ojcem, ale dotarł na miejsce już po jego zgonie. Ojciec poety spędził nad Wisłą kilkanaście lat – był profesorem Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego, wykładał prawo. Dziwak i odludek nie był lubiany przez studentów⁸, wykładał w sposób tendencyjny. Efektem pobytu poety stał się III rozdział nieukończonego poematu *Odwet*. Błok, w przeciwieństwie do swego ojca, który pobyt w Kraju Nadwiślańskim traktował tylko jako okazję do lepszych zarobków (Apuchtin opłacał profesorów i nauczycieli rosyjskich znakomicie, zarabiali prawie dwa razy tyle, ile w szkołach wewnątrz Rosji), był nastawiony do Polski i Polaków życzliwie. Interesował się polską literaturą, miał poza tym poglądy liberalne, a nawet rewolucyjne.⁹ W brulionach poematu znajdują się wymowne fragmenty: „Czy nie dlatego Warszawa jest posępna, że w tej stolicy Polaków rządzi się arogancka zgraja wojskowych rosyjskich filistrów? Że buduje rosyjskie sobo-

⁸ W papierach rodzinnych zachował się anonim; ktoś napisał na odkrytce: „Niech Pan będzie na ostrożności. P. Akademicy mają pana zbić w morde. [sic!] Życzliwa Zofia.

⁹ Nader wymowne są cytaty z jego listów z tegoż roku 1909: „Współczesna rosyjska machina państwowa jest obrzydliwą, zaślinioną, cuchnącą starością, siedemdziesięcioletnim syfilietykiem, który uściskiem ręki przenosi zarazę na zdrową dłoń młodzieńca.” „[...] zakątków mojej obrzydliwej, brudnej, tępej i krwawej ojczyzny [...]” „Trudno wracać, wydaje się, że nie ma dokąd – na komorze celnej okradną, w centrum Rosji powieszą lub wsadzą do więzienia, znieważą [...]”

ry jakiś dygnitarz-złodziej w miejscu, w którym oczy obywateli zachwycalby jedynie kościół katolicki? Że wszystko, co powie gubernator, to szary, nieprzenikniony mrok, i figę pokazuje mu w kieszeni rozwścieczony Polak?”

Tiutczew widział świt nad Warszawą tylko jako poranek idei panslawizmu, która miała wynieść Rosję ponad inne państwa. Wiele lat po nim do Warszawy przybywa poeta, który widzi więcej:

„Szyny, żandarmi, na przystankach
Latarnie, szwargot, pejsy długie –
I oto w chorym mżeniu ranka
Polska – podwórko Rosji drugie...
Tu zemsta każdy kąt przenika –
Chimera rozjuszona bólem.
I zemsta posąg Kopernika
Tchnie zapatrzony w pustą kulę...[...]
I most przez Wisłę jak więzienie, [...]
Ziemia pod jarzmem – spadła na nią
Krzywda i przemoc, czelna siła –
Jest jak bezsilny, biedny anioł;
Kobieta, która wstyd straciła.
I geniusz ludu ścichł, oniemiał,
Wyzbyty głosu w noc niewoli [...]
Warszawo, więc i ciebie zmusił
I hardych synów twych, Polaków,
Do drzemki stek nasłanych z Rusi
Wojskowych chłystków i prostaków?
Życie ukryło się w podziemiach,
W pałacach pańskich cisza głucha [...]”¹⁰

Jarosław Iwaszkiewicz w swym eseju o Błoku trochę ironizuje na temat konwencjonalnego obrazu Warszawy w tym poemacie, ale dostrzega też „jego staranie się, aby zrozumieć.” Dziś wzrusza empatia Błoka i jego odwaga w mówieniu o Polsce i Polakach w taki sposób, w jaki tylko niewielu Rosjan od czasów Hercena było do tego zdolnych.

Koniec cz. I

¹⁰ A. Błok Odwet, część III. Cyt za: A. Galis, Osiemnaście dni Aleksandra Błoka w Warszawie, Czytelnik, Warszawa 1976, s. 216, 217, 225. W tym tłumaczeniu od samego początku uwierało mnie określenie Polski jako „podwórko Rosji drugiego”. Co to niby miało znaczyć? W oryginale Błok użył słowa: ‘задворки’, które według słowników znaczy właśnie ‘podwórko’, ale w wierszu lepiej brzmi: „polskie zakamarki Rosji”; tak pisze Iwaszkiewicz w swym eseju o Błoku. Zob.: tenże, Petersburg, s. 48.

Anna Weronika Brzezińska
Małgorzata Wosińska

Sztutowo czy Stutthof? Projekt badawczy



Uczestnicy projektu. (Fot. Łukasz Banaszek)

Historia Żuław jest fascynująca i wielowątkowa, o czym przekonujemy się od kilku już lat, prowadząc w tym regionie badania etnologiczne¹. Historia tego regionu jest też trudna, wojna pozostawiła tu bowiem swój wyraźny ślad, a jej bezpośrednia konsekwencja było przerwanie ciągłości kulturowej. Wysiedlenia i przesiedlenia, skutki działań wojennych w postaci zalanych pól i zrujnowanych domostw – wszystkie wspomnienia dotyczące tamtych trudnych czasów zbieramy i dokumentujemy. Nie tylko dla potrzeb nauki, ale przede wszystkim dla naszych rozmówców – świadków tamtych wydarzeń – i ich rodzin.

¹ Pierwsze badania terenowe z udziałem poznańskich etnologów miały miejsce w 2008 roku i obejmowały swym zasięgiem teren miasta i gminy Nowy Dwór Gdański i teren gminy Ostaszewo. W roku 2009 badania były realizowane na terenie miast i gmin Nowy Staw i Malbork oraz Lichnowy. W roku 2010 w maju badania objęły tereny gmin Sztutowo, Stegna i Krynica Morska, w lipcu gminy Stare Pole, Markusy, Gronowo Elbląskie, a we wrześniu gminy Suchy Dąb i Cedry Wielkie.

Najbardziej dojmującym elementem wojennej przeszłości Żuław jest z pewnością były obóz koncentracyjny KL Stutthof położony w sąsiedztwie wsi Sztutowo. Wiedzieliśmy, że prowadzone przez nas badania nad tożsamością współczesnych Żuławiaków nie mogą ominąć i tego wątku. Ale jak badać Zagładę będąc etnologiem, a nie historykiem? Wszak etnolog, powinien zajmować się nie tyle opisywaniem problemów społecznych i kulturowych przeszłości, co teraźniejszości... Tym samym region Żuław stał się dla nas – etnologów – wyzwaniem badawczym.

Projekt Sztutowo czy Stutthof? Oswajanie krajobrazu kulturowego rozpoczął się zimą 2009 roku, a w skład jego badawczego zespołu weszły jednostki uniwersyteckie, reprezentowane przez studentów, doktoranckich i pracowników: Instytutu Etnologii i Antropologii UAM, Instytut Prahistorii UAM, The University of Manchester oraz Muzeum Stutthof w Sztutowie. Projekt miał charakter interdyscyplinarny – jego celem była rekonstrukcja powojennych losów terenu byłego obozu, rekonstruowanych na podstawie wywiadów z mieszkańcami Sztutowa i okolic oraz archeologiczna rekonstrukcja nieistniejących części KL Stutthof. Jednak głównym punktem odniesienia naszych badań była przede wszystkim współczesność miejsca. Zadawaliśmy pytania: Jak się żyje mieszkańcom Sztutowa w sąsiedztwie miejsca pamięci? Co stało się z ogromną częścią byłego obozu, która nie weszła w skład terenu muzeum? Jaką wartość ma dziś to miejsce dla wspólnoty lokalnej, a jaką dla turystów? Czy sąsiedztwo byłego obozu determinuje życie codzienne mieszkańców Sztutowa? Jaka jest identyfikacja współczesnych Żuławiaków z miejscem zamieszkania – czy jest ona regionalna, czy tylko lokalna (związana z miejscem zamieszkania)?²

Odpowiedzieć na powyższe pytania moglibyśmy już teraz. Zakończyliśmy bowiem badania i żmudne opracowywanie wyników. Trudno jednak opisać nasze wnioski w kilku zdaniach! Wstępne pytania postawione przez etnologów, a przytoczone powyżej, rozrosły się bowiem do osobnych bloków tematycznych, takich jak: tanatoturystyka – w którym na podstawie ankiet ze zwiedzającymi określaliśmy profil turysty i jego preferencje; estetyka Zagłady – gdzie podjęliśmy refleksję nad współczesnym muzealnictwem związanym z Zagładą (czyli nad tym co wolno, a czego nie wolno wystawiać i czy były obóz może być „piękny”). Ponadto myśleliśmy nad tym, jak dotychczasową wystawę można by udoskonalić i w tym celu wykonany został podprojekt soundscape rejestrujący krajobraz dźwiękowy Muzeum

² W ramach projektu przeprowadzono następujące badania etnologiczne z uwzględnieniem tematów i różnych rodzajów narzędzi badawczych: ankieta *Profil turysty odwiedzającego muzeum* – 166; kwestionariusz *Postawy mieszkańców Sztutowa* – 115; kwestionariusz *Wywiad z pracownikiem muzeum* – 14; kwestionariusz *Kapliczka / pomnik / miejsce pamięci* – 10; kwestionariusz *Dziedzictwo kulturowe na Żuławach* – 58 oraz ankieta dla uczniów *Moje miejsce na ziemi* – 33. Materiałem uzupełniającym był materiał filmowy oraz dźwiękowy.

(np. ptaki, szczekanie psa, śmiech dzieci), co w konfrontacji z konkretnymi obiektami (barakiem, krematorium) budowało szczególny rodzaj napięcia emocjonalnego, a jednocześnie zmuszało do kontemplacji.

Istotnym blokiem tematycznym stał się stosunek mieszkańców regionu do KL Stutthof. Szczególne położenie Muzeum – pośród miejscowości o charakterze turystycznym – wniosło w tym względzie ciekawe obserwacje, ale i ukazało swoiste napięcie społeczne. Dzięki wypowiedziom naszych Informatorów zrozumieliśmy, że życie tak blisko miejsca tragicznej pamięci, wcale nie jest łatwe. Wiedza mieszkańców Mierzei przydała się również do odtworzenia poszczególnych metamorfoz, które przechodził KL Stutthof po wyzwoleniu. Dowiedzieliśmy się także – co szczególnie pobudzało wyobraźnię studentów archeologii, jak i etnologii – jakie skarby kryje w sobie były obóz i jak bardzo ulega destrukcji krajobraz będący przecież zbiorową mogiłą, za sprawą tzw. „poszukiwaczy skarbów” zwanych też „detektorystami”.

Szczególnymi dla nas wywiadami były te, które przeprowadzaliśmy z najstarszymi mieszkańcami wsi Sztutowo, Mikoszewo, Przemysław, Jantar, Izbiska, Junoszyń, Stegienia, Chorażówka, Stegna, Popowo, Głobica, Kąty Rybackie, Kobyła Kępa, Skowronki, Krynica Morska. Poprzez historie pojedynczych osób, które opowiadały o tym, jak Żuławy i wsie leżące na Mierzei wyglądały zaraz po wojnie możliwe było stworzenie swoistej mapy osadnictwa powojennego. Poznaliśmy motywy, które kazały ludziom przemierzać niemal całą Polskę w poszukiwaniu nowego domu, ale także wzruszające historie tych, którzy byli zmuszeni szukać swych nowych domów na „Ziemiach Odzyskanych”. Niektórym z nas udało się dotrzeć do ludności autochtonicznej, której losy były równie poruszające i tragiczne. W tak naznaczonym trudną historią krajobrazie wzrastają kolejne pokolenia Żuławiaków, odkrywające lokalne historie te sprzed 1945 roku i te powojenne.

Nie można zapomnieć o pracach archeologicznych. Ich wyniki są chyba najbardziej atrakcyjne wizualnie i jednocześnie najbardziej dostępne dla odbiorcy. Archeolodzy prowadzili nieinwazyjne badania geofizyczne metodą geomagnetyczną i wykonywali pomiary GIS. Są to metody, które zgodnie z etycznymi normami rabinicznymi, a także z najnowszymi nurtami w archeologii nie uwzględniają „kopania w ziemi”. Dzięki ich zastosowaniu archeolodzy stworzyli filmową rekonstrukcję nieistniejących części byłego obozu. Wykonana przez Łukasza Banaszka animacja komputerowa jest realistyczna, dynamiczna i interaktywna, a tym samym pozwala widzowi poczuć się, jakby dawny KL Stutthof przemierzał na własnych nogach.

Ważną częścią naszego projektu realizowanego we współpracy z Muzeum Stutthof jest jego społeczny i użyteczny kontekst. Dlatego też pierwsze wyniki badań zostały zaprezentowane na konferencji, którą zorganizowała Biblioteka Publiczna w Sztutowie, a naszymi słuchaczami byli mieszkańcy Sztutowa (w tym przedstawiciele miejscowej władzy). Konferencji towarzyszyła też wy-

stawa, na której przedstawiono specyfikę pracy archeologicznej i etnologicznej, a w przygotowaniu jest tom zawierający tematyczne opracowanie całości badań zebranych podczas naszego pobytu w Sztutowie i na Mierzei.

Blog uczestników projektu „Sztutowo czy Stutthof?”

Od 29 kwietnia 2010 r. studenci, doktoranci i pracownicy naukowcy Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu realizowali na terenie Muzeum Stutthof projekt badawczy pt. Sztutowo czy Stutthof? Oswajanie krajobrazu kulturowego. Przez cały czas trwania projektu badacze terenowi na bieżąco spisywali swoje wrażenia i prowadzili bloga, który umieszczony był na stronie internetowej muzeum. Tekst prezentowany poniżej został dzięki uprzejmości Muzeum Stutthof w Sztutowie udostępniony do druku w formie, w jakiej był publikowany w internecie. Zachęcamy do zapoznania się ze spontanicznym zapisem emocji i wrażeń, jakie towarzyszyły nam podczas pobytu na Mierzei, w Sztutowie i w samym Muzeum Stutthof.

1 dzień PROJEKTU: 29 kwietnia 2010 r.

Autorki: Anna Weronika Brzezińska, Małgorzata Wosińska

Przyjechalismy

Przez 10 dni będziemy mieszkać w Sztutowie, jeździć po okolicznych miejscowościach i próbować dowiedzieć się czegoś o życiu tu i teraz, tu i kiedyś. Będziemy realizować interdyscyplinarny projekt badawczy stworzony przez pracowników Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. My – wykładowcy i nasi najlepsi współpracownicy – studenci etnologii i archeologii stanowimy zgrany zespół. Punktem wspólnym dla naszych badań jest krajobraz, rozumiany jako fenomen zarówno kulturowy, społeczny, jak i fizyczny. Co to oznacza? Doświadczenie życia codziennego mieszkańców, słuchanie ich historii oraz umieszczanie tych opowieści w wielokulturowej przestrzeni regionu.

Miejszem szczególnym dla naszych badań jest Muzeum Stutthof. Teren ten daje nam możliwość wykorzystania wiedzy naukowej do udokumentowania i zinterpretowania współczesnego wizerunku Muzeum oraz jego roli odgrywanej w świadomości lokalnej społeczności.

KL Stutthof, Muzeum, Sztutowo, Mierzeja i Żuławy... miejsca te są dla nas wyzwaniem – naukowym i osobistym. Ale przede wszystkim są wspólną intelektualną przygodą, która za każdym razem rozpoczyna się od SPOTKANIA. Spotkania z człowiekiem i miejscem.



Brama wejściowa do muzeum - to co kiedyś widzieli więźniowie. (Fot. Mateusz Nowak)

2 dzień PROJEKTU: 30 kwietnia 2010 r.

Autor: Mateusz Nowak

Brama wejściowa

Pierwszy dzień poświęcony jest na oswojenie się z otoczeniem, które – trzeba przyznać – bywa trudne i wymagające, zwłaszcza dla osoby, która po raz pierwszy ma okazję być na badaniach terenowych. I to w tak silnie oddziaływującym na człowieka miejscu, w którym będziemy spędzać większość naszego czasu przez najbliższe 10 dni (...). Już samo oprowadzenie nas przez przewodnika po terenie Muzeum Stutthof oraz innych, zapomnianych terenach byłego obozu podsunęło niektórym z nas pierwsze tematy do rozważań. Nasunęły się też pierwsze refleksje. Jedne głębsze, inne mniej, jednak wydaje mi się, że wszystkie równie ciekawe.

Moje osobiste spostrzeżenie wiąże się z samymi obiektami w Muzeum oraz tym, jak one są postrzegane, czy też dostrzegane przez zwiedzających. Tak jak byłym więźniom obozu po przyjeździe tutaj, jednym z pierwszych obiektów, jaki rzucił się w oczy była brama wejściowa, tak samo teraz nam, zwiedzającym, ten obiekt tuż po wejściu na teren Muzeum daje jasno do zrozumienia, że znajdujemy się w wiadomym miejscu (...).

Brama wejściowa stała się symbolem. Nie wiem, czy to poprzez dość charakterystyczny kształt, czy z innego powodu. Nie ma jednak wątpliwości, że jest to najbardziej rozpoznawalny obiekt na terenie byłego obozu. Zdjęcie obozowej bramy pojawia się praktycznie wszędzie – na widokówkach ze Sztutowa, czy z samego Muzeum Stutthof, na okładkach publikacji dotyczących byłego obozu, w folderach turystycznych gminy, informacyjnych tablicach przy drodze... Podobnie jest z podobnymi tego typu obiektami w innych byłych obozach.

W ostatnim czasie w mediach głośno się zrobiło na temat kradzieży słynnego napisu znad wejścia do byłego obozu Auschwitz-Birkenau (...). Nic dziwnego, podobnie jak w Sztutowie, jest to element rozpoznawalny, wszędzie doskonale kojarzony (...). Wyraźnie to widać, gdy poobserwuje się ludzi zwiedzających były obóz. Nigdzie indziej, jak właśnie pod bramą wejściową robione są zdjęcia pamiątkowe. Przed aparatem na tle bramy pozują ojcowie z kilkumiesięcznymi dziećmi, wycieczki szkolne, rodziny... Nie raz byłem proszony o zrobienie zdjęcia osobom, „koniecznie na tle bramy”. W miejscu krematorium, przy szubienicy, czy obok komory gazowej, ludzie już mniej chętnie wyjmują aparat z pokrowca i robią zdjęcia, a tym bardziej nie robią sobie pamiątkowych fotografii świadczących o tym, że się tam było...

3 dzień PROJEKTU: 1 maja 2010 r.

Autor: Mikołaj Kostyrko

Pierwsze wywiady

Trzeci dzień naszych badań został poświęcony na wstępne zapoznanie się z mieszkańcami miejscowości. Z nimi będziemy prowadzić rozmowy dotyczące ich wspomnień związanych z początkiem zamieszkania danego miejsca. I tak na rowerach dotarliśmy do Przemysławia, Mikoszewa, Junoszy-na, Popowa, Globicy, Kobylej Kępy, Kątów Rybackich, Izbisk oraz Jantaru.

Moja grupa w Jantarze spotkała się z przychylnym nastawieniem osób, z którymi rozmawialiśmy. Pomimo tego, że na początku twierdzili, iż mają niewiele do powiedzenia, okazali się być dla nas bardzo cennymi informatorami. Udało nam się spotkać z pięcioma osobami, które dotarły do tej miejscowości tuż po wojnie oraz dowiedzieliśmy się, że takich osób w Jantarze jest więcej. Pogoda nam dopisała, było bardzo słonecznie, dzięki temu nasi rozmówcy chętnie spędzali z nami czas na świeżym powietrzu, by odpowiedzieć na nasze pytania.

Mi udało się porozmawiać z panią, która krótko po wojnie trafiła wraz ze swoją rodziną z Sandomierszczyzny do Stegny, a potem do Jantaru. Opowiadała jak tuż po wojnie pobliskie tereny zostały zalane wodą przez wycofujące się wojska. Na szczęście w niedługim czasie pola udało się osuszyć, aby były zdadne do uprawy, jednak początki były trudne, a nieudane plony oznaczały głód, aż do kolejnego sezonu zbiorów. Informatorka opowiada-



Opuszczone gospodarstwo w Mikoszewie. (Fot. Bartosz Stańda)

ła mi także o powiązaniu Jantaru z bursztynem. Miałem okazję spróbować po raz pierwszy bursztynowej nalewki i zostałem obdarowany woreczkiem bursztynu. Teraz mam w planach w domu zrobić swoją nalewkę. A ta jest podobno bardzo zdrowa.

4 dzień PROJEKTU: 2 maja 2010 r.

Autor: Bartosz Stańda

Technologia w służbie humanistów

Nauki społeczne, humanistyczne uchodzą zazwyczaj za takie, do których uprawiania wystarczy kartka papieru i długopis. Jednak nasze badania udowadniają, że takowy stereotyp dawno już się zdezaktualizował. Dziś etnolog czy archeolog na badaniach terenowych wykorzystuje wiele zdobyczy współczesnej techniki. Już w procesie przygotowawczym do badań często sięgamy do zasobów Internetu. Przeszukujemy blogi i fora internetowe, a także prowadzone przez pasjonatów interesującego nas regionu. Wyszukujemy na nich ciekawostki dotyczące terenu naszych badań i tym samym po raz pierwszy stykamy się z terenem (...). Technologia, bez której nikt nie wyobraża sobie dziś prowadzenia badań to na pewno fotografia cyfrowa. Oczywiście wcześniej korzystano z tradycyjnej fotografii, ale chyba nie ma osoby, która nie zauważałaby oczywistych plusów aparatów cyfrowych (...).

W pracy etnologa niezwykle istotna jest rejestracja rozmów, które prowadzimy z naszymi informatorami. Niegdyś jedyną metodą był zapis takiej rozmowy na kartce, czyli sposób niezbyt komfortowy i narażony na pominięcie szczegółów, których nie zdążyliśmy zapisać, a które przecież mogą okazać się istotne w późniejszej analizie. Dzięki dyktafonom, dziś najczęściej cyfrowym, mamy pewność, że żadne słowo naszego informatora nie zostanie zapomniane. Oczywiście dyktafony, aparaty cyfrowe, aby w pełni wykorzystać ich możliwości wymagają komputera. Jest to tak oczywiste, że właściwie nikt się nad tym nie zastanawia. Notebook niezbędny jest do pełnego wykorzystania możliwości aparatów, dyktafonów, ale również do opracowania gromadzonych przez nas materiałów (...). Każdy dzień badań kończy się wieczornymi sesjami przy komputerach, do których wprowadzamy nasz całodzienny dorobek, przepisujemy wywiady, opisujemy zdjęcia, opracowujemy ankiety itd.

W końcu GPS. Narzędzie dość nowe dla etnologów, choć z całą pewnością przydatne w pracy. Poza tak oczywistymi zadaniami, jak pomoc w dotarciu do interesujących miejsc GPS daje także możliwość dokładnego określenia lokalizacji obiektów architektonicznych (m. in. obiektów małej architektury sakralnej), które stanowią nasz badawczy przedmiot zainteresowań. Również dla archeologii w jej nieinwazyjnej odmianie GPS jest dość istotnym narzędziem badawczym.

Dziś dzięki tej technologii dokonywaliśmy pomiarów, na terenie dawnego obozu. Z tych danych utworzony zostanie wirtualny model KL Stutthof, który pomoże opisać jak wyglądał i jak funkcjonował on w czasach II Wojny Światowej. Podsumowując, dziś humaniści chcą i potrafią wykorzystywać zdobycze techniki, co więcej bez nich nasze badania byłyby z całą pewnością uboższe, a co równie ważne po prostu trudniejsze w realizacji.

Autor: Tomasz Michalik

Zdjęcia

To nasz czwarty dzień na Żuławach. Sztutowo wydaje się być już jakieś bardziej znajome i oswojone. Małe uliczki prowadzą nas do ludzi, którzy dzielą tutaj swoje życiowe troski i radości. Ludzie Ci są bardzo różni, przeważnie otwarci na rozmowę, czasem trochę bojący się zaufać, niekiedy ciekawi dlaczego właśnie do nich przyszlismy.

W starym domku między morzem, lasem i byłym obozem wśród zapachu gotującej się zupy i przy dźwiękach telewizyjnego teleturnieju w małym pudełku wypełnionym po brzegi zdjęciami znajdujemy przeszłość. Czarno-białe fotografie przechodzą z rąk do rąk. Ręce te są bardzo różne, młode i zadbane, pracujące na wykopkach i uprawiające rolę. Jedne jeszcze maleńkie – dziecięce, inne pomarszczone i schorowane. Twarze ze zdjęć wpatrują się uporczywie w każdego, kto ośmieli się na nie spojrzeć, ale same nic nie

mówią... W ich imieniu wypowiada się starsze małżeństwo. Przeżyli dużo, ich sąsiadami tu w Sztutowie byli Niemcy, Polacy, Rosjanie. Była bieda, była gromadka dzieci, dla których trzeba było strugać z drewna zabawki, był też rower, który kiedyś służył Niemcom pracującym w obozie koncentracyjnym. Takie życie. Dziś już jest całkiem inaczej, spokojnie... prawnuki stoją koło stołu i pytają „A to kto, babciu?“, „A to kto..?“ a my razem z nimi powtarzamy w myśli „A kto to?“, „Ale jak to?“, „Ale dlaczego?“.

Zaskakujące jest to niedzielne przedpołudnie. Wsłuchując się w opowiadane historie tak ciężko zrozumieć je wszystkie, choć zarazem tak bardzo się w nie wierzy. W chaosie informacji, które próbuję zapamiętać pojawia się myśl o moich rozmówcach, o ludziach uwikłanych w wielkie wydarzenia polityczne, przywiązanych do miejsca, w którym żyją. Osobach, którym zmieniano obywatelstwo, a które dalej pozostają dla siebie tylko sobą. Rozmowa z nimi jednocześnie zwykła i niezwykła, każe pamiętać jak niezwykli są Ci zwykli ludzie, których często mijamy bez słów i tyle tracimy... i tyle nie wiemy...

5 dzień PROJEKTU: 3 maja 2010 r.

Autorka: Joanna Bleja

Co nam mówią zwiedzający

Muzeum jest miejscem odwiedzanym codziennie przez liczną grupę turystów. Pomimo, że jak dotąd spędziłyśmy tu stosunkowo mało czasu, zaobserwowaliśmy, że w niektóre dni (jak na przykład teraz, w majowy weekend) odwiedzających jest więcej, natomiast w dni zwykłe ludzi jest trochę mniej. Kim są ci ludzie i dlaczego znaleźli się w tym miejscu? To nie jest muzeum, które można odwiedzić w niedzielne popołudnie, dla umilenia sobie czasu i spędzenia go w gronie rodziny, dlatego więc tak wiele osób przybywa tutaj w świąteczne, wolne dni? Można by przypuszczać, że każdy zwiedzający przychodzi tu świadomie, z własnego wyboru, z wcześniejszym nastawieniem i przygotowaniem, bo to miejsce nie należy do łatwych.

Siedząc na ławce przy wyjściu i trzymając w ręku ankiety w oczekiwaniu na zwiedzających byłam ciekawa, co będą odpowiadać pytane przeze mnie osoby i czy w ogóle będą chciały ze mną rozmawiać. Myślałam o sobie, o tym jak niedawno pierwszy raz byłam w takim miejscu i zastanawiałam się, czy miałabym ochotę i siły rozmawiać z jakimiś studentami i udzielać odpowiedzi na ich pytania. Jednak większość osób, poza tymi, które spieszyły się do samochodu lub autobusu były chętne do rozmowy ze mną.

Powód ich przyjazdu zazwyczaj był przypadkowy. Jadąc samochodem nad morze, na weekendowy wypoczynek, z chłopakiem lub dziewczyną, zobaczyli tablicę z napisem „Muzeum” i stwierdzali, że może warto byłoby je zwiedzić (...). Chwilami, szczególnie pytając osoby w młodszy wieku, czasem nawet młodsze ode mnie, miałam wrażenie, że odpowiadają trochę jak w szkole na pytanie polonistki chcąc jak najbardziej prawidłowo skojarzyć słowa z pew-

nymi hasłami. Wyjątkiem był pewien starszy mężczyzna, z którym rozmowa wyglądała zupełnie inaczej niż z pozostałymi osobami. Był on bardzo poruszony, ale mimo to zgodził się odpowiedzieć na kilka pytań (...). Mężczyzna ten nie był tu przypadkowo. Był to jedyny cel jego podróży – zobaczyć miejsce, w którym w czasie wojny przebywał jego kuzyn. Chciało się z tym człowiekiem nie tyle porozmawiać, co pomilczeć. Pomilczeć chwilę, bo przecież nie ma odpowiednich słów, żeby wyrazić to wszystko co było, to co pozostało. Trudno to pojąć i opisać. Mój rozmówca nie potrafił zwięźle i konkretnie odpowiedzieć na pytania, a do opisu skojarzeń ze słowami „obóz”, „zagłada”, „ludobójstwo” użył tylko słowa „męczeństwo”, „niehumanitarne męczeństwo”.

6 dzień PROJEKTU: 4 maja 2010 r.

Autor: Paweł Wita

Te badania są nieprzewidywalne

Nigdy nie wiadomo, co przyniesie dzień. Często to kwestia przypadku. Wczoraj nie zrobiliśmy ani kroku na przód z powodu deszczu, dziś zaś udało się całkiem sporo. W Kątach Rybackich ustaliliśmy proveniencje tamtejszego krzyża. Powstał około 1958 roku i ufundowali go mieszkańcy wioski, jego renowacja odbyła się w roku 1990. Był to pierwszy krzyż w Kątach. Wcześniej (tj. przed 1945) mieszkali tu ewangelicy, którzy krzyża nie potrzebowali.

Wszystkie nasze ustalenia opierają się na tym, co powiedzą nam nasi informatorzy. Jest to niby proste, ale wszystko zależy od nastawienia ludzi. Nie każdy chce mówić, nie każdy zgadza się na nagrywanie, nie wszyscy też zgadzają się na zdjęcia. Ale to tylko jedna z możliwych reakcji, równie częsta jak serdeczne przyjęcie. Już teraz część z nas korzystała z zaproszeń na obiad, czy piła ze swoimi informatorami kawę. To zawsze cieszy.

Dziś udało nam się także dotrzeć do pana, który przechowuje od końca wojny tablice z napisem, że oto jest się już w Wolnym Mieście Gdańsk. Nieprawdopodobne, że takie rzeczy się zachowują. Od kogoś innego dowiedzieliśmy się jak Kąty wyglądały zaraz po wojnie. Wyprowadzający się Niemcy i przybywający z całej Polski ludzie na ich miejsce. Różnie to wyglądało, wszystkie postawy staramy się zrozumieć i rozumieć. To nie były łatwe czasy. Historie, z którymi przychodzi nam się dzisiaj zmierzyć, również. Tym bardziej dziękujemy naszym Informatorom za życzliwość.

7 dzień PROJEKTU: 5 maja 2010 r.

Autorka: Joanna Zaremba

Praca wre

Ranek rozpoczęliśmy seansem filmowym w muzealnym kinie. Obejrzeliśmy wspólnie dwa filmy: „Ambulans” w reżyserii Janusza Morgensterna – film dokumentalny oparty o materiały komisji radzieckiej, która wkroczyła na teren obozu po jego wyzwoleniu. A także „Szubienice Stutthofu” – ra-



Na schodach werandy.
(Fot. Joanna Zaremba)

port z procesu oprawców w Gdańsku. Zdecydowanie utkwiał w pamięci ten pierwszy (...). Zrodziła się we mnie pewna niespokojna myśl, iż pewne symboliczne gesty takie jak np. zaplatanie warkoczyka czy zgubienie buta zawsze już będą kojarzyć mi się z rzeczywistością obozową, a szczególnie z KL Stutthof...

Nieustannie rodzą się w nas nowe refleksje. Pojawiają się nowe problemy badawcze, nowe pytania czekające na swoje odpowiedzi...

Każdy dzień pracy w Sztutowie i okolicach przynosi nowe wyzwania, zarówno dla studentów archeologii, jak i etnologii. Nie brakuje nam jednak siły i ambicji, aby im sprostać.

Na tym etapie badań część z nas zajęła się wywiadami dotyczącymi postaw mieszkańców Sztutowa, a część wybrała się do przydzielonych nam wcześniej wiosek, gdzie spotkaliśmy się z osobami nieustannie fascynującymi nas swoimi opowieściami. Również archeolodzy nie próżnowali – doktoranci Marcin Michalski i Maksymilian Frąckowiak prowadzili badania w lesie okalającym były obóz z wykorzystaniem wykrywacza metali. Oznaka NSDAP, złota obrączka, guziki, butelki, amunicja, porcelana – to tylko niektóre z przedmiotów przyniesione przez nich do Muzeum. Jak widać, pracy nam nie ubywa.

8 dzień PROJEKTU: 6 maja 2010 r.

Autorka: Daria Ratajczak

Krajobraz kulturowy

Pomimo deszczu i przenikającego wiatru dzisiejszy dzień poświęciłam na kontemplację krajobrazu kulturowego Żuław. Wybrałam się kolejny raz do Mikoszewa, tym razem, aby spłacić dług wdzięczności. Chcąc podziękować mojej rozmówczyni za fascynującą historię zdobyłam zdjęcia dzwonów kościelnych, które z pewnych powodów były dla niej nieosiągalne, a bardzo jej na nich zależało. Jak je znalazłam? Weszłam na wieżę kościelną i na końcu stromych, zakurzonych schodów ujrzałam dwa dzwony z inskrypcjami w języku niemieckim. Po otwarciu okiennic moim oczom ukazała się panorama Mikoszewa: dróżki i ścieżki, którymi parę dni wcześniej szłam szukając przewodników w gąszczu skomplikowanych dziejów Żuław. Wielu z moich informatorów kierowało swoje myśli w kierunku Drewnicy oraz Żuławek, wsiach bogatych w unikatową zabudowę: domy podcieniowe, wia-

trak, kościółki. Chciałam zobaczyć miejsca, o których wspominali z sentymentem, czasami ze łzami w oczach. Tak jak oni zachwyciłam się czymś trudnym do uchwycenia...

Właśnie zadzwonił budzik mojej sąsiadki z karimaty, to znak, że trzeba wstać na badania geofizyczne. Jestem świadkiem przedziwnego modowego spektaklu: w kaloszach, getrach, dresach i innych bez metalowych gałgankach ruszyliśmy w pole. Z trudem powstrzymywaliśmy drżenie naszych kończyn, skostniałymi dłońmi naciskaliśmy „Enter” w gradientometrze. Wizualizacja naszej pracy okazała się wystarczającą rekompensatą poniesionych trudów. W końcu archeolog to nie zawód, a charakter...

9 dzień PROJEKTU: 7 maja 2010 r.

Autorka: Kornelia Kajda

Słońca blask, ptaków śpiew, złota plaża wśród drzew...

Cytat z tej piosenki bardzo dobrze opisuje Sztutowo, w którym to dziełnie pracujemy już od tygodnia. Co prawda słońca blask ostatnimi dniami jest zjawiskiem raczej rzadko widzianym, ale reszta tekstu z pewnością się zgadza.

Jak każdego dnia i dziś od 7:00 zaczynają dzwonić pierwsze budziki, które budzą powszechną niechęć starających się jeszcze pospać studentów... Nikt natomiast nie wytrzyma tego, który włącza się co 2 minuty przez 15 minut, a który to właścicielka usłyszy jako ostatnia.

Mimo pogody i denerwujących budzików z każdym dniem Sztutowo i Żuławy zadziwiają mnie coraz bardziej. Zaczynam zakochiwać się w okolicznych, wolnych od turystów, wioskach i w przyrodzie, która daje niesamowite poczucie spokoju. Szczególnie zachwyciła mnie mała wieś – Chorażówka. Będąc w niej czułam się jak w domu i myślałam, że w tym miejscu chciałabym kiedyś żyć. Mieszkańcy tej wsi byli bardzo otwarci i, co nas zdziwiło, właściwie na nic nie narzekali. Niesamowicie cieszą mnie też ufne psy i koty, które witają nas w każdym gospodarstwie i chcą bawić się podczas całej rozmowy z informatorami.

Jako archeolog nie mogę zapominać o ważnej części tego projektu – badaniach geofizycznych. Bardzo podobało mi się owe głośne już „bezmetalowe” chodzenie z „tyczką”.

Rytmiczne dreptanie ze sprzętem w ręce wychodziło mi całkiem dobrze. Jednak poza dobrą zabawą, wieczorne wyniki badań okazały się bardzo ciekawe i pokazały rzeczywisty sens projektu archeologicznego. Wtedy dotarło do nas, że mimo iż czasem wiele rzeczy wydaje nam się żmudnych i nużących, to mają one swój cel.

Autorka: Małgorzata Kulesza

Pliss, pliss, pliss...

Obserwacja. Selekcja. Pogoń. Pieszko. Rowerem. Na przełaj. Nieważne jak. Byleby szybciej. Byleby dopaść. A kogo? A informatora właśnie. Poznkańskie wykształciuchy od kilku dni regularnie podchodzą pod rogatki Sztutowa, wkracając na ulice, skwerki, sklepy, cukiernie, instytucje publiczne. Ba! Posesje prywatne! Wójt, ksiądz, pani sklepikowa, dyrektorka szkoły, przedszkola, kucharka, emerytka, rencista, pan z pieskiem, pani na rowerze. Wszyscy. W przeciągu kilku ostatnich dni sztutowianie musieli się z nami zmierzyć. Cel jest jeden. Zdobyć informacje. Plan jest prosty. Podjechać. Odciać drogę. Przekonać. Do siebie. Do rozmowy. W kilka sekund. Szybkie „dzień dobry”, szeroki uśmiech, podstawowe pytanie: Pan/i tu mieszka? Taaak....

I się zaczyna: bo badania, bo trzeba zaliczyć fakultet, bo biedni studenci, bo ważny projekt, bo będzie publikacja, bo to Sztutowo takie fajne. Gdy to nie działa, brniemy dalej: bo tak zimno, bo pada, bo wieje, a nikt nie chce rozmawiać, a jeszcze tyyyyyleee wywiadów do przeprowadzenia, sodomia i gomoria po prostu. Pliss, pliss, pliss. Wzrok shrekowego kota miękczą serca mieszkańców Sztutowa. A jacy są? Otwarci, cierpliwi, pomocni. Udzielają odpowiedzi, wpłatają własne rozterki, żale, anegdoty, smutki i uśmiechy. Słuchamy, kiwamy, notujemy, nagrywamy. Przyjmujemy na klatę wszelkie etykiety: „rybko”, „pyro”, „kotuś”, „kochana”, „Tomusiu”, „pani” (do pana).

Z czasem przyjdą refleksje i wnioski, ale już teraz wiemy jakie jest Sztutowo. Chciałoby się rzec „wsi spokojna, wsi wesola...”, lecz ten idylliczny obraz zakłócają problemy: brak stałej pracy, brak knajpy, brak „Biedronki”, wysokie rachunki. Jednak nie chcą wyjeżdżać, bo jest tu ładnie i spokój. Za dwa dni zmykamy, więc będzie tu święty spokój...

10 dzień PROJEKTU: 8 maja 2010 r.

Autorki: Aniela Derpińska, Monika Krobska

Czasem słońce, czasem deszcz

Sobota... Nastąpiła nareszcie z dawna wyczekiwana zmiana pogody. Wychnęło zza chmur słońce i obdarzyło nas odrobiną upragnionego ciepła. Oczywiście nadmorski klimat starał się jak mógł ochłodzić nasz entuzjazm to i tak można było pozbyć się kurtki i przemierzać Żuławy jedynie w ciepłym swetrze, a czasem i bez niego.

Dziś znów GISowaliśmy. Wspólnie z Łukaszem przedzieraaliśmy się przez chaszcze. Potem dołączyła do nas mieszana grupa etno-archeo i z przenośną GISową bazą poszliśmy w teren. Mieliśmy okazję nieco pogrzebać w ziemi i zobaczyć, czym jest ‘garbage archeology’ czyli tzw. „poszukiwa-

cze skarbów”, którzy zostawiają po sobie wiele fantów. SS-mańskie butelki, piersiówki, flakoniki, zastawa stołowa, ogromne kości jakiegoś zwierzęcia zjedzonego przez nich zapewne na obiad.

Po południu z racji obchodów wyzwolenia KL Stutthof, poszliśmy na spotkanie z byłymi więźniami obozu. Kilkoro z naszej grupy miało okazję porozmawiać z prawdziwymi bohaterami tego spotkania. Udało nam się nawet z niektórymi umówić na dłuższą rozmowę po jutrzejszych uroczystościach, co bardzo cieszy obie strony. Ci ludzie mają ogromną potrzebę mówienia o tamtych strasznych wydarzeniach, dzielenia się swoimi wspomnieniami, które odtwarzają niemal z fotograficzną dokładnością.

Cieężko pisać o jednym tylko dniu...Tutaj wszystko się ze sobą łączy. Codziennie ekipy etno-archeo wsiadają na rowery i wyjeżdżają do swoich miejscowości. Wiele historii usłyszeliśmy, wiele osób spotkaliśmy (...). W Izbiskach mieliśmy okazję posiedzieć w domu podcieniowym... i nieźle zmoknąć. Powrót 20 km na rowerze w deszczu, z wiatrem w oczy – bezcenny. Mimo wszystko warto czasem tak zmoknąć, pokaszleć dzień później, żeby tych ludzi spotkać.

11 dzień PROJEKTU: 9 maja 2010 r.

Autorka: Małgorzata Wosińska

Spotkanie ze świadkiem

Ostatni dzień badań. Czujemy się trochę jak w piosence: ta ostatnia niedziela, jutro się rozstaniemy. Jest nam smutno, że tak krótko trwała nasza przygoda ze SPOTKANIEM. Opuszczamy: niezwykle informatorów, fenomenalną ekipą muzealną (z psem Felkiem na czele), historię i przestrzeń – naznaczone już nie tylko dramatyczną narracją, ale i naszym uśmiechem. W końcu – nasze własne towarzystwo (staliśmy się grupą przyjaciół, jakby nie patrzeć).

Ale nagle...podejmujemy decyzję: nie wolno nam poddać się nastrojowi nostalgii! Na nią przyjdzie jeszcze czas. Dziś musimy zakasać rękawy i choć jeszcze chwilę działać. Bo wiecie... niedziela 9.05.2010 roku to właściwie najważniejszy dzień naszego projektu – i mimo, że ostatni, to najpełniejszy i najdobitniej wskazujący cel badań. Tego dnia mają bowiem miejsce obchody 65. rocznicy wyzwolenia KL Stutthof, a ocalali z obozu więźniowie przyjeżdżają do Muzeum i swoją obecnością tworzą pomost pomiędzy przeszłością a teraźniejszością. Chcecie się dowiedzieć co jest po drugiej stronie? To łatwe: wystarczy patrzeć, słuchać i pytać świadków historii. Stanęliśmy więc z tłumem uczestników obchodów pod pomnikiem o godzinie 10.30 rano i przenieśliśmy się na chwilę w czasie. Szukaliśmy odpowiedzi na pytania o charakter fizycznej i mentalnej przestrzeni KL Stutthof już nie tylko w literaturze i krajobrazie, ale także i w pamięci jej uczestników.

A student Paweł Wita osiągnął nawet więcej – na chwilę zmienił tożsamość etniczną (co dla etnologa oznacza chyba szczyt marzeń) i wraz z delegacją izraelską stawiał znicz pod pomnikiem. Dodajmy, że odbyło się to na forum, publicznie i przed kamerami. Jak się „wkręcił”? Zapytajcie Pawła, znając go, chętnie opowie.



Z Panią Stefanią, mieszkanką Izbisk.
(Fot. Katarzyna Rybarczyk)

12 dzień - ZAKOŃCZENIE PROJEKTU: 10 maja 2010 r.

Autorka: Anna Weronika Brzezińska

Rachunek sumienia

Po kilku godzinach snu, po małej imprezie pożegnalnej, po szybkim pakowaniu się i sprzątaniu – wracamy. I trochę statystyki na koniec: 11 dni badań, kilkanaście miejscowości przebadanych, ok. 100 historii rodzinnych wysłuchanych, ponad 100 rozmów z mieszkańcami Sztutowa spisanych, 160 ankiet ze zwiedzającymi Muzeum przeprowadzonych, setki pomiarów zarchiwizowanych. Ponadto: całkiem sporo znalezisk, niezliczone ilości kilometrów przejechanych rowerem i „na stopa”, bursztyny zebrane na nalewkę, książki zakupione w muzealnym sklepiku liczone już w kilogramach, tysiące zdjęć... Kilka strat: rozbity nos, przebita opona, spotkanie z kleszczem, kilka przeziębień, ukradziony rower (w pociągu do Poznania).

Każdy z nas zdał egzamin przede wszystkim przed samym sobą, a razem stworzyliśmy świetny zespół – grupę do zadań specjalnych. Opuszczamy Sztutowo w momencie, kiedy jeszcze jest cicho i spokojnie, tuż przed sezonem turystycznym, z nadzieją, że udało nam się poczuć klimat tego miejsca i choć odrobinę poznać i zrozumieć jego gościnnych mieszkańców.

Co w nas pozostanie z tych badań? Ile z tego będziemy pamiętać? Ile zdołamy dalej opowiedzieć? Jak zostaniemy zapamiętani? Co zrobimy z powierzonymi nam tajemnicami dotyczącymi miejsca przechowywania bursztynowej komnaty? Jak się teraz przystosować do nowego rytmu dnia – pozbawionego porannego śpiewu ptaków, skrzypienia starej podłogi, bez konieczności codziennego opracowywania nowej trasy, bez codziennych rozmów i opowiadania sobie o zasłyszanych ciekawostkach? Ile zdołaliśmy się dowiedzieć o naznaczonym krajobrazie, a ile dowiedzieliśmy się o nas samych? I wreszcie – kto zrozumie nasze specyficzne poczucie humoru i to, dlaczego tak się boimy „jodłowania”?

Aleksandra Paprot

Nekropolia mennonicka w Stogach Malborskich



Cmentarz mennonicki - Stogi malborskie
ok. 1977 r.

Mennonici

Nowe poglądy religijne na początku XVI w. i sprzeciw wobec skostniałej formie Kościoła doprowadziły do swoistej rewolucji głównie na obszarze ówczesnego Świętego Cesarstwa Rzymskiego Imperium Niemieckiego. Pierwszym propagatorem zmian w Kościele Katolickim był Marcin Luter, który 31 października 1517 r. w Wittenberdze ogłosił swoje 95 tez dotyczących sprawy odpustów i nadużyć Kościoła. Zda-

czenie to zachęciło również innych duchownych katolickich (m. in. Urlicha Zwingliego) oraz przywódców religijnych w wielu częściach Europy do głoszenia potrzeby wprowadzenia reform w kościele i do skupienia się na naukach Chrystusa zawartych w Biblii. W południowych Niemczech uczeń Marcina Lutra – Tomasz Müntzer wzywał do głębokich reform, zarówno ekonomicznych, jak i społecznych. Stawianie tak odważnych postulatów doprowadziło do wybuchu wojen chłopskich. Zostały one jednak stłumione przez katolików i luteran. Wtedy właśnie ukształtowała się również jedna z radykalnych grup reformatorskich – anabaptyści. Ruch ten zaznaczył swą obecność również w Szwajcarii za sprawą Konrada Grebela z Zurychu. Jednak większość anabaptystów uciekła stamtąd do Niderlandów, chcąc uniknąć wrogości wobec siebie polityki religijnej Zwingliego. W Niderlandach połączyli się z grupą niemieckich anabaptystów, gdzie wykształcił się bardziej rewolucyjny odłam grupy. Rewolucyjny chiliasta¹ Jan Matthys, późniejszy przywódca Monasteru, rozpowszechniał zbrojną ideę przyspieszenia nadejścia Królestwa Niebieskiego. Poniósł on jednak klęskę podczas zdarzeń w Münster.

¹ Chiliizm to pogląd religijno-historiozoficzny, zgodnie z którym ostateczny koniec świata poprzedzony zostanie przez już bliski, tysiącletni okres Królestwa Bożego, por. Nowa Encyklopedia Powszechna PWN, t. 1, red. B. Petrozolin-Skowrońska, Warszawa 1997, s. 226, [hasło: chiliizm].

Najważniejszą postacią dla anabaptystów stał się wkrótce Menno Simons urodzony w Witmarsum we Fryzji (1498 - 1561). W 1515 r. uzyskał święcenia kapłańskie, jednak już wkrótce nastroje reformacyjne w Europie sprawiły, że zaczął on sympatyzować z anabaptyzmem. Uważał, że tylko nauki Chrystusa, chrzest dorosłych oraz dbanie o biednych stanowią właściwą drogę do osiągnięcia celu. Ruch, który zaczął się pod jego wpływem formować odrzucał chrzest dzieci, urzędy, posługiwanie się mieczem i przysięgi. Dla zwolenników Simonsa, nazywanych od jego imienia mennonitami, najważniejsza była głęboka wiara i samodzielna interpretacja Biblii. Głównym celem w życiu mennonity było dążenie do świętości poprzez naśladowanie Chrystusa, przy jednoczesnym silnym akcencie na stronę moralną i etyczną. Chrzest, z którym szczególnie identyfikowano wyznawców dogmatyki Menno Simonsa, miał zapewnić człowiekowi powtórne narodziny. Przyjęcie tego sakramentu możliwe było tylko przez ludzi dorosłych, świadomych swego wyboru i zobowiązywało ono do ścisłego przestrzegania zasad tej religii. W przypadku odejścia od wyznaczonych norm, gmina nakładała na członka klątwę będącą swego rodzaju wyrokiem wykluczającym ze społeczności wyznaniowej. Według Simonsa władza państwowa pochodziła od Boga, lecz prawdziwy chrześcijanin nie powinien obejmować stanowiska mogącego być środkiem zemsty, bądź czynienia szkody na rzecz innych ludzi. Gmina mennonicka stanowiła wspólnotę, dbającą o dobro każdej jednostki. Zbór kierując się miłosierdziem, nigdy nie pozwalał na to, by jakiś członek wspólnoty pozostawał w biedzie i nieszczęściu. Zawsze w takiej sytuacji cała gmina służyła mu pomocą i wsparciem.

Gminy mennonickie swym kształtem i funkcjonowaniem przypominały pierwsze gminy chrześcijańskie. Na czele trójstopniowego zarządu zboru stał starszy gminy wybierany dożywotnio spośród wiernych. Nie miał on zwykle charakterystycznego dla innych wyznań wykształcenia teologicznego. Do jego obowiązków należało głównie odprawianie nabożeństw, chrzczenie wiernych oraz normowanie życia gminy według zasad wiary. Jego postawa miała być przykładem moralności dla całego zboru. Niżej od niego stał nauczyciel, który wygłaszał kazania oraz pełnił posługę podczas ślubów i pogrzebów. Najniższą pozycję w gminie miał diakon, który zajmował się majątkiem zboru oraz opiekował się ubogimi.

Nabożeństwa mennonickie były bardzo proste w swej konstrukcji i przekazie. W czasie ich trwania modlono się, śpiewano i słuchano kazania. Jeszcze gdy mennonici nie mieli pozwolenia na budowę domów modlitwy, latem spotykano się w budynkach gospodarskich - stodołach, oborach, natomiast zimą nabożeństwa odprawiano w domach. Później już budowane domy modlitwy (Bettenhausy) charakteryzowały się prostotą oraz skromnością użytych środków. Swoisty mennonicki ikonoklazm ujawniał się w braku świętych obrazów. Miejsce modlitwy było zwykle położone z dala od

kościółów innych wyznań. Bettenhausy były kryte strzechą lub gontem. Nie posiadały wież i dzwonów, dlatego też nie przypominały swoim wyglądem budowli sakralnych. Mennonici nie pozwalali osobom spoza wspólnoty na udział w nabożeństwie.

Porzucenie gminy wyznaniowej było odbierane jako zagrożenie dla tej religii. Gmina walczyła o każdego, kto postanowił porzucić macierzystą wspólnotę. Nawrócenia na mennonityzm były możliwe jedynie w kilku przypadkach. Zazwyczaj, gdy wcześniej odstępujący od zboru, pragnął do niego powrócić i gdy dzieci z mieszanego małżeństwa lub obcowyznaniowy małżonek mennonity byli gotowi przyjąć powtórny chrzest.

Moralność mennonitów była bardzo surowa. Erotyka była dla nich tematem tabu, co też przejawiało się w prostocie i skromności strojów. Mennonickie gminy flamandzkie zabraniały swym wiernym noszenia guzików, by nie powodować u nich próżności. Grzechem było także pijaństwo, tańce, muzykowanie, hazard, bluźnierstwa, przeklinanie, kłótnie i bijatyki – za to mogli zostać nawet usunięci z gminy.

Mennonici byli uważani za wzorowych gospodarzy. Domy budowali z wielką pieczołowitością, a przydomowy ogród lub podwórze nigdy nie było pozostawione w nieporządku. Wnętrze budynku charakteryzowało się zwykle prostotą i surowością. Unikano jaskrawych kolorów. Jednak inne społeczności postrzegały czasem mennonitów jako dziwaków wiodących ascetyczne życie, tworzących wspólnotę przypominającą niekiedy komunę. Jednostka była zwykle kierowana przez grupę wyznaniową, przez co rzadko kiedy można było mówić o indywidualności wyznawcy tej religii. Zakaz zawierania małżeństw z osobami z zewnątrz grupy prowadził do izolacji jednostki i podporządkowania się jej życiu gminy. Przeciętna rodzina mennonicka była wielopokoleniowa i wielodzietna.

Mennonici na ziemiach polskich

Już w 1543 r. Menno Simmons miał kontakt z superintendentem kalwińskim pochodzenia polskiego – Janem Łaskim. Wspólnie prowadzili oni polemikę dotyczącą dogmatu wcielenia Chrystusa i jego dwóch natur, chrztu, grzechu pierworodnego, zbawienia i powołania kapłańskiego. Mennonici byli przychylnie nastawieni do Łaskiego. To on jako pierwszy wyodrębnił ich grupę z anabaptystów, podając nazwę „mennonici” w jednym ze swoich rozporządzeń. Kontakt z Łaskim mógł być również jednym z wielu powodów decydujących o przyjeździe protestantów religijnych z Niderlandów do Polski, która po podpisaniu dokumentu konfederacji warszawskiej w 1573 r. stała się państwem tolerancyjnym. Chęć ucieczki od prześladowań innowierców i polityka tolerancji religijnej w kraju nad Wisłą, zachęciła wielu wyznawców mennonityzmu do osiedlenia się tu.

W połowie XVI wieku, który przyniósł delcie Wisły tymczasową stabilizację i nadzieję na rozwój, król polski – Zygmunt II August wydzierżawił znaczne obszary ziemi żuławskiej braciom Szymonowi, Janowi i Stefanowi Loitzom. Mieli oni przywrócić jej zdolność produkcyjną. W konsekwencji dokonali oni sprowadzenia do Polski największej fali osadników z Niderlandów, którzy rozpoczęli meliorację Żuław Wielkich. Krótco po tym, właściciel ziemski Ernst van Weiher idąc śladem braci Loitzów, zaprosił mennonitów do osiedlenia się w pobliżu jego zamku nad rzeką Tugą. Właściciele ziem żuławskich zwykle przekazywali osadnikom niderlandzkim własności ziemskie w dzierżawę długoterminową. Przeważnie obejmowała ona trzydzieści, bądź czterdzieści lat. Zawierana umowa zwalniała mennonitów z obowiązku kwaterowania oddziałów wojskowych i wykonywania pańszczyzny.

Pod koniec XVI wieku gminy mennonickie w Prusach Królewskich podzieliły się na dwa odłamy: flamandzki i fryzyjski. Gminy flamandzkie były znacznie bogatsze i rygorystyczne w zagadnieniach religijnych. Ważne dla nich było zachowanie kontroli nad swoimi członkami. Choć Flamandowie byli ortodoksyjnymi wyznawcami mennonityzmu, to jednak wobec kwestii ubioru podchodzili bardziej otwarcie niż Fryzowie, których głęboki tradycjonalizm ujawniał się szczególnie w ubogim wyglądzie. Z kolei biedniejsi Fryzowie, trudniący się zazwyczaj rolnictwem, byli również podatni na wpływy obcych elementów, co doprowadzało do dogmatycznego rozbięcia i konfliktów wewnątrz gminy. Na Żuławach więcej było ośrodków flamandzkich (np. Stogi Malborskie) niż fryzyjskich (np. Markusy).

Stogi Malborskie

Historia Stogów Malborskich (Howbude) sięga początków XV w., kiedy to w czasach krzyżackich, na obszarze tej wsi znajdowały się liczne pastwiska dla koni rycerskich i drewniane szopy. Duży wpływ na późniejszy jej kształt miały postanowienia Pokoju Toruńskiego z 1466 r., mówiące m. in. o przyłączeniu do Polski Pomorza Gdańskiego, w tym także Żuław. W wyniku zmian administracyjnych, które wprowadzono w delcie Wisły, część Żuław stanowiła odtąd dobra królewskie – tzw. ekonomię malborską. W 1510 r. nazwę omawianej miejscowości zapisano już jako Heybudi. Wieś ta została założona w 1562 r., a już w 1565 r. oddano ją w dzierżawę osadnikom z Niderlandów. Pod koniec XIX w. we wsi znajdowało się 45 domów, a areal pól uprawnych wynosił 137 włók, zaś liczba ludności wynosiła - 154 katolików i ewangelików oraz 176 mennonitów.

Stogi Malborskie były niegdyś siedzibą flamandzkiej gminy mennonickiej Heubuden-Marienburg. W okresie międzywojennym był to jeden z największych zborów wiejskich, obejmujący aż 34 wsie. Duża grupa członków tego zboru zamieszkiwała wtedy głównie południowy obszar Żuław Wiel-

kich. Część z nich pochodziła z Malborka, nieliczni wyznawcy byli również z okolic Tczewa – na zachód od Wisły, z terytorium Polski, a także z terenów na wschód od Nogatu – w byłych Prusach Wschodnich.

Przodkowie członków tego zboru byli w większości niderlandzkimi osadnikami. Potwierdzają to także wzmianki z 1565 r. o niderlandzkich osadnikach wyznania mennonickiego, którzy dzierżawili ziemię w Stogach Malborskich i odprowadzali opłaty do wsi Koczelitzki (dzisiejsze Kościeleczyki). Pierwsze informacje dotyczące konfliktów pomiędzy mennonitami z gminy w Stogach Malborskich a duchownymi katolickimi pochodzą z 12 grudnia 1701 r., kiedy to jeden z księży jezuickich z Kościeleczyk wystosował skargę do sędziego królewskiego w Malborku. Mówiła ona o tym, że mennonici z omawianej gminy odmawiają płacenia dziesięciny, tłumacząc się tym, iż nigdy wcześniej nie płacili oni takich opłat.

Mennonici byli negatywnie nastawieni wobec jakichkolwiek aktów przemocy i działań zbrojnych, jednak pomimo tego wojenne zawieruchy nie ominęły Stogów Malborskich. 17 lipca 1626 r. wojska szwedzkie na czele z królem Gustawem Adolfem zaczęły oblegać zamek w Malborku i stacjonowały tam aż do podpisania pokoju w Sztumskiej Wsi w 1635 r. Po krótkim okresie pokoju, w 1655 r. oddziały szwedzkie i polskie znów zaczęły prowadzić działania wojenne w tym rejonie. Aż do drugiego dziesięciolecia XVIII w. ludność Stogów Malborskich była zmuszana do dostarczania oddziałom wojsk koni i zboża. Najdotkliwsze okazało się jednak ściąganie opłat pieniężnych od wielu, często ubogich rodzin. W XVIII w. Żuławy były okupowane i plądrowane na zmianę przez oddziały szwedzkie, polskie, rosyjskie i saksońskie.

W 1700 r. mennonici flamandzcy żyjący w okolicach Sztumu, w miejscowości Jerczewo (Pułkowice), zjednoczyli się z gminą ze Stogów Malborskich. Gmina z Jerczewa miała własnych diakonów i nauczycieli. Obie gminy miały także wspólny majątek.

Do 1728 r. gmina mennonicka w Stogach Malborskich nie miała własnego starszego zboru, dlatego zazwyczaj pełniła tam posługę starszyzna z Gdańska lub z okolicznych gmin. W tym też roku Jacob Dyck został wybrany pierwszym starszym gminy mennonickiej w Stogach Malborskich. Pełnił on posługę do swojej śmierci w 1768 r., lecz wcześniej z jego rekomendacji wybrano drugiego, równoległego starszego gminy – Gerharda von Bergena. Od tego czasu w zborze tym służyło dwóch starszych gminy, sześciu nauczycieli i jeden lub dwóch diakonów.

W drugiej połowie XVIII w. gmina ta miała już tak wielu wiernych, że postanowiono odprawiać nabożeństwa niedzielne w kilku miejscach. Dla członków mieszkających dalej niż w Stogach Malborskich, posługa była pełniona w domach wiernych z Malborka, Lichnówek, Lasowic i Pogorzałej Wsi.

17 czerwca 1768 r. biskup chełmiński Wojciech Leski, wydał gminie mennonickiej w Stogach Malborskich pozwolenie na wybudowanie drewnianego domu modlitwy – Bettenhausu. Budowla miała mieć wymiary 40 łokci długości, 20 szerokości i 7 wysokości. Natomiast dach miał być pokryty strzechą lub gontem. Prace budowlane zostały zakończone na przełomie października i listopada tego samego roku. Gmina w Stogach Malborskich była również właścicielem dwóch domów składających się z czterech pojedynczych mieszkań. Potocznie nazywano je „szpitalami”. Pełniły one funkcję domu dla biednych członków gminy mennonickiej.

Mennonici ze względu na zasady wiary nie mieli obowiązku pełnienia czynnej służby wojskowej. Jednak w 1787 r. Prusy zerwały te postanowienie. Spowodowało to kolejne fale emigracji mennonitów za granicę, a ci co zostali dostosowali się do obowiązku wojskowego. W tym czasie starszy gminy w Stogach Malborskich, Gerhard Penner, razem z wieloma mennonitami wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Zaś w 1788 r., wraz z pierwszą falą emigracji do Rosji, siedemnaście rodzin opuściło zbór w Stogach Malborskich. Natomiast w 1807 r. rozpoczął się dla tej wsi trudny czas okupacji francuskiej. Mieszkańcy byli zobowiązani do płacenia regularnych opłat ciemężycielom francuskim i rosyjskim do 1809 r.

Ożywienie naukowe i religijne w XIX w. wpłynęło również pozytywnie na członków stogowskiej gminy. Kiedy otworzono mosty na Wiśle, znacznie polepszyła się komunikacja na Żuławach. Także brukowanie wielu dróg umożliwiło lepszy dostęp do domu modlitwy w Stogach Malborskich. Wierni z tego i gdańskiego zboru otworzyli również 7 listopada 1826 r. chrześcijańską szkołę w Rodloffhuben (obecnie Kałdowo). W 1836 r. zostało powołane do życia Chrześcijańskie Koło Czytelnicze założone przez Jacoba Regehra, który wraz z przyjaciółmi i dwoma protestanckimi nauczycielami gromadził początkowo czasopisma misjonarskie, a z czasem także literaturę rozrywkową o tematyce chrześcijańskiej.

Po jakimś czasie wierni z Malborka i okolic postanowili utworzyć nową gminę mennonicką, która potem dzięki współpracy ze stogowską gminą wybudowała w mieście dom modlitwy (dziś już nieistniejący).

Kolejnym, niestety przykrym doświadczeniem dla omawianej gminy mennonickiej, była pierwsza wojna światowa. Podczas niej zginęło wielu jej członków wcielonych przymusowo do wojska. Zaś późniejsze postanowienia traktatu wersalskiego sprawiły, że wierni ze zboru Heubuden - Marienburg znaleźli się w Polsce, Wolnym Mieście Gdańsk i Niemczech. Pomimo wielu trudności związanych z komunikacją między trzema ośrodkami władzy, wierni czuli między sobą jeszcze większą duchową więź.

Cmentarz mennonicki w Stogach Malborskich

Mennonici ze względu na wyznawane poglądy i zakorzenioną tradycję, podchodzili do tematu śmierci bardzo naturalnie. Wielopokoleniowe i często wielodzietne rodziny były oswojone ze śmiercią. Brak odpowiednich warunków higienicznych, a przede wszystkim opieki medycznej powodował, że wiele dzieci nie przeżywało okresu niemowlęcego. Negatywnym czynnikiem było również zawieranie małżeństw w wąskim kręgu społecznym, szczególnie wśród bliższych oraz dalszych krewnych.

Mennonici nie posiadali własnych cmentarzy wyznaniowych aż do połowy XVIII w., co należy łączyć z udzieleniem pozwolenia na budowę domów modlitwy. Wcześniej zmarli byli chowani w wykupionych kwaterach na cmentarzach innych wyznań. Problemem jednak był fakt, że kościół katolicki i luterański nie akceptował pochówku osób nieochrzczonych na terenie swojego cmentarza. Stanowiło to duży problem dla mennonitów, których spora część przyjmowała sakrament chrztu dopiero w wieku ponad dwudziestu lat.

Władze zwierzchnie innych wyznań dbały o to, by pogrzeb mennonicki różnił się w swej oprawie od ceremonii katolików bądź ewangelików. Przejawiało się to zwykle w prostocie i skromności nabożeństwa żałobnego, bez kościelnych dzwonów i kazań nad mogiłą. Odśpiewywanie pieśni żałobnych miało miejsce jedynie w domu zmarłego, natomiast trumnę z nieboszczkiem niosło dwunastu wcześniej wybranych członków gminy.

Nekropolie mennonickie cechuje specyficzna forma przestrzenna. Cmentarze te lokowano zwykle na regularnych prostokątnych, bądź kwadratowych parcelach. Jednym bokiem przylegały do lokalnej drogi, a z trzech stron ograniczone były rowami, co było koniecznością na podmokłych terenach Żuław, ale mogło mieć też znaczenie symboliczne. Często znajdowały się na niskim, sztucznie usypanym pagórku. Podczas zakładania cmentarza sadzono w centrum dąb i wiele innych drzew dookoła. Natomiast Bettenhaus (dom modlitwy) sytuowano w obrębie cmentarza, bądź poza jego terenem jak, np. w Stogach Malborskich. Nekropolia taka była zwykle ogrodzona płotem z desek, a jej układ przestrzenny nie różnił się bardzo od innych cmentarzy, gdzie można wyróżnić główną aleję i alejki boczne.

W 1768 r. w Stogach Malborskich wybudowano drewniany mennonicki dom modlitwy (rozebrany ok. 1955 roku). Jego elementy zostały wywiezione w okolice dawnego województwa łomżyńskiego i dziś pełni on tam funkcję kościoła katolickiego.

Po 1768 r. powstała też siostrzana flamandzka gmina w Różewie. W tym czasie Stogi Malborskie były jedną z najliczniejszych i najbogatszych gmin mennonickich. Natomiast cmentarz powstał prawdopodobnie około połowy XVIII w. Początkowo zmarłych grzebano w dwóch kwaterach znajdują-

cych się najbliżej kaplicy. W pierwszych dziesięcioleciach XIX w. posadzono lipy, wyznaczające układ przestrzenny cmentarza. Pierwotny układ zieleni zachował się do dziś.

Teren cmentarza obejmuje około 2,6 ha. Konserwatorzy zabytków, dokonujący ewidencji nagrobków starej nekropolii w Stogach Malborskich w 1984 r. u XIX w., zaś ostatnie zachowane pochodzą z lat 1938 - 39. Do dziś zachowało się 260 obramowań grobów ze sztucznego kamienia, wiele podstaw krzyży nagrobnych, kilka bardziej współczesnych nagrobków wykonanych z granitu oraz nieliczne pojedyncze mogiły dziecięce. Najbardziej typowym nagrobkiem występującym na stogowskiej nekropolii jest wykonana z piaskowca stela, bogato zdobiona płaskorzeźbami o ukrytej symbolice. Innym przykładem nagrobka jest cippus. Do Stogów Malborskich przeniesiono także dziewięć stel z byłego cmentarza mennonickiego w Lasowicach Małych i Lasowicach Wielkich.

Cmentarz cenny jest ze względu na mnogość form i motywów nagrobnych. Na wielu cmentarzach można znaleźć mogiły ziemne i murowane, krzyże (dawniej występowały również drewniane, dziś zachowały się sporadycznie kute, metalowe, żeliwne lane, kamienne z marmuru lub wapienia gotlandzkiego), kamienie polne, płyty nagrobne, przedstawienia figuralne, ułamana kolumna, ułamany pień, obelisk, a przede wszystkim stelę i cippus.

Stela jest najczęściej występującą formą nagrobka na cmentarzach mennonickich. Pochodzenie jej należy wiązać z barokiem, kiedy to kamień nagrobny lub płyta kościelna została podniesiona do pionu, co miało oznaczać odrodzenie i zmartwychwstanie. Początkowo znajdowały się na niej tylko inskrypcje, ale z czasem zaczęto wprowadzać rozbudowane formy zdobnicze. Stele mennonickie zapisywane były obustronnie. Od strony grobu znajduje się tekst poświęcony zmarłemu, natomiast z drugiej tekst biblijny, który czytano przy narodzinach dziecka. Zasada była taka, że jak narodziło się dziecko, to starszy gminy przychodził pobłogosławić je. Otwierał Pismo Święte na jakiegokolwiek stronie i czytał przypadkowo wybrany fragment, który stawał się odtąd mottem na życie danego człowieka. Potem ten tekst był umieszczany również na jednej ze stron nagrobka. Sposób opisywania zmarłego mennonity był również dość nietypowy. Należy dodać, że zwykle tylko mężczyźni mieli swoje nagrobki, kobiety znacznie rzadziej. Zdarzały się pojedyncze mogiły kobiet, co świadczyło o tym, iż była to zasłużona mennonitka. Proste, nie wyróżniające się niczym szczególnym kobiety, były chowane razem z mężem, często nie było to nawet uwidaczniane chociażby w postaci napisu. Natomiast przy opisie mężczyzny na nagrobku uwzględniano imię, nazwisko, datę urodzin, śmierci, ilość przeżytych lat, miesięcy, dni. Niekiedy umieszczano również sekwencję poświęconą liczbie potomstwa męskiego i żonie (podawano jej nazwisko rodowe).



Cmentarz mennonicki w Stogach
malborskich ok. 1900 r.

Stele zdobione są przeważnie rzeźbą ornamentalną, wykonaną techniką reliefu wklęsłego lub wypukłego. Ornamenty te można podzielić na dekoracyjne i symboliczne. Do najczęstszych elementów dekoracyjnych należą: akant, anioły, bluszcz, czaszka, gołębica, granat, gwiazdy, zgaszona pochodnia (symbol zgasłego życia), klepsydra, korona, kotwica, krzyż, kwiat, róża, lilia, gmerk, makówka, meander, medalion, motyl (symbol krótkiego życia w obliczu wieczności), muszla, oko opatrzo-

ści, palma, rozmaryn, serce, słońce, spirala, waza lub puchar pełen obfitości, wachlarz, wąż, wieniec, a także gmerk czyli znak kamieniarski umieszczony na kamiennej płycie, jako sygnatura autora dzieła.

Na stogowskiej nekropolii znajduje się 17 stel o wysokości ponad 2 m, 52 wysokości 1,5 - 2 m, pozostałe stele mają przeważnie wysokość od 1,12 do 1,49 m i niższe. Stele na cmentarzu w Stogach Malborskich stanowią pewnego rodzaju karty księgi – są krótkim zapisem życia mennonitów należących niegdyś do miejscowego zboru. Ukazują sposób, w jaki wyznawcy religii Menno Simonsa podchodzili do tematu śmierci i życia wiecznego. Ziemskie życie było dla nich tylko krótką chwilą, a śmierć miała przynieść zbawienie i zjednoczenie z Chrystusem. Z wielu napisów nagrobnych można wywnioskować, że ich wiara była bardzo głęboka i nie obawiali śmierci. Świadczy o tym, m. in. stela Jacoba Wiebe. Formuła wyryta na początku jego nagrobka głosi: tu spoczywają w Bogu ziemskie szczątki Jacoba Wiebe urodzonego 11 sierpnia 1789 r. w Orłowie i zmarłego 15 lutego 1865 r. w Staryni. Poniżej znajduje się cytat z Listu św. Pawła do Filipian: Dla mnie bowiem życiem jest Chrystus, a śmierć zyskiem.

Innym nagrobkiem, który ukazuje wiarę w szczęście, które daje życie wieczne, jest stela zawierająca cytat z Biblii: Gdzież jest zwycięstwo twe, o śmierci? Gdzie jest, o śmierci, twe żądło? Jest on zawarty na steli Juliusa Hardera ze Staryni, żyjącego w latach 1830 - 1903. Natomiast formuła na grobie Anny Clas-sen Blumstein informuje: Tu spoczywa w Bogu moja kochana siostra, nasza szwagierka i dobra ciocia Anna Claasen Blumstein urodzona 23 marca 1868 r. i zmarła 3 grudnia 1941 r. Poniżej napis ukazujący również silne więzi rodzinne: Miłość, którą rozdzieliła śmierć, zjednoczy ponownie niebo. Także stela Abrahama Hardera ze Stogów Malborskich ukazuje bogate życie rodzinne. Abraham żył w latach 1767 -1851. W pierwszy związek małżeński wstąpił 13 marca 1792 r., a w drugi 8 sierpnia 1813 r. Napis umieszczony przez rodzinę głosi: My – rodzina zmarłego, dzieci i wnuki oplakujemy stratę naszego ukochanego ojca i dziadka.

Podobna forma znajduje się na neogotyckiej steli składającej się z dwóch tablic i łączącego je krzyża: Czwórka wczesnie osieroconych dzieci – dwóch synów i dwie córki noszą żałobę po spoczywających tu rodzicach. Na nagrobku Abrahama Dýck i Sary Dýck z domu Jansson znajduje się także cytat: Los mój w Twoim ręku spoczywa; wyzwól mnie z rąk moich wrogów i prześladowców!..

Innym przykładem nagrobka jest cippus, który miał formę niskiego czworobocznego prostopadłościanu lub sześciianu, zwieńczonego szerokim parapetem czy płytą, na której umieszczano urnę lub wazę – ewidentne zaświadczenie śmierci i wysokiej pozycji zmarłego. Doskonale potwierdza to cippus Abrahama Reigera znajdujący się na stogowskiej nekropolii, datowany na około 1851 r. Jest to forma neoklasycystyczna zdobiona liśćmi akantu, zaś napisy (nie wszystkie można odczytać) ryte są kursywą. Według informacji znajdujących się na nagrobku Reiger urodził się 23 lutego 1774 r. Przez cztery lata był on nauczycielem w miejscowym zborze, a przez siedemnaście lat z oddaniem zarządzał gminą mennonicką jako starszy zboru. Posługę swą zakończył w dniu śmierci 8 sierpnia 1851 r.

Oprócz stel i cippusów, na stogowskim cmentarzu można odnaleźć pięć nagrobków w kształcie krzyża i dwa kamienie nagrobne. W północnym narożniku cmentarza, na mogile Kathariny Schönfeld – żyjącej w latach 1898 - 1945 – znajduje się nowy drewniany i niski krzyż, który został zapewne tam umieszczony kilka lub kilkanaście lat temu przez odwiedzających nekropolię mennonitów. Na pionowej desce krzyża zostały namalowane dłonie złożone w geście modlitewnym.

Niegdyś na cmentarzu znajdowało się wiele nagrobków granitowych, które kilka lat po wojnie skradziono, bądź odsprzedano kamieniarzom. Do dziś zachowały się nagrobki betonowe, albo z piaskowca. Mogiły często były otaczane dekoracyjnymi kratami lub łańcuchami, również w XIX w.

Nietypowy dla cmentarzy mennonickich nagrobek stanowi mogiła z motywem militarnym, pozbawiona jakiegokolwiek napisu. Nagrobek znajduje się w południowo-zachodniej części cmentarza na prawo od wejścia. Jego historia stanowi swego rodzaju zagadkę, bowiem nie ma nigdzie informacji, które wyjaśniłyby jego pochodzenie. Można snuć jedynie domysły i stawiać hipotezy. Według Bernarda Jesionowskiego z Muzeum Zamkowego w Malborku, nagrobek ten pochodzi z czasów pierwszej wojny światowej. W tym okresie mennonici zwykle przestrzegali jeszcze negatywnego stosunku wobec służby wojskowej. Jednak czas wojny sprawił, iż wielu z członków stogowskiego zboru było wcielanych przymusowo do wojska. Wielu żuławskich mennonitów służyło w niemieckiej armii tworząc najprawdopodobniej specjalne oddziały zaplecza kwatermistrzowskiego. Często chowano ich później na cmentarzach jako niemieckich bohaterów wojennych. Jednak gmina, do której należał mennonita służący w wojsku mogła się go wyrzec i nie zezwolić na jego pochówek na cmentarzu. Członkowie tej wspólno-

ty nie używali również symboli militarnych na nagrobkach współbraci. W *The Mennonite Encyclopedia* można znaleźć informację mówiącą o tym, iż podczas pierwszej wojny światowej zginęło dwudziestu pięciu zaciągniętych do wojska członków stogowskiego zboru. W 1920 r. postawiono na cmentarzu pamiątkowy pomnik. Być może zwieńczenie omawianego nagrobka stanowiło niegdyś jeden z elementów wspominanego w encyklopedii pomnika.

Ciekawą formę mogiły na stogowskiej nekropolii stanowi również grób Fritza Wiebe (1901 - 1934) – *Sturmführera*. Jego nagrobek to kamień w kształcie nieregularnego trójkąta, na którym jest wyryta nazwa piastowanego stanowiska, imię, nazwisko oraz data urodzin i śmierci. Według Jesionowskiego, był to już ewidentnie żołnierz, albo mennonita, czyli to było odstępstwo od zasad przelewania krwi. W Malborku i okolicach, w tym w Stogach Malborskich wiele było mennonitów o nazwisku Wiebe. Ci z Malborka byli również chowani na stogowskiej nekropolii. Mieszkańcy wsi byli bardziej tradycyjni – jeżeli on służył w wojsku, to zapewne nie należał też w pełni do zboru.

Omawiając specyfikę poszczególnych nagrobków, warto również wspomnieć o tabliczce przytwierdzonej do jednej ze stel. Jest to nagrobek Heleny Ensz (lub Entz) z domu Harderer lub Harder. Mennonitka ta żyła w latach 1784 - 1860. Natomiast rodzina Lewis spokrewniona z Henrym Entzem odwiedziła cmentarz w Stogach Malborskich 10 października 2005 r. przytwierdzając białą tabliczkę do steli Heleny Ensz (Entz). Według informacji znajdujących się na tabliczce, Henry Entz opuścił Stogi Malborskie w 1864 r. w wieku siedemnastu lat. Celem jego podróży były Stany Zjednoczone.

Podczas drugiej wojny światowej zginęło około stu mężczyzn ze zboru w Stogach Malborskich i prawie tyle samo zostało wziętych do więzienia, albo zaginęło. Kiedy wojska rosyjskie okupowały gminę na początku 1945 r., niemal wszyscy mężczyźni opuścili domy, a znaczna część kobiet została wysłana na prace przymusowe na Syberię, część ludności uciekła także do Danii, Urugwaju i Kanady. Kilka lat później niektórzy z nich wrócili i dotarli do zachodnich Niemiec. Ostatni starszy zboru w Stogach Malborskich, Bruno Ewert i diakon Gustav Reimer wyemigrowali do Urugwaju w 1950 r., a budynek zboru mennonickiego przejął kościół katolicki.

W latach sześćdziesiątych na cmentarzu znajdowały się jeszcze wysokie żywoploty i alejki prowadzące do poszczególnych mogił. Jednak kolejne lata i brak ogrodzenia doprowadziły do tego, że na terenie cmentarza można było zauważyć bydło z pobliskich gospodarstw, które w poszukiwaniu pożywienia niszczyło zabytkowe mogiły. Natomiast dziś dorośli mieszkańcy Stogów Malborskich wspominają, że jako małe dzieci wiele razy bawili się w chowanym pomiędzy wysokimi stelami będącymi doskonałym miejscem kryjówki.

Według przekazów wielu osób, na cmentarzu znajdowało się więcej nagrobków, nawet granitowych. Jednak pewnej nocy szabrownicy wywieźli ich znaczną część i ślad po nich bezpowrotnie zaginął. Do dziś nie wiadomo, gdzie mogłyby się znajdować. Roman Klim sugeruje, że w latach siedemdziesiątych władze gminy sprzedały część nagrobków kamieniarzowi z województwa lubelskiego, a elementy żeliwne i żelazne zostały skradzione i sprzedane na złom.

Pierwsze kontakty po wojnie mennonici próbowali nawiązać z Polakami pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Kierowała nimi chęć odkrycia swoich korzeni oraz odnalezienia domów i miejsc bliskich ich ojcom. Już wtedy była to liczna grupa przedstawicieli z Holandii, Niemiec, Kanady i Stanów Zjednoczonych. Efektem tych działań było utworzenie Towarzystwa Przyjaźni Mennonicko-Polskiej, które miało na celu ochronę mennonickich dóbr materialnych na Żuławach oraz kultywowanie pamięci przodków poprzez spotkania z obecnymi mieszkańcami. Dużym zaangażowaniem ze strony polskiej wykazał się wtedy Roman Klim – dyrektor Muzeum Wisły w Tczewie i dr Arkadiusz Rybak – dyrektor Ośrodka Doradztwa Rolniczego (ODR-u) w Starym Polu.

Przez kilka wieków nekropolia ta była miejscem pochówku dla wielu pokoleń mennonitów. Przetrwała czasy wojen i niepokojów, jednak obecnie stan, w jakim się znajduje, pozostawia wiele do życzenia. Cmentarz nie jest regularnie pielęgnowany. Nagrobki powoli ulegają destrukcji. Tylko część mieszkańców wie, kim byli mennonici i co zrobili dla Żuław. Należałoby zatem wykorzystać to i mobilizować społeczność lokalną do działania poprzez realizację projektów animacyjnych.

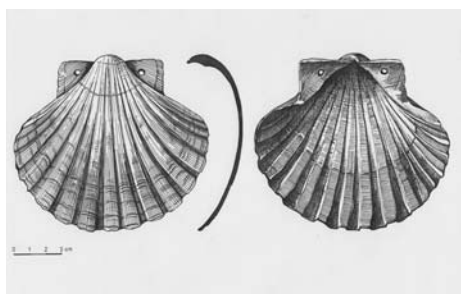
Obecnie na świecie jest blisko 1,5 miliona mennonitów, a w samej Europie ponad 50 tysięcy. Przodkowie wielu z nich mieszkali dawniej w Polsce. Przykład cmentarza w Stogach Malborskich pokazuje, że pomimo upływu wielu lat, potomkowie dawnych mieszkańców Stogów Malborskich i okolic chcą uchronić od zapomnienia mennonicką kulturę materialną na Żuławach. Podejmowanie coraz to nowych inicjatyw i organizacja Zjazdów Mennonickich pozwala zacieśniać więzi między Polakami i mennonitami. Można zauważyć również wzrost zainteresowania tą tematyką wśród różnych grup społecznych m. in. w instytucjach jednostek samorządowych i szkołach, które promują i szerzą wiedzę o Żuławach. Nadal jednak brakuje ostatecznej decyzji kto ma się cmentarzem zajmować i go chronić.

Wybrana bibliografia

- E. Kizik, Mennonici w Gdańsku, Elblągu i na Żuławach Wiślanych w drugiej połowie XVII i XVIII wieku, Gdańsk 1994.
P. J. Klassen, Ojczyzna dla przyszłości. Wprowadzenie do historii mennonitów w Polsce i Prusach, Warszawa 2002.
R. Klim, Cmentarz pomennonicki w Stogach – największy na Żuławach Wiślanych, Elbląg 1988.
Mennonici na Żuławach. Ocalone dziedzictwo, red. G. Szczesiak, I. Ziętkiewicz, Gdańsk 2007.

Grażyna Nawrońska

O średniowiecznych pielgrzymkach i znakach pielgrzymich



Muszla pielgrzymia znaleziona na Starym Mieście w Elblągu, ul. Wigilijna 33.
(Rys. B. Kiliński)

W pierwszych wiekach istnienia chrześcijaństwa pielgrzymiki były zjawiskiem marginalnym w kościele, ograniczającym się praktycznie tylko do elit. Bardziej powszechny zwyczaj pielgrzymowania upowszechnił się w IV wieku w czasach Konstantyna. Zaczęto wówczas na większą skalę nawiedzać miejsca uświęcone obecnością i działalnością Chrystusa. Później zaczęła funkcjonować nowa odmiana pielgrzymowania, związana

z rozwojem kultu męczenników i wiary o orędownictwo świętych. Odwiedzano miejsca, gdzie znajdowały się święte relikwie lub cudowne obrazy słynące łaskami. Ośrodki pielgrzymkowe zaczęły masowo powstawać w całej Europie. Pod względem zasięgu przestrzennego, od czasów wczesnego średniowiecza zdecydowanie wyróżniał się szlak św. Jakuba (El Camino), który prowadził przez cały kontynent europejski i miał swoje zakończenie w Santiago de Compostela, gdzie w tamtejszej katedrze znajdował się grób św. Jakuba Starszego. Drugim bardzo ważnym szlakiem była trasa pielgrzymkowa prowadząca do Rzymu. Trzecim najczęściej odwiedzanym przez europejskich pielgrzymów miejscem była Jerozolima.

Dante Alighieri w dziele *Vita nuova* w bardzo obrazowy sposób ukazał zjawisko, które możemy w pewnym sensie określić jako „typologię” pielgrzymów. Wszystkie osoby, które wędrują w „imię Boże” podzielił na trzy kategorie. Pielgrzymów udających się za morze do Ziemi Świętej i przywożących stamtąd palmową gałązkę, określił jako palmieri. Osoby wędrujące do Rzymu nazwał romei, a określenie peregrini przeznaczył dla pielgrzymów udających się do grobu św. Jakuba znajdującego się w katedrze w Santiago de Compostela. Na dziedzińcu przed północnym portalem tamtejszej świątyni pątnicy zaopatrywali się w muszle, będące symbolem św. Jakuba Starszego Apostoła, a które stały się potem w pewnym sensie „logo” wszystkich pielgrzymek. Właśnie wędrującym do nadatlantyckiego sanktuarium nadał D. Alighieri miano „prawdziwych pielgrzymów”.

Co skłaniało ludzi do opuszczenia kraju i rodziny na dość długi czas i borykania się ze sprzecznościami losu w nieznanych i niebezpiecznych miejscach? Najbardziej szlachetnym powodem była chęć uświęcenia się. Pielgrzym, który pokonywał liczne niebezpieczeństwa na szlaku swojej pielgrzymki, m.in. ciągle trwające wojny, znosił ciężkie trudy podróży i często będąc zdany tylko na łaskę ludzi, którzy zapewniali mu po drodze dach nad głową i jedzenie, dążył do wewnętrznego oczyszczenia i duchowej doskonałości. Wierzył, że modlitwa przed relikwiami i za wstawienictwem danego sacrum pomoże mu uzyskać szczególną łaskę u Boga i otrzymać zbawienie. Pielgrzymki podejmowano też jako wypełnienie złożonego wcześniej ślubowania, spełnienia obietnicy lub jako podziękowanie za otrzymane dobrodziejstwa. Decydowano się również na wyruszenie w dalszą drogę, aby odprawić pokutę dobrowolną lub wyznaczoną przez spowiednika. Często w otrzymanym wyroku sądowym przestępcy byli zobowiązani do odbycia pielgrzymki. Po jej ukończeniu skazany miał sznę na powrót do życia w społeczeństwie. Jednym z powodów wyruszenia w taką podróż była nadzieja na wyleczenie z choroby.

Szlaki pielgrzymkowe, pokrywające całą Europę, przemierzali także ludzie szukający niezwykłych przygód, ciekawi świata, włóczędzy lub zwykli awanturnicy. Dlatego też pielgrzymi byli często narażeni na napady rabusiów. Problem ten miał stać się w pewnym momencie dość uciążliwy, skoro Sobór Laterański I w roku 1123 wydał uchwałę, w której zapisano: „XVI. Żeby nie nęcano ludzi wędrujących do Rzymu oraz odwiedzających inne miejsca święte. Jeżeli ktoś odważy się napadać na pielgrzymów wędrujących do Rzymu do grobów apostołów lub odwiedzających sanktuaria innych świętych, rabować rzeczy, które mają ze sobą, albo będzie nękać kupców ściąganiem nowych opłat za przejazd cłami, dopóki nie zadośćuczyni za wyrządzone krzywdy, pozbawiony będzie komunii chrześcijańskiej”. (Dokument Soboru Powszechnego 2002, II, s. 129). Wydawano również specjalne glejty lub listy żelazne na przejazd lub przejście pątników. Jednak takich dokumentów grasujący na drogach Europy rabusie nie respektowali i dlatego często pielgrzymi nie docierali do sanktuariów lub ginęli w drodze powrotnej.

Pielgrzymujący mieszkańcy miast i wsi nabywali znaki pielgrzymie, produkowane w ogromnych ilościach w odwiedzanych przez nich sanktuariach a następnie przywozili je do rodzinnych miejscowości jako dowód swych pobożnych dokonań. Podobnie, jak i inne akcesoria związane z pielgrzymkami, przedmioty te stały się istotnym elementem związanym z obyczajami kościelnymi. Dzisiaj są jednym ze składników dającym nam podstawę do badań, m.in. tras pielgrzymkowych. Te właśnie symbole religijnych peregrinacji znane są z wielu stanowisk archeologicznych w Europie, m.in. z Ho-

landii, Niemiec, Francji, Czech, Skandynawii i oczywiście z Polski. Znaki i plakietki pielgrzymie zostały odkryte w Gdańsku, Szczecinie, Wrocławiu, Gniewie, na Ostrowiu Lednickim, w Poznaniu i oczywiście w Elblągu.

Wieloletnie, systematyczne badania archeologiczne prowadzone na Starym Mieście w Elblągu przyniosły tylko kilka znaków pielgrzymich oraz nieliczne przedmioty związane z pielgrzymkami. Być może dalsze prace dostarczą nam kolejnych, wspaniałych obiektów.

Jakub Starszy był pierwszym apostołem, który poniósł męczeńską śmierć, a miejsce jego spoczynku – katedra w Santiago de Compostela – była jednym z trzech najważniejszych celów pielgrzymek w Europie. O randze tego miejsca i prowadzonych do niego czterech głównych i wielu mniejszych trasach świadczy wydanie w latach 1133 - 1173 specjalnego przewodnika *Liber Sancti Jacobi*. Napisany przez mnicha Aimerica Picaud poświęcony został temu ośrodkowi i pielgrzymkom do Composteli. Zbierane na przykładu atlantyckim Finisterre muszle z gatunku *Pecten maximus* L., a później wytwarzane i sprzedawane przed katedrą stały się znakiem rozpoznawalnym tego sanktuarium, a potem ogólnym symbolem europejskich pielgrzymek.

Doskonale zachowana duża atlantycka muszla, o wysokości 11,1 cm i szerokości 12,1 cm znaleziona została w 1999 r. w drewnianej latrynie usytuowanej na podwórku parceli przy ul. Wigilijnej 33. Datowana na przełom XIV / XV w. jest jedną z ośmiu znanych mi muszli znalezionych w Polsce i należy zarazem do największych tego typu znaków pielgrzymich znalezionych w Europie. Na dwóch umieszczonych symetrycznie z boku skrzydełkach wywiercono dziurki umożliwiając umocowanie muszli na torbie lub kapeluszu pielgrzyma.

Drugi zidentyfikowany znak, przedstawiający biskupa św. Serwacego, odkryto w kamiennej latrynie zlokalizowanej na podwórku działki przy ulicy Kowalskiej 11. Datowany na przełom XIV/XV w., ażurowy jednostronny odlew wykonany został ze stopu cynowo-ołowiowego. Ukazuje postać biskupa w stroju pontyfikalnym, stojącego na leżącym smoku, któremu wbija w gardło pastorał. Serwacy był ostatnim biskupem limburskiego miasta Tongern i został pochowany w Maastricht. Jego kult szczególnie nasilił się w wieku XII. Św. Serwacy przedstawiany jako dostojny brodaty mężczyzna był symbolem walki z herezją ariańską. Znaki z jego wizerunkiem są często spotykane, co świadczy, że miejsce związane z jego kultem było często odwiedzane przez pielgrzymów. Te symbole wędrówek odnajdujemy w Kołobrzegu, Dordrechcie, Brugii, Amsterdamie i wielu innych miejscowościach.

Największym pod względem liczebności ośrodków jest szlak wizerunków maryjnych. Oficjalne zatwierdzenie kultu Matki Boskiej na soborze w Efezie w 431 r. zwiększyło liczbę kościołów i sanktuariów pod jej wezwaniem, a święte miejsca związane z Najświętszą Marią Panną



Znak pielgrzymi św. Serwacy.
(Rys. B. Kiliński)

stanowiły ponad 80% wszystkich obiektów pielgrzymkowych. Najwięcej ich powstało we Francji, Hiszpanii i na niemieckim obszarze kulturowym.

Znaleziony na Starym Mieście w Elblągu ażurowy, cynowo-ołowiowy znak pielgrzymi przedstawia Matkę Boską z Dzieciątkiem na ręce. Odkryty w drewnianej latrynie usytuowanej na podwórku działki przy ulicy Kowalskiej 38 jest datowany na pierwszą połowę XV w. Znak ma 4,9 cm wysokości i 2,3 cm szerokości i przedstawia postać stojącej Marii w koronie trzymającej w prawej ręce krzyż / berło (?), a na lewej małą postać Dzieciątka. Postać umieszczona jest we wnętrzu schematycznie przedstawionego elementu architektonicznego, którego najwyższy punkt wieńczy krzyż, a na zewnętrznych

ściankach umieszczone zostały kule. Znak ten nastrocza ogromne trudności przy ustalaniu jego proveniencji. Zdaniem wielu badaczy identyfikacja maryjnych znaków zawsze napotykała na niemałe problemy. Wiąże się to z istnieniem wielu sanktuariów poświęconych Marii oraz bardzo dużej ilości produkowanych, niezmiernie do siebie podobnych znaków. W Polsce znaki maryjne znaleziono także w Gdańsku i Gniewie i tam również wystąpiły trudności z ich identyfikacją i określenie, ich przynależności do konkretnego centrum pielgrzymkowego.

Trudny do zidentyfikowania jest kolejny przedmiot przywieziony przez elblążanina z odległego miejsca pielgrzymkowego. Jest to znak w formie medalionu, który wtórnie został umieszczony na dnie małego, cynowego dzbanuszka, określanego w literaturze jako Hansekanne. Dzbanek został znaleziony w kamiennej latrynie odkrytej na podwórku działki przy ulicy św. Ducha 4, a jego chronologia jest określana na połowę XV w. Powierzchnię tego znaku o średnicy 4,3 cm wypełnia scena Ukrzyżowania, ze stojącymi pod krzyżem postaciami Matki Boskiej i św. Jana Ewangelisty, trzymających w swoich rękach serca. Ten medalion należy do grupy znaków pielgrzymich przedstawiających Ukrzyżowanie. Istnieją pewne przesłanki, które mogą sugerować, że znak ten pochodzi z Kolonii. Jak dotychczas nie znaleziono identycznego znaku, natomiast podobne odkryto w Gdańsku i Dordrechcie.

W kamiennej latrynie na podwórku parceli przy ulicy Stary Rynek 40 znaleziono bardzo dobrze zachowaną ampułkę, o wysokości 6,2 cm, średnicy brzuśca 4,8 cm i szerokości szyjki 2,2 cm, wykonaną ze stopu ołowiu i cyny. Na przejściu szyjki i brzuśca umieszczono symetrycznie dwa uszka, służące do zawieszenia ampułki na szyi lub przy pasku. W centralnym miejscu znaku znajduje się wizerunek brodatej głowy Chrystusa, z umieszczonymi w trzech miejscach stylizowanymi promieniami słonecznymi. Na rewersie umieszczono stylizowaną, rozłożoną palmetę. Elementem dekoracyjnym jest ornament perełkowy i pas kratki, które umieszczono po obydwu stronach. Nie mamy pewności, czy ta ampułka może być typowym znakiem pielgrzymim.

Umieszczony na niej wizerunek brodatego Chrystusa miał pochodzić od Jego oblicza odcisniętego na chuście św. Weroniki. Ten motyw był najczęściej przedstawiany na znakach, które pielgrzymi przywozili z Rzymu. Chociaż znaki o podobnych motywach produkowane były, m.in. w Hesji. Ampułki, utożsamiane w pewnym sensie ze znakami pielgrzymimi, pełniły również funkcję amuletów, zarówno w czasie wędrówki pielgrzyma, jak i po jego powrocie do domu. Służyły one do przechowywania olejków, wody święconej, ziemi lub pyłków łaski, które były przywożone z różnych miejsc odległych pielgrzymek. Ampułkę taką zamykano wraz z jej zawartością przez zaciśnięcie lub zalanie otworu jakąś substancją. Przedmioty o takim kształcie są często znajdowane w trakcie badań archeologicznych. Mają one, m.in. formy owalne, prostokątne lub beczułkowate i są bogato zdobione, m.in. krzyżami, palmetami, tarczami herbowymi. Niekiedy przybierają formę muszli.

Niezwykłe oryginalny przedmiot znaleziono w warstwie użytkowej próchnicy, na podwórku działki przy ulicy Kowalskiej 9. Nie jest on typowym znakiem pielgrzymim, chociaż mógł pełnić taką funkcję. Jest to ażurowy, kolisty, cynowo-ołowiowy przedmiot o średnicy 4,5 x 5,3 cm, datowany na drugą połowę XIV w. Artefakt przedstawia dwie centralnie umieszczone we wnętrzu koła postacie w długich szatach. Postać z zamkniętymi oczami usytuowana z lewej strony przedstawia mężczyznę (?), natomiast druga



Matka Boska z Dzieciątkiem. Znak pielgrzymi znaleziony na Starym Mieście w Elblągu. (Rys. B. Kiliński)



Ampułka z wizerunkiem Chrystusa.
(Rys. B.Kiliński)

osoba z otwartymi oczami o długich włosach może być kobietą. Ich podniesione ręce trzymają dwie kule oraz obręcz. Czy ten przedmiot może wykazywać nieco podobieństwa do postaci Adama i Ewy, znajdujących się na znaku znalezionym w Vlaanderen? Sprawa jest dość skomplikowana, bo oprócz tego znaku nie ma do elbląskiego przedmiotu żadnych innych analogii w całej Europie.

Hasłem setek tysięcy a nawet milionów pielgrzymów przemierzających w średniowieczu kontynent europejski i pokonujących w trudnych i niebezpiecznych warunkach mniejsze i znacznie większe odległości do sanktuariów i miejsc świętych, było zawołanie „Idźmy w imię Boga”. Pielgrzymów rozpoznawano po specjalnych znakach, charakterystycznych atrybutach, odróżniających ich od innych wędrowców, czy poszukiwaczy przygód i rozbójników. Były nimi przede wszystkim: sakwa, filcowy kapelusz, gliniane lub drewniane fiaszki pielgrzymie, dzwoneczki, kij pielgrzymi. Bardzo osobistym wspomnieniem a zarazem dowodem odbytej i udanej pielgrzymki było noszenie znaków pielgrzymich. Umieszczano je na ubraniu lub kapeluszu. Znaki te były produkowane w ogromnych ilościach przez licencjonowanych rzemieślników w każdym centrum pielgrzymkowym. Dochód z ich sprzedaży stanowił znaczne źródło zysków kościelnych, które były wykorzystywane, m.in. na rozbudowę istniejących i wznoszenie nowych sanktuariów. Przykładem może być rozbudowa na potrzeby pielgrzymów katedr, m.in. w Santiago de Compostela, Vézelay, Kolonii, Tuluzie, Einsiedeln czy Akwizgranie. Dzięki pielgrzymom zakładano nowe osiedla, wznoszono dla nich domy, hospicja, szpitale, zakładano klasztory.

Znaki przywożone przez pielgrzymów i zapewniające ich właścicielom szczególną ochronę, należało po powrocie z pielgrzymki zdeponować w „mokrym miejscu”. Według sugestii wielu badaczy miało to być gestem pojednania, niedopuszczeniem do ich sprzedaży lub dostaniu się w niepowołane ręce. Cztery elbląskie znaki pozyskano właśnie w takich warunkach. Również muszla przywieziona do Elbląga z Santiago de Compostela znaleziona została w środowisku wilgotnym (latryna). Chociaż przywożone z odległego sanktuarium św. Jakuba muszle najczęściej odnajdywane były w grobach, stanowiąc element wyposażenia zmarłego pielgrzyma.

Precyzyjne datowanie znaków jest niezwykle trudne. Mamy tu przecież do czynienia z wyrobem masowym, wytwarzanym w ogromnych ilościach przez setki lat. Stosowane do wyrobu formy odlewnicze, wykonane

ze steatytu lub łupków, były użytkowane przez długi okres czasu, aż do ich zniszczenia. Tak więc zmiany w wyglądzie tych artefaktów były znikome lub przypadkowe i najczęściej czytelne tylko w szczegółach.

Odkrycie w trakcie badań archeologicznych na Starym Mieście w Elblągu znaków pielgrzymich ma ogromne znaczenie dla prowadzenia badań i studiów nad pobożnymi podróżami i wędrówkami mieszkańców miasta. Zastanawiamy się bowiem, kim mogli być właściciele przywiezionych z dalekich wypraw do Elbląga i tutaj zdeponowanych tych atrybutów pobożności, jakimi były znaki pielgrzymie. Z jakich warstw społecznych się wywodzili? Czy byli uczestnikami tylko jednej pielgrzymki czy odbyli ich kilka, dokumentując w nich swój udział przywiezionym znakiem z odległego lub bliskiego sanktuarium? Bardzo często osoby udające się na pielgrzymkę podejmowały taką decyzję spontanicznie. Przed wyruszeniem ludzie ubodzy nie musieli porządkować żadnych spraw.

Inaczej było w przypadku kupców, rzemieślników czy osób duchownych, posiadających dobra materialne. Składali oni w ratuszu swoje testamenty jako zabezpieczenie materialne dla pozostających w mieście swoich bliskich. Również elblążanie umieszczali takie testamenty w kancelarii staromiejskiego ratusza. Spośród wymienianych w nich miejscowości jest wiele znanych ośrodków pielgrzymkowych, m.in. Santiago de Compostela, Rzym, Akwizgran, Kolonia, Wilsnack, Sternenbergn, Einsiedeln. Nie wiemy jednak na pewno, czy do wszystkich tych miejsc odbyli pielgrzymki czy tylko je planowali. Chociaż odnalezione znaki pielgrzymie świadczą o tej formie ich aktywności religijnej.

Do połowy XIV w. Elbląg był najważniejszym portem morskim i ośrodkiem gospodarczym w Państwie Krzyżackim i odgrywał czołową rolę w działalności Związku Hanzeatyckiego w północno-wschodniej części Europy. Silne gospodarczo miasto posiadało rozległe kontakty handlowe prawie z całą Europą. Dowodem na to są liczne przywożone do Elbląga wyroby, zarówno luksusowe, jak i te codziennego użytku, które dzisiaj znajdujemy w trakcie badań archeologicznych. O dalekich i bliskich wyprawach religijnych elblążan do wielu sanktuariów europejskich świadczą m.in. znalezione przez nas znaki pielgrzymie. Chociaż pielgrzymi swoje peregrynacje często łączyli z celami handlowymi. Byli baczniymi obserwatorami, a przemierzając obce kraje i przyglądając się wszelkim nowinkom z pewnością przynosili je do swojego miasta. Nie różnili się specjalnie od innych mieszkańców średniowiecznej Europy i zgodnie z duchem swojej epoki pielgrzymowali po kontynencie europejskim.

Bogumiła Bruniecka

W drodze do Composteli



Autorka przy krzyżu pielgrzymim w drodze do Composteli. (Fot. archiwum autorki)

3 lipca 2010 - Sztum – Barcelona

Wychodzę z domu. Jest piękne sobotnie przedpołudnie. Schylam się i podnoszę dwa kamyki, chowam je głęboko w kieszeni. Żegnam się z sąsiadką. Obie mamy w oczach łzy: zostawiam jej najnowszą książkę o Camino¹, sama nie zdążyłam przeczytać. Wylatuję jutro rano, ale nasza kolej wydłużyła czas przejazdu z Malborka do Warszawy z 9 do 12 godzin. Za to

sam lot do Barcelony zajmie mi zaledwie cztery godziny.

Serce mam pełne niepokoju, przysmykam powieki nie chcąc zdradzić co właśnie się zaczęło. Drżą mi ręce. Rozpamiętuję minione miesiące i narastającą obsesję podróży. Gorączkowe czytanie „Kartek” nocami ubiegłej jesieni – wydrukowanych ukradkiem w pracy. W końcu kupuję laptopa. Samotność. Ból. Moje rodzeństwo skutecznie zakwestionowało moje prawo do korzyści i pozbawiło mnie marzeń, resztki przekuwam na podróż życia. Pierwszy zakup to skarpetki doradzone na forum, próżno doszukuję się w nich nitek srebra rzekomo pochłaniających pot (ha, ha ha, takich ilości potu jakie spływały mi do butów prawdopodobnie żaden producent nie przewidział).

Wracam wspomnieniami do pierwszej myśli o Camino. Jest 1994 rok. Podpisałam zgodę na amputację piersi, czekam na zabieg. Wcześniej czytam kolejną książkę ulubionego pisarza Davida Lodge’a. Tym razem to „Terapia” – podobno każda książka musi trafić na szczególnie splot zdarzeń odbiorcy by go poruszyć do tego stopnia, że zostanie zapamiętana. Tak było w moim wypadku. Historia mężczyzny, który spotyka swoją dawną znajomą i gdy

¹ Camino w języku hiszpańskim dosłownie oznacza alejkę, ale tu użyte jest w znaczeniu droga. Chodzi o szlaki pielgrzymie prowadzące do sanktuarium św. Jakuba w Santiago de Compostela na północnym-zachodzie Hiszpanii. To najważniejszy szlak pielgrzymkowy w Europie, którego początki sięgają IX wieku. Znanymi pielgrzymami byli między innymi: Karol Wielki, Jakub Sobieski (ojciec króla Jana III Sobieskiego), Jerzy i Stanisław Radziwiłłowie (1579 r.), Jan Dantyszek, Jan XXIII, Jan Paweł II.

próbuje ją odnaleźć ponownie ona już podąża szlakiem pielgrzymów. Rusza za nią i stopniowo odkrywa kolejne jej tajemnice, z których jedna była mi wówczas szczególnie bliska. Zamiast standardowej koperty podarowałam lekarzowi, który mnie operował tę książkę plus album o Japonii, a pierś mi ocalała. Jeszcze dwukrotnie wracałam na onkologię, ale to wtedy podjęłam decyzję – pójdę kiedyś do Santiago de Compostela.

Wiadomość o Santo Ano², pierwsza książka Lucyny Szomburg, trafienie na blog „Kartki z podróży” było niesamowitym splotem zdarzeń, których efektem było kupienie biletu do Barcelony jeszcze w listopadzie 2009 roku. A teraz boję się. Dygoce we mnie każda cząstka ciała. Którejś nocy przed wyjazdem budzę się z tego lęku, odpalam komputer i idę do lodówki po resztkę wina na uspokojenie i... zalewam laptopa (skutecznie). Na szczęście po powrocie dostaję nowego.

4 lipca – Barcelona

Kolorowy zawrót głowy. Upał. Pachnie. Zbieram oliwki spod drzewek na „mojej” uliczce. Upycham po kieszeniach (jedną przywiozłam do domu). Zachwycam się dosłownie wszystkim. Pieszko docieram do Katedry Sagrada Familia (świętej Rodziny). Nie wchodzę, odstrasza mnie kolejka ciągnąca się przez całą ulicę. Fotografuję bez opamiętania. Wykorzystuję zdanie po hiszpańsku jakie przesłała mi Ewa z Santiago i recytuję je przed młodym ojcem z dziećmi (chodzi o przypilnowanie moich rzeczy). Facet patrzy na mnie, uśmiecha się i informuje, że nie mówi po hiszpańsku ale mogę zostać obok niego swoją torbę. Sic!

Woda wyśmienita. Pływam tak zachłannie jakbym miała już nigdy tego nie robić. Na promenadzie obok plaży widzę gościa kompletnie nagiego maszerującego zamasyżście, klejnoty starannie wygolone dyndają wesoło. Rozglądam się dookoła, nikt na niego nie zwraca uwagi. Właśnie mijają dwie młode muzulmanki w chustach na głowie. Uśmiecham się sama do siebie: podoba mi się tu. Dyskretnie wyciągam aparat, żeby nie przeoczyć następnej „okazji”. Mijają mnie fajna rodzinka na rolkach, piękna szczupła mama, tatuaże, imponująca szybkość i nagle słyszę słowa po polsku. Rozpływam się ze szczęścia. Awangarda made in Poland! Tym razem udaje mi się ich utrwalić.

Później Muzeum Picassa (trzy godziny wzruszenia, niestety, nie było mojego ulubionego obrazu „Prasowaczka” z okresu błękitnego), La Rambla, Wzgórze Montjuic. Mam tylko dwa dni, jak tu się „najeść” Barcelony do syta? Wracam nocą kompletnie zmęczona. Jutro fly from Oviedo. Jeszcze tylko dotrzeć na lotnisko, ale jak to zrobić nie znając żadnego istotnego ję-

² Rok Święty Jakubowy (hiszp. Ano Santo Iacobeo). Przypadał 25 lipca 2010 w dzień Świętego Jakuba Apostoła. Następny Rok Święty obchodzony będzie w 2021 roku.



Międzynarodowa grupa pielgrzymów w drodze do Composteli. (Fot. archiwum autorki)

zyka? Rosyjski się nie liczy, a niemieckiego i łaciny ze studiów nie pamiętam „ani w ząb”. Tymczasem w moim pokoju „wytrzeźwiała” klimatyzacja - dont function. Proszę gościa z recepcji o pomoc. Walnął ją pięścią (matko „Seksmisja”!). Mówię mu, że będę spać w holu na kanapie. Po chwili przynosi gruby koc, tylko że to nie koniec moich „przypadków”. Jakiś gość przekręca klamkę na tarasie, a tam na doniczkach wiszą moje majtki, stanik i dwie bluzki. Tłumaczę „po mojemu”, że jutro rano odlatuję i muszę to zabrać. Szlachetny recepcjonista przychodzi ze śrubokrętem i coś kombinuje, a tu klamka plastikowa zatopiona w takich samych drzwiach, czyli zero efektu. Biorę sprawy w swoje ręce: zdejmuję karnisz z zasłonami, udaje mi się otworzyć okno. Przełazę okrakiem przez parapet, zabieram moje desusy i otwieram nieszczęsne drzwi. Zasypiam marznąc we włosy.

7/8 lipca - Oviedo – San Juan de Villapañada

Wychodzę ze schroniska o 8:00. Pada deszcz. Wyciągam pałatkę, Holendrzy pomagają mi ją naciągnąć na plecak. Obserwuję jak idą, ale im się nie śpieszy zachodzą do Panaderii (piekarnia) i do baru, więc ruszam do przodu. Upał, mimo deszczu. Po chwili jestem bardziej mokra od spodu niż od zewnątrz. Kluczę ulicami już dwie godziny. Mam mapę, ale jeszcze muszę wyjąć okulary. Kijki „trzymam zębami”. Deszcz moczy mi mapę. Zaraz zwariuję. W końcu udaje mi się wyjść z miasta. Mija mnie Alexsandro (Neapol). Też przyleciał dopiero wczoraj, czyli nowicjusz. Wczorajszy dzień cudowny, spacer ulicami Oviedo – to chyba najpiękniejsze miasto jakie dotychczas widziałam. Co budynek to arcydzieło. Zachodzę do katedry. Wszyscy przygotowują się do jakiegoś meczu (półfinały? Hiszpania z Niemcami), na ulicach dostawiają stoły, krzesła, widzę jakąś wyrzeźbioną niewiaستę przewiazaną flagą.

Zamawiam jedną szklankę Sidry (młodego hiszpańskiego wina), kelner przecząco kręci głową, muszę wziąć całą butelkę. OK. Nalewa tak jak napisał Kartek³, tak jakoś z góry i z ukosa ale trafia do szklanki. Wszyscy to piją dookoła. Biorę jakieś dwa łyki i intuicja mnie ostrzega: uwaga biegunka. Kończę, zabieram butelkę i szklankę dla hospitalero⁴: w końcu Hiszpan, jemu nic nie będzie. Po drodze zachodzę do supermercado⁵ po wodę. Odstawiam wino na chwilę na ziemię i dokonuję zakupu. Nagle, bum, brzęk! Sidra wybuchła, szklanka leci w górę i rozpryskuje się na tysiące kawałków (kształtem przypominała nasze szklanki do piwa i myślałam, że jest plastikowa). Teraz uświadamiam sobie, że rąbnęłam z baru szklankę. Przepraszam wielokrotnie, prawie po japońsku, sprzątam, a w duchu zadaję sobie pytanie, czy tak już będzie zawsze? Rozumiem w Polsce, ale tu także?

Mam talent do nietypowych zdarzeń: kiedyś przykleiłam konduktora do podłogi. Rozkleił mi się but, kupiłam „Kropelkę” czy coś podobnego i w pociągu sobie sklejam (kilkanaście lat już dojeżdżam do pracy), psiknęło mi się za mocno i duża kropla spadła na podłogę. Właśnie dociskam podeszwę a tu wchodzi konduktor. Zanim podałam bilet upłynęła chwila, chciał ruszyć dalej i patrzy na mnie. – Co pani zrobiła? Przykleiła mnie pani do podłogi? Ja w śmiech. – Jaja pan sobie robi? – Ale widzę, że jest poważny, więc rzucam się do jego nogawek i ciągniemy oboje. But się oderwał ale z kawałkiem podłogi i wtedy strach mnie obleciał, że kolej mnie obciąży za zniszczenie wagonu. Wiałam z pociągu jakby mi ktoś „soli na ogon nasypał”, ale pasażerowie nieźle się ubawili.

Tymczasem idę sobie, rozglądam dookoła, robię zdjęcia, plecak ciężki, torba na brzuchu wrzyna mi się w szyję, ale podkładałam chusteczki i idę dalej stopniowo coraz wyżej i wyżej. Po jakimś czasie jestem kompletnie mokra, pot mi kapie z czoła, oczu, nosa, leci po całym ciele. Przestałam się już wycierać. Po pewnym czasie wysycham, przeciągam dłonią po twarzy jest cała jakby posypana piaskiem, po chwili orientuję się, że to kryształki soli. Dochodzę do Grado. Spotykam szóstkę Polaków, idą już szósty dzień, spaliśmy w tym samym czasie w Oviedo. Daję jednej z nich maść Ketonal, ma spuchniętą stopę nie może włożyć butów i idzie w sandałach. Zostaję, żeby zrobić zakupy jak doradzał jeden z forumowiczów. Proszę ich, żeby zajęli mi miejsce (o ile to będzie możliwe) w alberque⁶. Mam teraz dodatkowe 2 kg i prawie 45 minut na podejście pod górę. Słońce pali, ja mało nie wypłuję płuc, siatka z owocami i wodą obija mi się o kijki, chce mi się wyć. Po dojściu do alberque jestem tak skonana, że chce mi się wymiotować, a nie jeść. W końcu udaje mi się dostać do łazienki. W alberque tłumi. Kochani Polacy zajmują mi łóżko na gorze, ale jeden z nich będzie spał na podłodze. Później

³ <http://www.kartkazpodrozy.eu/>

⁴ Wolontariusz, opiekun schroniska (alberque, refugio).

⁵ Supermarket.

⁶ Schronisko dla pielgrzymów.

okazuje się, że w kuchni na noc cała podłoga jest zajęta. Jest gwar, wszyscy się śmieją a ja mam chyba gorączkę: trzęsie mnie, więc ubieram wszystko co mam ciepłego na siebie. Na nogach nie mogę stąpać, ból porażający. Wieczorem podchodzi do mnie Elwira z zapytaniem, czy pójdę z nimi na mszę (okazuje się, że jest wśród nich ksiądz). Tak, idę, Bóg mi jest w tej chwili bardzo potrzebny. Pierwszy raz widzę miniaturowe naczynia do mszy i bardzo skromny ornat. Msza jest pięcioosobowa. Widok ze wzgórza na którym stoimy jest cudny, niebo przepiękne. Odmawiam głośno Ojcze Nasz, a po twarzy płyną mi łzy. – Tak zakończyłam swój pierwszy etap. Nic nie jem, biorę dwie aspiryny i zasypiam.

9 lipca - San Juan de Vilapañada – Salas

Najlepiej byłoby opuścić te pierwsze trzy dni wędrówki, mają w sobie tyle cierpienia, że z pewnością nie znajdą zainteresowania. Mam w kieszeni dwa małe kamyki, a w sercu największy - pełen bólu, zawodu, nienawiści, żalu. Przypominam sobie jak W. A. w swojej książce na pytanie, czy wziął ze sobą kamień? - odpowiedział: tak, a za mną jedzie pełna ciężarówka. Wtedy mnie to rozbawiło, a teraz przygniata do ziemi. Patrzę pod nogi jak zmienia się ścieżka z gruzowiska w kurz potem błoto, znowu kurz. Strome zejścia i podejścia. Plecak ciąży mi niemiłosiernie: to te nieszczęsne jedzenie – szkoda wyrzucić, ale też nie chce się jeść. Najgorzej, że nie można kupić jednego jogurtu tylko połączone cztery. Spotykam strasznie wychudzonego dużego psa, przemawiam do niego czule i częstuję jogurtem, niestety nie rozumie polskiego, omija mnie dużym łukiem z podkulonym ogonem. On się bardzo zawiódł na tych dwunożnych stworzeniach. Znowu spływam potem do imentu. Te zacieki z soli na spodniach i koszulkach nie chcą się doprać. Teraz to nie zdjęcia, to DOKUMENTACJA trudnych wejść i zejść i mojego wyczerpania. Najpiękniejszym pocieszeniem są napotykanne kwiaty: hortensje we wielobarwnych odcieniach, tak cudne, że chciałoby się w nich choć na chwilę zanurzyć głowę. I te zapachy... Na poboczu dróg rośnie koperek i melisa. Czasami zrywam gałązkę i wącham idąc. Myślę o znajomych z Elbląga, idą już trzeci raz. Jak można tak pokochać cierpienie, żeby wciąż powtarzać Camino?! Dla mnie to przejście przez piekło. Przez pewien czas idę wzdłuż rzeki, przed moimi oczyma roztacza się widok adekwatny do mojego stanu ducha: połamane gałęzie, jakieś sprzęty na drzewach, rowerki itp. Obraz świadczący, że przeszła tędy powódź.

Wieczorem na kolacji z Holendrami mówię, że dla mnie droga to masakra. Powtarzają to słowo wielokrotnie ze swoim charakterystycznym „r” i od tej chwili gdy się spotykamy wołają: Hola Masakra! Starszemu z nich zmarła żona i matka młodszego na raka piersi. Ruszył z domu z Utrechtu i wędruje już 20 miesięcy, a w lipcu dołączył do niego syn. Okrążył Hiszpanię,

przeszedł Portugalię i ruszył z Camino Frances do Santiago de Compostela. Powiedziałam im o swojej intencji i miło mi było usłyszeć, że rozumieją wszystko co mówię, choć mieszam słowa jak ludzie budujący wieżę Babel. Na pytanie w co wierzę odpowiadam, że jestem katolikiem, ale no fanatico, no dewotion. Senior mówi, że jest agnastykiem. OK. Miło się je wspólnie pyszną kolację: mixt salat plus tuna i czerwone wytrawne wino. Szarlotkę zabieram „do domu”. Będzie na rano do kawy. Nieustannie wprawiam w zdumienie pielgrzymów gotując wodę grzałką.

Dowlekam się do Salas, szukam alberque w końcu gubię znaki i ... wychodzę z Salas. Żar się leje z nieba, a ja wracam. Z nosa mi kapie a w oczach łzy, kolejna zapytana osoba proponuje mi podwiezienie 10 metrów samochodem. Zatrzymujemy się przed alberque. Sami znajomi i mam łóżko! Będę spała z Francuzami. Osiem osób w jednym pokoiku bez klimatyzacji. Zabieram karimatę i idę za blok w cień. Po chwili „namierzają mnie młodzi”, rozkładają swoje karimaty i gawędzą. Otwiera się okno i facio krzyczy, że ta wykoszona łączka przy bloku: esto private! Podnoszę się na czworakach, ledwo wstaję i (analfabetka jęzkowa) mówię do facia: thanks you, senior for sympatio in peregrinos... i spuszcza głowę, a z tyłu słyszę aplauz, czyli udało mi się coś powiedzieć.

Wieczorem słyszę jak Aleksandro mówi do dziewczyn: seniora polaca przyjechała autostop. Nie mogę na to pozwolić, schodzę z łóżka i wyjaśniam, że przyjechałam tylko 10 metrów, bo po raz kolejny krążyłam w kółko i nie mogłam znaleźć alberque. Jest pewna grupa hiszpańskiej młodzieży bawiącej się nocami i następnego dnia podjeżdżającej autobusem. Ich sprawa, ale nie chcę być kojarzona z łatwizną w żadnym aspekcie. Są też inni, którym wożą bagaż – jeden z nich Jose, kiedyś zabiera mój plecak i wnosi go na niemożliwie strome zbocze. Ledwo tam dotarłam. Zaczynam wzbudzać współczucie, ale z czasem także uznanie i chyba sympatię. Nie mogę się bliżej zaprzyjaźnić, ale traktują mnie jak swoją, Florentino rezerwuje dla mnie łóżko na dole, jest kochany. Odwdzięczam się paczką pistacji, z ulgą, bo dźwigam je z Polski.

10 lipca - Salas – Tineo

Jest jeszcze gorzej niż wczoraj. Znowu ariba i ariba⁷. Praktycznie od startu jestem kompletnie mokra. Po pewnym czasie widzę jakieś filary nowo powstającej drogi, przemknęła mi myśl, żebym tylko nie musiała tam wchodzić. Niestety okazało się, że musiałam. Później trafiam na kilkanaście metrów kompletnego błota, po prostu nie ma jak przejść. Po obu stronach ogrodzenie z drutu kolczastego, żeby pielgrzymi broń Boże nie rozdeptywali pastwisk. Mimo to próbuję się przedrzeć przez druty i zahaczam się

⁷ ariba- góra, w sensie pod górę w przeciwieństwie do abajo - w dół.



Pielgrzymi przed katedrą w Santiago de Compostela. (Fot. B. Bruniecka)

o plecak od góry i w kroku nadziewając się spodniami. Chce mi się płakać, zrzucam kijki i powoli się odczepiam. Droga pnie się w górę, zwęża się i spotykam na wprost krowy. Stajemy. Liczę, że gdzieś jest ich właściciel i mnie obroni jeżeli jest wśród nich jakiś byk. Patrzymy na siebie w końcu je przepuszczam i boczkiem próbuję ominąć, one też skręcają w przeciwny bok i nie spuszczają ze mnie wzroku. W końcu nie pozwalają się zbliżyć tylko zawracają i idziemy, one przodem, a ja tuż za nimi pod górę pokażę około kilometra. Nagle droga się rozwidła: „dziewczynki” w górę, a ja mam muszelkę w dół⁸. Stały, patrzyły za mną, a ja macham im na pożegnanie i dziękuję za towarzystwo. Jestem wyczerpana, cała w błocie z rozerwanymi spodniami docieram do Tineo. Spod drzew machają do mnie serdecznie Francuzi. Nagle rozpościera się przede mną błękitna tafla wody. Odbijam ze szlaku i pytam przyswojonym słówkiem jakieś młode dziewczęta: private? Odpowiadają: No, municipal (miejski). Hurrria! Wchodzę na basen, pusto. Pytam basenowego, czy mogę się umyć pod prysznicem, przecząco kręci głową i wskazuje mi wejście pod basenem. Boże, ciepłutka woda, biorę prysznic, biegnę na górę i chlup do lodowatej wody, to balsam na moje rozpalone wnętrze. Już się nie martwię o miejsce do spania, nic nie jest ważne,

⁸ Szlak św. Jakuba od średniowiecza znakowany jest muszelkami (conchilos) i strzałkami (flecha) w kolorze żółtym. (red.)

nic nie ma znaczenia, tylko błękit nieba nade mną i rozkosz wody wokół. To pierwszy cud na Camino. Dzięki Ci Panie. Wracając niosę buty w rękę i mogę im zrobić zdjęcie przy pomniku pielgrzyma.

21 lipca - Santa Irene - Santiago de Compostela, 14 dzień, ostatni etap Camino Primitivo⁹

Jest 5:50. Wychodzę ze schroniska, dookoła ciemna noc zapalam "czołówkę" i smugami światła wyławiam kolejne strzałki (flecie)¹⁰. Idę sama. Pochylają się nade mną drzewa, słyszę jakieś szmery, trochę się boję, ale w końcu czego? Duchów? Sama z siebie się śmieję. Po godzinie marszu, zauważam jakąś sylwetkę przed sobą, przyspieszam kroku, z tyłu też ktoś idzie. Już jest lepiej, jestem "w rodzinie". Wczoraj czekając na hospitalero przyglądałam się tym niewyobrażalnym tłumom podążającym do Santiago. To były tysiące ludzi. Jak to miasto przyjmie tylu pielgrzymów? Zaczęłam się poważnie niepokoić gdzie będę spać. Co innego na szlaku, tu było mi wszystko jedno. W końcu mogłam wbić się w śpiwór gdziekolwiek pod gołym niebem. Tam, chciałabym pobyć troszkę dłużej, przytulić się do tego miasta, katedry i św. Jakuba. W końcu to Santo Ano (Rok Święty), następny dopiero za 12 lat. Idę i wspominam wczorajszy radosny dzień.

Wprawdzie tuż przed dojściem do alberque zabłądziłam i na skrzyżowaniu skręciłam zgodnie z drogowskazem do lasu i dopiero po przejściu kilometra inny pielgrzym (na spacerze bez bagażu) kazał mi zawrócić, ale to drobiazg. Miałam w nogach zaledwie 14 km, to tego błędzenia nie odczułam dotkliwie. Jak się obudziłam po kąpieli, usłyszałam polski język: to Adam z Rybnika rozmawiał przez komórkę. Szedł ponad 740 km z Saint Jean Pied de Port szlakiem Camino Francese! Zaproponowałam żebyśmy wspólnie zjedli kolację, trzeba było cofnąć się kilometr do sąsiedniego Pueblo, gdzie w restauracji „O Ceadoiro” dostaliśmy Menu Peregrinos (posiłek pielgrzyma) za 9 euro. Wyśmienite. Patrzyłam z uśmiechem jak Adam pałaszował chrupiące udko kurczaka z frytkami, do tego wino Tinto i znakomita salada mixta (sałatka) i chleb taki jak w Polsce. Pyszota! Adaś powiedział, że nie przypuszczał za tę kwotę dostaniemy tak dużo jedzenia. Śmieliśmy się i opowiadaliśmy sobie przeżycia z Camino. To w tym alberque Brazylijka zawiązała mi na szczęście wstążeczkę z wydrukowanymi życzeniami z jakiegoś sanktuarium w jej kraju. Mam ją do dziś, choć minęło już siedem miesięcy.

Dużo tych wspomnień, ale też mam przed sobą 30 km do Santiago. Tylko idzie mi się znacznie lepiej, plecak tak nie ciąży, nie dźwigam żadnego jedzenia, tylko wodę w camelbagu.¹¹ W końcu docieram do Monte do Gozo.

⁹ Camino Primitivo – jeden ze szlaków prowadzących do Santiago de Compostela.

¹⁰ Flecha (hisz.) - strzałka (czyta się flesia).

¹¹ Pojemnik na wodę w postaci plastikowego worka z rurką umożliwiającą picie wody podczas marszu bez zdejmowania plecaka.

Co za widok! Z oddali rozpościera się panorama Santiago de Compostela. Już tylko 4,5 km i finał mojej drogi! Przpełnia mnie radość i niesamowite podniecenie. Właściwie nogi same mnie niosą. Myślę o swoich dzieciach. Rozmawiałam z nimi przed dwoma dniami, są razem: zwiedzają Hagę, Amsterdam i Rotterdam. Dzwonią nieustannie, śledzą w internecie moje kolejne etapy. To niesłychane wsparcie. Wiem też, że na znajomym blogu wszyscy mi sekundują, ich koleżanka na bieżąco informuje gdzie jestem.

W końcu dochodzę do przedmieść Santiago. Nie zamierzałam nocować na Monte do Gozo (800 miejsc), bo codzienna perspektywa pokonywania 4,5 km w tą i z powrotem skutecznie mnie zniechęciła. Kątem oka widzę alberque private „Santo Santiago”. Wchodzę. Nocleg 13 €. Są wolne miejsca, czyściutko. Jest internet. Dostaję łóżko. Biorę kąpiel. Pralka - 3 €, suszarka - 3 € i nie ma gdzie powiesić wypranych ubrań. Nie martwi mnie to zbyt, biorę koszulkę i wiatrówkę i bezczelnie wieszam na wieszaku. Wyciągam z plecaka czystą, wymiętą niemiłosiernie koszulkę, zakładam sandały i do katedry. Idę po muszelkach z mosiądzu w chodniku, ale właściwie nie muszę, bo z przodu i z tyłu idą pielgrzymi. Jest ich tłum.

Staję przed katedrą i jestem oszołomiona tą niezliczoną masą pielgrzymów. Nie mam pojęcia gdzie iść, jak znaleźć miejsce gdzie otrzymam Compostelę - świadectwo odbycia pielgrzymki. Nagle widzę Florentino siedzącego na murku. Padamy sobie w ramiona, nie mogę opanować wzruszenia. Płacę już na całego. Florentino ociera mi łzy, tuli. Pokazuje mi spuchniętą nogę w kostce. Proszę, żeby poczekał to przyniosę mu antybiotyk. Kręci głową, uśmiecha się i kulejąc prowadzi mnie biura, gdzie dostanę Compostelę. Staję w kolejce, żegnamy się, ja ciągle we łzach, a on mówi, że za cztery godziny wraca do domu do Katalonii. Zakonnica wypisująca mi dokument pyta, czy pokonałam Camino pieszo (mówi po hiszpańsku, ale wszystko rozumiem). Patrzę na nią ze łzami w oczach, uśmiecha się, obie wiemy, że to standardowe pytanie. Dostaję Compostelę. Ustawiam się w kolejkę do św. Jakuba i dzwonię do przyjaciółki, że jestem, doszłam. Dzwonię do dzieci. Przytulam św. Jakuba i powtarzam wszystkie swoje pragnienia prosząc go o pomoc w ich spełnieniu. Wracam, postanawiając wrócić na mszę o 18-tej. Oczywiście, po godzinie kluczenia ulicami nie mam pojęcia jak znaleźć alberque, gorzej, nie pamiętam jak się nazywa. Dzwonię do Ewy, każe mi się nie ruszać z miejsca. Odnajduje mnie i odprowadza do alberque. Za trzy dni będę już śmigać po Santiago, a nawet bawić się całą noc w kolejnych lokalach (ale to w imieniny św. Jakuba). Teraz stoję w tłumie, modłę się po swojemu i delectuję się muzyką - Ojciec Nasz w języku hiszpańskim. Skupiam się, żeby nie przeoczyć nikogo z moich przyjaciół i bliskich. Wychodząc kładę pod filarem mój mały kamyczek przyniesiony z Polski.

Roman Niemczyk

ŚWIĘTY WOJCIECH BISKUP I MĘCZENNIK



Święty Wojciech Sławnikowic (czes. Vojtěch, niem. Adalbert), obok św. Stanisława biskupa, jest głównym patronem Polski i niejako „patronuje” archidiecezjom i diecezjom: elbląskiej, ełckiej, gdańskiej, gnieźnieńskiej, koszalińsko – kołobrzeskiej i warmińskiej. Ponadto figuruje też w herbach miast: Radzionkowa, Serocka i Trzemeszna.

Z uwagi na ogromną popularność, św. Wojciech posiada ogromną ilość podobizn w polskich kościołach. Bardzo często występuje jako rzeźba

w parze ze św. Stanisławem biskupem, zwykle nie tuż obok, lecz po jednej ze stron głównego ołtarza, często w specjalnej niszy lub między kolumnkami. Otóż tego rodzaju układ figuralny można zobaczyć między innymi w ołtarzu „Świętych Pańskich” gdańskiej Bazyliki Św. Mikołaja.

Postać św. Wojciecha jest bezpośrednio związana z procesem chrystianizacji Pomorza Nadwiślańskiego, jak też ze skomplikowanymi procesami polityczno-społecznymi skupiającymi się głównie wokół stosunków pomorsko-pruskich, które nie zawsze przebiegały pokojowo. Osadnictwo pruskie na terenach Powiśla było procesem niemal powszechnym i już u schyłku X wieku objęło okolice Kwidzyna, Sztumu, Dzierzgonia i Wielbarka.

Krainę przyległą do południowo – wschodnim wybrzeżu Bałtyku, rozpościerającą się między dolną Wisłą i Niemnem oraz Biebrzą i Drwęcą, zamieszkiwały od VI wieku naszej ery ludy należące do grupy Bałtów, określane mianem Prusów. Nazwa ta pojawiła się w IX wieku wraz z dokładniejszymi opisanymi ziem, na których kronikarze stwierdzają obecność licznych grodów, osad ludzkich, a także później miast.

Wśród plemion pruskich najbardziej znacząco wyróżniali się Sambowie, zamieszkujący dzisiejszy Półwysp Sambijski. Podział plemiennie-terytorialny był charakterystyczną formą organizacyjną terytorium pruskiego i nie przekształcił się w jednolitą organizację państwową. Historycy dolicza-

ją się około dwudziestu ziem plemiennych, wśród nich graniczącą ze słowiańskim Pomorzem Gdańskim Pomezanię, na której to właśnie podjął swą misję św. Wojciech.

Powstające państwo polskie ze swoim systemem powinności i danin, zaczęło ingerować w wewnętrzny system polityczno-społeczny obcojęzycznej ludności pruskiej. Czynnikiem początkującym pierwsze poważne konflikty i napięcia na pograniczu pomorsko-pruskim była mowa (język) i chrześcijańska religia. Schrystianizowane pod koniec X wieku (ok. 996 – 998) Pomorze Nadwiślańskie w sposób widoczny odróżniało się od pogańskich Prusów.

Ludność pruską stanowili przede wszystkim wolni chłopci oraz nieliczna warstwa możnych, z książętami, naczelnikami grodów i wsi, jak też pewna część ludności niewolniczej. Grupowała się ona w grodowych wspólnotach terytorialnych, zaś jej najwyższą władzą stanowiącą i sądową w czasie pokoju był wiec. Wybitny historyk prof. Gerard Labuda ocenia liczbę ludności plemion pruskich na około 170 000, głównie skupionej w około jednego tysiąca osad.

Prusowie nadmorscy prowadzili ożywioną wymianę handlową z krajami bałtyckimi oraz z krajami południowej Europy, natomiast na śródlądziu zajmowali się przede wszystkim uprawą ziemi, łowiectwem i hodowlą bydła. Należy zaznaczyć, iż religia Prusów odgrywała w ich codziennym życiu znaczącą rolę. Prusowie oddawali cześć słońcu, księżycowi, gwiazdom, zwierzętom, świętym gajom oraz polom i wodom.

Tereny pruskie (szczególnie Pomerania i Pomezania) stały się wkrótce miejscem konfliktu zbrojnego i tragedii biskupa Wojciecha, który wszedł do historii Pomorza Nadwiślańskiego jako pierwsza, imienna postać potwierdzona pisemnymi przekazami historycznymi.

Wojciech urodził się około 956 roku w czeskich Libicach, głównej siedzibie rodu Sławników, na wschód od Pragi u ujścia rzeki Cidliny do Łaby w rodzinie bogatego możnowładcy. Ród Sławników był rodem znamienitym, posiadającym i zarządzającym sporym obszarem Czech. Rodzice Wojciecha skoligaceni byli z saskimi Ludolfinami i czeskimi Przemyślidami. Wojciech był najmłodszym, szóstym synem Sławnika i Strzeżysławy, najprawdopodobniej z rodu Przemyślidów, którego przeznaczono do stanu rycerskiego. Jednak choroba, na którą zapadł w młodości, spowodował zupełnie inny przebieg jego kariery. W czasie trwania choroby rodzice ofiarowali Wojciecha opiece Matki Bożej, która patronowała libickiemu kościołowi. Chłopiec wyzdrowiał i rodzice postanowili przeznaczyć go do stanu duchownego. Sakrament bierzmowania otrzymał w Libicy, z rąk biskupa misyjnego Adalberta, który nadał Wojciechowi własne imię Adalbert. Na zachodzie był znany jako Adalbertus i imię to stało się później łacińskim odpowiednikiem Wojciecha.

Pierwsze swoje nauki pobierał w Libicy, gdzie umiejętność czytania i pisania zapewne by starczyła rycerzowi, zaś zbyt mało dla przyszłego kapłana. Mając lat 16 udał się na dalsze nauki do Magdeburga, gdzie uczęszczał do znanej szkoły katedralnej, kierowanej przez mnicha benedyktyńskiego Otryka. Była to jedna z najlepszych szkół w ówczesnych Niemczech. W 968 r. Magdeburg został erygowany do stopnia archidiecezji na czele z arcybiskupem Adalbertem.

W szkole Wojciech okazał się inteligentnym i zdolnym uczniem, aczkolwiek zdarzało mu się, że opuszczał niektóre zajęcia, co jednak nie stanowiło przeszkody w uzyskaniu znakomitego wykształcenia. W szkole tej poznał łacinę, niemiecki, a także nauczył się języka Lutyków (Wieletoów). W 981 r. powrócił do Czech już jako subdiakon. W tym też roku umarła mu matka oraz jego duchowy mentor arcybiskup Adalbert. 2 stycznia 982 r. umarł pierwszy praski biskup Ditmar, któremu w ostatnich godzinach życia towarzyszył Wojciech. Historycy zapisali, iż 19 lutego 982 r. na zjeździe w Levym Hradcu z udziałem księcia czeskiego Bolesława II, duchownych i możnowładców, opowiedziano się za wyborem Wojciecha na biskupa Pragi, mimo nieosiągnięcia wieku episkopalnego (30 lat).

W okresie swojej działalności duszpasterskiej, z nieznanym nam bliżej powodów dochodzi do ostrego konfliktu z księciem Bolesławem II. Sytuacja stała się na tyle konfliktowa, że ok. 989 r. biskup Wojciech musiał opuścić Czechy. Tym samym zrzekł się urzędu biskupa Pragi. Z początku zamierzał udać się na pielgrzymkę do Jerozolimy, jednak po krótkim pobycie w klasztorze na Monte Cassino, za sugestią greckiego pustelnika Nila, wstąpił do klasztoru benedyktyńskiego św. Bonifacego i Aleksego na rzymskim Awenyynie. Od 992 roku, po śmierci swego następcy biskupa Falkolda, ponownie został skierowany do Pragi przez arcybiskupa Moguncji Willigisa. Rozpoczął również działania misyjne na podbitej przez Węgry Słowacji, co doprowadziło wówczas do kontaktów z wciąż pogańskim dworem Arpadów.

Według pewnych źródeł, to właśnie św. Wojciech udzielił chrztu św. Stefanowi, królowi Węgier. Głośny był wtedy jego spór w obronie chrześcijańskich niewolników, którzy byli wysyłani do krajów muzułmańskich i ich wykupywanie. Należy pamiętać o tym, że słowiańszczyzna była wówczas ważnym źródłem niewolników. W 994 r., gdy na jego oczach ludzie jednego z wielmożów z rodu Wrszowców zamordowali wywleczoną z kościoła św. Jerzego niewierną żonę swego pana, która ukryta tam przez świętego szukała azylu w świątyni – rzucił klątwę na poddanych i wyjechał do Rzymu. Wtedy to doszła do Wojciecha wiadomość o wymordowaniu jego rodziny w Libicach. Przy życiu zostali jedynie bracia: Sobibór, przebywający wówczas na dworze Bolesława Chrobrego, gdzie pełnił służbę oraz przyrodni Gaudenty Radzim.



Św. Wojciech.

Decyzją synodu spowodowaną naciskami jego przełożonego, arcybiskupa Moguncji, pod karą klątwy miał powrócić do swej diecezji, jednak dzięki łasce papieża Grzegorza V, spokrewnionego z Ottonem III (z którym Wojciech zdążył się już zaprzyjaźnić) mógł dokonać wyboru między pracą misyjną a powrotem, ale pod warunkiem, jeśli Czesi nie wyrażą chęci przyjęcia go. W międzyczasie odbywał pielgrzymki do sanktuariów, m.in. do św. Marcina z Tours, św. Benedykta z Fleury, czy też św. Dionizego w Saint – Denis.

Myśl nawracania pogan na wiarę chrześcijańską stała się od tego momentu motywem przewodnim i dewizą życiową biskupa Wojciecha.

W tym też celu wyprosił u zaprzyjaźnionego papieża Grzegorza V pozwolenie na podjęcie i odbycie misji chrześcijańskiej wśród pogan. Oczywiście miał na uwadze plemiona pruskie. Wobec tego w swoich planach i zamierzeniach wybrał dwór Bolesława I Chrobrego, u którego przebywał ocalały z rzezi jego najstarszy brat Sobiebor. W Polsce celem jego misji miało być chrystianizowanie Prusów lub Wieleatów, których język biskup Wojciech wcześniej poznał.

Po spotkaniu z papieżem Grzegorzem V, cesarzem niemieckim Ottonem III i pielgrzymce po Francji, biskup Wojciech w połowie marca 997 roku udał się do Polski, gdzie podjął ostateczną decyzję misji w Prusach. Pierwotnie zamierzał udać się do Wieleatów słynących z wrogości do chrześcijaństwa.

Pod koniec X wieku nastąpił polityczny podział wpływów między Bolesławem I Chrobrym i przyjaznym Polsce cesarzem niemieckim Ottonem III. Cesarz wybrał plemiona wieleckie, a Chrobry zamierzał swoją misję skierować w stronę plemion pruskich. W swoim założeniu misja ta miała mieć wyłącznie charakter religijny i taki też miała przebieg. Nie ma tu więc żadnych przedsięwzięć agresywnych, czy też wrogich. Zarówno przed, jak i po jej tragicznym zakończeniu, nie było żadnego wsparcia zbrojnego. Zasadniczym celem wyprawy św. Wojciecha było zaszczepienie w umysłach społeczeństwa pruskiego nowych pierwiastków wiary chrześcijańskiej, jak również złagodzenia napięcia na pograniczu pomorsko – pruskim.

Konkretny plan wyprawy pruskiej powstał na początku 997 r. w Międzyrzeczu podczas bezpośredniego spotkania Wojciecha z Chrobrym. Pierwszy etap podróży na ziemi polskiej miał wieść z Gniezna przez grody Żnin, Mieściska, Wyszogród, Świecie, Jeżewo, Bobowo k. Skórcza, Gorzędziej; dalej droga skręcała na zachód w kierunku Starogardu, a następnie do miejscowości Święty Wojciech i do samego Gdańska. Miejscowości te znajdowały się na starym szlaku handlowym wiodącym z Wielkopolski do Bałtyku, zwanym *via mercatorum* (droga kupców). Według prof. Stanisława Mielczarskiego, wybitnego znawcy tematyki misyjnej św. Wojciecha, owe miejsca kultu dzieli podobna zmienna odległość około 30 km. Odpowiada ona mierze jednego dnia pieszej podróży w tamtej epoce. We wczesnym średniowieczu głównymi szlakami komunikacyjnymi były rzeki i jeziora oraz przybrzeżne wody morskie. Uczeni uważają, że Wisła mogła być naturalną drogą misji Wojciecha z Gniezna do Gdańska. Duża, typowa łódź z tamtego okresu pomieściła wszystkie osoby biskupiego orszaku wraz z wojami i żywnością.

Wyjazd z Gniezna historycy ustalili na ostatnie dni marca 997 r., zaś przybycie Wojciecha do Gdańska (podróż trwała około 8 – 9 dni) datuje się na początek kwietnia. W Gdańsku biskup Wojciech przebywał stosunkowo krótko, a mimo to zdołał ochrzcić wielu pogan. Należy przypuszczać, że inicjatywa chrztu wyszła od samego Chrobrego, do którego przecież Gdańsk należał. Chrobry docenił polityczny akt chrztu, który był tu szczególnym czynnikiem jednoczącym naród, jak również cementował społeczeństwa zamieszkujące strefę nadbałtycką. Ponadto biskup Wojciech nakazał wycięcie „świętego” dębu, który był czczony przez miejscową ludność. Zapragnął również zjednać sobie społeczeństwo gdańskie, aby w razie niepowodzenia misji mógł w tym mieście znaleźć schronienie. W Gdańsku Wojciech również rozpoczął energiczne przygotowania do drugiego etapu swojej misji, do etapu najważniejszego, a zarazem bardzo niebezpiecznego i trudnego.



Pomnik św. Wojciecha i jego brata Radzima Gaudentego w Libicach.

Pod koniec pierwszej dekady kwietnia 997 r. razem z misjonarzami, z przyrodnim bratem Gaudentym Radzimem, prezbiterem Boguszą – Benedyktem, w asyście 30 wojów Chrobrego, udał się Wojciech drogą morską do Prus. Łódź bez wątpienia powiozła misjonarzy przez szeroko rozlane wody Zalewu Wiślanego – Morza Estów do ziemi pruskiej. Z kolei na ostatnim etapie wędrówki misjonarze korzystali z głównej drogi łączącej ziemie słowiańskie i pruskie, przebiegającej na kierunku wschód – zachód poprzez mokradła i rozlewiska Żuław. Jej częścią jest niewątpliwie ciekawy obiekt techniczny w postaci drogi – grobli, rodzaju długiego pomostu na palach. Odkryte i opisane ponad sto lat temu pomosty w okolicy miejscowości Bągart, w trakcie przeprowadzonych badań pod koniec XX wieku ujawniły swą stałą obecność w tym miejscu i to już od początku naszej ery. Wyłożone dębowymi bierwionami dwie groble o szerokości od 3 do 4 metrów przebiegają przez dolinę rzeki Dzierżgoń. Jedna z nich ma długość 1,2 km, zaś druga ok. 0,6 km. Droga przez groble wiodła do ważnego grodu po pruskiej stronie, określanego w starych zapisach jako „urbs Cholinum”, lokalizowanego koło miejscowości Święty Gaj.

Wyokrętowanie nastąpiło najprawdopodobniej na wysepce, niedaleko dużego ośrodka gospodarczo-handlowego o nazwie Truso. Zbrojni wojowie wrócili do Gdańska. Pierwsze spotkanie z Prusami nie wypadło zbyt pomyślnie dla ekspedycji, ich wizyta nie spotkała się z przychylnym przyjęciem, a dodatkowo misjonarze nie znali języka Prusów. Źródła historyczne podają, że w czasie pobytu na jednej z wysp nadbrzeżnych doszło do spotkania z pruskimi rybakami i wtedy św. Wojciech, nie znając mowy Prusów, zaczął na początku śpiewać psalmy. Próbowano się nawzajem porozumieć. Legenda i podania mówią o tym, że jeden z wojowników pruskich uderzył biskupa Wojciecha wiosłem tak silnie, że ten upadł na ziemię. Wkrótce z pomocą jednego z pruskich możnych misjonarze dostali się na teren osady. Należy domniemywać, iż przybyli na spotkanie z Wojciechem Prusowie byli strażnikami portu Truso. Dalej podania głoszą, że „wieczorem pan wsi przyprowadził św. Wojciecha do miasta”. Tajemniczy „pan wsi” najprawdopodobniej wziął całkowitą odpowiedzialność na siebie za wpuszczenie obcych przybyśców do miasta; nie pełnił on jednak funkcji naczelnego wodza. Jako goście podlegali ochronie swego gospodarza i dzięki jego pozycji 17 kwietnia 997 roku misjonarze stanęli przed pruskim wiecem, na którym biskup Wojciech z pomocą tłumacza przemawiał, objaśniając zasady nowej religii.

Św. Wojciech m.in. mówił o tym, że:

„Z pochodzenia jestem Słowianinem. Nazywam się Adalbert, z powołania zakonnik; niegdyś wyświęcony na biskupa, teraz z obowiązku jestem waszym apostołem. Przyczyną naszej [tu] podróży jest wasze zbawienie, abyście – porzuciwszy głuche i nieme bałwany – uznali Stwórcę naszego,

który jest jedynym Bogiem i poza którym nie ma innego boga; abyście wierząc w imię Jego, mieli życie i zasłużyli na zażywanie w nagrodę niebiańskich rozkoszy w wiecznych przybytkach”.

To miejscowy możnowładca, u którego chwilowo zatrzymali się przybysze, wysunął inicjatywę zwołania takiego wiecu, który miał zadecydować o przyszłym losie obcych przybyszów. Miejscowych strażników portu wychłostano za to, że wpuścili nieznanych ludzi. Na wiecu biskup Wojciech zaakcentował swoje pokojowe zamiary. Mówił o nowej wierze w jednego Boga, a także oznajmił swoje słowiańskie pochodzenie. Powołał się również na księcia Bolesława I Chrobrego. Wydaje się, że był to duży błąd z jego strony, ponieważ pograniczne plemiona pruskie prowadziły z władcą polskim wojnę. W dalszej części swojej wypowiedzi biskup wezwał do przyjęcia chrztu. Prusowie nie zarzucili Wojciechowi głoszenia nowej religii, natomiast jedynym, poważnym niezrozumieniem było „topienie” ludzi podczas ceremonii chrztu. Możnowładztwo pruskie było w stanie przyjąć i zaakceptować wywody Wojciecha, ale nie wpływowi kapłani, dla których przyjęcie nowej wiary oznaczałoby odsunięcie ich od władzy. Z powodu silnej presji miejscowych kapłanów, biskup Wojciech z misjonarzami musiał opuścić ziemie pruskie. Dokumenty źródłowe mówią o tym, że „tej samej nocy misjonarze zostali wydalenii”.

Droga ta zapewne nie była zbyt długa, wystarczyło przebyć zalew i znaleźć się na Żuławach, na ziemiach należących do Chrobrego. Najprawdopodobniej misjonarzy wyokrętowano w pobliżu wsi Żuławki, gdzie spędzili pięć dni, zastanawiając się, co będzie dalej. Być może zastanawiali się nad misją do Wioletów, gdyż Prusowie przestrzegali św. Wojciecha przed powtórным przybyciem karą śmierci.

Jednak wczesnym rankiem 23 kwietnia 997 r. ekipa misjonarzy powtórnie skierowała się w stronę Prus. Ich podróż trwała do godzin południowych i w tym czasie przebyli około 20 km. Granicą polsko-pruską w tym okresie była rzeka Dzierzgonka i wystarczyło ją przekroczyć, aby znaleźć się w kraju pogańskim. W linii prostej odległość od Żuławki do rzeki Dzierzgoń wynosi około 20 km i taką odległość można było przebyć w około sześć godzin. Wędrowcy znaleźli się w okolicach Świętego Gaju, w pobliżu pruskiego grodu granicznego Cholin. Tu udali się na południową drzemkę. Sen przerwany został zbrojną napaścią 7 wojowników pruskich, prowadzonych przez miejscowego kapłana. Wojciech został uderzony toporem lub włócznią w serce przez Prusa o imieniu Sicco, który według żywotów miał wcześniej stracić brata w walkach z Polakami. Św. Wojciechowi ścięto głowę i wbito ją na pal wyrazem hańby i dla odstraszenia ewentualnych kontynuatorów misji chrześcijańskiej. Ciało prawdopodobnie wrzucono do rzeki. Towarzyszy Wojciecha oszczędzono i odesłano do Polski. Bogusza – Benedykt według przekazów historycznych osiadł w Ciechanowie, gdzie na kilkanaście dni przed

swoją śmiercią nauczał św. Wojciech. Potem został tu założony przez Bogusza – Benedykta pierwszy kościół. Natomiast głowę z pala zdjął potajemnie i przywiózł do Gniezna nieznany Pomorzanin. Wkrótce potem Bolesław I Chrobry wykupił resztę ciała męczennika i rozkazał pochować początkowo w Trzemesznie, a potem w Gnieźnie. Do grogu św. Wojciecha w 1000 roku pielgrzymkę odbył cesarz Otton III. W czasie jego wizyty założona została metropolia arcybiskupia, której Wojciech został patronem.

Śmierć biskupa Wojciecha wywarła olbrzymie wrażenie w świecie zachodniego chrześcijaństwa. Już w 999 r. brat zamordowanego św. Wojciecha Gaudenty udał się do Rzymu w sprawie kanonizacji, która jeszcze tego samego roku miała swój pozytywny finał. Otóż kanonizacja w czasie pontyfikatu Sylwestra II (999 – 1003) miała dla młodego, powstającego państwa polskiego ogromny wymiar religijno-polityczny. Miasto Gniezno stało się jednym z centrów pielgrzymkowych zachodniego chrześcijaństwa i równocześnie kult ten przyspieszył całkowicie usamodzielnienie się Kościoła polskiego, który w 999 r. posiadał własnego metropolitę. Arcybiskupem gnieźnieńskim został brat św. Wojciecha Radzim Gaudenty.

Zastanawia jednak znamieny fakt skłaniający do głębszych refleksji: jeżeli misjonarze sprofanowali rzekome miejsce kultu pruskiego, to dlaczego zginął tylko jeden z nich? Wydaje się, że karę powinni ponieść wszyscy misjonarze. Być może sam biskup Wojciech sprowokował nieprzyjazne nastroje wśród pogańskich Prusów i dlatego zginął z ich rąk. Niektórzy uczeni wysuwają hipotezę, według której Prusowie oglądając mszę odprawianą przez Radzima Gaudentego byli przekonani, że ma miejsce nieznany im rytuał dokonywania czarów. Dlaczego więc Radzim Gaudenty nie poniósł kary? Inna wersja głosi, że śmierć biskupa spowodowana była zemstą pogańskiego kapłana, lecz w takim przypadku śmierć powinni ponieść i pozostali misjonarze. Kroniki historyczne, a szczególnie „Żywoty” podają dokładną datę, a nawet godzinę śmierci biskupa, lecz nie wspominają o jej przyczynach. Nie rozstrzygniętą kwestią pozostaje szybkie pojawienie się zbrojnych oddziałów pruskich w chwili przybycia misjonarzy.

Święty Gaj, jeżeli wtedy istniał (choć nie ma na jego istnienie wiarygodnych dowodów), posiadał zapewne kilka chałup. Wojownicy musieli przybyć z innego ośrodka władzy i tym ośrodkiem prawdopodobnie był gród Cholin. W odległości 6 km od Świętego Gaju znajduje się wieś Pachoty. Powstała ona w średniowieczu i co jest znamienne posiada w swoim nazewnictwie część nazwy miejscowości Cholin. Przez Pachoty wiodła ważna gospodarczo druga komunikacyjna, której ujęcie znajdowało się w miejscowości Truso. Trasa ta biegła z południa na północ i krzyżowała się z inną, biegnącą ze wschodu na zachód w miejscowości Święty Gaj. Otóż w miejscu krzyżujących się tych dróg odkryto szczątki starego grodu. Fakty te mogą nasuwać przypuszczenie, że mamy do czynienia z Cholinem.

Śmierć Świętego Wojciecha jest datowana na dzień 23 kwietnia 997 r. Podanie głosi, że ciała strzegł przez 30 dni orzeł. Głowa biskupa, jak już wspomniano, została ścięta, wbito ją na pal i przez trzy dni znajdowała się na tym właśnie palu. Ciało, które uprzednio wrzucono do rzeki, po sześciu dniach woda wyrzuciła je na brzeg. Wydarzenia związane z tragiczną śmiercią biskupa Wojciecha miały na Pomorzu Nadwiślańskim i w całej Polsce szeroki oddźwięk w postaci niespotykanego wprost kultu, jak również i nawiązań do kościelnego.

Jeżeli chodzi o relikwie św. Wojciecha i jego brata Radzima Gaudentego, to zostały złożone w katedrze gnieźnieńskiej. W 1038 r. książę czeski Brzetysław I najechał i złupił Polskę, a relikwie wywiózł do Pragi, gdzie zostały złożone w katedrze św. Wita. Cesarz Otton III będąc w 1000 r. z pielgrzymką u grobu św. Wojciecha zamierzał ciało męczennika przewieźć do Akwizgranu. Jednak od Bolesława I Chrobrego otrzymał jedynie relikwiarz z ramieniem Wojciecha, które potem częściowo złożono w Akwizgranie, a część w Rzymie w kościele ufundowanym pod jego wezwaniem na wyspie Tybr.

W 1928 r. rzymskie relikwie zostały przekazane do Polski na prośbę ówczesnego Prymasa Polski, kardynała Augusta Hlonda i są przechowywane w katedrze gnieźnieńskiej. W 1923 skradziono z gnieźnieńskiej katedry relikwiarz z rzekomo odnalezioną w 1127 roku (według Roczników Polskich) głową świętego. W czasie II wojny światowej, gdy zaistniało poważne podejrzenie, iż gestapo – po zmuszeniu do wyjazdu do Inowrocławia wikariusza generalnego katedry ks. Edwarda Blericq – zażąda wydania srebrnego relikwiarza, co równało się zniszczeniu relikwii, ks. Paul Mattausch poprosił znajomego żołnierza Wehrmachtu Urbana Thelena (1915 – 2008) o przewiezienie paczki z relikwiami z Gniezna do Inowrocławia. Thelen podjął się tej misji – relikwie św. Wojciecha dotarły do ks. Blericq i zostały wmurowane w posadzcę zakrystii kościoła św. Mikołaja, skąd po wojnie wróciły do Gniezna. W roku 1992 Urban Thelen towarzyszył legatowi Prymasa Polski w drodze do Kleve, gdzie część uratowanych przezeń relikwii – jako dar Kościoła polskiego – została złożona w ołtarzu kościoła pw. Niepokalanego Poczęcia NMP.

W roku 1997 abp. Henryk Muszyński zaprosił Thelena na uroczystości 1000-lecia śmierci św. Wojciecha do Gniezna, gdzie został przedstawiony papieżowi Janowi Pawłowi II.. W roku 1999 w wyniku starań ks. kan. Zbigniewa Łuczaka z kapituły łęczyckiej jedna z gnieźnieńskich relikwii trafiła do kolegiaty w Tumie koło Łęczycy, stojącej w miejscu, gdzie według późnej tradycji miano za sprawą św. Wojciecha i Bolesława I Chrobrego ustanowić pierwsze w Polsce opactwo benedyktynów. Znajdujące się w Gnieźnie relikwie biskupa stały się fundamentem, jak już wspomniano założonej w roku 1000 przez jego przyjaciela, cesarza Ottona III, archidiecezji. Gniezno

– w przeciwieństwie do podległej Moguncji Pragi – stało się niezależną archidiecezją, z czym długo nie mogły się pogodzić metropolie niemieckie, które do tamtej pory posiadały zwierzchnictwo nad wszystkimi.

Skąd wywodzi się nazwa Święty Gaj ? Dokumenty historyczne twierdzą, że miejscowość ta wywodzi się z XIV wieku i występuje jako nazwa wsi. Zatem biorąc pod uwagę fakt, że wieś powstała na prawie niemieckim, dziwne wydaje się przypuszczenie, aby nadano jej nazwę pogańską. Istnieje domniemanie, że nazwa ta pochodzi od gaju, w którym męczeńską śmiercią zginął św. Wojciech. Obecnie miejscowość ta jest miejscem kultu i odbywania licznych pielgrzymek pierwszego polskiego męczennika, jaki jest postać św. Wojciecha. W Świętym Gaju, na terenie parafii Kwietniewo, znajduje się jedno z najważniejszych sanktuariów diecezji elbląskiej. To właśnie w tej niewielkiej wiosce, według najbardziej prawdopodobnej hipotezy, zginął męczeńską śmiercią jeden z głównych patronów Polski – św. Wojciech.

Od 1986 r. dekretem Prymasa Polski kard. Józefa Glempa ustanowiono w Świętym Gaju sanktuarium, miejsce szczególnego kultu św. Wojciecha. Miejskowy kościół otrzymał wówczas jako patrona - Świętego Wojciecha Biskupa i Męczennika. Do Świętego Gaju zaczęło przybywać coraz więcej pielgrzymów z całej Polski, a obecnie także ze świata. Główne uroczystości odpustowe odbywają się co roku około 23 kwietnia. W tym dniu z całej diecezji elbląskiej wyruszają piesze pielgrzymki, w których bierze udział liczna rzesza wiernych.

Ryszard Rząd

Życie kulturalne w Malborku w okresie międzywojennym

Międzywojenny Malbork był miastem do pewnego stopnia szczególnie. Wyjątkowość swą zawdzięczał oczywiście dominującej nad nim dawnej stolicy Zakonu Krzyżackiego. Odbudowana w końcu XIX wieku stanowiła magnes dla rzesz turystów z Niemiec i nie tylko. Atrakcję tą oczywiście umiejętnie wykorzystywali hotelarze i kupcy. Nie ograniczało to jednak inwencji i pomysłowości lokalnych animatorów życia kulturalnego. Ognisko wało się ono wokół dwu podstawowych zjawisk: aktywności miejscowych chórów i plenerowych spektakli teatralnych.



Plakat zapraszający na pierwszy Festiwal Muzyczny w Wielkim Refektarzu, 1833 r.

(Fot. archiwum autora)

Malborskie chóry

Tytułem wstępu nieco historii. Pierwszy pruski chór męski powstał w 1809 roku w Berlinie. Rok później podobny założono w Gdańsku. Niebawem też zaczęły się pojawiać kolejne w innych miastach regionu. Być może ich ilość i chęć zaprezentowania repertuaru szerszemu gronu słuchaczy podsunęła elbląskiemu nauczycielowi muzyki Christianowi Urbanowi pomysł zorganizowania pierwszego w Prusach festiwalu muzycznego. Na jego miejsce wybrał zamek w Malborku. Tu znajdowała się bowiem odpowiednia sala koncertowa w postaci niedawno odrestaurowanego Wielkiego Refektarza. Niebagatelnym argumentem były też przychylna postawa władz miejskich skłonnych finansować to przedsięwzięcie i ofiarność mieszczan oferujących darmowe kwatery dla muzyków. Nic dziwnego zatem, że gdy 2 czerwca 1833 roku w Refektarzu zabrzmiały pierwsze taktory oratorium „Stworzenie świata” Josepha Haydna, sala wypełniona była słuchaczami. Kilkudziesięciu chórzystom towarzyszyła orkiestra złożona z 90 muzyków, z których 16 pochodziło z Malborka. Impreza ta na tyle wyróżniała się na tle ówczesnego

życia kulturalnego prowincji, że jeden z gdańskich poetów, Wilhelm Schumacher, poświęcił jej nawet wiersz opublikowany na łamach gazety „Danziger Dampfboot”. Była też impulsem do powstania wielu nowych chórów w Prusach Zachodnich. „Liedertafel Marienburg” założono w 1847 roku. Niestety, niewiele wiemy o jego dalszej działalności. Drugi festiwal odbył się w roku 1834 w Gdańsku, trzeci zaś w Kwidzynie. Do 1936 roku miało miejsce 36 podobnych imprez w różnych miastach pruskich.

W 1906 r. wykładowcą muzyki w malborskim seminarium nauczycielskim został Gustav Seipelt (1878-1952). Warto poświęcić mu kilka słów. Urodził się koło Lubina na Dolnym Śląsku. Maturę, z uwagą „bardzo uzdolniony”, uzyskał w berlińskim Instytucie Muzyki Kościelnej i Szkolnej. W czasie pierwszej wojny światowej ministerstwo kultury powołało go na rzeczoznawcę do oceny dzwonów w Prusach Zachodnich. Wykorzystując swoje uprawnienia, wraz z kierownikiem Zarządu Odbudowy Zamku Konradem Steinbrechtem i konserwatorem zabytków prowincji Prusy Zachodnie Bernhardem Schmidem, ocalił przed przetopieniem wiele cennych dzwonów kościelnych. Zredagował także nowe wydanie śpiewnika dla wspólnot menonickich w Prusach Wschodnich i Zachodnich. W 1926 roku awansował na stanowisko radcy studyjnego przy gimnazjum malborskim, zaś trzy lata później został doradcą do spraw wychowania muzycznego w szkołach średnich na zachód od Królewca. 6 lipca 1943 roku przyznano mu honorowy tytuł „miejskiego dyrektora do spraw muzyki”. Otrzymał go mimo zastrzeżeń Ministerstwa Kultury Rzeszy – był bowiem bezpartyjny. W styczniu 1945 roku opuścił Malbork, zostawiając tu swój fortepian na którym grał do ostatniego wieczora. Zmarł w Verden koło Bremy. Na pogrzebie zagrano „Gute Nacht”, pieśń jego autorstwa, którą niegdyś „Oratorienverein” śpiewało w Malborku nad grobem jego żony. Jej pierwsze słowa i nuty wyryto także na grobie Seipelta.

W 1910 roku Seipelt założył „Oratorienverein Marienburg” (Towarzystwo Oratoryjne). Pierwsze koncerty dawało ono w kościele św. Jerzego. Początkowo działało dzięki pomocy kadry chóru seminaryjnego. Po rozwiązaniu tej placówki szkolnej przyjęło wspomnianych śpiewaków do swoich szeregów, stając się także formalnym spadkobiercą tradycji tego zespołu. 30 czerwca 1923 roku, za pozwoleniem władz rejencji, odbył się pierwszy z cyklu koncertów w Wielkim Refektarzu na Zamku Średnim. Zainaugurowało go, napisane specjalnie na tę okazję, misterium „Taniec śmierci” Feliksa Woyrscha. Na koncercie obecny był również Konrad Steinbrecht. Gdy, niestety trzy dni później zmarł, „Oratorienverein” śpiewało także podczas uroczystości pogrzebowych ku jego czci w kaplicy św. Anny na Zamku Wysokim i na cmentarzu św. Jerzego.

W 1924 roku w Wielkim Refektarzu ponownie zabrzmiała muzyka współczesna. Wykonano bowiem oratorium „Pory dnia” („Von des Tageszeiten”) Friedricha E. Kocha. Koncert swoją obecnością zaszczylił także kompozytor. Dwa lata później publiczności zaprezentowano kilka dzieł, w tym „Te Deum” Antona Brucknera i operę Wagnera „Meistersinger” („Śpiewacy Norymberscy”), które z okazji 650-lecia miasta drogą radiową transmitowano na całe Niemcy. W 1927 roku Seipelt poprowadził wykonanie „Dziwnej Symfonii” Ludwiga van Beethovena, z kantatą „Oda do radości” do tekstu Friedricha Schillera. Kolejny koncert odbył się dopiero w 1930 roku. Towarzystwo Oratoryjne wykonało wówczas „Requiem niemieckie” Johanna Brahmsa (utwór pełen dramatyzmu, napisany przez kompozytora bezpośrednio po śmierci matki). Dzieła chóralne tego twórcy zaprezentowano także następnego lata. Były to: „Pieśń przeznaczenia” („Schicksalslied”) na chór mieszany i orkiestrę, „Rapsodia” do wiersza Goethego i „Ave Maria”, którą transmitowano przez radio. W 1933 roku, z okazji setnej rocznicy pierwszego w Prusach festiwalu muzycznego, wystawiono ponownie oratorium „Stworzenie świata” Josepha Haydna. Wspomniany utwór pierwszego z wiedeńskich klasyków zabrzmiał w Malborku także następnego lata. W 1935 roku, gdy Towarzystwo Oratoryjne świętowało ćwierćwiecze istnienia, w Wielkim Refektarzu rozległy się słowa: „Lobet den Herrn in seinem Heiligtum”. Tak bowiem rozpoczął się „150 Psalm” na chór i orkiestrę Antona Brucknera. Drugim utworem była kantata na chór, solo i orkiestrę „Z niemieckiej duszy” („Von deutscher Seele”), której wykonanie zaszczylił swoją obecnością autor, młody kompozytor Heinrich Arnold Spitta.

Do wszystkich koncertów angażowano orkiestry wojskowe z Malborka, Kwidzyna i Iławy. Ponadto gdańską „Stiberitz-Kapelle”, a nawet orkiestrę reprezentacyjną policji berlińskiej. Były one wspomagane solistami opery królewieckiej oraz muzykami z Berlina, Wrocławia, Lipska i Brunszwiku. Grywał tu także znany wówczas koncertmistrz Nicolaus Lambion z berlińskiej „Blüthner-Orchester”. Miejscowi miłośnicy muzyki długo wspominali też występ Berlińskich Filharmoników w Wielkim Refektarzu, koncert Collegium Musicum w skrzydle wschodnim Zamku Średniego (przy świecach) czy dźwięki cymbałów, violi da Gamba i innych dawnych instrumentów w Letnim Refektarzu. Ostatnim dziełem wykonanym w Wielkim Refektarzu były „Pory roku” Haydna (1942). Koncert ten doszedł do skutku dzięki połączeniu sił wszystkich malborskich chórów, gdyż wielu członków „Oratorien Verein” wcielono do wojska. Dyrygował Gustav Seipelt.

Widowiska plenerowe

Drugim, niezwykle ważnym, aspektem życia kulturalnego w międzywojennym Malborku były widowiska plenerowe. Rzec by można, iż tradycje teatralne Malborka sięgają średniowiecza. Już bowiem w 1440 roku, według kroniki Simona Grunaua (1526), odbyła się tu pierwsza tak zwana „Fastnachtsspiele” (gra zapustowa), w czasie której na ulicach w dowcipny sposób komentowano aktualne wydarzenia z życia miasta i znaczniejszych obywateli. Tradycja ta była kultywowana nawet w czasie reformacji. Znany jest bowiem rymowany utwór o podobnej tematyce powstały w 1571 roku.

Miasto nie posiadało nigdy osobnego budynku teatru. Mimo to od 1904 roku regularnie wystawiano różnorodne spektakle w sali kasyna – obiektu dziś nieistniejącego, a wspomnianego po raz pierwszy w 1892 roku. Znajdował się on przy Marschallstraße 1-2 (na miejscu obecnej Alei Rodła). Organizowano tu liczne potańcówki, bale, przyjęcia „na odpowiednim poziomie” oraz wspomniane przedstawienia teatralne. Pojawiali się tu także zawodowi aktorzy teatrów gdańskich („Stadttheater-Ensemble”) i elbląskich. Pierwszą sztuką było „Im deutschen Osten” („Na niemieckim Wschodzie”), dzieło miejscowego pastora Martina Gürtlera, w reżyserii dyrektora teatru w Grudziądzu i z udziałem uczniów i nauczycieli miejscowego seminarium nauczycielskiego.

3 czerwca 1921 roku, w refektarzu Wielkiej Komturii na Zamku Średnim uroczystie założono „Związek Malborski” („Marienburgbund”). Jego głównym celem była popularyzacja i pogłębianie wiedzy o historii i kulturze terenów dawnego państwa zakonnego wśród mieszkańców miasta i okolic. Sześć lat później utworzono Związek Scen Ludowych („Bühnenvo-lksbund”). W 1928 roku, dzięki inicjatywie wspomnianych stowarzyszeń i ówczesnego burmistrza Bernharda Pawelcika, doszło do pierwszego Malborskiego Festiwalu Sztuk Plenerowych. W dniach 24 i 25 czerwca przed budynkiem Ratusza staromiejskiego odegrano, napisaną specjalnie na tę okazję, sztukę „Bartholomäus Blume” Ernsta Hammera (1877-1950). Jej bohater, burmistrz Malborka w czasie wojny 13-letniej, został w 1460 roku ścięty przez Polaków za wpuszczenie do miasta wojsk zakonnych. Historiografia niemiecka w XIX wieku interpretowała jego postawę jako akt najwyższej wierności ojczyźnie. Nic dziwnego zatem, że w 1860 roku doczekał się on w Malborku swego pomnika. W sztuce Hammera rolę tytułową powierzono znanemu wówczas aktorowi Hansowi Mühlenhoferowi z Teatru Państwowego w Berlinie. Muzykami dyrygował szef orkiestry reprezentacyjnej Reichswehry. W 1929 roku wystawiono „Volk in Not” Hansa Francka, rok później zaś „Egmonta” Goethego z muzyką Beethovena. Statystów w liczbie trzystu zaangażowano spośród mieszkańców miasta, w tym żołnierzy i policjantów. W 1931 roku planowano wystawić „Fausta” Goethego, jednak ponownie, przez trzy kolej-



Max Halbe (1865-1944).
(Fot. archiwum autora)

ne wieczory, grano „Bartholomäusa Blume”. Uczczono w ten sposób wizytę w Malborku prezydenta Rzeszy Paula von Hindenburga, który przybył tu na obchody 700-lecia powstania państwa zakonnego. Tym razem tytułową rolę powierzono Karlowi Wüstenhagenowi, kierującego hamburskim Deutschen Schauspielhaus. Liczbę widzów szacowano na 10 tysięcy. W 1932 roku, kiedy to po raz trzeci wystawiono tę sztukę, owację widowni zebrał ponownie Hans Mühlhofer. Niewątpliwą atrakcją, szczególnie dla młodszej publiczności było to, że aktorzy często wjeżdżali konno na scenę.

W roku następnym estradę umieszczono na skwerze przed pomnikiem plebiscytowym. Wspaniałe kulisy w postaci bryły Zamku Wyso-

kiego dodawały otąd dramaturgii granym sztukom. Pierwszym przedstawieniem był „Heinrich von Plauen” Maxa Halbego. Autor, głośny wówczas niemiecki dramatopisarz, spędził w Malborku lata swojej młodości uczęszczając tu do miejscowego gimnazjum. Wspomniane wyżej dzieło napisał specjalnie na malborski festiwal, jako wyraz wdzięczności za honorowe obywatelstwo przyznane mu w 1924 roku.

Zawiła sytuacja polityczna po przejściu władzy przez nazistów spowodowała, że w 1934 roku festiwal nie odbył się. Wznowiono go latem następnego roku wystawiając „Egmonta” Goethego. Zwiększono też liczbę przedstawień do 7 - 8, co przyczyniło się do dalszego wzrostu liczby widzów. O ile w pierwszych latach było ich około dziesięciu tysięcy, to teraz pojawiało się ich ponad dwadzieścia dwa tysiące.

W 1936 roku wystawiono kolejną sztukę Johanna Wolfganga Goethego „Götz von Berlichingen” z Karlem Wüstenhagenem w roli głównej. Dla uzyskania lepszej akustyki zaaranżowano ją ponownie przed Ratuszem Staromiejskim.

Ostatnie przedstawienie w historii malborskich festiwali teatralnych odbyło się w 1937 roku na dziedzińcu Zamku Średniego. Po raz drugi wystawiono „Götza”, lecz tym razem ze sławnym Heinrichem George w roli głów-

nej. Towarzyszyło mu 850 aktorów i statystów, przysłuchiwało się zaś między innymi 670 weteranów „starej gwardii” partyjnej z ministrem Rudolfem Heßem na czele.

Warto wiedzieć także, iż po drugiej wojnie światowej artyści teatru „Wybrzeże” z Gdańska pod kierunkiem Zygmunta Hübnera pokazali na dziedzińcu Zamku Średniego „Makbeta” i „Poskromienie złoŹnicy” Williama Szekspira oraz „Kordiana” Juliusza Słowackiego.

Monumentalne i tajemnicze mury malborskiego zamku od dawna były natchnieniem dla artystów. 14 lutego 1821 roku pierwszą wizytę w Malborku złożył Benedikt Karl Josepf baron von Eichendorff (1788-1857) – na ów czas zatrudniony w Gdańsku radca szkolny, a niebawem jeden z najwybitniejszych niemieckich poetów romantycznych. Efektem tej wizyty był poemat „Der Liedsprecher”, który rok później odczytano w Letnim Refektarzu pruskiemu następcy tronu w trakcie uroczystości pięćdziesięciolecia powrotu Prus Zachodnich do Królestwa Pruskiego. Zimą 1824 roku wyjechał do Królewca, gdzie został radcą konsystorialnym w nadprezydium rejencji. Mimo to często bywał w Malborku, gdzie zapoznawał się ze źródłami do dziejów zamku. Efektem tych zainteresowań był dramat historyczny „Der letzte Held von Marienburg” (1830). Jego pierwsze egzemplarze poeta przesłał następcy tronu i Johannowi Wolfgangowi Goethemu, który podobno żywo interesował się historią zamku malborskiego. Dzieło to nie odznaczało się jednak specjalnymi wartościami, w efekcie czego wystawiono je zaledwie dwa razy na deskach teatru. Po raz pierwszy w Królewcu w 1831 roku, po raz drugi zaś dopiero w 1908 roku we Wrocławiu przy okazji odsłonięcia pomnika poety. Po krótkim pobycie w Berlinie Eichendorff wrócił ponownie do Gdańska (1843-46). Już w 1842 roku król Fryderyk Wilhelm IV zlecił mu napisanie historii zamku. Toteż dwa lata później opublikował on „Die Wiederherstellung des Schlosses der deutschen Ordensritter zu Marienburg”. Jest to do dziś cenne źródło do dziejów zamku w latach 1772-1843. W 1943 roku skró

Około 1880 roku królewiecki poeta Felix Julius Sophus Dahn (1834-1912) napisał balladę „Die Mette von Marienburg”. Jej akcja toczyła się w średniowieczu. Piękna Polka zakochuje się w młodym rycerzu zakonnym i zwabia go nocą do siebie. Gdy ów chce już wracać, dziewczyna prosi go by został zdradzając mu, że jeszcze tej nocy Polacy uderzą na zamek. Słyszając to rycerz porzuca ją i wraca, nie zważając na śnieżycę, wilki i ścigających go Polaków. Ostrzegłszy obrońców, pada przed zamykaną właśnie bramą przeszyty siedmioma wrogimi strzałami. Dzieło to opatrzył muzyką Ferdinand Hummel (Opus 14, melorecytacja na klawesyn). W 1951 roku, po raz pierwszy po wojnie, wykonała je żona malborskiego generała Melcherta. Przed wojną noszono się nawet z zamiarem nakręcenia filmu fabularnego w oparciu o ten temat.

W 1920 roku Siegfried Helferich Wagner (1869-1930), syn Richarda, skomponował operę pod tytułem „Der Schmied von Marienburg” („Płatnerz z Malborka”). Było to jego dwunaste dzieło. Prapremiera miała miejsce w Lipsku w 1923 roku. Przedstawienie grano tam przez cały sezon, wznowiając jeszcze w 1928 roku. W latach 1929 i 1931/32 wystawiono je w Brunszwiku, na przełomie 1934/35 w Królewcu, w 1935 w Stuttgarcie i na koniec w 1938 w Berlinie. Nie trafiło jednak nigdy do programu Malborskiego Festiwalu Sztuk Plenerowych. Może dlatego, że jego akcja toczyła się w oblężonej stolicy Zakonu tuż po klęsce grunwaldzkiej.

Muzea

W okresie międzywojennym Malbork posiadał trzy muzea: państwowe na zamku, miejskie i prywatne. Pierwsze z nich, przechowujące niezwykle liczne i cenne zbiory, z pewnością wymaga osobnego i dogłębnego opracowania. Muzeum miejskie powstało 17 września 1925 roku. Fundusze na jego utrzymanie łożyło zarówno miasto jak i starostwo. Przez pierwsze lata nie miało stałej siedziby i „tułało” się po różnych miejscach. Początkowo mieściło się w tak zwanej „werandzie” – jednym z niewielkich baraków na miejscu późniejszego Nowego Ratusza. W lipcu 1926 roku przeniesiono go do przyziemia w starym budynku gimnazjum, później do dawnego zakładu dla głuchoniemych, zaś w drugiej połowie lat trzydziestych do opuszczonego przez masonów gmachu przy Deutsch-Ordensstraße 32 (ul. 17 Marca). W swoich zbiorach posiadało przede wszystkim znaleziska archeologiczne z miasta i okolic, dokumenty urzędowe (między innymi plebiscytowe), monety, paramenty z kościoła św. Jerzego, etc. Twórcą i pierwszym kierownikiem Muzeum był konrektor i radny miejski Kurt Voigtmann. To on odnalazł i zbadał prehistoryczne groby skrzynkowe na Wielbarku, podobne do tych, jakie wcześniej pod Elblągiem odkrył profesor Bruno Ehrlich. W 1933 roku Voigtmanna zastąpił Hugo Amhaus (1885-1978), nauczyciel z miejscowej Szkoły Rolniczej i jednocześnie pasjonat przyrodoznawstwa i turystyki. Jako strażnik przyrody dla powiatów malborskiego i sztumskiego szerzył nowatorskie jeszcze wówczas idee ochrony środowiska. Dlatego też w Muzeum Miejskim gromadził również interesujące znaleziska geologiczne i archeologiczne. Skromny personel placówki tworzyli ponadto: konserwator znalezisk archeologicznych i kilku sezonowych pracowników pomocnych przy prowadzeniu wykopalisk. W 1928 roku Muzeum zwiedziło 1.658 osób. W 1944 roku gmach dawnej łoży masońskiej przebudowano, tworząc zeń luksusowy hotel partyjny. Co stało się ze zbiorami muzealnymi, nie wiadomo.

Wspomniane wyżej muzeum prywatne należało do potomków rosyjskich emigrantów, rodziny Kotschedoff prowadzącej sklep i restaurację przy Goldener Ring 53-54 (ul. Sienkiewicza). Gromadziło nadspodziewanie

wiele cennych eksponatów, będących efektem kolekcjonerskiej pasji gospodarza. Była tam między innymi XIV-wieczna Biblia spisana na pergaminie, dokumenty czeladnicze z czasów króla Augusta Mocnego, XVIII-wieczny paszport, „Lauenburgsche Polizey-Steuer pro anno 1764”, śmigło samolotowe ze wstawionej w pierwszej wojnie światowej eskadry Richthofena, kronika Torunia Ambrosiusa Hande, obraz przedstawiający wmurowanie kamienia węgielnego pod most w Tczewie. Ozdobą jednego z pomieszczeń był wielki piec złożony z XVI- i XVIII-wiecznych kafli. Ciekawostką była czapka berlińskiego listonosza z metalowym wzmocnieniem, które dodano po licznych napadach na listonoszy w latach 1926/27. Spośród wielu numizmatów uwagę zwracała moneta wielkości dłoni z napisem „Souvenir of Laskatoon”, medal pamiątkowy przyznawany za walkę w 1848 roku i rosyjski order z czasów wojny z Japonią w 1905 roku. Imponująco przedstawiały się też zbiory porcelany pochodzącej z Chin i Turcji oraz manufaktur miśnieńskich. Ozdobą tej kolekcji był dwa XVIII-wieczne, wielkie kandelabry porcelanowe pochodzące z zamku Brühl pod Kolonią. Z pewnością dość egzotycznie prezentowała się tu także skóra krokodyla i anakondy, jajo strusia, pajak morski, skorupa żółwia, indiańskie i afrykańskie oszczepy i tarcze, stare muszkiety i sztylety. Część eksponatów znajdowała się w niewielkim pomieszczeniu zwanym „Milliardenstübschen”. Jego ściany wytapetowane bowiem były banknotami z czasów inflacji w latach 1920-23. Na swego rodzaju ironię losu może zakrawać fakt, że w 1945 roku ostatni właściciel sklepu, restauracji i muzeum, Willi Kotschedoff (1912-1987) ... „wrócił” do kraju przodków. Udało mu się jednak z niego wydostać i ostatecznie zamieszkał w Berlinie-Neukölln, gdzie zajął się handlem wyrobami tytoniowymi i spirytualiami.

Jednym z ważniejszych i najstarszych malborskich cechów byli murarze. Sześciowiekowe tradycje tego stowarzyszenia dokumentowały między innymi liczne eksponaty zgromadzone w izbie cechowej („Maurerstube”, „Bruderschaft Herberge”), znajdującej się przy Ziegelgasse (ul. Armii Krajowej), w gospodzie Augusta Radatza. W wielkich, przeszklonych szafach przechowywano tu bogato zdobione kufle, tabakierki, fajki, szarfy jedwabne, stroje na uroczystości cechowe. Spod sufitu zwisały stare chorągwie, kute w żelazie szyldy i narzędzia murarskie. W okutej skrzyni znajdowały się natomiast cenne dokumenty i przywileje.

Cztery razy w roku w izbie tej zbierali się czeladnicy murarscy. Po części oficjalnej, puszczano „w obieg” wielki miedziany kufel z piwem i śpiewano. Mimo dość luźnej atmosfery były to zebrania zamknięte dla osób postronnych. Kłopoty z wejściem mogli mieć nawet spóźnialscy, obowiązywało bowiem hasło przy wejściu. Mogły to być słowa: „Proszę za pozwoleniem i łaską o możliwość wejścia”, na co w odpowiedzi słyszało się: „Za pozwoleniem i łaską”. Raz w roku, w tak zwany „Johannisquartal”, przyjmowano nowych kandydatów w szeregi bractwa czeladniczego. Strojono girlandami

zieleni wejście do izby oraz jej wnętrze, na środku którego ustawiano beczkę piwa. W trakcie uroczystości, pod wzniesioną chorągwią, adept otrzymywał od starszego bractwa jedwabną szarfę z wyhaftowanym nazwiskiem i datą przyjęcia. Na koniec musiał zaciągnąć się z fajki przygotowanej przez starszych czeladników. Otrzymywał też własną, długą białą fajkę z glinianym cybuchem, jako znak dorosłości i wolności. Po tej oficjalnej części bawiono się przy piwie i orkiestrze dętej. W dowód uznania dorobku całego rzemieślniczego życia, niektórych spośród zmarłych majstrów na ostatnią drogę ubierano w pelerynę i piróg – oznaki najwyższych godności cechowych.

Jako że po pierwszej wojnie światowej młodzież cechowa znalazła nowe zainteresowania w kole sportowym, opiekę nad wiekowymi eksponatami powierzono muzeum na zamku. Trafiły na Wieżę Kleszą, gdzie zgromadzone je w nowej, stylowej izbie cechowej.

Podobne tradycje kultywowały także inne cechy miejskie. Ciesłe spotykali się w hospicjum przy Welscher Garten, rzeźnicy w hotelu „Hochmeister”.

Prasa

Tak jak w każdym mieście zachodniopruskim, także i w Malborku wychodziła lokalna prasa. Już 14 grudnia 1827 roku mieszkający na Starym Mieście przy Hohe Lauben 41 drukarz J.W. Kanter ogłosił, że za pozwoleniem królewskiej rejencji kwidzyńskiej od nowego, 1828 roku będzie wydawał gazetę zatytułowaną „Marienburgscher Anzeiger”. Jej pierwszy numer ukazał się 30 marca. Jako, że inicjatywa ta szybko znalazła poparcie wśród urzędników miejscowego starostwa, od 1833 roku raz w tygodniu, a od 1868 dwa razy, gazeta zamieszczała dodatek zwany „Kreisblatt des Kgl. Landrats-Amtes Marienburg”, w którym pojawiały się oficjalne obwieszczenia landratury. Redagował go sekretarz urzędu powiatowego, który zamieszczał tu także krótkie felietony, nowele, anegdoty, prognozy pogody i ceny towarów na rynku. W 1872 roku gazeta przeszła w ręce A.W. Dammeraua, który przeniósł jej redakcję na staromiejską ulicę Kratzhammer 118. W 1879 roku „Anzeiger” zmienił nazwę na „Marienburger-Zeitung”, ukazującą się trzy razy w tygodniu i zamieszczającą ilustrowany dodatek „Nach der Arbeit”. „Kre-isblatt” zaś począł wychodzić osobno. Po czterech latach połączył się jednak ponownie z gazetą Dammeraua, tworząc „Marienburger Zeitung und Kreisblatt” – od 1901 roku dziennik. Ostatnią zmianę tytułu przeszedł 1 lipca 1920 roku, kiedy to wydano pierwszy numer „Marienburger Zeitung und Kreisanzeiger”.

Gazeta zawsze była apolityczna. Do tego stopnia, że w 1868 roku w mieście pojawiła się druga, „Nogat-Zeitung”, odzwierciedlająca liberalne przekonania jej wydawców. Wychodziła do 1922 roku i po wznowieniu od 1934. Jej redakcja mieściła się przy Kuhlmannsgasse 5.



Siedziba gazety „Marienburger Zeitung”, lata 30-te XX w. (Fot. archiwum autora)

W 1881 roku właścicielem „Marienburger Zeitung” został Otto Halb, który ożenił się z wdową po poprzednim właścicielu. Dokupił on sąsiednią kamienicę (Neustadt 1) i całość przebudował na potrzeby drukarni i redakcji. W 1920 roku interes przejął jeden z jego synów, Hans. O ile w 1828 roku niewielki formatem „Marienburgscher Anzeiger” odbijano na ręcznej prasie, to w 1878 poja-

wiła się już maszyna typograficzna, zaś w 1912 rotacyjna. Tą ostatnią, która pozwalała na równoczesny druk czterech stron, w 1926 roku zastąpiono nowocześniejszą umożliwiającą druk szesnastostronnicowy. Dzięki nasłuchowi radiowemu przyspieszeniu uległo też pozyskiwanie serwisu informacyjnego. Pięciotysięczny nakład rozwożono po okolicy specjalnymi samochodami. Przejęcie władzy przez nazistów zagroziło wspomnianej niezależności gazety. Tak jak i inną „mieszczańską” prasę zmuszano ją do trzymania tonu propagandy goebelsowskiej. Na dodatek Hans Halb był masonem Nadeszły trudne lata. Nakład ograniczono do 2.000 egzemplarzy. Zdarzało się nawet, że gazeta nie ukazywała się. Mimo to Halb nie pozbył się jej, ani nie zmienił jej profilu. Po jego śmierci w 1943 roku, wdowa po nim zdecydowała się jednak sprzedać tytuł gdańskiemu „Gauverlag Danzig-Westpreußen”, wydawcy partyjnego „Danziger Vorposten”. Nie zmieniono jednak redaktora naczelnego.

Na specjalną uwagę zasługują ostatnie numery gazety. Oprócz wieści z frontu znajdujemy tam bowiem informacje, które dziś mogłyby nas dziwić. Oto kilka tytułów z wydania w dniach 20-21 stycznia 1945 roku: „Pfeffer unterm Schwanz” (Pieprz pod ogonem) – artykuł o dawnym handlu końmi w Prusach Zachodnich, opowiadający między innymi o tym jak to Cyganie, chcąc dodać animuszu oferowanym przez siebie koniom wtykali im pieprz pod ogony; „Der besiegte Teufel” (Zwyciężony diabeł) – jedna z miejscowych legend czy „Die Haut wird im Alter dünner” (Skóra na starość będzie delikatniejsza) – porady praktyczne dla pań. Z ogłoszeń zwracają uwagę informacje o zbiórkach miejscowej „Hitler-Jugend” zaplanych do końca tego miesiąca. 22 stycznia swoje usługi polecali: dorożkarz Franz Milch z Ziegelgasse 62 (ul. Armii Krajowej) i biura matrymonialne z Berlina i Królewca. Następnego dnia młodzi rodzice (mąż na froncie) informowali o narodzinach swojego pierwszego dziecka. W ostatnim numerze, z 24 stycznia 1945 roku, znajdujemy szereg doniesień z frontu wschodniego oraz 39 odcinek powieści „Kameraden in indischer Nacht” (Koledzy z indyjskiej nocy), z obietnicą, że dalszy ciąg nastąpi (...). Wieczorem tegoż dnia siedziba gazety płonąła.

Dwa i pół roku później, 15 września 1947 roku, wspomniany redaktor naczelny Hubert Dettmeyer (1894-1962) wydał w Lüchow koło Hamburga pierwszy numer pisma „Rundbrief”. W październiku 1949 roku zmieniło ono nazwę na „Marienburger Zeitung”. Jej charakter wyjaśniał podtytuł: „Heimatsnachrichten und Erinnerungen für alle vertriebenen Marienburger” („Wiadomości i wspomnienia z ojczyzny dla wszystkich wypędzonych malborżan”). Wydawana przez powstałe w kwietniu 1949 roku „Landsmannschaft Westpreußen e.V.” w Münster ukazuje się do dziś jako miesięcznik, będąc nieocenionym źródłem informacji o dziejach miasta i okolic.

Artyści z Malborka rodem

Z Malborkiem pośrednio związanych było kilka osób, których twórczość wykraczała poza lokalną społeczność i niejako poza założone na wstępie ramy czasowe niniejszego szkicu. Wspomnijmy dwie takie postacie. W latach 1874-83 w malborskim gimnazjum uczył się przyszły głośny literat niemiecki Max Halbe (1865-1944). Tu też uzyskał maturę. Mieszkał na pensji pani Dormann zajmującej pierwsze piętro domu przy Hohe Lauben 34, w pobliżu Bramy Mariackiej. Po ukończeniu studiów przeniósł się do Berlina, a następnie do Monachium. Badacze jego twórczości literackiej stawiają go, wraz z Gerhartem Hauptmannem, pośród głównych inicjatorów naturalizmu niemieckiego („Eisgang”, „Mutter Erde”, „Der Strom”). W powieściach „Doktor Sieverings Heimfahrt” i „Hortense Ruland” doszukują się także odniesień do Malborka lat osiemdziesiątych XIX wieku. 21 października 1924 roku magistraty: malborski i gdański obdarzyły go honorowym obywatelstwem, zaś Monachium nazwało jego imieniem jedną z ulic. 31 października 1932 roku otrzymał „Goethe-Medaille für Kunst und Wissenschaft”.

W 1936 roku z Malborka do Afryki Południowej wyemigrował malborski kupiec żydowskiego pochodzenia Max Espen. Towarzyszył mu między innymi jego syn Kurt (1912-1998), który już od najmłodszych lat zdradzał zdolności muzyczne. W szkole średniej wraz z kilkoma kolegami założył zespół muzyczny, w którym grał na pianinie, skrzypcach, a nawet na kontrabasie. Po zdaniu matury, w 1930 roku rozpoczął studia prawnicze. Dodatkowo uczył się też w szkole muzycznej. W Afryce Południowej zatrudniał się początkowo jako fotograf, dekorator oraz jako muzyk w orkiestrach cyrkowych. W 1943 roku prowadził już swoją szkołę muzyczną, a dwa lata później orkiestrę taneczną. Niebawem zwróciła na niego uwagę rozgłośnia radiowa „Springbok Radio”, zlecając mu akompaniament dla kilku audycji. Praca ta stała się początkiem jego błyskotliwej kariery kompozytorskiej. Jako pierwszy muzyk w RPA posługiwał się organami Hammonda. Nagrał łącznie 78 płyt długogrających, zaś najpopularniejszym jego przebojem stał się „The Sunset Trail”.

Katyń - Smoleńsk - Sztum

1940 - 2011

Kiedy 10 kwietnia 2010 roku samolot z polską delegacją schodził do lądowania w Smoleńsku, ja trafiałem do szpitala z utratą mowy i podejrzeniem udaru mózgu. W Smoleńsku skończyło się narodową tragedią. Dla mnie na szczęście jedynie zapaleniem opon mózgowych i wielotygodniowym leczeniem szpitalnym. Zestawienie wyda się może niestosowne, ale właśnie to była moja perspektywa w tym trudnym czasie, kiedy życie i śmierć dla wielu z nas były tak szczególnie blisko siebie.

Katyń 1940 roku to ofiary, choć wiele lat skrywane, znane z imienia i nazwiska, rozpoznawalne, konkretne, bliskie. Elita, której zabrakło w nowej, powojennej rzeczywistości.

96 pasażerów TU-154 ze Smoleńska to współczesna Elita Rzeczypospolitej, z Prezydentem Lechem Kaczyńskim na czele. Już dziś nie wyobrażamy sobie bez nich polskiej demokracji.

Katyń to bezwzględny mord polityczny. Smoleńsk dramatyczna katastrofa. Nie da się tego porównać, choć śmierć oficjalnej delegacji państwowej udającej się na uroczystości rocznicowe w Katyniu, takie symboliczne porównanie prowokuje.

Do tej pory depozytariuszami pamięci ofiar Katynia, Kozielska, Ostaszkowa, Charkowa, Miednoje i innych sowieckich miejsc kaźni były przede wszystkim rodziny poległych, od niedawna dopiero, bo od czasu rewolucji 1989 roku, wspierane przez demokratyczne państwo. Od tragicznej soboty 10 kwietnia 2010 roku strażnikami pamięci KATYNIA jesteśmy My Wszyscy. To największe zobowiązanie wobec tych, którzy właśnie tego dnia zginęli na służbie, chcąc złożyć hołd polskim ofiarom sprzed 70 lat.

Katastrofa w Smoleńsku była poruszającą tragedią w każdym wymiarze. Nie sposób jeszcze racjonalnie, bez żalu, emocji i patosu, o tym myśleć i pisać. Lech Kaczyński, Anna Walentynowicz, Maciej Płażyński, Aram Rybicki... Każdy z tych życiorysów to potężna dawka polskiej historii najnowszej, patriotyzmu, niezłomności ducha i bez wątpienia bohaterstwa, choć wszyscy oni dalecy byli od używania wobec siebie tego rodzaju patetycznych określeń. Nie było zresztą takiej potrzeby, bo mieliśmy ich na codzień i nikt nie myślał o spisywaniu ich życiorysów, szczególnie w wersji pomnikowej, a tym bardziej martyrologicznej.

Z Maciejem Płażyńskim byliśmy niemal równieśnikami. Był rok starszy ode mnie. W ubiegłym roku, tydzień przede mną, skończył 52 lata. Pamiętam go ze strajku na Uniwersytecie Gdańskim 13 grudnia 1981 roku. Przewodził NZS-owi. Nie znaliśmy się wtedy. Mimo strachu i niepewności, towarzyszącym nam w tym czasie, bo w każdej chwili byliśmy narażeni na interwencję ZOMO, to właśnie Płażyński wyraźnie rzucał się w oczy wśród działaczy studenckiego związku. Już wtedy miał w sobie tę siłę spokoju, rozwagi i odpowiedzialności. Potem spotykaliśmy się już w wolnej Polsce. Jako lokalny korespondent TVP w dawnym województwie elbląskim wielokrotnie relacjonowałem wizyty ówczesnego Marszałka Sejmu w Polsce gminnej. I nie były to gospodarskie wizyty w gierkowskim stylu, tylko bardzo konkretne i merytoryczne, bez zadęcia. Marszałek, podobnie jak wcześniej jako wojewoda gdański, bywał nawet w najmniejszych miejscowościach, co ze względów polityczno-praktycznych wydawało się mało przydatne, ale dla mieszkańców, szczególnie tych zapomnianych, popegeerowskich osiedli, miało niebagatelne znaczenie. Był otwarty i prawdziwy. Potrafił rozmawiać z ludźmi i zyskiwać ich sympatię, bo dawał im nadzieję. Jeśli było to możliwe za słowami i obietnicami Marszałka szły czyny w postaci doposażenia wiejskiej szkoły, świetlicy czy przyspieszenia budowy drogi, wodociągu i kanalizacji. W 2009 roku pomagałem mu znaleźć sojuszników wśród proboszczów żuławskich kościołów w sprawie stworzenia wspólnego programu ratowania żuławskich zabytków sakralnych za europejskie środki. Zabrakło czasu... Czy na swojej politycznej drodze bliski był Platformie czy PiS-owi, zawsze był człowiekiem kompromisu, mediacji i zgody, choć jasno i dobitnie artykułował swoje, konserwatywne w sferze wartości i liberalne w sferze gospodarczej, poglądy. Niezależnie od partyjnych powiązań był przede wszystkim państwowcem w najlepszym tego słowa znaczeniu. Bardzo zależało mu na tym, by ludzie angażowali się w działania samorządowe, by od podstaw budować sprawne państwo i edukować dzięki temu kadry przyszłych parlamentarzystów. Samorząd w jego przekonaniu był najlepszą szkołą dla polityków, bo uczył troski o dobro wspólne czyli tego, co jego zdaniem, w polityce postrzeganej w duchu Arystotelesa, było najważniejsze.

Dziś, by upamiętnić ofiary smoleńskiej katastrofy, nadaje się ich imieniem nazwy ulic, placów, mostów czy skwerów. To ważne i cenne, choć jednorazowe. Może warto by też pomyśleć o bardziej ideowym ich upamiętnieniu. Działa już Salon Młodopolski imienia Arama Rybickiego. Można by też powołać, bezpartyjny w założeniu, Instytut Maciej Płażyńskiego, który mógłby się zajmować między innymi promocją samorządności, a także myśli konserwatywno-liberalnej. Instytut ponad podziałami mógłby być prawdziwym sprawdzianem, czy ekumenizm w polityce jest jedynie pobożnym życzeniem, ale też czy poza ważnym, choć krótkotrwałym żałobnym rytuałem, jesteśmy zdolni do działań długofalowych, wymagających poważnej

refleksji i zaangażowania. Ekumeniczny charakter takiej instytucji to raczej mrzonka, bo rzeczywistość skrzeczy, pokazując tą gorszą twarz polityki, nieprzejednaną, mściwą, zacierzwioną. Pokazuje, że nawet żałobę potrafi my wykorzystać dla politycznych celów.

70 lat temu nie dane było rodzinom poległych pożegnać swoich mężów, ojców, synów i braci. W ciągu minionego roku wszystkie ofiary tragedii pod Smoleńskiem, choć niepoorównywalnej z mordem sprzed 70 lat, zostały godnie pożegnane, zgodnie z ceremoniałem kościelnym i państwowym. Byliśmy na pogrzebach, staliśmy na placach, zapalaliśmy znicze, śpiewaliśmy religijne i narodowe pieśni, wywieszaliśmy narodowe flagi, wzruszaliśmy się, płakaliśmy po utracie przyjaciół. Byliśmy znów razem. Wspólnie odbyliśmy żałobne rekolekcje narodowe. To ważne, nawet jeśli niewiele z tego pozostanie. Mam jednak nadzieję i chcę w to wierzyć, że z takiej żałoby wyjdziemy wzmocnieni, wyposażeni choćby w przesłanie wzajemnego szacunku i życzliwości, że polityka, choć może to już nazbyt wielkie oczekiwania, stanie się bliższa Arystotelesowi i trosce o dobro wspólne, niż makiawelicznym rozgrywkom, ciągłej wojnie, wzajemnej pogardzie i bratobójczej konfrontacji. Że w końcu, za przyjaznymi gestami i słowami sąsiadów zza wschodniej granicy pójdą i czyny, a my nie będziemy doszukiwać się w nich spisków i manipulacji. Że nie będą potrzebne w naszych modlitwach wersy błagalne, śpiewane niegdyś przez Przemysława Gintrowskiego: „Ale chroń mnie Panie od nienawiści, ocal mnie od pogardy Panie”.

W tych smutnych dniach niespodziewanej żałoby pożegnaliśmy również jako naród w symboliczny sposób polskich żołnierzy, którzy 70 lat temu zostali zamordowani z rozkazu Stalina. Sowiecką odpowiedzialność potwierdziły obecne władze rosyjskie. Zainteresował się tym cały świat, szukając odpowiedzi na pytanie co ważnego stało się przed laty w Katyniu, że do dziś jest to tak ważne miejsce dla Polaków, że odbywają tam narodowe pielgrzymki. Prezydent Lech Kaczyński chciał nad grobami poległych rodaków powiedzieć, że „jak kłamstwo katyńskie było fundamentem PRL, tak prawda o Katyniu jest fundamentem wolnej Rzeczypospolitej”. Nie spodziewał się na pewno, że tę prawdę o którą walczył przyjdzie mu w tak dramatyczny sposób potwierdzić.

Pamięć o tragicznej katastrofie w Smoleńsku i jej ofiarach jest ciągle żywa, bo duch żałoby nadal nam towarzyszy. Pamięć o skrytobójczo zamordowanych w 1940 roku w Katyniu obrońcach II Rzeczypospolitej ciągle wymaga naszej aktywności. Rodziny poległych mieszkają w całej Polsce, są naszymi sąsiadami, przyjaciółmi, znajomymi, choć nie zawsze wiemy o ich dramatycznych rodzinnych przeżyciach. A to właśnie te historie budują i wzbogacają lokalną pamięć i tożsamość. Sadźmy zatem im „Dęby Pamięci” i pielęgnujmy ich historie, jak choćby te z rodzinnych archiwów mieszkańców Sztumu.

Stanisław Szarmach

Dom profesora Mariana Szarmacha zawsze był bardzo patriotyczny. Polskość była czymś oczywistym. Babcia ze strony matki była działaczką plebiscytową w Dąbrównie w okolicach Ostródy. Po przegranym plebiscycie musiała wyjechać z rodzinnej miejscowości, w obawie przed prześladowaniami. Osiedliła się w Łasinie pod Grudziądem.

Stanisław Szarmach urodził się 12 listopada 1897 roku w Lipach na Kaszubach. Mieszkała tam cała rodzina. Skończył seminarium nauczycielskie w Grudziądzu, a potem pracował, najpierw jako nauczyciel, a potem kierownik, w Szkole Podstawowej w Dzierżążnie pod Kartuzami. Tam poznał swoją przyszłą żonę Łucję. Pobrali się 10 sierpnia 1937 roku w Grudziądzu. Mieszkali jednak nadal w Dzierżążnie. Pod koniec sierpnia został zmobilizowany do wojska i wkrótce po wybuchu wojny trafił na front w Polsce południowo-wschodniej. W chwili wybuchu wojny żona, mimo zaawansowanej ciąży, zdecydowała się uciekać w obawie przed represjami niemieckimi. Znalazła się w Chełmie Lubelskim. Kiedy sytuacja się nieco ustabilizowała i ustały działania wojenne, zdecydowała się na powrót. Wróciła do swojej matki do Łasina, gdzie w grudniu 1939 roku urodził się Marian Szarmach. 28 listopada 1939 roku dostała ostatni list od męża z Kozielska, że jest mu dobrze i że niebawem się pewnie zobaczą, bo to wszystko szybko się skończy. I to był ostatni z nim kontakt. Stanisława Szarmacha nie było na żadnej liście zaginionych. Jego syn, profesor Marian Szarmach, znalazł nazwisko zamordowanego ojca dopiero w dokumentach opublikowanych po 1989 roku. Wcześniej o poległym ojcu nie można było mówić, choć w niewielkim Łasinie wiele osób wiedziało o jego tragicznym losie. W 1979 roku matka zmarła i wtedy na jej nagrobku w Łasinie Marian Szarmach umieścił również nazwisko ojca z dopiskiem Katyń i datą 1940.

Jan Skórecki

Podporucznik Jan Skórecki był ojcem Pani Elżbiety Rozkwitalskiej. Pani Elżbieta była jedynaczką. Urodziła się w styczniu 1938 roku. Mieszkali wtedy z rodzicami w Maszewie w powiecie tureckim, gdzie ojciec, agrotechnik z wykształcenia dzierżawił majątek ziemski. Jan Skórecki urodził się 1 marca 1909 roku w Drozdowie w powiecie pułtuskim. Został zmobilizowany 24 sierpnia 1939 roku i walczył w 10 pułku strzelców konnych. O tym, że trafił do sowieckiej niewoli rodzina dowiedziała się z dwóch listów, które napisał z Kozielska. Ostatni list przyszedł z datą 25 lutego 1940 roku. Potem Jego nazwisko rodzina znalazła na liście katyńskiej. Pani Elżbieta Rozkwitalska szczególnie przeżyła katastrofę samolotu 10 kwietnia 2010 roku, gdyż była w tym czasie w Katyniu wśród osób oczekujących na przyjazd polskiej delegacji z prezydentem na czele.

Zdzisław Gierliński

Katyń to także dramatyczne doświadczenie mojej rodziny. Z zachowanego, pożółkłego wycinka z niemieckiej gazety „Ostdeutscher Beobachter”, z 15 maja 1943 roku i polskiej gadzinówki „Dziennik Radomski” z 21 maja 1943 roku, wynika, że w odkrytych wówczas w Katyniu masowych grobach, pod numerem 1029 znaleziono zwłoki brata mojej babci Zdzisława Gierlińskiego. Miał przy sobie państwową legitymację urzędniczą, książeczkę wojskową i nie wysłaną pocztówkę. Zdzisław Gierliński urodził się 12 czerwca 1912 roku w Dakowach Mokrych, w Wielkopolsce. Był absolwentem Seminarium Nauczycielskiego w Kcyni. Po skończonej nauce odbył półtoraroczne szkolenie wojskowe, zdobywając stopień porucznika. Pierwszą, i jak się okazało później, ostatnią, pracę podjął jako nauczyciel i kierownik szkoły w niewielkiej miejscowości Kabat w okolicach Solca Kujawskiego. Stamtąd w 1939 roku po ogłoszeniu mobilizacji zgłosił się do wojska. Trafił na wschód, gdzie jego oddział zabezpieczać miał granicę państwa przed spodziewanym atakiem wojsk radzieckich. Tam prawdopodobnie na przełomie września i października trafił do niewoli sowieckiej. Osadzony został w obozie w Koziełsku. Rodzina nie miała od tego czasu żadnego z nim kontaktu. Zginął wraz z innymi oficerami.

Być może w tym dramatycznym momencie los zetknął Zdzisława Gierlińskiego z Janem Skóreckim i Stanisławem Szarmachem i wspólnie stanęli przed plutonem egzekucyjnym morderców z NKWD. Może marna to pociecha dla nas żyjących, ale być może dla nich wtedy bliskość drugiego człowieka w tym samym mundurze była jakąś ulgą w obliczu wspólnego losu, w obliczu śmierci.

Ważne na dziś jest to, by zbrodnia katyńska została do końca wyjaśniona. Tak samo ważne jest byśmy mogli w końcu poznać prawdę o katastrofie smoleńskiej. Naszą powinnością, po trudnym okresie żałoby, jest pamięć, wspólna pamięć, która nie dzieli, a łączy. By nikt nie wznosił wrogich okrzyków „Tu jest Polska”, sugerując, że jest tam, gdzie jest jedna grupa ludzi, mająca w swoim przekonaniu monopol na prawdę, cierpienie i pamięć. Moim zdaniem, Polska jest tam gdzie jesteśmy razem, a nie tam gdzie jesteśmy przeciwko sobie. Tego właśnie uczył nas Jan Paweł II, kiedy powtarzał wielokrotnie biblijne przesłanie- „jeden drugiego brzemia noście” czyli nie jeden przeciw drugiemu, ale jeden z drugim, a to znaczy razem.

Nie czuję się Siłaczką¹

Rozmowa z mgr Krystyną
Muszyńską
Polonistyka, 1985, nr 4.

Wątek pierwszy: wokół stereotypu Siłaczki

Stanisław Bortnowski - Pracuje Pani na wsi, w Zbiorczej Szkole Gminnej w Starym Targu w województwie ellbląskim, mieszka Pani w Waplewie, więc chcę czy nie chcę, ja - mieszczuch - muszę Pani zadać pytanie wywodzące się jeszcze z klimatu żeromoszczyzny: Czy czuje się Pani Siłaczką?

Krystyna Muszyńska - Nic a nic! Siłaczka to nie wzorzec na dzisiaj. Siłaczki - proszę Pana - mają złą sławę. W województwie gdańskim, do którego administracyjne należałam, odbywały się co roku kongresy Judymów i Siłaczek. Gdy spotykałam się z bohaterami lub bohaterkami owych zjazdów, czułam się rozczarowana: obowiązek społeczny dla tych ludzi stanowił zazwyczaj fasadę. Ja nie udawałam, że idę na wieś z wyboru i dla posłannictwa. Wybrałam przecież Żukowo, położone 18 km od Gdańska...

St.B. - Waplewo robi na mnie wrażenie głuszy ostatecznej. Z Malborka pociągami jedzie się tu w pustce i chociaż wokół piękne lasy, w pobliżu Pani mieszkania nowe, jakby miejskie osiedle pegeerowskie i pałac Sierakow-



Krystyna Muszyńska

¹ W związku z piątą rocznicą śmierci naszej koleżanki Krystyny Muszyńskiej publikujemy nieco skrócony fragment jej wywiadu z 1985 roku, który ukazał się w branżowym piśmie „Polonistyka”. Mamy nadzieję, że tekst ten choć trochę przybliży Czytelnikom Jej sylwetkę.

Krystyna Muszyńska (5.08.1946 r. – 4.12.2006 r.) była nauczycielką w Starym Targu, Czerminie, dyrektorką tych szkół, ale też naszą redakcyjną koleżanką w „Sztumskiej Solidarności” w 1980 - 81 roku oraz po jej reaktywacji w 1989 roku, następnie w „Gazecie Sztumskiej” i „Dzienniku Bałtyckim”. Mimo, że od tego wywiadu minęło ponad ćwierć wieku, mamy wrażenie, że wiele spraw o których w nim była mowa nadal pozostaje aktualnych. Nie przypadkowy jest też dziennikarz, który przeprowadza wywiad. Stanisław Bortnowski, polonista, przez 20 lat pracował jako nauczyciel w szkole średniej, w tym również w Kwidzynie, starszy wykładowca w Katedrze Polonistycznej Edukacji Nauczycielskiej w Instytucie Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor wielu publikacji metodycznych i publicysta, związany z wieloma czasopismami (m.in. „Życie Literackie”, „Polonistyka”, „Warsztaty Polonistyczne”, „Język Polski w Szkole Średniej”, „Zeszyty Szkolne”). Redakcja

skich, wszystko przypomina mi Smogorzów, wieś, w której przez dwa lata pracowałem. Nie mogę wyzbyć się uczucia, jakbym znalazł się znów odcięty od cywilizacji, wpuszczony w bezmiar i w beczasowość, którą wtedy, w latach 1955-57 na próżno próbowałem oswoić. A Pani?

K.M. - Uratowały mnie: wspaniała przyroda, praca i wolne soboty. Poznawałam ludzi i dziś mam tu w pobliżu, np. w Sztumie (miasteczko między jeziorami) duży krąg przyjaciół. Kontakt z nimi daje satysfakcję intelektualną, pożyczamy sobie książki i czasopisma (ja prenumeruję Dialog, Twórczość, Znak, Tygodnik Powszechny, Politykę, a po trzech latach udało mi się uzyskać cenne książki z serii reklamowanej przez Nową Wieś), korzystam z ich samochodów, ponadto często jeżdżę do Gdańska i Warszawy, gdzie nasycam się kulturą znacznie intensywniej niż krewni - tubylcy. Po wielkomiejskich uciechach tym chętniej wracam do domu na wieś. Tu też można pielęgnować wartości, może łatwiej niż w wielkim mieście.

St.B. - Podobnie jak Pani i ja czyniłem mieszkając w Kwidzynie, model podróżowania intensyfikował przeżycia kulturalne i niezmiennie ożywiał, ale nie pomagał na jedno: na brak anonimowości. Nauczyciele w wielkich miast pozostają prawie poza kontrolą społeczną, dany jest im luksus bycia nie rozpoznawanym. Osławiona „samotność” w tłumie wydaje się sztucznym wymysłem pisarzy - moralistów, stąd zadowolenie, że tkwię wśród innych jak jeden z wielu. Pani tymczasem?

K.M. - Początkowo ludzie mnie denerwowali, ich zainteresowania mną uważałam za wścibstwo, w tej chwili myślę, że człowiek, który jest znany w środowisku, musi mieć ogromne poczucie odpowiedzialności za to, co robi. I to mi właśnie odpowiada, gdyż świadomość tego „bycia na widelcu” uczy namysłu, częstszej refleksji nad własnym życiem. Nie jest to takie złe, jak się obrońcom niezależności ponad wszystko zdaje. Moje dzieci muszą się dobrze zachowywać wobec sąsiadów, więc potem będą - mam nadzieję - szanować także innych ludzi. Tu nikt nie jest anonimem, stykamy się z sobą tak czy inaczej niemal co dzień i musimy się nawzajem szanować. Gdy natrafie na niegrzeczną ekspedientkę w mieście, to jestem zaskoczona: ja tu nie powoduję spięć, do mnie nikt się tak źle nie odnosi.

To prawda, że znam tu prawie wszystkich jako rodziców moich uczniów, ale to przecież skarb w pracy wychowawcy. Wiem ile tato przynosi do domu, czy pije, czy na dziecko w domu czeka, czy też je traktuje jak piątą nogę u stołu. Są to sytuacje drastyczne, dotyczą przede wszystkim mikrośrodowiska pegeerowskich koczowników. Muszę jednak przez porównanie powiedzieć: moja siostra pracuje w szkole podstawowej w Gdańsku i ma z dziećmi takie kłopoty, o jakich nam się nie śniło. A to klasa dzieci „dobrze ustawionych tatusiów” bojkotuje boleśnie zaplątanego między nich biedniejszego kolegę, a to ośmioklasistka, złąkniona zagranicznych ciuchów, zdecydowała się dla ich zdobycia spróbować sił w tzw. najstarszym zawodzie świata. Bo

tamte dzieci z miasta jawnie wyrażają wielkie zapotrzebowanie na konkretne a rzadkie dobra materialne. Nasze wiejskie dzieci nie przynoszą do szkoły czekolad i pomarańcz, ale nie mają kluczy na szyi. Czy Pan wie, że tu powyżej 20 procent matek pracuje, reszta spełnia swoje funkcje opiekuńcze i wychowawcze. O dziwo ponieważ w rodzinach jest zazwyczaj czworo lub pięcioro dzieci, moi uczniowie są bardziej uspołecznieni i potrafią częściej z czegoś zrezygnować na rzecz rodzeństwa niż egoistyczne dzieci miejskie. Czy w tej sytuacji ja jestem Siłaczką? Może moja siostra powinna prędzej się w poczet Siłaczek zaliczyć, gdyż właśnie w mieście potrzeba dzieciom dać więcej niż na wsi.

St.B. - A mizerna egzystencja materialna na wsi w okresie kryzysu? Pustki w sklepach, brak jakiegokolwiek możliwości kupienia gdzie indziej wszystkiego co potrzeba?

K.M. - Konsekwentnie unikam kolejek nie ze względu na czas czy zmęczenie, ale przede wszystkim na tę atmosferę mordy, jaka w nich panuje. Odżywam i jestem w pełni sobą w atmosferze życzliwości, spokoju, dobrośliwej ironii. Mogę się obejść bez szynki, bez kielbasy, nie mogę obejść się bez ludzkiego uśmiechu i żyję tak, by móc ten uśmiech wywołać. Nie jestem czułościwką, ale lubię ludzi, natomiast kołtunów się boję i wolę być od nich jak najdalej. Czyż jednak w miastach ich nie ma?

St.B. - Więc programowa pogarda wobec materii, a to już blisko tego, co współczesny Żeromskiemu pedagog Jan Władysław Dawid napisał, że nauczanie winno opierać się na miłości dusz ludzkich, że ta miłość jest źródłem entuzjazmu, entuzjazm zaś łączy się z silnym poczuciem odpowiedzialności i potrzebą doskonalenia. Czy tak jest z Panią właśnie?

K.M. - Nauczycielką polonistką stałam się przez przypadek. Byłam owocem tzw. selekcji negatywnej, nie powołania. Jeszcze na praktyce w szkole podstawowej marzyłam o dziennikarstwie, a moja fatalna opiekunka z rodzaju „siedzi na kanapie i wszystkim ma za złe” utwierdziła mnie w tym mniemaniu. Potem postanowiła uczyć jej na złość, po swojemu, równocześnie zraziłam się do dziennikarstwa dlatego, że widziałam (w 1968 roku), jak ludzie skądinąd mądrzy i przywykli do własnego osądu wyzbywali się twarzy i pisali rzeczy wredne. W szkole mogłam być wierna sobie, ale czy dziś nie widzę siebie w innym zawodzie? Nasza polska szkoła jest wytłumiona, a człowiek po kilkunastu latach pracy zawsze wpada w rutynę. Może właśnie dlatego, gdybym była mniej skrepowana wędzidlami, co kilka lat zmieniałabym zawód. Poszłabym na przykład na rok czy dwa lata do przedszkola, by zupełnie zmienić rodzaj pracy. Kiedyś marzyłam też o napisaniu książek dla młodzieży, robiłam konspekty, skończyło się jednak na pomysle. Nie jestem więc z tych modeli, co „raz na zawsze i dla sprawy”, szkoła mnie jednak trzyma, a czy z tych powodów, które wymienia Dawid? Miłość dusz ludzkich jest - moim zdaniem - nieodzowna w każdej humanistycznej profesji, więc

to nie to. Ja myślę, że w szkole człowiek się wolniej starzeje, bo obcuje z młodymi. Ich świeże spojrzenie na sprawy życia nie pozwala zaśnieć w raz urobionej opinii. Nie pamiętam dwu takich samych lat w szkole, choć niby co roku „przerabia się” te same lektury, te same partie gramatyki. Szkoła daje niebywale rzetelny pogląd życia, zmieniających się dążeń, celów, aspiracji. Na lepsze i gorsze także. Kiedyś spodziewałam się tego po dziennikarstwie, ale praca pedagogiczna też mi zapewnia kontakt z życiem i daje możliwość uogólniania obserwacji.

Wątek drugi: Skąd przychodzimy?

St.B. - Zanim zaczniemy rozmawiać o dzieciach, które zagubiły swoją przeszłość rodzinną, musimy odpowiedzieć na pytanie, skąd przychodzi Krystyna Brudnowska-Muszyńska?

K.M. - Urodziłam się w 1946 roku w Bereźnicy nad Bugiem, w dzisiejszym województwie zamojskim, ale czuję się z pochodzenia wołyńską, po ojcu. W rok później moi rodzice wraz ze sporą częścią rodziny Taty przenieśli się do Gdańska. Jechali z krowami i przede wszystkim szukali w zrujnowanym wojną mieście miejsca, gdzie mogłyby paść się bydłatka, a dopiero potem, przy okazji - mieszkań dla siebie. Tak więc rosłam pijąc mleko od własnej krowy. Krowy się potem sprzedało, ale wiejski obyczaj rodziny przetrwał w naszej rodzinie bardzo długo. Rodzina żyła gromadnie, w ścisłej więzi uczuciowej i praktycznej. Sprawy szczególnie ważne rozpatrywało się i decydowało wspólnie. Gdy kogoś z krewnych spotkało nieszczęście, pozostali śpieszyli z pomocą. To było oczywiste i naturalne, odruchowe. Żyliśmy w tym wołyńskim rodzinnym skansenie jak pod kloszem, wystarczając sobie towarzysko, przyjacielsko, nawet gospodarczo. W naszej rodzinie dużo się śpiewało, opowiadało różne historyjki, żartowało w bardzo specyficzny sposób. Spóźnionego gościa witano pytaniem: "Co, twoji koni piechoto szli, że by tak późno zajechał?" Dzieje rodziny, nawet te odległe, były wciąż obecne we wspominkach. Cioteczna babka była zakochana w jednym, jego rodzice chcieli jakieś łąki w posagu, matka nie chciała o tym słyszeć. No i wydano ją za mąż za innego, starszego o dwadzieścia lat, który chciał się żenić bez posagu. Ciotka umarła ze zgryzoty przy pierwszym porodzie. Działo się to w drugim dziesięcioleciu naszego wieku, ale dla mego Taty, stryja, ciotek było bliskie, żywe. Dla mnie także. Inna babka cioteczna wraz z trzema córkami znalazła się podczas drugiej wojny na Syberii, no i zmarły wszystkie w ciągu jednego roku. A znów mój Tata opowiadał nam ze szczegółami, jak walczył z Niemcami w 1939 roku i potem, po rozproszeniu wojska i kapitulacji, siedł spod Wielunia na Wołyn piechotą. Jest to mi wszystko drogie i chcę to ocalić od zapomnienia... Miałam dzieciństwo bardzo szczęśliwe, barwne, bogate ogromnie. To co we mnie najlepszego zawdzięcam wołyńskiemu zaściankowi na przedmieściu Gdańska. Człowiek

potrzebuje poczucia wspólnoty rodzinnej, środowiskowej, zawodowej. Bez tego własnego matecznika jest nie tylko biedniejszy duchowo, ale i bardziej bezradny wobec problemów życia.

St.B. - Teraz skoro tyle wiemy o Pani, czyli - powtarzając słowa poetki - „została pani sprawdzona” - proszę o gorzkie refleksje na temat dzieci, których nigdy nie nauczono, skąd ich ród?

K.M. - Dzieci tutejsze są bez korzeni, czyli bez tradycji, bez poczucia losu rodziny, bez najbliższej historii. Gdy omawiałam w klasie VIII fragment Chłopów Reymonta dotyczący obrzędów związanych z Bożym Narodzeniem i zapytałam uczniów o zwyczaje świąteczne w ich domach, okazało się, że spora część nie zna tradycyjnej wigilii, więc zwyczaju dzielenia się opłatkiem, a także potraw charakterystycznych dla tej wieczery... Święta to plastikowa choinka (tu, gdzie lasy wokół), prezenty, okazja dla niektórych do wypicia alkoholu, dla innych do odespania. Połowa dzieci nie wie, gdzie się urodziła ich mama i gdzie urodził się ich tata. Dla nich jest tylko teraz, przeszłość nie istnieje. Dlaczego? Powody mogą być różne. Tutaj ludzie nie są tacy osiadli jak w innych regionach Polski, przenoszą się, niektórzy pędzą nawet życie koczownicze. Robotnik popije, pokradnie, odchodzi z pegeeru, wiąże się z inną kobietą, z innymi dziećmi. Dzieci też wędrują, nagle w ciągu roku to ubywa kilkoro w klasie, to przybywa. Taka włóczęga niszczy te przyzwyczajenia okresowe, które się już ukształtowały. Inne powody: bywa, że zerwanie łączności i zawężenie rodzinnych, ów wańkowiczowski kundlizm, łączy się z procesem nobilitacji, poczuciem awansu, przeskoczeniem pewnej bariery. Rodzice wstydzą się swoich rodziców albo uważają, że ciotki i wujowie nie wzniesli się na wyżyny. Trochę to jest także wynik tego, że dziecko chowa się jak eksponat, nie włącza się go w podstawowe sprawy rodziny, izoluje od rozmów poważniejszych, za to porusza nie cierpiące zwłoki, codzienne. Czy ktoś nakarmił króliki, czy wykupił cukier na kartki, czy dzieci odrobiły lekcje, co jutro zrobić na obiad, jak załatwić bezkartkowe mięso - oto zakłęte koło tematycznych porozumień między pokoleniami. Skutki są bolesne i zaskakujące: dzieci wyizolowane rodzinie, historycznie i geograficznie na pytanie, o co poprosiłyby złotą rybkę, piszą: o wyjazd do RFN-u.

St.B. - Uczyłem w Kwidzynie, w dawnym Polskim Gimnazjum, jedynej naszej placówce średniej na terenie Prus Wschodnich. Szkoła miała własny hymn, własny znak Rodła na tarczy, własny obyczaj, jakim był inscenizowany bardzo przemyślnie chrzest beanów wodą wiślaną dokonywany przez Kwidyna Wielkiego i jego świętę w towarzystwie szalejącej orkiestry. W Kwidzynie, chociaż ludność była tam głównie napływowa, ocierałem się o skomplikowane problemy mieszkańców Powiśla. Jak te kwestie kształtują się w Starym Targu i Waplewie, miejscach zaznaczonych w latach międzywojennych walką o polskość?

K.M. - Mnóstwo mieszkańców Starego Targu i okolic ma krewnych w RFN, stąd tak ostry i bezkrytyczny podział w ich świadomości na to straszne tutaj i na wspaniałe tam. Silne zauroczenie kolorowymi przedmiotami, które przychodzą w paczkach, prowadzi do uzależnienia i pewnego wygodnictwa. Prozaiczny głód lepszego życia jest ważniejszy od głosu poznawania świata i ewentualnego rozwiązywania problemów narodowych. Z przybyszami stamtąd rodzice moich dzieci bardzo często nie umieją się porozumieć, jedni mówią tylko po polsku, drudzy po niemiecku. Tamci, niby Niemcy, także czują się wykorzenieni, a ich misja sprowadza się do tego, aby przyjechać, przywieźć coś, potem przysyłać paczki. Jest to więc działanie li tylko materialne, przez co właśnie może skuteczne.

St.B. - Czy to znaczy, że dzieci stąd przestają być Polakami?

K.M. - Nie, nie przestają być, lecz przestają wiedzieć, że są Polakami. W programie klasy IV znajduje się taka czytanka Wiarus z Reggio, bardzo ładna ilustracja historii powstania hymnu narodowego. Tylko, że dla dzieci legiony są równie odległe, jak dzieje Mieszka I. Nauczanie według programu to za mało, by przedrzeć się przez dziecięcą obojętność na to, co jest polskością. Ponadto program przyzwyczajają dzieci do sztampy. W każdym podręczniku są historie okupacyjne z opisem Niemców, którzy mordowali, dlatego dla moich uczniów, gdy są w szkole, Niemiec to esesman, morderca i oprawca. Poza szkołą jest oczywiście ten Niemiec z RFN, który nie jest Niemcem i nie jest Polakiem, wujek Horst, Oskar, Helmut, rodak z zagranicy, który się urządził, który został tam i lubi Polaków. Nie ma korelacji między wiedzą książkową uczniów a ich doświadczeniami prywatnymi. Gdy się spróbuje te sprawy złączyć, to się dzieci autentycznie dziwią. Ich świadomość nie tworzy systemu, nie jest zintegrowana, one widzą świat osobno.

S.B. - W jaki sposób próbuje Pani zaciekać dzieci ich rodowodem, dotrzeć do sagi rodzinnej, a także rozerwać stereotypy w myśleniu?

K.M. - Tu bardzo jest potrzebne przechodzenie od nieznanego do znanego, ale nie uświadamianego dotąd. Pomagałam dzieciom ustalić pochodzenie ich rodziców po nazwach obecnych w codziennym języku, np. chlewik dla dzieci z rodzin autochtonicznych to „szanerek”, a dla dzieci przybyłych z rzeszowszczyzny to „szopka”. Drugim kryterium rozpoznawania była oczywiście gwara. Ja sama mam papuzie ucho, szybko potrafię małpować każdą gwarę. Oto powiedzonko ze sklepu w Żukowie: „Pani mi da taci ołówki, taci, taci.” A z Waplewa i Starego Targu, tzw. gwara malborska? Kiedy żona chce męża udobruchać, mówi: „Helmut, ne jadów sze, jo? Pójdź na spacer, oba razem.” Gwary nie traktuję - jak wielu młodych polonistów - jako chwast, lecz staram się ją pielęgnować wspólnie z uczniami. Cieszę się każdym wileńskim „zrobiwszy”, „szlubenem” czy „wisznią”, kaszubskim „knypem” czy „kundą”, lwowską „chawirą” czy „kałabanią”. Jeden z moich uczniów, chłopiec, który mieszkał we wsi zasiedlonej w ramach akcji „Wisła” używał gwary rzeszowskiej, ale to nie była gwara Łem-

ków. Mówił miękko, śpiewnie: „kubity”, „nauczycieli” (mianowniku). Piwnicę nazywał „loszkiem” albo „sklepem”. Zachęcałam dzieci do prowadzenia słowniczków z wyrażeniami i frazesami używanymi w rodzinnym domu. Inny sposób docierania do przeszłości to cykl lekcji na temat: „Mój rodowód”. Zaczynałam zazwyczaj od fragmentu „W cieniu zapomnianej olszyny” Kadena-Bandrowskiego. Klimat tej książki pamiętam jeszcze z dzieciństwa, zresztą w czytance dla kl. IV jest „Pogrzeb Mickiewicza”. Zwracam uwagę, że każdy człowiek może być świadkiem historii, trzeba tylko umieć patrzeć. Wyście też przeżyli wielkie wydarzenia, np. wybór Polaka na głowę Kościoła. Przecież to było komentowane, tak czy owak, w każdym domu, prawda? Potem wypytuję dzieci: skąd ty jesteś, skąd są twoi rodzice? Nawet po rozmowach w domach niektóre dzieci mają kłopot ze swoim czasem przeszłym, ale zawsze trafiają się emocjonalnie zaangażowane. Te przynoszą z szuflady stare dokumenty, stare egzemplarze prasy, różne pamiątki rodzinne. Okazało się, że dziadek jednego z chłopców był działaczem Związku Polaków w Niemczech i występował w zespole, którego kierownikiem był patron naszej szkoły, Franciszek Jujka. I oto osoba uczniom całkowicie obca nagle jakby ożyła. Dowiedzieliśmy się, że ten zespół wyjeżdżał z występami „do Polski”, że dziadek zwiedził z zespołem Kraków i Warszawę. Ktoś inny przyniósł fotografię Starego Targu sprzed wojny; zobaczyliśmy naszą wieś niby taką samą a inną. W domu, gdzie mieszka Zbyszek, był sklep z dużym szyldem. Na pustej obecnie skarpie stał malowniczy wiatrak. W walącej się dziś chałupie była Szkoła Powszechna Polsko-Katolickiego Towarzystwa Szkolnego na Powiślu. Na zdjęciu stoi w drzwiach szkoły jej kierownik, Franciszek Jujka. Poznałam go bez trudu: jego syn - Zbigniew, znany karykaturzysta, jest bardzo do ojca podobny.

Wątek trzeci: Przede wszystkim wychowanie

St.B. - Odpowiadając na ankietę „Tygodnika Powszechnego” „Lekcja polskiego” opisała pani dyskusję w klasie na temat hierarchii wartości, która proponuje powieść Dąbrowskiej. Cytowała pani słowa Bogumiła: „Ja służę ziemi, a że na cudzym, tom swojego nie przegrał i nie przepił.” A także słowa Agnieszki: „Wartość człowieka nie w tym, co ma, tylko w tym, czy potrafi doznać radości czyniąc, tworząc.” Wyznała pani, że licealistki z lat siedemdziesiątych nie bardzo chciały wierzyć, że można być szczęśliwym, gdy „traci się wszystkie dobra materialne, a zyskuje pomału duchowe.” Wszystko to wskazuje na to, że dla Pani wychowanie na lekcji języka polskiego jest ważniejsze od nauczania i że czuje się Pani bardziej opiekunem młodych niż ich egzaminatorem z przedmiotu?

K.M. - Wie pan, ja się z książek uczyłam życia, książki oprócz rodziny uczyły mnie, co szanować, czego bronić, co odrzucać. Kształtowały moje poczucie dobra i piękna. Świat literatury do świat fikcji uzyskanej z pewnej syn-

tezy zdarzeń i faktów rzeczywistych. Literatura osądza życie – wtedy jest literaturą przez duże L. Ale wyłuskuje zeń to, co najpiękniejsze, a niezauważalne dla profanów. Dlatego skręca mnie we wnętrzu, gdy muszę z Bursztynowego ptaszka Różewicza wyłuskać metafory i epitety, bo ten wiersz jest jak piękna fraza muzyczna, wystarczy go dobrze przeczytać i podumać nad nim.

St.B. – Jest więc pani zagorzałym wrogiem teorii literatury w klasach IV - VI?

K.M. - Ja mam dość konserwatywny pogląd na funkcję nauczania polskiego w szkole podstawowej. Jestem przeciw teorii literatury proponowanej w takim wymiarze, jak w obecnie obowiązujących programach czy komentarzach. Myślę, że na tym poziomie powinno się dziecko nauczyć poprawnie pisać i mówić po polsku, powinno ono spróbować własnych sił w twórczości - raczej dla gimnastyki wyobraźni niż sprawności gatunkowej, no i powinno się zetknąć z arcydziełami literatury, żeby zobaczyło, jak piszą mistrzowie. Jestem raczej za kształtowaniem wrażliwości emocjonalnej niż intelektualnej w tym okresie. Teoria literatury, za wcześniej wprowadzana, wiedzie do schematyzmu w myśleniu. Ileż udręki mnie -nauczycielce, przynosi sproządzanie dzieła do jakiejś konstrukcji z zapalek, która ukazuje elementy strukturalne. Ucząc języka polskiego muszę brać oddech, gdyż dla mnie; literatura to przeżycie, to stawianie pytań dotyczących świata i człowieka. Mnie się wydaje, że odarcie dzieła literackiego z zawartości myślowej, jej geometryzowanie, powoduje, że literaturę przestaje się lubić. Skończy się frajda z Akademii Pana Kleksa, gdy pani zapyta o teorię literatury. Dlatego na konferencjach polonistycznych protestuję przeciwko wiwisekcji fragmentów pięknej poezji, przeciwko wskazywaniu wyłącznie epitetów, metafor i porównań budujących świat przedstawiony. Po takich lekcjach pozostają słowa w związkach logicznych, tekst, np. Pana Tadeusza, staje się układanką... Ja lubię smakować formę, ale przecież najpierw trzeba osądzać świat. Może to kalectwo polonistyczne, że ja tak właśnie pracuję. Mam silne poczucie niedostatku własnych umiejętności dydaktycznych, najczęściej wychodzę z lekcji niezadowolona z siebie i sfrustrowana, cudze lekcje podobają mi się zazwyczaj bardziej niż własne. I w ogóle jestem dyletantką, nie umiem dopracować się metody pracy, zawsze mnie coś fascynuje po drodze i zapominam dokąd szłam i po co. Nie jest to żadna kokieteria; myślę, że większość ludzi w głębi ducha dokładnie wie, ile jest warta - i ja także.

St.B. - Niezmiernie mnie pani uradowała formułując to, co mniej więcej ja o sobie myślę: że jestem nieudolny, chaotyczny, za mało planowy i jakże ubogi intelektualnie. Wierzę więc, że pani - jak sama wyznała - nie należy do wybitnych polonistek i dlatego przeprowadzam z panią wywiad: bo przecież uczenie polskiego to nie tylko sprawność i odkrywczność dydaktyczna lub obeznanie z modną terminologią, ale to przecież własne podejście do świata i człowieka, to system norm moralnych proponowanych na lekcjach, to wreszcie specy-

ficzne odczytywanie dzieł literackich, które niosą przyjemność. Dlatego na zakończenie rozmowy prosiłbym o dłuższy komentarz do książki Melchiora Wańkowicza *Ziele na kraterze*. I niech się ten komentarz zacznie od zdania, które pani z tej powieści, jakże słabo przeze mnie pamiętanej wybrała. To zdanie ma być - wedle pani - „nasycone emocją i śliczne”, a brzmi...

K.M. - „Królik był to najcichuszy alchemik.” Słowa najcichuszy nie ma w żadnych słownikach. Biedna mowa polska za mało ma słów żeby przy pomocy sufiksów, kontaminacji, derywacji wyrazić miłość, tkliwość, gniew, nienawiść. Wańkowicz, pisząc książkę o swojej rodzinie, czarował. Tworzył neologizmy pokrętne, dziwaczne, a przecież tak „odludne”, że wiele z nich wsiąkło w polszczyznę i rozsiało się w niej jak u siebie. Niech pan posłucha tylko: wzdychacze, czupidron, uplumazowany, wyparasolniony, natwardzić, szurpaty itd., itp. A sama słynna „siadźka”? Język Wańkowicza to ogród nieplewiony, w którym obok siebie kwitną pospolite chabry i wystrzępione egzotyczne storczyki... Ta książka jest pełna klimatu, pisana z miłością, postaci Królika, Pytona, Tirliporka (czyli pani Zofii Wańkowiczowej, Krysi i Marty), niesłychanie plastyczne, budzące uczucia przyjaźni u czytelnika. Nie akceptuję ryczałtem wszystkich metod pedagogicznych w książce pokazanych, ale zachwycam się główną linią wychowawczą. „Jak trudno szukać drogi, to trzeba iść za instynktem... Mając w spadku kulturę sobiepańską, kolorową, niechże do niej rosną. Za Boga, niech nie mają dusz zestawionych z lakierowanych tubek z zasadami... Te lakierowane futerały, kiedy katastrofa dziejowa dusze ściśnie, popękają, posypią się jak tynk, odsłaniając bezbronną, barwistą małżę w tej słabej skorupie.” I w tym rozdziale, ale wcześniej: „jaka generalna zasada? Żeby nie zwalczać tak zwanych pokus zakazami, bo na dnie pociągu do pokusy leżą zwykle naturalne pobudki. Tylko wysunąć inną, szlachetniejszego typu abstrakcję. „Też bym tak chciała ze swoimi uczniami. Ale żeby tak wychowywać musi się mieć ten podkład kulturowy, „kolorowy, sobiepański”, coś musi być na początek. Bo inaczej ugrzęźniemy w telewizyjnym komunale: „Młodzież nie ma co robić z wolnym czasem”. Jak która. Moje dzieci: Kasia i Michał, mają co robić. Rozmawiają ze mną, chodzą po górach - są to obozy wędrownie, które prowadzę. To jest nasz model „neronienia się” - widzi pan, znów Wańkowicz się kłania. Kto ma pustkę w głowie i w sercu, będzie odczuwał pustkę wokół siebie. Nie wiem, na ile wystarczę córce i synowi jako autorytet i przyjaciółka. Ale gdy kiedyś wyfruną z gniazda, wierzę, że będą „skądś”, że dom będą odczuwały nie tylko jako punkt dostawczy wiktów, pieniędzy i spania, ale jako gniazdo właśnie. Tak jak ja odczuwam własny dom rodzinny. Myślę, że nieźle mnie tam wyposażono na samodzielne życie. Życzę tego „posagu” swoim uczniom i robię wszystko, aby ci, którzy go nie mają, uzyskali coś ważnego i istotnego w szkole.

St.B. - Myślałem, że skończymy promiennym uśmiechem pozornie beztroskiego Wańkowicza, zamykamy jednak nutą rodzinną i wychowawczą.

Adam Langowski

Przydzielony na Powiśle



Bronisław Michalski. (Fot. A. Langowski)

To już 71 lat odkąd Bronisław Michalski trafił na Powiśle. Pomimo ukończonych 90 lat imponuje świetną pamięcią i bardzo dobrą kondycją. Jeszcze do niedawna regularnie jeździł rowerem na niedzielną mszę i gdyby nie samochód wnuczki zapewne dalej jeździłby w ten sposób. Ubiegłej wiosny widziałem, jak przycinał drzewka owocowe, rosnące wokół jego domu. Dźwignięcie wiadra z węglem też nie sprawiało mu większej trudności. W ostatnich miesiącach odbyłem z nim kilka spotkań, w czasie których podzielił się ze mną

swoimi przeżyciami z okresu II wojny światowej. Podczas wspólnych rozmów wykazał się znakomitą pamięcią. Był robotnikiem przymusowym, a jego wspomnienia dostarczają wielu unikalnych informacji związanych z pracą przymusową na powiślańskiej wsi, a konkretnie na obszarze dzisiejszej gminy Stary Targ.

Bronisław Michalski urodził się 23 sierpnia 1920 r. w Okoninach Niemieckich (obecna nazwa Okoniny Nadjeziorne) w powiecie tucholskim, gmina i parafia Śliwice. Nie zdążył odbyć służby wojskowej, gdyż przed wojną wiek poborowy wynosił 21 lat. Za to jego starszy brat Bernard (ur. 1913 r.) służył w 8 Pułku Strzelców Konnych w Chełmnie, a w kampanii wrześniowej walczył pod Modlinem. Po ślubie ich siostry ojciec przekazał jej 11 ha, a Bronisław Michalski pomagał siostrze i szwagrowi w gospodarstwie.

W okresie świąt wielkanocnych 1940 r. miejscowy sołtys spisywał listę osób wytypowanych do wyjazdu na roboty do Niemiec. Na liście znalazł się także Bronisław Michalski wraz z bratem Bernardem. Poinformowano ich bardzo ogólnie, że następnego dnia mają stawić się na badania lekarskie i że pojadą na roboty do Niemiec. Po odbyciu badań lekarskich grupa spisanych osób z całej gminy zjawiała się następnego dnia w Śliwicach i została załadowana do pociągu, który odbył trasę Laskowice koło Świecia – Tczew – Malbork. Po dotarciu do Malborka zostali ustawieni w czwórki i odprowadzeni do sali sportowej znajdującej się wówczas przy obecnej ulicy Piłsudskiego. Do sali sportowej przybywali okoliczni gospodarze, którzy w Arbeitsamcie

(urzędzie pracy – red.) złożyli wniośki o przydział robotników. Spośród zebranych tam ludzi gospodarze wybierali tych, którzy mieli zasilić ich gospodarstwa. Kto się spodobał, tego zabierali... Bronisław Michalski z ramtem oraz dwoma innymi osobami zostali wskazani przez jednego z gospodarzy ze wsi Ramoty, niewielkiej miejscowości leżącej około 20 km na południowy-wschód od Malborka. Gospodarz ten wybrał dwóch pracowników dla siebie i dwóch dla innego gospodarza z Ramot. Ten drugi



Od prawej Bernard Michalski, Łucja Ziółkowska (Michalska), Bronisław Michalski. Pierwszy z lewej Bronisław Machalewski. Ogród gospodarstwa rolnego w Ramotach.

w dniu 29 marca 1940 r. przyjechał bryczką odebrać całą czwórkę z dworca kolejowego w Waplewie Wielkim i to właśnie do tego drugiego gospodarza trafił Bronisław Michalski, a jego brat do pierwszego. Bracia znaleźli się zatem w jednej wsi, ale pracowali u innych gospodarzy.

Gospodarstwo, do którego trafił Bronisław Michalski należało do rodziny od pokoleń gospodarującej w Ramotach, liczyło 25 ha i było nieco oddalone od głównego skupiska wsi. Teren wokół Ramot jest pagórkowaty, a pasmo wzniesień ciągnących się w tej okolicy ma nawet swoją nazwę – Góry Ramockie (Ramter Berge). Najwyższe wzgórze, Szubienica, ma 105 m n.p.m., inne, liczące 94 m n.p.m., leży blisko gospodarstwa rolnego, w którym podczas wojny pracował Bronisław Michalski. Oba wymienione wzniesienia uwzględniane są na starszych i nowszych mapach jako istotne punkty topograficzne.

Z gospodarstwem, w którym przebywał Bronisław Michalski sąsiadowały dwa inne gospodarstwa. Najbliższe z nich, o powierzchni 26 ha, należało w tamtym czasie do Fritza Bortza – sołtysa i członka NSDAP. Robotnicy Bortza mieszkali w osobnym domku, który zachował się do dziś, w przeciwieństwie do domu samego sołtysa. Stosunki między gospodarzem Michalskiego i sołtysiem Bortzem były poprawne aż do 6 sierpnia 1944 r. W tym dniu przypadał odpust parafialny, który zbiegł się z dniem pracy społecznej na rzecz armii i narodu niemieckiego. Gospodarz Michalskiego polecił swym robotnikom pracować „wedle oka”, dając tym samym do zrozumienia, żeby w tym dniu zbytnio się nie przemęczali, sam zaś pojechał do kościoła w Starym Targu. Nie spodobało się to sołtysowi Bortzowi, który następnego dnia wyrzucał żonie gospodarza, że ich robotnicy pracowali byle jak i od tego momentu wzajemne relacje się pogorszyły. Zdarzało się, że krowy Bortza wchodziły sąsiadowi w szkodę. Jedną z takich sytuacji doprowadzić miała do starcia pomiędzy gospodarzem Michalskiego, a rosyjskim robotnikiem

sołtysa o imieniu Oleg, który nie upilnował krów i prawdopodobnie został za to skarcony kijem przez poszkodowanego gospodarza. Wydarzenie to miało po kilku miesiącach przynieść tragiczne konsekwencje.

Do obowiązków Bronisława Michalskiego należało wykonywanie typowych prac w gospodarstwie rolnym. Z humorem wspomina, jak gospodyni poleciła mu pierwszy raz wydoić krowy. Nie miał wprawy, dlatego wykonanie tej pracy zajęło mu bardzo dużo czasu. W kilka dni później, dokładnie 12 maja 1940 r., przywieziono do gospodarstwa nową robotnicę Łucję Ziółkowską, pochodzącą z powiatu lipnowskiego. Wspólny los zbliżył dwoje robotników przymusowych, którzy po kilku latach stali się małżeństwem.

W okresie pobytu na robotach raz w roku mógł korzystać z urlopu wystawianego przez Arbeitsamt. Urlop trwał 2 tygodnie i wykorzystywany był przeważnie w okresie zimowym, gdy pracy w gospodarstwie było mniej. Zdarzało się, że sam gospodarz również zezwalał na wyjazd w rodzinne strony, ale w takim przypadku można się było spodziewać utrudnień ze strony żandarmów. Taka sytuacja spotkała Bronisława Michalskiego na dworcu kolejowym w Malborku. Żandarm sprawdzający jego dokumenty bardzo podejrzliwie podchodził do zgody na wyjazd pozbawionej pieczętki niemieckiego urzędu pracy. Żandarm wyraził swoje wątpliwości, czy aby na pewno Michalski wróci z tego urlopu, ale ostatecznie oddał dokumenty.

Kontakty z rodziną nie ograniczały się jedynie do urlopów. Można było prowadzić korespondencję i otrzymywać paczki. Istniała także możliwość przyjazdu bliskich. Bronisława Michalskiego odwiedził jeden z braci, a do Łucji przyjechali kiedyś rodzice.

Robotnikom przysługiwały karty zaopatrzeniowe na podstawowe artykuły spożywcze i przemysłowe. Gospodarze pobierali u sołtysa karty żywnościowe na swoich robotników i przygotowywali dla nich posiłki. Bronisław Michalski wspomina, że jedli w kuchni, natomiast gospodarze w pokoju, a posiłki niczym specjalnym się nie różniły.

Raz w miesiącu można było uczestniczyć we mszy świętej dla Polaków odprawianej w Starym Targu przez księdza Wiktora Gollana. Msza była odprawiana w języku polskim, ale nie wygłaszano kazania. Uczestnictwo w innych mszach było zabronione, dlatego, gdy gospodarze czasami zabierali ze sobą Łucję, ktoś doniósł miejscowemu żandarmowi, że „Polaczkę wożą ze sobą do kościoła”. Pewnego razu Bronisław i Łucja wybrali się nawet do cyrku, który przyjechał do Dzierzgonia i rozłożył się na terenie dzisiejszego dworca PKS. Raz w tygodniu Bronisław Michalski towarzyszył gospodyni w drodze do Dzierzgonia, gdzie robiła zakupy.

Wieczorami, po pracy i kolacji, spotykał się z robotnikami przymusowymi przydzielonymi do ramockiego majątku. Położony na wzniesieniu folwark górował nad całą miejscowością. Grupa pracujących tam robotników, kobiet i mężczyzn pochodzących z rejonu Lipna, liczyła ok. 12 osób. Zakwa-

terowani byli w piwnicach dużego domu zarządcy majątku. W obszernych piwnicach znajdowała się kuchnia i stołówka oraz osobne pomieszczenia dla kobiet i mężczyzn. Podczas wspólnych spotkań odsuwano piwniczne ławy i stoły, śpiewano, a do tańca przygrywał na skrzypcach robotnik Bronisław Machalewski. Spotykając się z tymi robotnikami Bronisław Michalski poznał piosenki ułożone przez nich w ramockim majątku. Oto słowa jednej z nich:

Dostaliśmy się do niewoli,
Siedzim, aż nas serce boli,
Choć nie w więźniu za kratami,
Nasze matki płaczą łzami,
A mój ojciec, mój kochany,
Chciał mi zwalić te kajdany,
Ale zwalić ich nie może,
Bo sam siedzi, ach mój Boże!

Dobrego mamy włodarza,
Każde słowo nam powtarza.
W każdym kącie on jest zawsze,
Zamiast berła wręcza gafle,
I nie każe nam mądrować,
Tylko ciężko masz pracować.
A kto mu odpyskuje,
Tego żandarm w dytki kuje,
I do lagru odprowadza,
Tam go bierze wyższa władza.

A inspektor nasz kochany,
On nam włożył te kajdany.
Z Arbeitsamtu nas prowadził,
I do Waplitz przyprowadził.
Przydzielili nas do Ramut,
Do tych piwnic za kratami,
Teraz ciężkie życie nasze,
O tem wiecie przecież sami.
Do domu chętnie bym jechali,
Ale nie puszczą nas te tyrany.

Ciągle chodzisz zasmucony,
Tęskno ci do narzeczonej.
Nie tak do tej narzeczonej,
Jakże w me rodzinne strony,

Gdziem się rodził, chcę umierać,
Nie tu te przeklęte słowa odbierać.

Teraz bracie tak nastalo,
Na tabakę masz za mało,
Bo za miesiąc ciężkiej pracy
To sześć marek ci wypłaci.
Chciałbyś kupić na ubranie,
To pieniędzy ci nie stanie.
O ubraniu nie ma gadki,
Musisz pisać znów do matki.

A matka żałośnie płacze,
Że cię synu nie zobaczę.
Wiesz, że synu mój kochany,
Że i do nas weszli te gałgany.
Spisywali u nas wszystko,
Nawet ostatnie kurzysko,
I pieniędzy ci nie zaślę,
A niechże ich piorun trzaśnie!

Bronisław Michalski zapamiętał jeszcze fragment innej piosenki:

Dwa lata niewoli -
To zeszło jak sen,
I nic się nie stało nikomu.
Niewola się skończy,
Nadejdzie ten dzień,
Wesoło pojedziem do domu.
A w domu rodzinnym
Każdy się z nas roześmieje,
I wspomni sobie nie raz,
Jak z piwnic ramuckich
Wychodził nie raz
W największą śniegową zawieję.

W okresie poprzedzającym atak Niemiec na ZSRR w okolicy odbywały się ćwiczenia wojsk niemieckich. Sztab mieścił się w ramockim majątku, a część żołnierzy została rozlokowana u poszczególnych gospodarzy. Na czas ćwiczeń kilku żołnierzy niemieckich zostało zakwaterowanych również w gospodarstwie, w którym pracował Bronisław Michalski. Szczególnie zapamiętany został żołnierz o imieniu Max. Pochodził z Kolonii, a podczas

pobyty w gospodarstwie podpytywał gospodynię o różne polskie wyrażenia i słówka. Ćwiczenia trwały około 2 tygodni, wozy z działami prowadzone były w kierunku miejscowości Chojty, drogą biegnącą obok gospodarstwa.

Z okresu pracy przymusowej Bronisław Michalski zachował kilka zdjęć. Zostały one wykonane przez brata gospodarza, który był urzędnikiem Arbeitsamtu w Malborku i przyjeżdżał w niedzielę na gościnę do Ramot. Większość fotografii przedstawia Łucję, Bronisława oraz inne osoby w wyjściowych ubraniach w ogrodzie gospodarstwa, w tle widoczna jest część domu i zabudowań gospodarczych.

Bronisław Michalski pracował u swojego gospodarza prawie 5 lat, aż do wkroczenia Rosjan. Żołnierze radzieccy weszli do Ramot 23 stycznia 1945 r. wieczorem. Znakiem świadczącym o ich przybyciu był ogień, który pojawił się we wsi. Spłonęły wówczas co najmniej trzy domy. Obserwując ogień z położonego nieco na uboczu gospodarstwa Bronisław Michalski zrozumiał, że w Ramotach musieli pojawić się Rosjanie. Następnego dnia żołnierze radzieccy zjawili się również u nich. Zabrali konie, a swoje, zmęczone i wygłodniałe, zostawili w gospodarstwie. Sołtysa Bortza już nie było, ewakuował się wcześniej. Jego robotnik, Rosjanin Oleg, postanowił odegrać się teraz na gospodarzu Michalskiego i poskarżył się czerwonoarmistom, jakoby został przez niego kiedyś pobity. 26 stycznia 1945 r. wieczorem żołnierze radzieccy przyjechali do gospodarstwa, wyprowadzili gospodarza i zastrzelili.

Rosjanie agresywnie reagowali na wszystko to, co w jakikolwiek sposób kojarzyło im się z hitlerowskimi Niemcami. Widząc dokumenty robotników przymusowych, na których znajdowały się hitlerowskie symbole, przeklinali, że to germańskie i że będą strzelać. W obawie przed ich reakcją Bronisław Michalski spalił swoją Arbeitskartę.

W okresie wkroczenia Rosjan po okolicy wałęsało się dwóch niemieckich żołnierzy. Jeden z nich został zastrzelony przez Rosjan między Ramotami a miejscowością Poliksy. Rosjanie chodzili potem do gospodarstwa sąsiadującego z gospodarstwem, w którym pracował Bronisław Michalski i szukali koni oraz sań, mówiąc, że jeden „soldat” zabity, a drugi „bolnyj” (chory – red.). Zabity Niemiec został pochowany w Ramotach, tuż przy starej mogile pochodzącej podobno jeszcze z czasów napoleońskich, która znajduje się przy szosie prowadzącej do Waplewa Wielkiego. Przy tej samej mogile znajduje się jeszcze oznaczony grób Kurta Gralli (ur. 15.08.1937 – zm. 12.09.1945), chłopca, który przybył do Ramot w grupie Niemców uciekających przed frontem i tutaj zmarł. Uciekinierzy niemieccy chodzili później do pracy w folwarku Jeziorno, a z Ramot wyjechali wiosną 1947 r.



Dom w majątku w Ramotach w okresie międzywojennym. w piwnicach tego domu osadzeni byli robotnicy przymusowi z Lipna, którzy ułożyli piosenki. (Fot. ze zbiorów A. Kikut-Murche)

Wśród Rosjan również zdarzały się ofiary. Jednego z radzieckich żołnierzy znaleziono martwego w budynku gospodarczym w Poliksach. Nie wiadomo do końca, jakie były okoliczności śmierci tego żołnierza. Przypuszcza się, że mogło dojść do sprzeczki między Rosjanami, która zakończyła się śmiercią jednego z nich. Rosjanie prowadzili później dochodzenie w tej sprawie.

Po wejściu Rosjan część Polaków, w tym robotnicy przymusowi, zebrali się w gospodarstwie byłego sołtysa Bortza. Okresowo przebywali tam również żołnierze radzieccy, ładowali długie żerdzie i drągi składowane u Bortza. Bronisław Michalski wraz z grupą Polaków podjął próbę opuszczenia Ramot. Mając do dyspozycji wóz ruszyli w kierunku Dzierzgonia, ale do miasta nie weszli, ponieważ z drogi ujrzeli pożar. Dzierzgoń płonął. W tej sytuacji postanowili zawrócić, ale w międzyczasie na drodze w Poliksach pojawiła się już blokada radziecka. Rosjanie zatrzymali wóz i odesłali podróżujących na komendę do Dzierzgonia, gdzie po wyjaśnieniach zostali zwolnieni. Pytali Rosjan o płonący Dzierzgoń, a ci odpowiadali, że to „germańskie” i niech się pali. Na komendzie przeczekali do rana i ruszyli ponownie w kierunku Poliks i z powrotem do Ramot.

Pod koniec marca 1945 r. Bronisław Michalski z bratem Bernardem i kilkoma innymi osobami z Ramot został wzięty przez Rosjan do pędzenia krów zabieranych z okolicznych gospodarstw. Trafili do Stanowa, skąd

zdecydowali się uciec. Bali się, że wraz z krowami sami zostaną wywiezieni do Związku Radzieckiego. W kilkusobowej grupie podejmującej ucieczkę znajdowała się również córka lekarza Kosińskiego ze Starego Targu. Doktor Kosiński został zastrzelony przez Rosjan, ponieważ kiedyś miał odmówić jednemu z rosyjskich robotników przymusowych wystawienia zaświadczenia lekarskiego. Wspomniany lekarz nie był jedyną ofiarą Rosjan w Starym Targu. W dramatycznych okolicznościach śmierć poniosła także siostra tamtejszego proboszcza, Wiktora Gollana. W Blunakach -Tywężach grupa uciekinierów ze Stanowa znalazła schronienie w stodole u niejkiej Olszewskiej, aż w końcu dotarła do Krasnej Łąki, gdzie stacjonowało polskie wojsko. Z czasem sytuacja wokół zaczęła się stabilizować.

W okresie od czerwca 1945 r. do stycznia 1946 r. Bronisław Michalski i Łucja znajdowali się poza Ramotami. W Zadusznikach w powiecie lipnowskim wzięli ślub i przez jakiś czas przebywali w rodzinnych stronach Łucji. Ostatecznie ponownie zjawili się w Ramotach i objęli w posiadanie jedno z opuszczonych gospodarstw. Bronisław Michalski uporządkował obejście, a w miejscu walącej się chaty postawił nowy dom, w którym wraz z najbliższą rodziną mieszka do dzisiaj. Łucja Michalska zmarła w 2000 r., a Bernard, który również osiedlił się na tych terenach, zmarł w 2002 r.

Gospodarstwo, w którym w czasie wojny pracował Bronisław Michalski pozostało w rękach tej samej rodziny. Stosunki między nimi są przyjazne, obie rodziny się kontaktują i odwiedzają. Były robotnik przymusowy, Bronisław Michalski, był nawet świadkiem na ślubach cywilnych trzech córek gospodarza. Jedna z nich potwierdzała w dokumentach charakter pracy Bronisława Michalskiego, dzięki czemu mógł uzyskać świadczenia z tytułu pracy przymusowej. W sierpniu 2010 r. Bronisław Michalski obchodził 90 urodziny, a wśród wielu gości odwiedzających go w tym dniu nie zabrakło również syna byłego gospodarza.

Historia Pana Bronisława Michalskiego ma dla mnie szczególne znaczenie, ponieważ dotyczy osób i miejsc, które bardzo dobrze znam. Ramoty to moja rodzinna miejscowość, a dzięki wspomnieniom Pana Michalskiego mogłem odkryć ją na nowo. Zawsze lubiłem swoją wieś, a teraz, gdy jej obraz stał się pełniejszy, lubię ją jeszcze bardziej. To fascynujące odkrywać, że w piwnicach domu, w którym się wychowałeś, przebywali podczas wojny robotnicy przymusowi, tworzyli tam piosenki i wychodzili nie raz „w największą śniegową zawieję”. Pamiętam, jak będąc dzieckiem bałem się samemu schodzić do tych piwnic, a otwieranie i zamykanie kłódek dłużyło się w nieskończoność... Po wojnie folwark Ramoty został przekształcony w gospodarstwo wchodzące w skład Państwowego Ośrodka Hodowli Zarodowej

Waplewo Wielkie. W domu byłego folwarku urządzono biura gospodarstwa i mieszkania dla administracji. Moi rodzice zamieszkali w tym domu w 1974 r. Tata rok wcześniej objął funkcję kierownika gospodarstwa w Ramotach i pełnił ją przez 36 lat. Mama pracowała również w tym gospodarstwie na stanowisku zootechnika.

Ze wspomnień Pana Bronisława wyłaniają się dawni mieszkańcy wsi. Ciekawą postacią musiał być Trunk, który przed wojną pracował w służbie hrabiów Sierakowskich, właścicieli pobliskiego Waplewa. Miał zawsze powtarzać, że nie chce mieć nikogo przy sobie w momencie śmierci i przeczując nadchodzący koniec podobno sam się ogolił i ubrał. Jedyną karczmę w Ramotach prowadziła wtedy Marta Ziółkowska, miała siedem kotów, a każdy z nich swoją miseczkę. Jeszcze do niedawna przy byłej karczmie, od strony ulicy, stał drewniany słupek, do którego klienci przywiązywali kiedyś swoje konie. Po wojnie dom ten wszedł w posiadanie rodziny Borowskich i gdy zdarzały się awarie miejscowej hydroforni właśnie tam chodziliśmy po wodę, korzystając z czynnej studni znajdującej się na podwórzu.

Niezliczoną ilość razy przechodziłem obok przydrożnej mogiły znajdującej się w mojej wsi. Jak się okazuje, początki mogiły mogą sięgać czasów napoleońskich, a II wojna dodała jeszcze swoje groby. Przed paru laty wiatr połamał duży krzyż i otaczające go drzewka. Staraniem mieszkańców wsi, w tym Pana Michalskiego, postawiono nowy krzyż, choć już nie w otoczeniu drzewek, bo te, zniszczone przez wiatr, trzeba było usunąć. Warto podkreślić, że obok Pana Michalskiego w inicjatywę porządkowania mogiły zaangażowani byli syn i wnuk gospodarza, który w marcu 1940 r. wybrał go i trzech innych robotników w malborskiej sali sportowej.

Edward Cyrklaff

Ojciec był człowiekiem skrupulatnym...

Nazywam się Edward Cyrklaff i urodziłem się 17 lutego 1933 roku. Jestem najstarszym z trójki rodzeństwa w naszej rodzinie. Mam młodszego brata Romana, a najmłodsza jest siostra Ewa. Naszą matką jest Stanisława z domu Jankowiak, a ojcem – Alojzy Cyrklaff – urzędnik skarbowy¹.

Mój ojciec pochodzi ze wsi – urodził się 8.11.1895 r. jako szóste dziecko w wielodzietnej rodzinie w Nowej Wsi Królewskiej pod Wąbrzeźnem na terenach ówczesnego zaboru pruskiego. Łącznie miał sześćcioro braci i dwie siostry, z których troje zmarło w wieku niemowlęcym. W wieku pięciu lat stracił swojego ojca w wypadku, który zdarzył się na polu podczas żniw. Matka ojca została na dużym gospodarstwie sama z piątką chłopaków: Leonem – 14 lat, Wacławem – 12 lat, Anastazym – 10 lat, Izydorem – 8 lat i Alojzym – 5 lat. Po roku wdowieństwa, w styczniu 1902 roku wyszła powtórnie za mąż. Mój ojciec był więc wychowywany przez ojczyma Tomasza Osińskiego. Nowi jego rodzice połączyli swoje dotychczasowe gospodarstwa, w wyniku czego powstał duży majątek ziemski przynoszący pokaźne dochody.

Dwaj najmłodsi synowie: Izydor i Alojzy, po ukończeniu 6-klasowego gimnazjum (z niemieckim językiem nauczania) w Nowej Wsi Królewskiej zostali wysłani na dalsze nauki do Wąbrzeźna. Nie jest mi znana szkoła, jaką obaj bracia kończyli w Wąbrzeźnie. Po ukończeniu nauk mój ojciec wraz z bratem powrócili na gospodarstwo rodziców.



Alojzy Cyrklaff
(Fot. z archiwum rodzinnego)

¹ Wspomnienie o ojcu, Alojzym Cyrklaffie pierwszym w powojennej Polsce wójcie Gminy Nytych (Nowy Staw) na Wielkich Żuławach Wiślanych - znajdują się w publikacji W. Jedliński, R. Kłofczyński, Dzieje Nowego Stawu, Nowy Staw 2010, s. 339 - 366.

Gdy rozpoczęła się I wojna światowa cała piątka braci została wcielona do pruskiej armii i po krótkim przeszkoleniu w zgrupowaniu koszarowym w Malborku i Berlinie wszyscy zostali skierowani na wojenne fronty: ojciec znalazł się na froncie zachodnim, natomiast pozostali jego bracia trafili na front południowy do Serbii.

Z opowiadań ojca pamiętam, że uczestniczył w bezpośrednich walkach na froncie niemiecko-francuskim i tam został ranny. Po przebytej rekonwalescencji, najpierw w szpitalu polowym, następnie w szpitalu cywilnym gdzieś na ziemi holenderskiej, został przeniesiony do kompanii wartowniczej i w niej pełnił służbę na wyspie Norderney w pobliżu Holandii do zakończenia wojny. Z wojny powróciło tylko czterech braci – najstarszy Leon poległ na froncie w 1916 roku.

Po powstaniu Polski ojciec zgłosił się do formowanego polskiego wojska. Został elewem Wielkopolskiej Szkoły Podoficerów Piechoty nr 2 w Grudziądzu, którą ukończył w 1923 roku.

Po przejściu do cywila wybrał pracę kontrolera skarbowego. Przed podjęciem tej pracy musiał w Izbie Skarbowej w Grudziądzu ukończyć kilkumiesięczny kurs specjalistyczny dla urzędników państwowych i zdać końcowy egzamin. Pracę w akcyzie skarbowej rozpoczął po 1925 roku w Unisławiu, gdzie też zamieszkał. Do zadań rewidenta skarbowego należała kontrola przestrzegania przepisów ustawy monopolowej w restauracjach i sklepach prowadzących obrót artykułami monopolowymi. Restauracja Jana Jankowiaka w Dąbrowie Chełmińskiej leżała w podległym mu obszarze działania. W tej restauracji poznał córkę właściciela – Stanisławę, która była tam kelnerką. Po kilku latach znajomości poślubił pannę Stanisławę 20 kwietnia 1931 roku w kościele w Boluminku.

W rozmowach z ojcem na temat jego młodzieńczych lat dowiadywałem się o różnych jego przypadłościach życiowych. Jednym z istotniejszych faktów z jego życia był ten, że bardzo lubił grę w karty, ponadto, że był namiętym palaczem tytoniu. Zdarzyło się jeszcze przed jego ślubem, że w grze w oczko przegrał raz całą dopiero co odebraną miesięczną pensję. Cały następny miesiąc żył na pożyczkach. Jak stwierdził, po tym zdarzeniu powziął twarde postanowienie skończenia ze zgubnym nałogiem hazardu karcianego, a wraz z tym zdecydował się też rzucić palenie. Od czasu poznania panny Stanisławy do końca swoich dni nie wziął papierosa do ust, a na grę w karty zapewne nie starczało mu już czasu.

Jak wynika z zachowanych pism, przed ślubem ojciec udzielał się społecznie. Był przez szereg lat członkiem Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Unisławiu, a w 1930 roku został nawet wybranym na prezesa jego zarządu.

Po ślubie nowożeńcy zamieszkali w Czersku, dokąd ojciec dostał przeniesienie służbowe na istniejący tam wakat rewidenta skarbowego. Tutaj ja ujrzałem świat. Gdy miałem 1,5 roku rodzice przeprowadzili się do Chojnic, gdzie urodził się mój brat Roman. A ojciec nadal pracował w Izbie Skarbowej w Grudziądzu, jako rewident skarbowy w Chojnicach.

Z Chojnic przeprowadziliśmy się w drugiej połowie 1936 roku do Gdyni, gdyż ojciec otrzymał pracę na stanowisku inspektora celnego w porcie gdyńskim. W Gdyni zamieszkaliśmy w czynszowej kamienicy przy ul. Chylońskiej 96. Dnia 12 listopada 1936 roku ojciec kupił od pani Brodowskiej parcelę budowlaną o powierzchni 678 m² położoną na Grabówku przy nowo wytyczanej ul. Serpentyń za 6.020 zł, przy czym połowę tej sumy wpłacił gotówką, resztę miał rozłożoną na miesięczne raty po 50 zł każda. Parcela została ogrodzona płotem z siatki drucianej i w początkowym okresie miała pełnić rolę ogrodu owocowo-warzywnego.

Ojciec, pracując w charakterze inspektora celnego w porcie morskim, dobrze zarabiał: jego miesięczna pensja wynosiła 400 zł, a więc, jak na ówczesne stosunki, była wysoka. W tych okolicznościach jesienią 1937 roku nasza rodzina zmieniła miejsce zamieszkania – przeprowadziliśmy się do nowo wybudowanego zespołu budynków w centrum miasta. Zamieszkaliśmy na 4 piętrze domu przy ul. Śląskiej 51. Mieszkanie było bardzo jasne i obszerne. Miesięczny czynsz za ten lokal wynosił w okresie letnim – 80 zł, natomiast 120 zł w miesiącach z włączonym centralnym ogrzewaniem.

W okresie letnim tata zabierał nas chłopaków na plażę, która znajdowała się wówczas obok akwenu jachtowego przy porcie. A któregoś dnia tata zabrał nas do portu; weszliśmy na pokład holownika portowego i popłynęliśmy, zwiedzając baseny portowe i oglądając przycumowane do nabrzeży duże statki. Pamiętam też, że byłem obecny z rodzicami na spotkaniu z Janem Kiepurą, które odbywało się na obszernej placu pod Kamienną Górą. Gdy tata wziął mnie na barana, widziałem wtedy nieprzebrane tłumy ludzi i Jana Kiepurę stojącego na dachu limuzyny i śpiewającego swoje piosenki i arie operowe głosem, który ludzi tak ekscytował.

W okresie bożonarodzeniowym Zarząd Portu organizował dla dzieci swoich pracowników spotkania jasełkowe. Pamiętam jedne takie jasełka, w których wraz z bratem uczestniczyłem – najprawdopodobniej na początku 1938 roku.

W lipcu 1939 roku zostałem zapisany do szkoły powszechnej mieszczącej się przy ul. Witomińskiej - około 1 km drogi od naszego domu. Od 1 września miałem zacząć uczęszczać do 1 klasy.

Wojna

W listopadzie 1939 roku, w dwa dni po urodzeniu się mojej siostry Ewy, zostaliśmy przez hitlerowskich urzędników z naszego mieszkania wyeksmitowani i przekwaterowani do przydzielonego nam niewielkiego pomieszczenia w sąsiednim domku jednorodzinnym. A późną jesienią 1940 roku okupant niemiecki wysiedlił naszą rodzinę z Gdyni i przerzucił nas do podmiejskiego Orłowa. Gdynia została bowiem uznana za miasto rdzennie niemieckie o rzekomo gotyckich korzeniach i nowej nazwie Gotenhafen, w którym odtąd nie miał prawa zamieszkiwać żaden Polak. Naszym nowym lokum w Orłowie było pomieszczenie w niewykończonym betonowym baraku bez instalacji technicznych. W czasie wojny ojciec znalazł pracę w stoczni gdyńskiej w charakterze malarza pomieszczeń okrętowych i pomieszczeń biurowych. Niemcy zatrudniali Polaków jedynie do prac fizycznych.

Niemiecka okupacja była trudnym okresem do przeżycia dla całej naszej rodziny. W Orłowie zacząłem chodzić do szkoły podstawowej, w której językiem nauczania był niemiecki. W tej szkole ukończyłem cztery klasy. A w domu nasza mama uczyła mnie czytania z przedwojennego elementarza Falskiego.

Po wojnie

Po zakończeniu II wojny światowej nasza rodzina przeniosła się do Sopotu, gdzie znaleźliśmy i zajęliśmy jakiś poniemiecki domek jednorodzinny. Już 10 kwietnia 1945 roku mama zameldowała naszą rodzinę w Biurze Rejestracji Ludności Polskiego Komitetu Obywatelskiego Miasta Sopot, a 12 kwietnia otrzymaliśmy z Zarządu Miejskiego w Sopocie pisemne potwierdzenie rejestracji miejsca zamieszkania przy ul. Kościuszki 33 b.

Od 2 maja 1945 roku rozpocząłem naukę w 1 klasie Państwowego Koedukacyjnego Gimnazjum i Liceum im. Bolesława Chrobrego w Sopocie przy ul. Marszałka Stalina 751. Tamten rok szkolny był jednak bardzo krótki, bo letnie wakacje zostały ogłoszone już 15 lipca.

Ojciec zgłosił się do Zarządu Miasta w Sopocie z zapytaniem o możliwość zatrudnienia. W tej sprawie pojawił się też w połowie maja w Starostwie Powiatowym w Gdańsku, które zostało powołane przed kilku dniami przez wojewodę gdańskiego z tymczasową siedzibą w Sopocie, gdyż w Gdańsku nie było jednego całego domu, aby ten urząd tam ulokować. Tutaj dowiedział się, że podstawowym zadaniem, przed jakim stał starosta, było zorganizowanie polskiej administracji na terenach poszczególnych gmin wchodzących w obręb starostwa. Starosta uznał, że ojciec jest dobrym kandydatem na stanowisko wójta, jednak przyjęcie tej propozycji wiązałoby się ze zmianą jego miejsca zamieszkania. Jeżeli chciałby to stanowisko objąć, nie powinien zwlekać z decyzją ponad trzy dni.

Nie wiem dzisiaj, ile czasu zajęło ojcu podjęcie tej decyzji – przecież musiał to przekonsultować z naszą mamą – wiem tylko, że w drugiej połowie maja 1945 roku starosta gdański mianował ojca kierownikiem Delegatury Starostwa Powiatu Gdańskiego w mieście Nytych, jako pierwszego organizatora polskiej administracji państwowej na obszarze Wielkich Żuław Wiślanych z jednoczesnym pełnieniem obowiązków wójta Gminy Nytych.

Wiem też, że około 20 maja 1945 roku ojciec, jako nowo mianowany wójt poniemieckiego miasteczka Nytych, wyjechał z naszego domu w Sopocie i że go już nie widziałem do czasu rozpoczęcia wakacji szkolnych. Ojciec zjawiał się w naszym domu pod koniec lipca. Poinformował, że w nowym miejscu zamieszkania już się zagospodarował i zorganizował urząd gminny i że w tym miasteczku jest wiele pustych poniemieckich mieszkań, z których będziemy mogli wybrać sobie najodpowiedniejsze. Uzgodnił z mamą szczegóły przeprowadzki i następnego dnia wyjechał. Jednym z uzgodnień było to, aby mama z dziećmi przyjechała do Nytychu około połowy sierpnia, gdy na miejscu pozatapia sprawę związane z przeprowadzką.

Dalsza peregrynacja naszej rodziny odbyła się zgodnie w ustalonym wyżej planem. W połowie sierpnia nasza mama z trójką dzieciaków wybrała się koleją do Tczewa, a stąd już dotarliśmy wszyscy po kilku godzinach pieszej wędrówki szosą z Lisewa do Nytychu. Z ojcem spotkaliśmy się na dużym placu, na którym najpierw ujrzelśmy kościół ze stojącą obok niego wysmukłą i wysoką wieżą, czyli na Rynku miasteczka. Tutaj ojciec nas już wyczekiwał. Poza nim nie było tu żywej duszy. Ojciec zaprowadził nas do mieszkania, które sobie urządził nad siedzibą wójtostwa. Wszyscy rzuciliśmy się na jakie bądź miejsca leżące na chwilowy odpoczynek.

Siedziba wójtostwa została przez ojca urządzona w poniemieckim komisariacie policji: w podwórzu zobaczyłem cele aresztanckie, ale też stajnię, gdzie stał gotowy do zaprzęgu koń, a na dziedzińcu stała też bryczka, którą ojciec objeżdżał okoliczne wioski i ustanawiał polskich sołtysów spośród rolników-repatriantów przybyłych w międzyczasie z naszych byłych terenów wschodnich; poszczególnym wioskom nadawał też polskie nazwy.

Przy Rynku była komendantura wojsk rosyjskich, w której ojciec się początkowo zameldował jako przedstawiciel polskiej administracji państwowej i z którą uzgadniał swoje marszruty po okolicznych wioskach w tym celu, ażeby go sowieckie patrole wojskowe, które patrolowały okolicę, nie zatrzymywały.

Następnego dnia z rana ojciec zaprowadził nas na ul. Słowackiego, gdzie stały dwa a może nawet trzy kilkupiętrowe budynki. Weszliśmy do jednego z nich: wszystkie mieszkania miały pełne umeblowanie, a ich lokatorów już nie było. Byli lokatorzy niemieccy uciekli wraz z cofającymi się przed sowiecką armią niemieckimi wojskami. W budynku przy ul. Słowackiego 7 na pierwszym piętrze mieszkanie 3-pokojowe spełniało nasze oczekiwa-

nia i wymagania. Poza dużymi pokojami była tam widna kuchnia z piecem węglowym i gazowym, łazienka oraz spiżarnia; wszystkie te pomieszczenia łączył długi, dość obszerny przedpokój. Budynek był wyposażony w centralne ogrzewanie. Tak więc to mieszkanie nasza rodzina zajęła i zaczęła je zagospodarowywać.

Po tygodniu czy dwóch został przez ojca zorganizowany transport dużego, wojskowego samochodu ciężarowego, który przewiózł z naszego poprzedniego mieszkania w Sopocie wszystkie te rzeczy, które uznaliśmy za potrzebne w nowym mieszkaniu.

Do naszego miasteczka zaczęło przybywać coraz więcej mieszkańców i ludzi przedsiębiorczych. Pierwsza ruszyła piekarnia pana Blicharza. Już po tygodniu mogliśmy u piekarza kupować świeży chleb. Po kilku dniach swoje podwoje otworzyła restauracja – nowym jej właścicielem został pan Ludwik Lira, znajomy ojca z Gdyni, który tu przyjechał na jego odzew. Niedługo po tym przy Rynku otworzyli swoje sklepy: pan Jarzębowski – rzeźnik, pan Glura – bławaty i pasmanteria oraz pan Adamski – sklep z artykułami metalowymi.

Na początku września 1945 roku została w mieście otwarta szkoła powszechna. Mama zapisała do tej szkoły wszystkie swoje latorośle: moją siostrę Ewcię – 5,5 lat – do I klasy w charakterze dziecka przedszkolnego, brata Romana – 10 lat – do IV klasy, a ja miałem już 12,5 lat i zostałem przyjęty do VII klasy z tej racji, że wcześniej już uczęszczałem do gimnazjum. Kierownikiem szkoły był pan Hipolit Nagórski, który jednocześnie uczył rachunków, a moją wychowawczynią była pani Irena Ożarowska.

W początkach 1946 roku uruchomiona została naprzeciw szkoły druga w mieście piekarnia. W czasie dużej przerwy uczniowie zbiegali do niej i kupowali smaczne, chrupiące bułeczki. Pamiętam, że ja kupowałem tam zawsze jedną dużą bułę, za którą płaciłem 50 groszy.

Powoli zaczęło się w naszym mieście rozkręcać normalne życie. Ojciec codziennie jeździł po okolicznych wioskach i kontrolował, jak sprawują władzę ustanowieni przez niego sołtysi.

Jesienią 1945 roku przyjechał do Nytychu polski ksiądz – Stefan Kinka, który zaczął organizować życie parafialne w kościele pw. św. Mateusza. Wraz z dwoma kolegami z mojej klasy: Januszem Dmowskim i Władkiem Suchorabem zgłosiliśmy się do proboszcza na naukę ministrantury. W krótkim czasie przyłączyło się do służby ołtarza jeszcze dwóch chłopaków: Henryk Tuz i Romek – mój brat. Przy kościele św. Mateusza była też organistówka, którą już zasiedlił przybyły przed miesiącem organista – Tadeusz Cymański.

Któregoś z tych jesiennych dni ojciec przyjechał do domu wozem konnym powożonym przez znajomego rolnika, a na wozie przywiózł pianino – wypatrzył je w jednej z okolicznych wiosek w opuszczonym gospodarstwie. Pianino zostało wniesione do pokoju „męskiego”, jak nazywaliśmy gabinet

ojca, gdzie miał swoje biurko, wszystkie akcesoria pracy biurowej i duży stojący zegar ze złotym cyferblatem, zwisającymi na łańcuchach obciążnikami i miarowo kołyszącym się wahadłem. Mama zapisała mnie u nowego organisty na naukę gry na pianinie. Nauka ta trwała kilka miesięcy.

W drugiej połowie 1945 roku przyjechał do Nytychu nowo mianowany burmistrz miasta – kapitan Franciszek Piątek wraz z kilkoma swoimi kolegami – kierownikami wydziałów miejskiej administracji. Członkowie nowej władzy magistrackiej chętnie się publicznie swoją przynależnością do Polskiej Partii Robotniczej, co stawiało ich na najwyższym piedestale w ówczesnej hierarchii politycznej – nikt od nich nie mógł być ważniejszy. Pod koniec października tamtego roku nowy burmistrz wręczył ojcu dokument odwołujący go ze stanowiska wójta Gminy Nytych.

W listopadzie tegoż roku ojciec znalazł nową pracę, ale w odległym od Nytychu o 12 km Malborku – powiatowym mieście, w dużym stopniu zniszczonym i spalonym w pożodze wojennej. Przyjął tam stanowisko sekretarza Komitetu Powiatowego Polskiego Stronnictwa Ludowego – partii chłopskiej kierowanej przez ówczesnego przywódcę – Stanisława Mikołajczyka, byłego członka polskiego rządu emigracyjnego w Londynie. W Malborku znalazł niewypalony budynek przy ul. Pocztowej, który doprowadził do używalności i w nim zorganizował biuro KP PSL. Do rodziny w Nytychu przyjeżdżał rowerem w sobotnie popołudnia, a wracał do Malborka w poniedziałkowe ranki. Od czasu do czasu ojciec przywoził na rowerze paczkę żywnościową od amerykańskiej organizacji UNNRA. Dnia 22 grudnia 1945 roku ojciec wracając na swoim rowerze z Malborka do domu, został na szosie napadnięty przez wałęsających się sowieckich żołnierzy i doszczętnie obrabowany. Grabieżcy pozostawili go w jednej koszuli na panującym wtedy lekkim mrozie. Z kół jego roweru wykręcili wentyle i wraz z pompką rzucili w pole.

Na wiosnę 1946 roku przywiezione przez ojca przed paru miesiącami pianino zostało przez specjalną komisję Urzędu Miejskiego zarekwirowane i z naszego mieszkania zabrane.

Dnia 28 czerwca 1946 roku ukończyłem VII klasę szkoły powszechnej, jednocześnie otrzymałem świadectwo ukończenia Publicznej Szkoły Powszechnej nr 1 w Nytychu.

Dnia 1 lutego 1947 roku została zmieniona nazwa miasta Nytych na Nowy Staw; nowa nazwa miasta została przyjęta jako dosłowne tłumaczenie niemieckiej nazwy tej miejscowości: Neuteich.

Pracę sekretarza Komitetu Powiatowego PSL ojciec musiał przerwać i ją definitywnie zakończył po wyborach do Sejmu Ustawodawczego w styczniu 1947 roku, kiedy Polskie Stronnictwo Ludowe zostało z przyczyn politycznych rozwiązane.

Następnie znalazł zatrudnienie w Państwowym Przedsiębiorstwie Traktorów i Maszyn Rolniczych w Nowym Dworze Gdańskim w charakterze referenta administracyjnego i technika normowania. W 1948 roku ojciec jednak zrezygnował z codziennych i męczących dojazdów do Nowego Dworu, gdyż otrzymał angaż w młynie w Nowym Stawie na stanowisko referenta zbożowego i kasjera. Ale już w 1949 roku przeniósł się do Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska w Nowym Stawie, gdzie przez 2 lata pracował w charakterze referenta zbożowego. Następnie mój ojciec podjął pracę w Państwowym Ośrodku Maszynowym w Nowym Stawie (za czasów dyrektora Józefa Chlebowskiego) na stanowisku kierowniczym, a oprócz tego był też w tym zakładzie członkiem związkowej Rady Zakładowej. Przez ostatnie 2 lata swojej aktywności zawodowej był zatrudniony w Miejskim Zarządzie Budynków Mieszkalnych w Nowym Stawie w charakterze zaopatrzeniowca i stąd odchodził na emeryturę w 1960 roku.

Przez długie lata nasz ojciec pracował też społecznie w Zjednoczonym Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów. Pełnił tam od początku funkcję sekretarza Zarządu Koła Miejskiego. W 1968 roku został nawet wybrany delegatem powiatowym na I Krajowy Zjazd Zjednoczonego Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów, który odbywał się w Warszawie. Za zasługi w pracy społecznej i związkowej uchwałą Zarządu Głównego Zjednoczonego Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów w Warszawie z dnia 27 stycznia 1971 roku ojciec został odznaczony Srebrną Odznaką Honorową Związku. Niedługo cieszył się przyznaniem honorem. Krótco przed Bożym Narodzeniem następnego roku, dnia 19 grudnia 1972 roku w wieku 77 lat, mój rodzic zakończył swój żywot w czasie gościnnego pobytu u mojej siostry Ewy w Szczecinie. Na centralnym cmentarzu tamtego miasta znalazł też miejsce swojego wiecznego spoczynku.

Wacław Bielecki

Muzyczny karnawał

Zapiski melomana



Dyrygent Zygmunt Rychert zabawiał słuchaczy grą na cytrze.
(Fot. W. Bielecki)

W tym roku miałem wyjątkowe szczęście do koncertów karnawałowych. Tylko w styczniu wysłuchałem ich aż trzy – w Gdańsku, Elblągu i Sztumie.

Gdańsk, sobota 8 stycznia 2011 r.

Sala koncertowa Akademii Muzycznej w Gdańsku znajdująca się w tzw. budynku żółtym była wyjątkowo wypełniona po brzegi. Na koncert karnawałowy przybyli licznie studenci i pracownicy uczelni wraz z osobami towarzyszącymi. O miejscu siedzącym nie było mowy. Stałem więc przez ponad dwie godziny w tłumie innych słuchaczy. W programie, na wzór koncertu karnawałowego w Wiedniu, były walce i polki Straussa oraz fragmenty musicali.

Ledwie mieszcząc się na scenie orkiestrą symfoniczną złożoną ze studentów dyrygował Zygmunt Rychert, który – jak prawdziwy showman – w utworach Straussa przygrywał na okarynie (polka Coochoo, po polsku „Ku ku”) oraz na cytrze (walc Opowieści lasku wiedeńskiego). Solistami byli studenci świetnie grający na fortepianie, gitarze klasycznej i kłarnecie oraz śpiewający soliści (dwa soprały i baryton). Koncert był bardzo przyjemny,

ale repertuar miał oklepany. Jedynie zagrany na zakończenie poemat symfoniczny Preludia F. Lista wydawał się nie pasować do karnawałowego programu. Jednak młodzi muzycy po kierunku doświadczonego dyrygenta zagrali go w sposób porywający.

Elbląg, sobota 15 stycznia 2011 r.

Wyznam szczerze, że na koncert karnawałowy pojechałem do Elbląga nie dla samej muzyki, no bo co może być nadzwyczajnego w tego typu koncertach? Ich stereotypowy przebieg jest następujący: znane walece i polki Straussa oraz coś z operetek lub musicali. Tak naprawdę, to przyciągnęło mnie coś innego. Bardzo ciekaw byłem, jak wygląda nowa sala koncertowa w odbudowanym ratuszu na elbląskiej starówce. Pomyśleć, że dopiero teraz, sześćdziesiąt pięć lat po wojnie, udało się odbudować ratusz. Zanim jednak opowiem o sali koncertowej, przedstawię wykonawców i program koncertu.

Istniejącą od 2007 roku Elbląską Orkiestrą Kameralną dyrygowała Mażena Diakun. Związana z Wrocławiem młoda maestra występowała przed elbląską publicznością trzeci raz. Solistami byli śpiewacy wywodzący się z Akademii Muzycznej w Gdańsku - Anna Fabrello, sopran i Grzegorz Piotr Kołodziej, baryton.

Koncert zaczął się od zagranej w niezbyt spieszonym rytmie uwertury do Cyrulika Sewilskiego G. Rossiniego. Potem wysłuchaliśmy utworów J. Straussa - walców: Odgłosy lasku wiedeńskiego, Walc cesarski i Nad pięknym, modrym Dunajem, polki Tric-track oraz arie i duetów z Zemsty Nietoperza. Śpiewano także arie z Don Giovanniego i Czarodziejskiego fletu W. A. Mozarta oraz słynny duet Usta milczą z Wesołej wdówki F. Lehara. Koncert miał się zakończyć się, jak nakazuje wiedeńska tradycja, Marszem Radetzkiego, ale rozentuzjasmowana publiczność wyprosiła gorącymi oklaskami na bis duet z musicalu Upiór w operze.

Można powiedzieć, że karnawałowy koncert był taki, jak oczekiwałem. Orkiestra ładnie zagrała utwory Straussa oddając ich swoistą, wiedeńską specyfikę. Soliści dysponujący dobrymi głosami dobrze czuli się na scenie i z łatwością wchodzili w operetkowe lub musicalowe role. Pewnie niektórych słuchaczy raził przesadny ruch sceniczny i gest, ale to już tak jest w tego typu muzyce. Jeśli chodzi o solistów, to bardziej przypadł mi do gustu Grzegorz Piotr Kołodziej, dobry głosowo i aktorsko, choć trochę zdziwiła mnie wadliwa emisja głosu w słynnej arii Usta milczą, dusza śpiewa, kochaj mnie. W słowie - „kochaj” - artysta nazbyt gardłowo śpiewa głoskę „ch”. Natomiast Anna Fabrello była niezła pod względem aktorskim, oczywiście w konwencji operetkowo- musicalowej.



Grzegorz Piotr Kołodziej, Anna Fabrello, Marzena Diakun i Elbląska Orkiestra Kameralna.
(Fot. W. Bielecki)

Dyrygentka Marzena Diakun w zdecydowany sposób, oszczędnym gestem kształtowała tempa, w tym konieczne zwolnienia i przyspieszenia oraz zmiany dynamiczne. W orkiestrze najlepiej brzmiały smyczki i instrumenty dęte drewniane. Nieco nierówno grały trąbki, a rogowi zdarzały się „zachłyśnięcia”.

W kształtowaniu karnawałowej atmosfery koncertu niewątpliwie pomógł konferansjer Andrzej Zborowski. Zachowaniem i stylem wypowiedzi, a nawet ubiorem przypominał mi niezapomnianego Lucjana Kydryńskiego.

Ponieważ muzyka ma cudowną właściwość budowania nastrojów, muszę przyznać, że po koncercie byłem zrelaksowany i w dobrym nastroju wracałem do domu. Myślę, że w podobnym nastroju byli także liczni słuchacze tego koncertu. Niestety, kilkudziesięciu elbląskich melomanów nie dostało biletów na ten koncert. W muzycznej historii Elbląga taka sytuacja zdarzyła się po raz pierwszy. Rozgoryczeni słuchacze dali upust swemu niezadowoleniu na internetowym portalu.

No a co z nową „salą koncertową”? Znajduje się ona na pierwszym piętrze ratusza i zdolna jest do pomieszczenia około 150 - 180 osób. Pierwszym moim odczuciem było wielkie zdziwienie, bo zauważyłem, że przez całą długość sali po prawej stronie ciągnie się zawalisty balkon. Coś takiego jest w Dworze Artusa w Toruniu, z tym, że sala w grodzie Kopernika jest znacznie większa, a balkon nie wychodzi ponad salę. Zastanawiałem się komu i czemu ma służyć ten balkon? Udało mi się tam wejść przed koncertem. Okazało się, że były tam ustawione reflektory. Trzeba powiedzieć, że podczas całego koncertu sala, surowa jeszcze gdy chodzi o wystrój, była umiejętnie oświetlana kolorowymi światłami. Efekty świetlne „ubarwiały”

muzykę i nie przeszkadzały jej. To było ich zaletą. Skojarzyło mi się pianistą i kompozytorem rosyjskim Aleksandrem Skriabinem, zwolennikiem i propagatorem idei związku muzyki ze światłem, którą zrealizował w słynnym *Poemacie ognia*. Niestety, szum dochodzący z licznych wentylatorów chłodzących lampy reflektorów przeszkadzał w chwilach, gdy orkiestra grała piano. Jeśli balkon ma służyć tylko umieszczeniu reflektorów, czy innych urządzeń technicznych, to moim zdaniem, jest on stanowczo za duży. Zabiera zbyt dużo przestrzeni i powoduje, że sala stała się znacznie mniejsza, a nawet robi wrażenie przyciasnej. Niestety, teraz już chyba nic nie można zrobić, bo przecież nie wyburzy się balkonu.

Akustyka sali jest całkiem dobra. Dźwięki instrumentów orkiestrowych bez trudu dochodzą do uszu słuchaczy. Podobnie jest ze śpiewakami. Nie potrzebują mikrofonów i głośników. Słyszać ich dobrze nawet z końca sali. Jednak orkiestra akompaniująca śpiewakom musi uważać na dynamikę, bo łatwo jest zagłuszyć solistów, a tak zdarzyło się podczas wykonywanego na bis duetu z musicalu *Upiór w operze*.

Sala w elbląskim ratuszu nie należy do dużych. Myślę, że na wyrost została nazwana „salą koncertową”. Nie jest to sala z krzesłami ustawionymi audytoryjnie - coraz wyżej nad sceną, a po prostu jest zwyczajnie płaska. Sceny zresztą jeszcze nie ma. Muzycy grali na ustawionym, prowizorycznym podeście. Wokół sali nie ma sensownego rozmieszczenia innych pomieszczeń służących orkiestrze. Muzycy na scenę wchodzili poprzez całą salę, a po koncercie opuścili ją bocznym wyjściem. Bezpośrednio ze sceny i do tymczasowej „garderoby” mieszczącej się pobliskim pomieszczeniu przechodzili długim korytarzem ciągnącym się wzdłuż sali koncertowej. W pewnym miejscu na hallu, trzymając w rękach instrumenty, „mieszali” się z publicznością opuszczającą salę koncertową. Z tego opisu wynika, że nowa sala w elbląskim ratuszu nie jest w istocie prawdziwą salą koncertową, ale typową salą konferencyjną, w której mogą odbywać się także kameralne koncerty.

W obecnej sytuacji jest to raczej zaleta, a nie wada. Elbląska Orkiestra Kameralna nie jest bowiem zespołem posiadającym całkowicie ustabilizowany status. Na pełnym etacie pracuje tam chyba tylko dyrektor. Gdy dochodzi do większego koncertu trzeba ściągać posiłki w postaci instrumentalistów, przeważnie z Gdańska. Przypomina to nieco pospolite ruszenie. Poza tym, orkiestra nie występuje zbyt często i regularnie. Na stronie internetowej orkiestry nie można znaleźć programu koncertów na dalsze miesiące. Niewątpliwie przydałaby się rozbudowa orkiestry i jej ustabilizowanie. Czy w kasie miasta znajdują się na to środki finansowe? Tak duże miasto jak Elbląg, ze 120 tysiącami mieszkańców, powinno mieć swoją orkiestrę i nawet w trudnych czasach finansowych nie powinno się oszczędzać na instytucji krzewiącej tzw. wysoką kulturę.

Sztum, piątek, 28 stycznia 2011 r.

Trzeciego koncertu karnawałowego wysłuchałem na zamku w Sztumie w ramach tzw. Klubu Melomana istniejącego przy Uniwersytecie Trzeciego Wieku. Koncert ten był dla mnie o tyle ciekawy, że wystąpili w nim ci sami śpiewacy, których słyszałem niedawno (8 bm.) w Akademii Muzycznej w Gdańsku. Byli to Karolina Karcz – sopran i Miłosz Gałaj – baryton. Oboje są studentami tej uczelni. Akompaniował im i zapowiadał utwory profesor Andrzej Nanowski, który

jest twórcą specjalności musicalowej na Wydziale Wokalno-Aktorskim.

Na początku koncertu zabrzmiał ognisty czardasz, niestety, grany zbyt głośno i śpiewany zbyt siłowo, a potem inne przeboje - walc Caton z opery Casanova L. Różyckiego, duet Usta milczą, dusza śpiewa, kochaj mnie z Wesołej wdówki F. Lehara oraz utwory z musicali Upiór w operze, Skrzypek na dachu, New York, New York, Kuplety (ze śmiechem) Manon z opery Manon Lescaut D. Aubera.

Ostatni wymieniony tu utwór słyszałem trzy tygodnie wcześniej na koncercie karnawałowym w Akademii Muzycznej w Gdańsku. Wtedy był to ostatni wokalny utwór wykonany na zakończenie wieczoru. Karolina Karcz śpiewała wtedy kuplety z towarzyszeniem Orkiestry Symfonicznej Akademii Muzycznej w Gdańsku pod dyрекcją Zygmunta Rycherta. Ponieważ tzw. żółta sala tamtejszej uczelni jest znacznie większa, wykonawcy mieli podłączone mikrofony, dające zresztą dźwięk bardzo dobrej jakości. Cały koncert, jak i występ Karoliny Karcz, przyjęty był entuzjastycznie przez publiczność składającą się głównie ze studentów i profesorów szkoły. I jeszcze jedna, drobna różnica, solistka występowała wtedy w czerwonej sukni, natomiast na sztumskim zamku była to suknia w odcieniach seledynowo-granatowych.

Zapowiadający wykonania utworów profesor Andrzej Nanowski wykazał się dużą wiedzą dotyczącą musicali i operetki. Natomiast akompaniował nieco za głośno, niepotrzebnie otworzył klapę w pianinie. Studenci śpiewali ładnie. W kameralnej sali zamkowej słyszeć ich było lepiej, niż w Akademii Muzycznej, chociaż śpiewali bez mikrofonów. W tej sytuacji lepiej można było przysłuchać się im głosom. Wydaje mi się, że lepiej wypadł Miłosz Gałaj dysponujący silnym barytonem i niezłą aparycją. Wróżę mu dalszą karierę.



Prof. Andrzej Nanowski, Karolina Karcz
i Andrzej Gałaj na koncercie w Sztumie.
(Fot. W. Bielecki)

Marek H. Kotlarz

Człowiek z zamku i strojenie natury

Marek Stokowski, *Stroiciel lasu*, MULTICO Oficyna Wydawnicza, Warszawa 2010.

Świat nie jest doskonały – to żadne odkrycie. Wszyscy to codziennie czujemy i dostrzegamy. Przyzwyczailiśmy się do tego. Czasem staramy się to zmienić, w jakimś drobnym szczególe, ale szybko się zniechęcamy. Świat taki jest i niewiele można z tym uczynić. Godzimy się z tym, cho-ciaż... nie wszyscy. A już na pewno nie M, bohater ostatniej powieści Marka Stokowskiego. M zeskoczył z chmury, tylko czy na pewno? Bardziej prawdopodobne jest, że uległ wypadkowi jeszcze w 1970 roku, gdy próbował wzbąć się na pasie startowym lotniska w niebo. I to na rowerze! No i się nie udało, upadł i stracił przytomność, na ponad dwadzieścia lat. Tak to przynajmniej wyglądało z medycznego punktu widzenia. Aż wreszcie się obudził, nie bardzo wiedząc, dlaczego? I nie bardzo pamięta, nie bardzo wie, po co znowu znalazł się na ziemi, w tej, jakże innej niż pozostawiana przed laty, rzeczywistości.

Który świat jest prawdziwy? Tamten w chmurach, czy ten, jaki otacza go teraz? Chyba lepszy niż ten sprzed lat, bo nie straszą w nim już upiory komunizmu. Ale czy na pewno lepszy? Bo jeśli tak, to dlaczego nadal

spotyka się tu ludzi złych i bezdusznych? A tam, w chmurach, było przecież tak pięknie! M tkwi nadal w tych dwóch światach, tylko który jest ważniejszy? Nie tak łatwo odpowiedzieć na to pytanie. I kolejne, jeszcze ważniejsze: co ze swoim, tak nagle, w przypadku M, odzyskanym życiem zrobić?

M się wybudza. Najpierw obserwuje, ale potem już mu to nie wystarczy. Słyszy, czy bardziej czuje, fałszywe nuty. To nie tylko ludzie, to cała natura brzmi fałszywie. Dlatego ludzie też bywają źli. A może odwrotnie? Może to natura brzmi fałszywie, bo psują ją ludzie? M nie zastanawia się nad tym. M, jak organista, słyszy po prostu, że któraś z piszczałek w jego organach brzmi nieczysto. Może nawet kilka. I nie potrafi przyglądać się temu bezczynnie, czuje, że powinien to naprawić. A że sercem natury są drzewa, więc podchodzi do pierwszego i dostraja je... scyzorykiem. Potem drugie. Ale to nie wystarczy. Cały organizm natury brzmi fałszywie. Trzeba dotrzeć do jego serca i tam próbować coś zmienić. Wyrusza więc w puszcę, w miejsce, gdzie drzew jest więcej, dużo więcej.

Miałem to szczęście, że poznałem nie tylko bohatera książki, ale i autora tej opowieści. „M” jest jak Marek Stokowski. Niestrudzony naprawiacz świata, który kiedyś, jak bohater jego poprzedniej książki „Samo-loty”, próbował zrealizować marzenia, ale zderzył się z twardą rzeczywistością okęckiej betonowej płyty, by teraz powrócić. A Marek, tak jak my wszyscy, którym wówczas przyszło dorastać, zderzył się z socjalistycznym systemem absurdu. To bolesne zderzenie zmuszało do zastanowienia, co ze sobą począć? Chyba najlepiej – wyemigrować. Z Warszawy, z Okęcia dziecięcych marzeń, gdzie nad płytą lotniska otwierało się niebo pełne samolotów, które dawały wrażenie ocierania się o odległy, egzotyczny i wypełniony niezwykłymi cudami świat. Wiem co czuł wtedy Marek patrząc na lądujące i wzbijające się samoloty, bo urodziłem się w Gdyni i przeglądałem się oczekującym na redzie statkom, widziałem, jak wpływają do portu i jak odcumowują od nabrzeża, by wyruszyć w dal. I też marzyłem o tropikalnych morzach i lodowych górach Arktyki. Tu statki, tam samoloty, ale te same marzenia chłopców tęskniących za przygodami. Tylko, że ten świat, gdy trzeba było dorosnąć, nie dawał już Markowi satysfakcji. Ocieranie się o marzenia już mu nie wystarczyło. Zaczął szukać swojego miejsca poza Okęciem i Warszawą.

Kiedyś Marek Stokowski, nim zaczął pisać powieści, tworzył wiersze. W jednym z nich zanotował:

A marzyłem: Tanger,
karawany,
grudzień nad Rio Grande,
samoloty, Sydney.

I rzeczywiście wyemigrował z Warszawy do... Malborka. Nie wiem, co sprawiło, że właśnie tam trafił i dlaczego pozostał. Nie była to egzotyczna kraina dziecięcych marzeń. Marek pojawił się w delcie Wiśły i chyba zakochał się w tym krajobrazie – krajobrazie nostalgicznych Żuław i sztumskich lasów, stromych wiślanych brzegów i ciemnej toni Nogatu. A za nim przybył w te okolice M, bohater powieści „Stroiciel lasu”, by naprawiać naturę. I tam, na drodze, spotkał psa, który... opowiada całą tę historię, jest narratorem i naocznym świadkiem wydarzeń, bo zaprzyjaźnia się z M i wiernie mu towarzyszy w jego zmaganiach o lepszy świat – a nie są to zmagania łatwe i bezpieczne.

„Stroiciel lasu” to książka dla tych, którzy nie boją się przekroczyć bram wyobraźni, bo świat realny przeplata się w niej z fantazją, powaga z groteską, humor z refleksją o życiu. Ale to przede wszystkim opowieść o ludziach, dobrych i złych, tych, którzy próbują zmieniać świat na lepszy, i tych, którzy psują jego harmonię. M, chociaż trudne wyznaczył sobie zadanie, ma jednak pewną przewagę – wie, kto jest Panem tego świata, czuje, jak powinien wyglądać – tam, u góry, w chmurach, zanim się ocknął ze śpiączki, zaprzyjaźnił się przecież z aniołami.

Autor tej opowieści mieszka w zamku nad Nogatem, w jednej z jego wież. Ten zamek, jak napisał niegdyś w jednej ze swoich książek, jest magiczny i „płynie przez przestrzenie czasu nad równiną Wielkich Żuław”. Z tego zamku widać znacznie więcej, niż tylko żuławskie depresje i toń ciemnej rzeki, widać również... ciszę. Ale taką, która „nie jest całkowitym brakiem dźwięku” i „brzmi jak senny oddech Ziemi”. Tę ciszę można usłyszeć w lesie. „Ktoś chciał ją nam ofiarować, tak na zawsze, żeby las nie istniał tylko w lesie, ale również w nas”.

Marek Stokowski chyba jeszcze nie wie, że od niedawna można tę ciszę usłyszeć wszędzie, wystar-

czy tylko otworzyć jego książkę. I uświadomić sobie, że każdy może zostać stroicielem lasu. Może warto spróbować? Las, tak naprawdę, jest wszędzie wokół.

*Gdybyś się, Panie, kiedyś ulitował,
i dał mi wejść do raju mimo wszystko,
to proszę, pozwól mi zamieszkać w lasach,
bo czym by bez nich niebo było.*

*Gdybyś się, Panie, kiedyś ulitował,
i chciał mi dać największe szczęście,
to proszę Cię, mój Boże, nie zapomnij
o liściach słońca na gałęziach.*

*I pozwól, Panie, aby trwał
zielony bór, jak Bóg nade mną.
Niech szumią świerki, jodły, sosny,
bo czym by była bez nich wieczność.*

(Marek Stokowski, Modlitwa o drzewa,
z tomiku „Dzień nad ciemną rzeką”)

Marek Kotlarz

Pokolenie przełomu, czyli zupełnie stronnicza recenzja

Andrzej Kasperek, Back in the DDR i inne opowiadania, Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2010.

Lubię ten dreszczyk emocji, który towarzyszy mi przy pierwszym otwieraniu książki będącej debiutem literackim, a już szczególnie będącej debiutem autora, którego się nieco zna. Ba, zna! Z którym kiedyś dzieliło się te same ideały i w podobny sposób starało zmienić świat. Wprawdzie troszkę koślawo i nie zawsze tak, jak marzyliśmy nam to wyszło, ale bez wątpienia dołożyliśmy

jakąś cegiełkę do tej rzeczywistości, która jest, i co do tego nie mam wątpliwości, znacznie lepsza od tej, w której wypadło nam dorastać.

Andrzej Kasperek, to to samo pokolenie, pokolenie którego dzieciństwem i młodością były czasy siermiężnego socjalizmu, a które potem, już w dorosłości, ponosić musiało największe konsekwencje przemian, do których przyłożyło rękę.

I oto teraz leży przede mną książka, w której autor postanowił zamknąć te dzieje i je opisać. To przecież także nasza historia, dzieje naszego pokolenia. I przyznam, już dawno nie przyszło mi przeczytać książki z taką przyjemnością.

To opowieść bez wątpienia biograficzna, ale, choć już niejedną biografie, mniej czy bardziej sfabularyzowaną zdarzyło mi się przeczytać (i niejedną rozczarować), niewiele wśród nich było tak dojrzałych. Andrzej Kasperek otworzył przed czytelnikami całą panoramę epoki ostatniego półwiecza, ze wszystkimi jej istotnymi aspektami – odkryciami dziecięcych lat na Żuławach, radościami czerpanymi przez kilku czy kilkunastoletniego chłopca z szarej, w gruncie rzeczy, a jednak w tamtych latach, dla dziecka i młodzieńca, fascynującej drobiazgami rzeczywistości, aż po pierwsze zmagania z dorosłym życiem i jego problemami.

Dla mnie jego opowieści były tym bardziej ciekawe, że nieustannie przyrównywałem je do swoich, i chyba wszyscy nasi rówieśnicy czytać będą tę książkę w taki właśnie sposób – konfrontując ją z własną przeszłością. Z jednej strony łączy nas ten sam wiek oraz fakt, że byliśmy pierwszym pokoleniem urodzonym i wychowanym na tych pomorskich ziemiach, bo nasi rodzice przybyli tu już po 1945 roku; z drugiej jednak dla mnie była to Gdynia, bądź co bądź miasto, dla Andrzeja zaś wieś zagubiona gdzieś na żuławskiej depresji,

między Wisłą i Zalewem Wiślanym. Podobieństwa i różnice – może trafić się coś ciekawszego?

Im bardziej zanurzałem się w świat bohatera i autora książki, tym częściej odkrywałem, jak wiele jego i moje wspomnienia miały ze sobą wspólnego – wszystkie dziecięce przyjemności były takie same: lody calypso po 2,60, lody mewa za trzy złote, oranżada z porcelanowym korkiem na drucie za 1,80... Tak niewiele potrzeba było dziecięcym marzeniom do chwili szczęścia, wystarczył lód na płaskim patyku czy pieniąca się i pachnąca landrynkami oranżada. I tak samo radziłyśmy sobie z finansowymi kłopotami – zbieraliśmy butelki, ja na gdyńskich górkach, gdzie przesiadywali po pracy spragnieni trunku portowcy czy stoczniowcy, a Andrzej na spędach bydła i nierogacizny. Wydarzeniem były dla nas letnie wyjazdy na kolonie, wyprawy do rodzinnych wsi rodziców, odkrywanie ich przeszłości, pierwsze fascynacje kobiecym ciałem, w telewizji film z Simone Templarem czy sopocki festiwal, adapter Bambino i pocztówkowe przeboje... Wieś i miasto, jak się okazuje, niewiele się wtedy różniły, przynajmniej w sferze przeżyć.

Ale towarzyszyło też tej lekturze odkrywanie zupełnie nieznanego mi świata – krainy pociętej kanałami i rzeczkami, tak odmiennej od krainy mojego dzieciństwa. To już nie był świat morenowych wzgórz czy portowej dzielnicy, to niezmiernie połacie płaskich, porośniętych wierzbami Żuław i codzienne życie

zamieszkujących je od niedawna osadników, z jednej strony pamiętających o wcześniejszych mieszkańcach tego regionu, potomkach mennonitów i żuławskich chłopów, a z drugiej czujących się już gospodarzami na tej żyznej, ale wcale niełatwej w uprawie ziemi. Dla mnie to bajkowa kraina, chociaż niedoceniana przez turystów, pogranicza rzek, nizin i morskiego brzegu, mała polska Holandia – dla jej mieszkańców to jednak codzienne wyzwanie, któremu trzeba sprostać, by godnie żyć. Ot, choćby rąbanie lodu na kanale, by potem przechowywać go na podwórku pod stertą trocin i piasku do lata – do głowy by mi nie przyszło, że tak można sobie radzić w drugiej połowie XX wieku. A o wielu innych rzeczach również nie słyszałem, choćby o dzieleniu się w Wigilię opłatkami z domowymi zwierzętami, dla odróżnienia od tych „ludzkich” różowymi.

Ale ta książka to nie tylko podobieństwa czy różnice, nie tylko relacja, cenne opowiadania z przeszłości. Andrzej potrafił w tych opowieściach wyczarować atmosferę tamtych dni, niekiedy przygnębiającą, innym razem smutną czy nostalgiczną, a w kolejnych zabawną – a wszystko spowite jest w upał lata lub mróz zimy, które odczuwa się tak samo intensywnie, jak emocje towarzyszące przytaczanym wydarzeniom.

A potem, gdy minęło dzieciństwo, nasze światy zaczęły się zbliżać: Uniwersytet Gdański, OHP w NRD (choć ja pracowałem przy kolei wąskotorowej w Benneckenste-

in), bar Letni, restauracja Oliwska, w której utrwaląłem wiedzę z kolegami dzień przed egzaminem z matematyki mającym miejsce na Wita Stwosza, kino Delfin, klub Łajba w Sopocie, Solidarność i NZS, stan wojenny i bibuła. Chociaż mój wydział mieścił się w Sopocie, mieszkałem w Oliwie, na Żabiance, blisko opisywanych miejsc. Kto wie, może minęliśmy się z Andrzejem w barze Letni, może siedzieliśmy przy tym samym stoliku, ale zapamiętałem go dopiero ze stanu wojennego, konspiracyj, jak mawiał jeden z moich kolegów. Znałem i Marka, z którym mieszkał w jednym pokoju w akademiku, i Jarka – wszystkim nam to samo leżało na wątrobie – komuna i alkohol. Ten ostatni nam chyba trochę pomagał to znieść, o czym zresztą, bez ogródek Andrzej pisze. Siedziałem przy bimbrze, u kolegi z Ekonomiki Produkcji, gdy do mojego mieszkania wpadła w kwietniu 1982 roku ekipa z SB i zaaresztowała cztery puszki drukarskiej farby, ale, dzięki bimbrowi, nie mnie. Ze studium wojskowego bezpieczeństwa właśnie wyprowadziła Marka i wywiozła do obozu internowania w Strzebielinie. Pamiętam i Korytkę i Tamrożego, choć Andrzej, w pierwszym przypadku, z litości chyba, w drugim z szacunku, zamaskował prawdziwe nazwiska. Niech tak zostanie, chociaż miałbym ochotę ich upamiętnić. Pierwszego ze wstrętem, drugiego, bo naprawdę była to postać wyjątkowa w studium wojskowym – zanim trafił do polskiej armii i przeszedł cały szlak bojowy, odcierpiał swo-

je jako zesłaniec na Syberii, a swoją służbę zaczął jako żołnierz wcielony do Armii Radzieckiej. Andrzejowy Tamroż, jak pamiętam, nigdy nie był zacierzwionym komunistą, nikogo nie potępiał, nikomu nie dokuczał, tylko, po swoim trudnym życiu, starał się dożyć szczęśliwej emerytury. I miałem wrażenie, że lubi studentów, a oni też go lubili, zwłaszcza jego opowieści.

O komendancie naszego studium mam natomiast jeszcze do opowiedzenia historię, moją osobistą i niezbyt dla niego chlubną, ale na to przyjdzie jeszcze czas.

I tak opowieść o książce Andrzeja Kasperka stała się moją własną. Nie znaliśmy się zbyt dobrze, tak naprawdę pamiętam go z jednego czy może dwóch spotkań w konspirze. Być może on sam w ogóle mnie nie pamięta. Ale na opinię o jego książce nie ma to wpływu. Mógłbym go nie znać, mógłbym studiować w Warszawie czy Krakowie, ale byłby taki sam. To po pierwsze. A po drugie, odtworzył świat naszego pokolenia, od dzieciństwa do przełomu z prawdziwą wirtuozerią. A przy tym szczerze i odważnie, nie ukrywał prawie niczego rozliczając się z przeszłością naszego pokolenia. Byliśmy czasem odważni, ale też słabi, możemy się wielu rzeczy wstydzić, ale ten wstyd sprawia, że o tym pamiętamy. W gruncie rze-

czy, książka Andrzeja, choć nie było to jego zamiarem, utwierdza mnie po raz kolejny, że wybraliśmy właściwą drogę. Tak, wiele rzeczy chcielibyśmy naprawić z naszej przeszłości. Wielu żałujemy, ale możemy o tym opowiadać bez zakłamania.

I jeszcze coś – wtedy byliśmy razem. Teraz, gdy obserwuję rzeczywistość, tak jak w całe życie tego kraju, i w nasze pokolenie wkradły się podziały. Ale tak było zawsze, nie powinniśmy się tego obawiać. Zawsze będziemy się przecież zgadzali, że Jaruzelski i stan wojenny to był nasz koniec świata, trauma, zabranych wiele lat życia i koniec krótkiego okresu nadziei.

Różnie potoczyły się losy Andrzeja, Marka, Jarka, Tomka, Maćka i wszystkich naszych wspomnianych i niewspomnianych z imienia w tych opowieściach kolegów. Nie zgadzam się tylko z jednym, nawet ci, którzy już odeszli, choć nie spoczywają na Wawelu, leżą w ALEI ZASŁUŻONYCH.

I na koniec dodam zdanie dla tych, którzy nie urodzili się na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych i zechcą sięgnąć po tę książkę. Nie obawiajcie się, nie ma w tej książce nic z heroizmu. Byliśmy tacy sami, jak wszyscy. To tylko czas sprawił, że jakoś z tym musieliśmy się uporać.

Leszek Sarnowski

Mennonici w Dolinie Kwidzyńskiej

Antoni Barganowski, Henryk Michalin, Szlak turystyczny Śladami Mennonitów w Dolinie Kwidzyńskiej. Przewodnik, Kwidzyn 2009.

Wiedza na temat obecności mennonitów na Pomorzu jest coraz powszechniejsza, co bardzo cieszy. To efekt działań pasjonatów, dzięki którym książek i opracowań na ten temat przybywa. Do tej pory jednak mennonitów kojarzono przede wszystkim z Żuławami, co uzasadnione, bo tam mieszkało ich najwięcej. Publikacja Antoniego Barganowskiego i Henryka Michalika udowadnia, że holenderscy osadnicy stanowili dość liczna społeczność również w Dolinie Kwidzyńskiej.

Teren ten był własnością kapituły pomezkańskiej, biskupów pomezkańskich, mieszczan kwidzyńskich i komturów gniewskich. Północna część Doliny przez ponad 300 lat (1466-1772) wchodziła w skład Rzeczypospolitej, w ramach starostwa gniewskiego, sztumskiego i gruzdzkiego, a południowa, wraz z Kwidzynem stanowiła część państwa zakonnego, lenna Prus Książęcych, a następnie księstwa brandenbursko-pruskiego. Po pierwszym rozbiórze całość terenu znalazła się w państwie pruskim.

Początki osadnictwa mennonitów na tych ziemiach związane są z miejscowością Welcz. Mennonitom wieś nadano na prawie holenderskim już

w 1564 roku. Większość mennonitów należała do gmin fryzyjskich, biedniejszych i bardziej ascetycznych niż gminy flamandzkie (np. w Stogach Malborskich). Najwięcej mennonitów mieszkało w Barcicach. W 1744 roku wieś była całkowicie mennonicka. Swoją główną siedzibę miała tu kongregacja fryzyjskich gmin mennonickich, której filie znajdowały się w Gurczu i Kwidzynie. Do kongregacji w 1852 roku należało 336 osób, a w 1928 roku - 550. Mieszkali w 27 wsiach i dwóch miastach (Kwidzyn, Sztum). W Barcicach znajdował się jeden z nielicznych domów modlitwy. Został on rozebrany w latach 60-tych XX wieku, a cegły przeznaczono między innymi na budowę kina w Sztumie.

Najwięcej mennonitów, poza Barcicami, mieszkało między innymi w Benowie, Gurczu, Koniczkach, Szkaradowie Małym i Wielkim, Pastwie, Korzeniewie, Rudnikach i Mątownskich Pastwiskach. W drugiej połowie XVIII wieku mennonici zaczęli przenosić się również do pobliskich miast - Kwidzyna, Prabut, Sztumu, Gniewa. Zamieszkałe w Kwidzynie rodziny mennonickich Momberów, Hoepfnerów, Dycków i Jantzenów zaliczane były do najbardziej uprzy-

wilejowanych i majątnych obywateli miasta. Po zakończeniu II wojny światowej społeczność mennonicka w Dolinie Kwidzyńskiej, podobnie jak na Żuławach, przestała istnieć. Utożsamiano ich z Niemcami, dlatego w obawie przed represjami zdecydowali się opuścić zamieszkiwane od stuleci tereny. Emigrowali głównie do Niemiec, Stanów Zjednoczonych i Ameryki Południowej (Urugwaj).

Po mennonitach pozostały resztki zabudowań domowych i gospodarskich, między innymi w Barcicach, Koniczkach, Szkaradowie, Rudnikach, Jarzębinie, Janowie, Marezie. Po wielu latach zapomnienia odnawiane są ich cmentarze, między innymi w Barcicach, Grabowie. Granitowe i drewniane stele mennonickie wracają do nadwiślańskiego krajobrazu. Opracowany i wydany przewodnik jest doskonałym materiałem do własnych poszukiwań i zadumy.

Dodatkowym walorem książki są zdjęcia przedwojenne oraz współczesne, prezentujące zachowane ślady holenderskich osadników w okolicach Kwidzyna. Jedynym mankamentem przewodnika jest brak mapy, która służyłaby wędrującym turystom, choć szlak można samemu opracować zagłębiając się w treść książki. Ważnym problemem na który zwracają uwagę autorzy książki jest zły stan pomennonickich zabytków. Dlatego wartą rozważenia jest inicjatywa autorów by w Dolinie Kwidzyńskiej stworzyć coś w rodzaju parku tematycznego, w którym można by zobaczyć fragment olęderskiego gospodarstwa i lapidarium.

Wydawcą przewodnika jest VEGA Studio Adv., Tomasz Mulle. Projekt został dofinansowany ze środków Programu Operacyjnego Funduszu Inicjatyw Obywatelskich.

Tomasz Gliniecki

Truso

Marek F. Jagodzinski, Truso. Między Weonodlandem a Witlandem, Muzeum Archeologiczno-Historyczne w Elblągu, 2010 r.

Truso. Między Weonodlandem a Witlandem to wyjątkowa publikacja, która spełnia potrójną rolę – jest równocześnie ciekawym materiałem do czytania, albumem z wielką liczbą ilustracji i rycin, jak też katalogiem – przewodnikiem po historii Truso i wystawie archeologicznej, gromadzącej zabytki z pra-

wie trzech dekad eksploracji terenu nad jeziorem Drużno. Tę różnorodność można książce nawet zarzucać. Ja jednak wolę chwalić. Zawiera bowiem strawnie i atrakcyjnie podane bogactwo wiedzy o Wikingach, którzy zamieszkiwali wczesnośredniowieczną osadę handlową na pograniczu prusko – słowiańskim. Nie

zamyka tej wiedzy w hermetycznym, naukowym kręgu, dając szansę na jej upowszechnienie.

Autorem książki jest dr Marek Jagodziński, który w początkach lat osiemdziesiątych odkrył tajemnicę, poszukiwaną przez wielu badaczy przed nim i zlokalizował legendarne Truso w Janowie Pomorskim, w pobliżu jeziora Drużno. Miejsce, opisywane przez anglosaskiego podróżnika Wulfstana, znaleźliśmy dzięki relacji zamieszczonej przez króla Wessexu, Alfreda Wielkiego, w uzupełnieniu staroangielskiego przekładu Choro grafii Paulusa Orozjusza. Wulfstan płynął w IX wieku z duńskiego Hædum do Truso. Opisał położenie osady dokładnie: „Wisła ta jest wielką rzeką i przez to dzieli Witland i Weonodland. A Witland należy do Estów. A taż Wisła wypływa z ziemi Słowian i spływa do Zalewu Estyjskiego, a ten Zalew Estyjski jest co najmniej piętnaście mil szeroki. Od wschodu spływa tutaj do Zalewu Estyjskiego rzeka Ilfing - z tego jeziora, nad którego brzegiem stoi Truso.” Dziś wiadomo, że Zalew Estyjski jest Zalewem Wiślanym, rzeka Ilfing nosi aktualnie nazwę Elbląg, zaś samo Truso zostało odnalezione na północnym brzegu jeziora Drużno.

To pierwsza tak obfita publikacja na temat Truso. Może dlatego efektem wydawniczym jest kilkusetstronicowy, kolorowy album, wydany w dwóch językach, polskim i angielskim naraz. W czasach, gdy wydawanie książek jest dość kosztownym kaprysem, pomysł na łączenie wielu funkcji w jednej pozycji zdaje się być

nie tylko uzasadnionym, ale też wartym pochwały. Łam w łam śledzimy obok siebie tekst polski i angielski, dzięki czemu ilustrowane są one raz, za to z dwujęzycznym podpisem. Podobnie jest z przypisami, które znajdujemy od razu i też w dwóch językach. Spora w tym zasługa tłumaczenia i redakcji anglojęzycznej, wykonanych przez Urszulę Chybowską i Anne-Marie Fabianowską.

Potrzeba użyteczności dała też szansę na bardzo bogate zilustrowanie – książka może być bowiem traktowana i jako album – zawiera dokładnie trzysta trzydzieści trzy zdjęcia, ryciny i mapy, wszystkie włamane w tekst, w pełnym kolorze. Obok wielkiej dawki poglądowej na zabytki, znajdziemy też rysunki i akwarele, rekonstruuące wygląd osady i zajęcia jej mieszkańców, wykonane przez Jerzego Domino, Andrzeja Szwemińskiego i Bogdana Kilińskiego. Do takiej jakości wydania potrzebny był oczywiście dobry papier. I taki jest – całość wydana została na papierze kredowym, znakomicie utrzymującym rozbarwienia ilustracyjne. Skoro o jakości wydania jest mowa, to książka ma wymiary albumowe, jest solidnie zszyta, ma twardą okładkę i – niestety – dość wysoką cenę. Jest ona, co prawda, adekwatna do jakości wydania, lecz trudno przywyknąć do tego, że za książkę zapłacić trzeba ponad sto złotych.

Nie miejsce tu na żarty o kudłatych, skandynawskich wojownikach, biegających w hełmach z rogami. Wikingowie zmyślnie ulokowali się

z emporium handlowym na skraju dwóch wielkich krain, z bezpiecznym acz łatwym dostępem do morza. Odkrycia archeologów na terenie proto-miasta, jakim było Truso, dają dziś sporą wiedzę o tym ważnym punkcie handlowym na mapie ówczesnych wybrzeży Bałtyku. O skarbie bursztynu, o płatnościach przy pomocy arabskiego srebra, sposobach budowy łodzi. Długo można by opowiadać o znalezionych tu częściach kompasu słonecznego, służącego do nawigowania wikińskimi statkami, o srebrnej zawieszce – Walkirii z Truso, czy o „skarbie” pierścienia, schowanego przed dziesięcioma wiekami między dwa rozdzielacze pasa. Opisanie jednych znalezisk, stawia przed badaczami kolejne pytania – choćby czekający na potwierdzenie aspekt, czy w Truso były produkowane miecze?

W całej swej atrakcyjności i przystępności językowej, Truso... nie traci na swej wartości naukowej. Przygotowana została z uwzględnieniem całego warsztatu badawczego. Po kolei, zajmuje się różnymi aspektami zarówno poszukiwania osady, jak i jej badania. Zaczynamy od sprawozdania Wulfstana. Poznajemy całą historię prób umiejscowienia osady. Odrębnym rozdziałem są dzieje majątku Hansdorf i w ich kontekście również niszczenia pozostałości po emporium. Przechodzimy do części

głównej – tu poznajemy cały ciąg badań, odkryć i rekonstrukcji, interdyscyplinarność działań. Po tym otrzymujemy opis kolejnych etapów rozwoju Truso, zamykających jej dzieje w prawdopodobnych latach 650-1090. Dwa kolejne rozdziały przybliżają życie w osadzie – jeden pokazuje handel i rzemiosło, drugi zaś życie codzienne mieszkańców. Dodatkowo, autora kilkunastokrotnym komentarzem wspomaga profesor Przemysław Urbańczyk. Piszemy o prawdopodobieństwie wyprawy Wulfstana i połączeniu opisanego w relacji Truso z osadą, odnalezioną w Janowie Pomorskim nad Drużnem. Postowie należy z kolei do pióra profesora Władysława Duczko. On z kolei umieszcza i pozycjonuje Truso w skandynawskim regionie osadniczym i handlowym, jaki wytworzył się wokół Bałtyku we wczesnym średniowieczu.

Dla kogo więc to pozycja, skoro tak dużo piszę o jej uniwersalności? W moim odczuciu, dla szeroko pojętego grona zainteresowanych mediewistyką. Nie tylko naukowców, ale też pasjonatów historii, odtwórców epoki wikińskiej i słowiańszczyzny wczesnego średniowiecza. A ze względu na sposób i jakość wydania, może też z powodzeniem służyć jako książka na prezent dla tych, którzy się historią interesują.

Leszek Sarnowski

Bank z korzeniami

Lech Chętnik, Andrzej Lubiński, Bank Spółdzielczy 1910-2010, Sztum 2010.

To kolejna, cenna pozycja na sztumskim rynku wydawniczym. Autorzy nie przypadkowi. Andrzej Lubiński, historyk, prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Sztumskiej. Lech Chętnik, prezes Banku Spółdzielczego w Sztumie. Pierwszy od lat opisujący lokalne historię, drugi, jako bankowiec, kultuwujący tradycje przedwojennego Banku Ludowego. Można było mieć wątpliwości, czy duet historyka i bankowca dobrze przysłuży się publikacji, ale lektura rozwiewa te obawy. Takiej książki, prezentującej tradycje polskości na polu ekonomicznym brakowało. A Bank Ludowy w Sztumie to potężna dawka i ekonomii i patriotyzmu.

Samopomoc pieniężna i solidarna odpowiedzialność. To były główne zasady na których w zaborze pruskim Polacy budowali podstawy własnej spółdzielczej bankowości. Źródło taniego kredytu miało uniezależnić polskie drobnomieszczaństwo i chłopstwo od lichwy, ale też było formą oporu przed germanizacją. Pierwsze spółki kredytowe na Powiślu powstały w 1867 roku w Starym Targu, a w 1868 roku w Pierzchowicach. W Starym Targu inicjatywa opierała się na Marcinie Kikucie i Teodorze Donimirskim z Bukowa, a w Pierzchowicach na Zygmuncie Donimirskim z Dużych

Ramz, Janie Lamkowskim i Alojzym Kalinowskim. Obie instytucje podlegały spółdzielczości wielkopolsko-pomorskiej i zrzeszone były w Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych. W latach 90 - tych na Powiślu działały trzy banki w Starym Targu i dwa w Pierzchowicach. Każdy z nich zrzeszał w tym czasie po około czterystu członków, był samodzielnym finansowo i miał nawet swoją gazetę.

18 stycznia 1910 roku powstał Bank Ludowy w Sztumie. Założycielami byli między innymi Kazimierz, Józef, Witold Donimirscy, Teofil Rzepnikowski, ks. Piotr Wawrzyniak, Feliks Morawski, Józef Domański, Jan Kikut, Franciszek Demski. Lokalna elita i pionierzy pozytywistycznych działań. W pierwszym roku działalności bank liczył 72 członków, z których każdy wносił obowiązkowy udział do banku w wysokości 500 marek. Najwyższa pożyczka wynosiła 15 tysięcy marek, najniższa 40 marek. Większość udziałowców stanowili okoliczni rolnicy, rzemieślnicy i drobni przemysłowcy. Prezesem banku, który mieścił się w domu Feliksa Morawskiego, był Kazimierz Donimirski. W 1920 roku bank liczył już 250 członków. W sumie w polskich bankach na Powiślu zrzeszonych było ponad dwa tysiące

członków, których wkłady oszczędnościowe szacowana na prawie trzy miliony marek. Z takim bagażem można było się mierzyć z najtrudniejszym okupantem i zaborcą. Przedwojenne losy pionierów bankowości i jednocześnie polskich patriotów zostały szczegółowo opisane przez Andrzeja Lubińskiego.

Powojenne dzieje banku, już pod nazwą Bank Spółdzielczy opisuje z kolei jego wieloletni i obecny prezes Lech Chętnik. Pierwszym prezesem reaktywowanego w 1945 roku Banku był Franciszek Wojciechowski. To chyba nie przypadek, a pozytywne ciążenie tradycji, spowodowało, że bank ten, mimo lokalnego zakorzenienia jest dziś jednym z najprężniejszych banków w regionie, a poza Sztumem działa między innymi w Gdańsku, Gdyni, Kartuzach, Elblągu, Malborku, Ornecie i Pieniężnie.

Ważnym atutem książki są zdjęcia, a także profesjonalna szata graficzna i edytorska. To zasługa drukarni w Mirotkach. To bardzo atrakcyjny prezent na setną rocznicę Banku, a i cenna pozycja na każdej domowej półce z historią regionu. Dodatkową atrakcją książki jest też zamieszczone w niej opowiadanie Bereniki Ryszkowskiej, córki naszego redakcyjnego kolegi i, trzymamy kciuki, może przyszłej redaktorki naszego kwartalnika... Jej opowiadanie pod tytułem: „Pan doktor i porwana gazeta”, opisujące pierwszego prezesa Banku Feliksa Morawskiego, zdobyło pierwszą nagrodę a konkursie zorganizowanym przez Bank pod symbolicznym tytułem: „Do Europy z pamięcią i ideą przodków”.

PROWINCJONALIA czyli Kronika życia terenowego

Szanowni Państwo!

Po kilku miesiącach trawienia dwóch pierwszych odcinków niniejszej Kroniki nowostawski trębacz wreszcie przyznał – w rozmowie na rynku, niedaleko bankomatu – że kwitnące wokół życie powiatowo-gminne nie jest pozbawione sensu i ma nawet pewną wartość.

I już się zdawało, że misja rubryki Prowincjonalia została spełniona, kiedy – chyba w środę – małżonka trębacza oświadczyła w sklepie mięsnym, że jej chłop jest pewnie chory albo dał się zbałamucić, bo przecież wiadomo – tu, u nas, to można zwyczajnie, ja nie wiem, zwariować, a szczególnie kiedy sny po nocach wyją i mgła kradnie miasto i pola, i ludzi. Pomstowała dodatkowo na deficyt wytwornego towarzystwa, przeciagi i nudę.

Tak więc przez żaloszny wyskok w mięsnym i gadanie pani trębaczowej, nadal ciąży na nas obowiązek, aby przekonywać Czytelników, podsuwając im przykłady, że żyjemy pełnią życia nad brzegami dolnej Wisły – nawet jeśli rzeka staje się czasami mętna i bywa, iż zegar na wieży ratusza zatrzymuje się przed świtem, i przez cały dzień błądzimy w mroku, potykając się o koty.

Redakcja

Życie konserwatorskie

Konserwator Wojewódzki wydał zakaz wycinania wierzb żuławskich. Pochwalamy! Zakaz ten, w istocie, nie dotyczy tylko wycinania, ale również zagładania w pnie, dłubania, drążenia patykiem otworów lub odłupywania porcji próchna.

Czarownice, strzygi, skrzynie ze skarbami, tajne wejścia do podziemi należą od dzisiaj do społecznych dóbr chronionych prawem, do dziedzictwa żuławskiego, i nie będzie tak, że przyjdzie Rejman albo, dajmy na to, Kowalewski, wlezie w środek, będzie błądził, potem wyjdzie i zabierze, co tam znalazł, a za sobą pozostawi bajzel. Albo spłoszy, co tam spotka. Albo nawet weźmie i zatłucze. Tak nie można.

Zresztą to jest wstyd, by w takich trudnych czasach baby z Miłoradza czy z Kraśniewa przychodziły do kościoła ze złotymi pierścieniami na paluchach, obwieszone szmaragdami, rubinami, diamentami i perłami, i żeby

dzieciarnia ze Stogów zaprzęgała wiedzmy do saneczek, i gnała je kijem, drogami przez pola. Są jakieś granice i dlatego Konserwator Wojewódzki Ryszard Kubryt mówi tym z Kraśniewa, Miłoradza i ze Stogów – dosyć!

Oczywiście będą narzekania, wszakże: *Dura lex, sed lex*. I tyle. A jak Rejman albo, dajmy na to, Kowalewski nie rozumie, co to znaczy, niech zapuka w wierzbę i zapyta (tylko grzecznie). Ktoś odpowie.

Życie nadrzeczne

Lodołamacz Jarosław Rogulski z Janowca jest nieoceniony wczesną wiosną. Samodzielnie rozkrusza blokady na Wiśle, a jak go poproszą, to połamie lód i na Wierzycy. Ma swoje sposoby i sporo energii stanowiącej ekwiwalent czterech ton trotylu w laskach.

Z tym że nawet J. Rogulski czasem nie jest w stanie porozpirzać potężnych zatorów pod Gniewem. Wtedy grzecznie prosi żonę. Ta odrywa się od swoich zajęć, trochę gdera, trochę fuka, ale w końcu wbija się w przerębел i rozcina pełną piersią marcowe pokrywy lodowe na odcinku Opalenie – Biała Góra.

Dalej żona Rogulskiego nie dociera, bo uważa, że tam może popracować Kazimiera Wyrwicz z Tczewa. I ma rację (potwierdzone).

Życie techniczno-gospodarcze

Eksperyment gospodarczy w postaci farmy wiatraków pod Koniecwałdem nie zyskał, jak mówią, uznania ekspertów i budzi poważną krytykę społeczną. Prąd z turbin wiatrowych jest zimny, niestały i szumi. Czasami zanika lub płynie odwrotnie niż trzeba. W dodatku Kazimierz Kortecki, który został wynajęty do kręcenia tramwajową korbą, by wspomagać śmigła eko-turbin, co cztery tygodnie wyjeżdża do Elku, do córki, albo idzie się na chwilę zdrzemnąć, coś przekąsić i tak dalej, no i wtedy wszystko staje. I robi się ciemno, jak w studni.

Eksperci nam radzą, żeby – dla wzmocnienia rentowności przedsięwzięcia i przeciwdziałania rosnącemu niezadowoleniu ludu – znaleźć i wykorzystywać dodatkowe potencjały farmy. Dlatego od września wiatraki pod Sztumem będą używane ponadprogramowo, jako urządzenia szatkujące marchew, kapustę i pory. Potem ugotuje się dla wszystkich zupę i przez moment będzie spokój.

Życie leśne

Nadleśnictwo Kwidzyn bardzo pięknie umiliło święta zwierzyńie i ludziom. W okresie adwentu pracownicy leśni ozdobili lampionami i anielskim włosiem choiny na wszystkich obszarach podległych dyrekcji. Już pod

koniec listopada lampki rozświecwały świerki, jodły i daglezje w całej Puszczy Sztumskiej, a do dnia św. Mikołaja przystrojono każdy iglak w kompleksach na wschód od Sadlinek i zachód od Prabut.

Ze względu na ograniczone środki budżetowe, zasilanie lampek powierzono Korteckiemu, który Państwu znany jest z kręcenia korbą na farmie wiatrowej pod Sztumem. W okresie świątecznym K. Kortecki nie przerywał swojej pracy nawet w porze obiadowej ani po 22:00. Bardzo ładnie z jego strony. Miał, jak mówią, satysfakcję z tego, że lasy ze światłem widziano wyraźnie z ratusza w Toruniu, a nawet – mieliśmy telefon – z kosmosu.

Życie anatomiczne

Nowa noga Bożeny Pobiały z Waplewa. Wyrosła jej w nocy, kiedy B. Pobiała spała. Teraz nie wiadomo, co z tą nogą zrobić, jak nazwać, jak stawiać, jak ją ubrać no i obuć. Przede wszystkim jest wątpliwe, czemu trzecia noga ma w ogóle służyć.

Na razie Podbiała wyjeżdża do Sztumu, bo musi coś kupić. Ale wraca po południu i wtedy pogada z sąsiadką Neubauer.

Życie administracyjne i przemysłowe

Jako że w Malborku władze snują śmiałe plany, by pociągnąć drugą nitkę mostu na Nogacie, która miałaby znacząco rozładować straszne korki, przędzalnia w Kwidzynie rozpoczęła intensywne testy i przygotowania maszyn do produkcji włókna nowej generacji. Technolog Kamiński zapewnia, że nic nie jest sprężysta i mocna, obliczona na ogromne obciążenia.

Jesteśmy ciekawi, czy nitka się sprawdzi, zwłaszcza podczas kanikuly, kiedy zewsząd zjadą autokary pełne bardzo grubych pań i panów, z ogromnymi walizkami, kanapkami z majonezem i kielbasą, i ciężkimi pretensjami.

Życie kosmetyczne

Kremy nasuszające dla pań z Żuław i innych terenów podmokłych dostępne są już w drogeriach, we wszystkich większych sieciach handlowych w regionie. Dermatolog doktor H. Jaczyński radzi, aby kremy te stosować rano, zaraz po umyciu ciała, aplikując odpowiednią ilość i rozprowadzając gołym placem.

Doktor H. Jaczyński przypomina, że nadmierne namakanie skóry powoduje jej puchnięcie, rozciąganie oraz powstawanie baloników, które lubią pękać przy dotknięciu i wydają kompromitujące dźwięki. Nowe kremy doskonale redukują te zjawiska. Stosowane regularnie, zapewniają paniom pełen komfort, a także skuteczną barierę chroniącą przed wpływem szkodliwych czynników zewnętrznych związanych z klimatem.

Panowie, wiadomo, ci nic nie stosują. Co najwyżej zaczesują dłonią grzywkę. A jak już położą coś na skórę, to smary lub popiół. Dermatolog H. Jaczyński ani myśli ich namawiać na chodzenie po drogeriach. Zresztą, nawet gdyby ich tam zaprowadził, ciągnąc za kołnierze czy rękawy, to i tak uciekliby sprzed wejścia i poszli, wiadomo, nad ryby.

Życie militarne

W związku z organizacją nowego systemu obrony terytorialnej kraju, dowództwo naszego regionu formuje oddziały jeleni i dzików.

Dzikie świnie utworzyły trzy chorągwie do przełamywania linii wroga, a jelenie – pułki jazdy arystokratycznej do kończenia wielkich bitew sekwencjami pojedynków indywidualnych.

Kapitan Pawłowski w swojej tajnej teczce z twardej skóry ma podobno jeszcze plany powołania specjalnej eskadry bocianów do wypatrywania i dekoncentracji wroga z wysokości cumulusów.

Są tacy, co twierdzą, że Pawłowski myśli już o siatce wywiadowczo-dywersyjnej opartej na kretach. Nie mamy pewności, słyszeliśmy tylko szeptach dochodzące z paru kopców na trawniku przed starostwem i na działkach nad Nogatem.

Życie artystyczne

Znany iluzjonista Woźnicki z Dzierzgonia raczej zmieni trudną branżę. Wnosimy to z tego, że sprzedaje – w miarę tanio – talie kart, cylindry, chusty, gołębie, stoliki i skrzynki, natomiast skupuje zapasy papieru, atrament i ióra. Zapewne, jak wszyscy, napisze wspomnienia. Domyślamy się, że zastosuje pewne tricki, które zapewniały mu sukcesy na estradach w Nowym Dworze, Tczewie, Sztumie i Malborku. Coś pojawi się znienacka, a coś zniknie. Ważne, żeby wszystko jak najładniej wyglądało i wywoływało gromkie brawa.

Życie kryminalne

Znowu napad.

Niestety – jak zwykle – nie bardzo wiadomo, gdzie, kiedy i na co, czy raczej na kogo. Domyślamy się jedynie, że w Parparach, w zeszły czwartek, na sklepową Maładyńską, bo nie chciała dać na zeszyt.

A co ona taka tego? Dwa wino to co jest, ja pytam, majątek?

Życie osobiste i towarzyskie

Parę miesięcy temu obiecaliśmy, że gdy Adam Misiuk znajdzie pannę, to powiemy. A z tym znajdowaniem – dobrze wiemy – nie jest łatwo, nawet jak już człowiek jest dorosły, ma dokument osobisty i niebieski motorower, i jak już uregulował swój stosunek do służby wojskowej, i może się żenić. Mimo wszystko Misiuk znalazł! I wszyscy się cieszą, bo już Misiuk potrzebował.

Gdy zorientujemy się, jak znalazł, kim jest owa panna i tak dalej, to powiemy, na sto procent.

Życie ornitologiczne

Czapla biała, gniazdująca na trzydziestym szóstym kilometrze rzeki Nogat, nie chce, żeby jej robiono zdjęcia. Nie życzy sobie ta czapla i koniec. Ostatecznie wszyscy mamy przyrodzone prawo do ochrony swego wizerunku.

A najgorsi to są kajakarze. Będą pstrykać, bez skrupułów, nawet kiedy czapla bierze kąpiel. I w takim wypadku – uwaga! – sankcje mogą być poważne. Jak nie poskutkuje zwykła prośba, wypisana dziobem na kawałku dykty, to się zlikwiduje ten kilometr rzeki Nogat, gdzie dochodzi do łamania prawa, i dopiero zobaczymy, jak cwaniacy będą dygać z kajakami, hen, przez pola, i to samo – ostrzegamy! – stanie się z uczestnikami rejsów turystycznych organizowanych na jednostkach białej floty.

Życie innowacyjne

Mieszkaniec Brachlewa Koźmiński nie będzie już płacił łobuzom. Nie będzie ich tuczył, krwiopijców, nie będzie nabijał im kabzy. I koniec.

Po prostu wystarczy pomyśleć i znajdzie się sposób. Tak twierdzi.

Weźmy na ten przykład opał. Antoni Koźmiński nie kupi już węgla, bo załatwił sobie atom. Gdzie? Nie powie, bo obiecał, ale domyślamy się, że za spółdzielnię.

Na razie ten atom za bardzo nie grzeje, z tym że wkrótce się rozkręci i sąsiadom będzie łyso.

Życie dziecięce

Dziecko Jarosław Dolecki z Lipinki uważa, że najważniejszą rzeczą na świecie jest jego rowerek z przerzutką, zaś dziecko Natalia Bąkowiec z Klecewka przysięga, że najważniejszy na Ziemi jest zestaw fryzjerski z lustrem, grzebieniem, szczotkami, lakierem do włosów i paru innymi skarbami od Magdy Kozaczyk z sąsiedztwa, która jest o wiele starsza od Natalii i już umie się malować.

Za to dziecko Lech Madejski z Białej Góry nie ma żadnych wątpliwości, że na świecie liczy się wyłącznie transformator, który stoi w Sztumskim Polu, wygląda jak baszta zamkowa i buczy.

Fakt, że buczy, to nie wszystko. Tak, dziecko Madejski widziało, jak z czerwonej cegły wyszedł rycerz i napisał sztychem miecza na zwirowej drodze przy transformatorze: „Mambo Schneider i sekrety telefonów”. Ale potem to się zmyło.

Życie hodowlane

Ucieczki bydła z gospodarstw rolnych w naszym regionie zaczęły budzić poważny niepokój. Tymczasem, wczoraj, inspektor Rychart odnalazł dobrze ukryte miejsce w lasach pod Sztumem – piaszczystą skarpe, a na niej setki radosnych zwierząt, które ostatnio zniknęły z obór.

Zamaskowany w gęstej zieleni Rychart przez trzy godziny patrzył, jak krowy, córki-jałówki i stare byki zjeżdżają sobie piaskową rynną, nie na racicach, tylko na zadach, to chyba jasne, i zarykują się przy tym jak dzikie. Był także świadkiem, jak pięć cielaków wybudowało na zboczu skocznię i do wieczora biło rekordy w lotach na bombę. Te wszystkie sztuki, które zjechały albo skoczyły, polegiwały potem na trawie, śpiewały pieśni i przeżuwały wołowe szczęście. Inspektor Rychart nie je już mięsa. To rozumiemy. Nie pojmujemy wszakże, dlaczego nie chce wyjawić miejsca zjazdów na zadach. Owszem, bydłota mają uciechę, ale rolnicy w naszym regionie już nie za bardzo – są bardzo smutni i strasznie tęsknią.

Życie umysłowe

Bartłomiej Kulesza z Jurkowic chciałby wiedzieć, jak to jest. Jak to jest ze wszystkim. Jak to jest w ogóle.

Bardzo chętnie byśmy B. Kuleszy wyjaśnili, ale ten, co wie, akurat jest na chorobowym, więc trzeba poczekać, przynajmniej do środy.

Życie kolejowe

Na skasowanej stacji kolejowej Grzępa Antoni Rymerski czeka na pociąg z Malborka do Sztumu. Niespiesznie drepcze wzdłuż peronu, z południa na północ i znów na południe, czasami siada na złamanej ławce, a czasem kładzie się na trawie, jeśli akurat dzień jest ciepły. Mówi, że jego pociąg wkrótce wróci, zatrzyma się, otworzy wszystkie drzwi, przeprosi, Rymerski zaś rozkrzyczy się z radości i rozskacze. I znowu będzie tak jak kiedyś.

Mijają lata i jesienie.

Mijają śnieżne zimy, mokre wiosny.

Niestety, pociąg się nie zatrzymuje.

Tymczasem ludzie coraz częściej mówią o tym, żeby postawić Rymerowskiemu pomnik. Poza tym dokarmiają go codziennie, kto tam czym może, jeden kotлетem, inny zupą. Są nawet panie, które po cichu płaczą nad nim i byłby gotowe go przygarnąć, ale on zje, popije, a nie pójdzie.

On będzie wiernie czekał na swój pociąg na skasowanej stacji Grzępa.

Opowiastki z Waplewa

Tokajska dusza

Andrzej Sierakowski - ojciec Izabeli - we wspomnieniach spisanych w Mont-realu - przypomina piwniczkę winną, do której można się było dostać otwierając sekretne drzwi, na prawo od sieni głównej pałacu. Kierowany wskazówkami syna ostatniego właściciela wziąłem świecę w dłoń i spuściłem się kręconymi schodami na peregrynację do hrabiowskiego loszku winnego. Światelko pełga po gotyckich łukach i zawilgoconych ścianach piwnicznych. Patrzę i nie widzę nic. A właściwie, przepraszam, widzę Nic. Jedynie Nic pozostało po regałach wypełnianych kształtnymi obłóściami butelczyn opatrzonych karteczkami, które niczym dowody osobiste świadczyły o wieku, miejscu narodzin oraz dacie zbycia butelki na rzecz właściciela loszku.

Patrzę i wiżu, jak by zaśpiewał Turnau, lecz jedynie oczami wyobraźni, abstrahując od zagubionej żaby, szczurzych odchodów i płochliwie pomykających myszy. Na poczesnym miejscu zalegały zapewne węgryzyny. Wiadomo „Hungarie natum Polonie nobilitatum”. Butelczyna uszlachetniona długim przechowywaniem w Polsce łaśla się do ręki niczem kotka przed kominkiem. - Węgryzyna lej!!! Chciałoby się zadysponować. - Wedle życzenia, powrócił echem głos usłużnego kamerdynera. „Poza piwem i miodem piją Polacy wina węgierskie, francuskie i reńskie. Węgryzin przewyższa dobrocią i mocą wina hiszpańskie. Sprowadza się go do Polski z Węgier przez Karpaty zaprzęgami z wołów w wielkich antałach, z których każdy ma przynajmniej sześć francuskich wiader. Dowozi się go do Krakowa i tam rozlewa w małe beczułki” - pisze intendent króla Jana Kazimierza - co go Babinicz w górach od wrażeń Szwedów ratował.

U stóp Karpat, przy zbiegu rzek Cisy i Bodrogu leży winiarski region Tokaj. Światową popularność wina zaczęła się od Soboru Trydenckiego w 1562 roku - wiadomo, wino lubi mnicha. Sławę zyskał za sprawą Ludwika XV, który ofiarowując butelkę Tokaju Aszu pani de Pompadur miał rzec: „Pani oto król win i wino królów”. Wszystko pięknie proszę szanownej historii, tylko czemu obdarowaną była ta szantrapa, kochanica królewska, a nie legalnie pokropiona żona, nasza, polska Marysia de Leszczyński?

Niezbadane są losy wina. Spróbujmy rozsypać tajemnice doskonałości. Winobranie zaczyna się późno, październik - grudzień, kiedy stężenie cukru w owocach jest najwyższe. Jagody pomarszczone, pokryte szlachetną pleśnią (botrytis cinerea), są suche - stąd nazwa węgierska „aszu”. Grona rozkłada się na wielkich stołach wybierając najbardziej dojrzałe. Z wytłoczonych winogron otrzymuje się gęsty sok, z niego po podfermentowaniu esencję - „tokajską duszę” - którą dodaje się do moszczu z nieprzebranych winogron. Uzyskany trunek ma barwę od bladej - do ciemnobursztynowej, pozostawia na podniebieniu posmak rodzynków i jabłek. W latach mniej słonecznych, kiedy trudno uzyskać Tokaj Aszu - wiadomo słońce to cukier - wytwarza się Tokaje Szamorodni i Fur-

mint, do których używa się winogron zrywanych bez sortowania. Staropolski maślacz, tokajski Maślas, powstaje z fermentacji osadów i wytlóków - to taki Tokaj minorum gencium. I jeszcze słowo o Aszu Eszencia, fermentującym latami, a sporządzanym wyłącznie z podsuszanych winogron. Ten rarytas tradycyjnie podawano królom i cesarzom na łożu śmierci, oczekując od niego cudownej skuteczności. Z czym podawać? Moja rada drogi degustatorze jest następująca. Lekko schłodzić i powoli pociągając rozlewać po języku. Mlaskać..., mlaskać.

Kropla cuchnącej wilgoci spłynęła mi po karku. Świecę zdmuchnął duch znikającego kamerdynera. Po omacku wspinam się schodami loszku. Uchodzę o suchym pysku.

Kochliwe ziółko

Wzorem szampańskiego korka wystrzeliłem z lochu w park. Mijam oranżerię, ścieżka prowadzi do pierwszego mostku, na kamieniu data 1926. Sierakowscy jeszcze tu byli. Wyjechali w 1929 roku przyciśnięci ciężarem nie spłacanego kredytu w niemieckim banku. Za mostkiem rozpościerał się ogród dworski pyszniący się różnorodnością warzyw, owoców i ziół. Hrabina Helena, jak większość ziemianek, dbała o ludzi. Wzywano ją do porodów, chorób i mniej lub bardziej krwawych przypadków. W leczeniu stosowała zioła z ogrodowego herbarium - w postaci naparów i nalewek. Szlachetną swą dłońią zrywała, a może skubała gałązki i listki ziół. Jesienią wiązała je w pęki zwisające w spiżarni, dla zdrowia i kuchni.

„Bóg stworzył żywność, a diabeł przyprawy” - krzyknął James Joyce w swojej sławnej powieści trzymając się za głowę pełną ognia, pewnie zgryzł ostrą papryczkę albo chlapnął krwawą Maryskę z nadmiarem tabasco.

Kuchnia dworska kochała zioła, korzenie i przyprawy. Ich lista przytoczona za Izydorem z Sewilli, zamyka się liczbą 133. Nie będę nudził. Do dzieła! Biorę zielnik, lniany woreczek, rozwidlony patyk na zmije i... w ogród, w pola, w gaje. Weźmy, taki rozmaryn. *Rosmarinus officinalis*, rodzina wargowe. Pochodzi z rejonu śródziemnomorskiego. Ulubiona roślina średniowiecza, nie tylko ze względu na właściwości medyczne, ale też jako symbol miłości. W Polsce ulubieniec ułanów, w przerwach pomiędzy bitwami uganiali się konno po łąkach i lasach, nawołując, cytując: „O mój rozmarynie ...”. Nasze ziółko jest zimozieloną krzewinką dorastającą z metrów, na północy, w donicach do 50 cm. Liście podobne do igieł świerka lub jodły zawierają olejek eteryczny, garbniki, kwasy organiczne i sole mineralne. Legendy o nim sięgają czasów biblijnych, a niebieski kolor kwiatków ma zawdzięczać Matce Bożej, która uciekając z Egiptu rozwiesiła na nim swój płaszcz. Rozmaryn jest niezbędnym dodatkiem do pieczenia, zwłaszcza cielenicy, dziczyzny oraz do ryb. Suszony służy do peklowania, nadając mięsu smak i aromat, a także trwałość. Uwaga: suszone zioło dodajemy na początku gotowania - rozcierając je w dłoniach nad garnkiem. Świeże zioło kłaść na koniec pichcenia.

Spotkałem Włocha z Parmy. Nastrzelał bekasów, krzyków i jarząbków co niemiara. - Matteo powiedział, ptaszki trzeba zawinąć i faserować słoninką, a w brzuszku zapchać rozmaryno. Zapiekać. Podlewać winem. *Vino rosso naturalmente*. Pij. Może Chianti? Bene. Tutto va bene. I tak to z rozmarynem bywa.

Noty o autorach

Wacław Bielecki - od 1947 r. mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 roku Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. Dyrektor Wojewódzkiego Zespołu Szkół Policelanych w Sztumie. W 1980/81 roku redaktor naczelny tygodnika Sztumska Solidarność, a na przełomie lat 1989/90 członek kolegium redakcyjnego tego czasopisma. W latach 1990 - 1994 roku przewodniczący Rady Miasta i Gminy Sztum. Zainteresowania pozazawodowe: muzyka - nie tylko klasyczna, fotografia, spacerzy rowerowe i wnuki.

Anna Bołt - poetka, bibliotekarka, wydawca, dziennikarka. Debiutowała w „Nowym Wyrazie”, drukowała wiersze w „Zeszytach Literackich”, „Tytule”, „Tyglu”, „Schodach Kawowych”. Wydała arkusz poetycki pt. „Dziedzictwo” oraz tomiki poezji pt. „Szczęść Boże”, „Szklana kula”, „Wiersze na kartki/Kartki na wiersze”. Jest laureatką konkursów poetyckich w Elblągu, w Gdańsku, w Nowej Soli. Publikowała wiersze w almanachach środowiskowych: Rekonesans, Litteraria, Badanie DNA. W 2008 r. założyła Towarzystwo Literackie – Narocz Kwidzyn Gdańsk. Otrzymała Nagrodę Burmistrza Miasta Kwidzyna za działalność artystyczną.

Bogumiła Bruniecka - ur. 1956 r. w Sztumie. Absolwentka Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej Uniwersytetu Gdańskiego. Od 1975 r. pracownik biblioteki w Sztumie, obecnie Starszy Kustosz w Bibliotece Elbląskiej im. C. Norwida w Elblągu - Biblioteka Muzyczna Gotycka. pl (organizator koncertów, festiwali filmowych, wystaw plastycznych, imprez). Publikacje: wiersze i kilkanaście artykułów z dziedziny kultury w prasie lokalnej i regionalnej.

Anna Weronika Brzezińska - ur. 1977 - dr, etnologka i instruktorka rękodzieła artystycznego. Adiunkt w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej na Wydziale Historycznym Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, członkini Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego Oddział w Poznaniu, Polskiego Towarzystwa Etnologii Miasta, Towarzystwa Miłośników Ziemi Kociewskiej oraz Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Plecionkarzy i Wikliniarzy. Absolwentka Małopolskiego Uniwersytetu Ludowego we Włodowie (2002), instruktor rękodzieła artystycznego. Poznanianka z korzeniami tkwiącymi na Kociewiu i wielkopolskiej Bizkupiznie.

Edward Cyrklaff - syn pierwszego po wojnie wójta Nowego Stawu. Mieszka w Bydgoszczy.

Marta Falkowska - dziennikarka, poetka, autorka „Bajki o Jasiu Wędrowniku z Żuław”, tomików poezji „Kalendarzowe incognito”, „Trzy rodzaje”. Mieszka w Malborku.

Ryszard Filbrandt - ur. W 1950 r. w Malborku. Członek Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Elbląski Klub Autorów. Do tej pory opublikował: „Klocki dla dorosłych” (1990); „Przebudzenie” (1991); „Impulsy istnienia” (1994); „Korowód” (1996); „W strumieniach światła” (1998); „Wyrok” (2001); „Zanim spadną grudy ziemi” (2003); „Przystań” (2006); „Cień” (2008). Jego utwory ukazały się także na łamach prasy: Pomorze, Nowiny kulturalne, Magazyn Kulturalny „OKO”, Dziennik Bałtycki, Wiadomości Elbląskie, Nowiny Malborskie, Tygiel, Borussia. Mieszka w Malborku.

Tomasz Gliniecki - ur. 1967 w Elblągu. Absolwent pedagogiki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Olsztynie. Poeta, dziennikarz, redaktor naczelny Dziennika Elbląskiego, Gazety Olsztyńskiej. Poszukiwacz lokalnych historii Elbląga i okolic z okresu drugiej wojny światowej i powojennego. Obecnie pracownik Muzeum Archeologiczno - Historycznego w Elblągu.

Małgorzata Anna Jędrzejewska - bibliotekarka, nauczycielka jęz. polskiego, lifecoach. Mieszka w Nowym Stawie. Na co dzień pracuje w gimnazjum nowostawskim, starając się, ze skutkiem, wyrobić u młodzieży pociąg do czytania - dlatego rokrocznie organizuje maratony czytelnicze, które cieszą się powodzeniem także u dorosłych mieszkańców miasta. A z uczniami, którzy nie za bardzo chcą czytać, robi filmy. Jej pasją jest teatr i realizuje ją głównie poprzez wszelkiego typu animacje teatralne, przeprowadzane z zespołami teatralnymi. Aktualnie podjęła studia podyplomowe na wrocławskiej PWST związane z reżyserią teatru młodzieży.

Andrzej Kasperek - ur. 1958 r. w Nowym Dworze Gdańskim. Absolwent filologii polskiej UG. Działacz SKS, NZS UG. Pracował w DKF „Żak” w Gdańsku. Nauczyciel języka polskiego w Nowym Dworze Gdańskim. Autor opowiadań „Back in the DDR i inne opowiadania” (2010). Mieszka w Nowym Dworze Gdańskim.

Aleksandra Kapejewska – ur. 1980 r. w Tczewie. Absolwentka politologii na UG oraz filologii angielskiej (licencjat) w Nauczycielskim Kolegium Języków Obcych w Elblągu. Obecnie Naczelnik Biura ds. Kontaktów z Mediami i Współpracy z Zagranicą Urzędu Miejskiego w Malborku. W wolnych chwilach przewodnik grup anglojęzycznych po zamku w Malborku. Mieszka w Malborku.

Marek H. Kotlarz – ur. 1959 w Gdyni. Absolwent ekonomii Uniwersytetu Gdańskiego, w 1980 roku członek Niezależnego Zrzeszenia Studentów i jeden z przywódców studenckiego strajku w listopadzie i grudniu 1981 r. W latach 1989 – 1991 publicysta i szef działu gospodarczego tygodnika „Młoda Polska”. Współpracował z Video Studio Gdańsk i Agencją Filmową „Profilm”. Publikował także w Dzienniku Bałtyckim, Tygodniku Gdańskim, Gazecie Gdańskiej, Przeglądzie Politycznym. Debiut prozatorski w 2009 roku – „Opowiadania z pierwszej połowy”. W roku 2010 ukazał się reportaż z kilku pobytów w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych zatytułowany „Ameryka – stronnicze refleksje”.

Sebastian Kubiak – ur. 1971, poeta, mieszka w Malborku. Publikacja w kwartalniku Prownicja jest jego debiutem.

Piotr Marcin Kuczkowski – ur. 1984 r. w Sztumie. Ukończył tu Technikum Handlowe, brał udział w organizowanych na zamku „Świeczkowiskach poetyckich” – corocznej imprezie dla piszących uczniów, organizowanej przez Zespół Szkół Zawodowych w Barlewiczkach. Debiutował wierszem na łamach sztumskiego dodatku „Dziennika Bałtyckiego”. Mieszka i pracuje w Holandii.

Adam Langowski – ur. 1981 r. w Sztumie, absolwent LO w Sztumie, ukończył historię na UMK w Toruniu. Pracuje jako nauczyciel historii w Zespole Szkół w Starym Targu, wychował się w Ramotach w gminie Stary Targ. Mieszka w Sztumie.

Justyna Liguz – ur. 1970 r. w Kwidzynie. Absolwentka Instytutu Historii i Archiwistyki UMK w Toruniu. W 2003 doktorat z historii na UMK. Od 2003 roku pracuje jako główny specjalista ds. pracowni regionalnej przy Kwidzyńskim Centrum Kultury w Kwidzynie, zajmując się popularyzowaniem lokalnej historii ziemi kwidzyńskiej. Od 2000 roku założycielka i prezes Kwidzyńskiego Towarzystwa Kulturalnego, a także redaktor naczelny kwartalnika kulturalno-historycznego Schody Kawowe.

Grażyna Nawrońska – ur. w Chodzieży. Absolwentka archeologii na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu i Studium Podyplomowego Muzealnictwa na Uniwersytecie Warszawskim. Od 1980 do 2010 roku badania archeologiczne na Starym Mieście w Elblągu (do 1994 r. razem z mężem). Do 2000 r. w Pracowni Konserwacji Zabytków, potem w Muzeum Archeologiczno-Historycznym w Elblągu. Autorka kilkudziesięciu publikacji naukowych w Polsce i Belgii, Irlandii, Szwajcarii, Niemczech. Autorka referatów wygłaszanych w Polsce i za granicą. Redaktorka i współredaktorka 2 książek. Jedną z nich „Archeologia et Historia Urbana” otrzymała nagrodę „Sybilla 2004”. W 2010r. obrona doktoratu na Uniwersytecie we Wrocławiu pt. „Początki Elbląga w świetle źródeł archeologicznych” Mieszka w Elblągu.

Roman Niemczyk – ur. w 1952 roku w Dąbrówce Tczewskiej. Nauczyciel przedmiotów ekonomicznych w Zespole Szkół w Sztumie. Absolwent Uniwersytetu Gdańskiego Wydziału Ekonomiki Produkcji. Wykładowca rachunkowości w Powiślańskiej Szkole Wyższej w Kwidzynie oraz nauczyciel przedsiębiorczości w Wojewódzkim Zespole Szkół Policealnych w Sztumie. Ekspert oświatowy z zakresu przedmiotów ekonomicznych. W swoim dorobku naukowym posiada 50 napisanych książek oraz 58 artykułów naukowych o tematyce ekonomicznej. Z zamiłowania historyk amator, zajmujący się problematyką wczesnośredniowiecznej historii Pomorza Nadwiślańskiego. Autor „Zarysu dziejów Pomorza Nadwiślańskiego do II połowy XIV wieku”. Od 2006 roku na emeryturze. Mieszka w Sztumie.

Aleksandra Paprot – ur. w 1988 r. Studentka kulturoznawstwa na Uniwersytecie Gdańskim i wiceprezes Studenckiego Koła Naukowego „Mozaika” zajmującego się regionami Polski oraz ginącymi kulturami świata. Uczestniczka etnologicznych badań terenowych na Żuławach Elbląskich i Gdańskich organizowanych przez UAM w Poznaniu oraz studenckich badań terenowych UG nad szamanizmem syberyjskim wśród Buriatów nad Bajkałem. Interesuje się regionem i kulturą materialną Żuław, obrzędowością, tradycją i folklorem wsi polskiej oraz sztuką i strojami ludowymi. Mieszka w Starej Kościelnicy.

Janusz Ryszkowski - ur. 1955 w Opaleniu. Absolwent Filologii Polskiej UWM w Olsztynie. W latach 1984-2009 dziennikarz *Wieczorne Wybrzeża*, *Wiadomości Elbląskich* i *Dziennika Bałtyckiego*. Jako poeta debiutował w 1975 roku w *Nowym Wyrazie*, jako krytyk literacki trzy lata później na łamach *Nowych Książek*. Opublikował tomiki: „*Wiersze*” (1983), „*Stan podgorączkowy*” (nagroda im. Kazimierza Iłakowiczówny na najlepszy książkowy debiut 1985 roku), „*Płatny romans*”, „*Prywatne śledztwo*” (1992), „*Do snu nie przemycisz domowych zapachów*” (2001). Autor reportaży „*Requiem dla hrabiego*” (1997), „*W podróży po ziemi sztumskiej*” (2010), współautor albumów starych pocztówek oraz fotografii „*Sztum-Stuhm*” (2000) i „*Odcienie szarości*” (2003). Z Krystyną Błaszczyk-Ryszkowską przygotował antologię „*Oko judasza*” (2007), złożoną z prac literackich nadsyłanych od 1992 na Ogólnopolski Przegląd Sztuki Więzienniczej w Sztumie. Mieszka w Sztumie.

Ryszard Rząd - ur. 1953. Historyk, absolwent KUL. Pracownik Muzeum Zamkowego w Malborku. Autor szeregu publikacji poświęconych dziejom odbudowy zamku w Malborku na przełomie XIX i XX wieku (m.in. „*Zamek w Malborku 1882-1945. Dni powszednie odbudowy*”, Malbork 1996 i 2002) i dziejom miasta Malborka w XIX i XX w. Mieszka w Malborku.

Leszek Sarnowski - ur. 1959 r. w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii UG. Jako dziennikarz współpracował z *Gazetą Wyborczą*, *Dziennikiem Bałtyckim*, *Radiem Gdańsk*, *Radiem Plus*, *TVP Olsztyn*, *TVP Gdańsk*. Przewodniczący Komitetu Obywatelskiego „*Solidarność*” w Sztumie w 1989 roku. Redaktor naczelny *Sztumskiej Solidarności* i *Gazety Sztumskiej* w latach 1989-93. Wydawca i redaktor książki „*Od „Solidarności” do społeczeństwa obywatelskiego*” (2005). Prezes Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „*Taka Gmina*” w Sztumie, pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelny kwartalnika *Prowincja*. Obecnie kierownik Działu Edukacji i Promocji Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Elblągu. Mieszka w Sztumie.

Mariusz Stawarski - ur. 1961 r. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz PWSSP w Gdańsku. Od 1990 roku mieszka i pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawianiem i grafiką użytkową. Od 1986 roku zajmuje się malarstwem liryczno-groteskowym, wystawianym i nagradzanym w wielu krajach i zagranicznych konkursach - Grand Prix Satorykonu 1998, Secend Prize Istanbul - Turcja.

Marek Stokowski - ur. 1957 r. w Warszawie. Absolwent Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Kustosz w Muzeum Zamkowym w Malborku. Prowadzi unikalne w skali kraju gry edukacyjne i przygodowe dla młodzieży i dorosłych. Autor książek beletrystycznych i edukacyjnych. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wydał m.in. „*Dzień nad ciemną rzeką*” (1996), „*Sny dla dorosłych i dla dzieci*” (1998), „*Legends i opowieści zamku Malbork*” (2002, 2005), „*Krzyżacy, ich państwo i zamki*” (2003), „*Błazen*” (2004), „*Noc tajemnic*” (2005), „*Samo-loty*” (2005), „*Stroiciel lasu*” (2010). Mieszka w Malborku.

Tomasz Wandzel - ur. 1975 r. w Głucholazach. Od najmłodszych lat zapalony turysta górski. W 1998 roku traci wzrok. Cztery lata później rozpoczyna studia na UMK w Toruniu i angażuje się w działalność studenckiej gazety. Od 2004 roku mieszka wraz z żoną i dziećmi w Prabutach. Poza pracą zawodową publikuje reportaże oraz krótkie formy prozatorskie. W 2010 roku zajmuje I miejsce w ogólnopolskim konkursie na reportaż prasowy im. Macieja Szumowskiego. Radny Miasta i Gminy Prabuty w kadencji 2010 – 2014.

Małgorzata Maria Wosińska - ur. 1985, etnolog i antropolog kultury, doktorantka w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jej zainteresowania etnologiczne dotyczą antropologii pamięci i przestrzeni oraz pracy ze świadkami zdarzeń traumatycznych. Ukończyła szkolenia z zakresu psychotraumatologii interwencyjnej, co pozwala jej w ramach porównawczych studiów nad genocydem analizować tożsamość ocalałych z Holocaustu i ludobójstwa w Rwandzie. Absolwentka II stopnia szkoły muzycznej w klasie fortepianu, dziś wykonuje muzykę tradycyjną. Uczy śpiewu białego i uważa muzykę za jeden z lepszych sposobów na odnalezienie wspólnego języka z innymi. Prowadziła badania na Litwie, w Bułgarii, Serbii, Jutlandii, Rostoczyźnie i Żuławach. Obecnie realizuje projekt badawczy w Rwandzie.